

P. 9786

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/448-2/449

1985



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

ST. FRANKIEWICZ : **CHRZEŚCIJAŃSTWO**

SŁ. MROŻEK : **JAWORZNO**

B. KORZENIEWSKI : **PAGÓREK**

Zb. BRZEZIŃSKI : **PRZYSZŁOŚĆ JAŁTY**

OBSERWATOR : **GAWĘDY GOSPODARCZE**

SPIS RZECZY

| | | |
|----------------------------|-----------------------------------------|----|
| Andrzej Artur Grabiec: | <i>Nienawiść — źródło terroru</i> | 3 |
| Stefan Frankiewicz: | <i>Chrześcijaństwo</i> | 13 |
| Paweł Morga: | <i>Notatki o symbolach</i> | 17 |
| Antoni Pawlak: | <i>Kartki z dzienniczka</i> | 25 |
| Sławomir Mrozek: | <i>Jaworzno</i> | 31 |
| Bohdan Korzeniewski: | <i>Pagórek</i> | 40 |
| Gustaw Herling-Grudziński: | <i>Święty Smok</i> | 64 |

WIERSZE

| | | |
|-----------------|------------------------------|----|
| Witold Wirpsza: | <i>Trudności</i> | 78 |
| Anna Frajlich: | <i>W innym żywiole</i> | 79 |

K R A J

| | | |
|--------------------|-----------------------------------------------------|-----|
| Obserwator: | <i>Gawędy gospodarcze</i> | 81 |
| — | <i>Spis wydawnictw podziemnych w PRL (6)</i> | 92 |
| — | <i>PRL a Międzynarodowa Organizacja Pracy</i> | 113 |
| Maria Jagodzińska: | <i>Uniwersytet ich marzeń</i> | 114 |

ARCHIWUM POLITYCZNE

| | | |
|----------------------|----------------------------------|-----|
| Zbigniew Brzeziński: | <i>Przyszłość Jajty</i> | 119 |
| Leopold Unger: | <i>Widziane z Brukseli</i> | 142 |

SĄSIEDZI

| | | |
|----------------------|----------------------------------------|-----|
| Adam Kruczek: | <i>W sowieckiej prasie</i> | 153 |
| Bliźniacy: | <i>Przybyliśmy, zobaczyliśmy</i> | 158 |
| Andrzej J. Chilecki: | <i>Kronika niemiecka</i> | 164 |
| Aleksander Tomszy: | <i>Kronika czeska i słowacka</i> | 168 |

KRONIKA KULTURALNA

| | | |
|-------------------------------|-----------------------------------------------|-----|
| Józef Szrett: | <i>Intelektualiści i inteligenci w PRL</i> .. | 171 |
| Instytut Józefa Piłsudskiego: | <i>Nagroda za pracę historyczną</i> | 184 |

KSIĄŻKI

| | | |
|-----------------------------|----------------------------------------------|-----|
| Andrzej Szulczyński: | <i>Strażnik nieistniejących cmentarzy</i> .. | 185 |
| Maria Danilewicz Zielińska: | <i>Czytam (2)</i> | 191 |
| Konstanty A. Jeleński: | <i>„Nominalny czas dziejów” i inne czasy</i> | 197 |
| A.P.: | <i>Nowy tom „Pamiętnika Literackiego”</i> | 202 |
| — | <i>Nadstawane nowości wydawnicze</i> | 203 |



| | | |
|---|------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| — | <i>Wydarzenia miesiąca i kroniki amerykańska, francuska, kanadyjska i szwedzka</i> | 206 |
|---|------------------------------------------------------------------------------------------|-----|



| | | |
|------------------------------------|-------------------------------------------------------------|-----|
| Komitet Pomocy Polakom we Francji: | <i>Otwarcie w Paryżu Polskiego Domu św. Antoniego</i> | 217 |
|------------------------------------|-------------------------------------------------------------|-----|



| | | |
|---------------------------------------------------------|-------------------------------------|-----|
| J. Chodakowski, E. Gisges-Zwierzchowska, J. Kazimirski: | <i>Listy do Redakcji</i> | 218 |
| — | <i>Odpowiedzi Redakcji</i> | 219 |
| — | <i>Oświadczenia Redaktora</i> | 220 |

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty - Janvier/Février 1985

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

| | |
|--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-------------|
| J. Basik, Pierrefonds, Que. (Kanada) — \$ c. 10,00 | F. 72,00 |
| Dr Krzysztof Boreyko, Easton, CT (USA), po raz 5-ty — \$ 136,00 | F. 1.290,00 |
| Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, PA (USA), po raz 35-ty — \$ 35,00 | F. 332,00 |
| Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób Zygmunta Hertza, w 5-tą rocznicę Jego śmierci, 5. 10. 1984 r. — \$ 100,00 | F. 950,00 |
| Tomira Buxell, Wellesley, MA (USA), po raz 10-ty — \$ 136,00 | F. 1.290,00 |
| Mirosław Czołnowski, Ennepetal (RFN) — DM 20,00 | F. 67,00 |
| Renata i Juliusz Dżianott, Rosario de Santa Fé (Argentyna), po raz 9-ty — \$ 108,50 | F. 1.030,00 |
| Stefan J. Ginilewicz, Groves, TX (USA), po raz 9-ty — \$ 30,00 | F. 285,00 |
| Elżbieta i Zygmunt Inwalsey, Carlsbad, CA (USA), po raz 4-ty — \$ 28,00 | F. 266,00 |
| Tad Lisicki, Charleston, S.C. (USA), po raz 3-ci — \$ 8,00 .. | F. 76,00 |
| Tadeusz J. Maczyński, Chicago, IL (USA), po raz 10-ty — \$ 58,00 | F. 551,00 |
| Wacław Majnus, Frankfurt/Main (RFN) | F. 183,32 |
| Andrzej Masztak, Mutare (Zimbabwe) | F. 151,56 |
| Mamert Miż-Miszyn, Monachium (RFN) — zamiast życzeń świątecznych i noworocznych, po raz 6-ty — DM 100,00 | F. 305,00 |
| Jan F. Morelewski, Evergreen Park, IL (USA), po raz 13-ty — \$ 25,00 | F. 237,00 |
| George Nakashidze, Nowy Jork, po raz 2-gi — \$ 56,00 | F. 532,00 |
| Jerzy Nowak, Truro, N.S. (Kanada) | F. 390,00 |
| Michael S. Ochalski, Chicago, IL (USA), po raz 13-ty — \$ 28,00 | F. 266,00 |
| Seweryn Palicki, Sztokholm — zamiast życzeń świątecznych — Krs 100,00 | F. 110,00 |
| Marian Pawłowski, Bois-Colombes (Francja), po raz 13-ty | F. 2.380,00 |
| Tomasz Płodowski, Upper Montclair, N.J. (USA), po raz 17-ty — \$ 61,00 | F. 580,00 |
| Stefan Henryk Rose, Paryż, po raz 6-ty | F. 600,00 |
| Alexander M. Schenker, Hamden, CT (USA), po raz 15-ty — \$ 36,00 | F. 342,00 |
| Czesława i Jan Seremak, Honolulu, Hawaje (USA), po raz 8-my — \$ 58,00 | F. 551,00 |
| Michał Sienko, South River, NJ (USA), po raz 9-ty — \$ 8,00 .. | F. 76,00 |
| A. Stachelska, Athol (Afryka Płd.), po raz 12-ty | F. 385,00 |
| Franiszek Strociak, Park Ridge, IL (USA), po raz 25-ty — \$ 58,00 | F. 551,00 |
| Irena Strutyńska, Knutange Nilvange (Francja), po raz 10-ty .. | F. 100,00 |
| S. Szynalski, St. Agathe, Man. (Kanada), po raz 9-ty — \$ c. 70,00 .. | F. 504,00 |
| Tadeusz K. Walendowski, Bethesda, MD (USA), po raz 2-gi — \$ 50,00 | F. 475,00 |
| Edda Werfel, Wiedeń, po raz 5-ty | F. 100,00 |

DZIEKUJEMY!

(Dalszy ciąg Wpłać na str. 223)

1985 W 1467

LIB. JOYEKA
BN P.9786



Nienawiść - źródło terroru*

Tak wiele napisano ostatnio o księdzu Jerzym Popiełuszcze, że powracanie do tematu nie jest łatwe, a co więcej, naraża piszącego na niezawinione nieraz powtórzenia. A jednak fascynacja tragedią i jej wszystkimi następstwami to sprawa kluczowa dla Polaków. Trzeba stwierdzić wyraźnie: Polska zyskała nowego świętego. Tylko zaraz diabeł podsuwa pytanie, czy będzie umiała zyskać coś więcej niż jeszcze jedną palmę męczeńską? To diabelskie pytanie może wywołać sprzeciw, pomówienie o cynizm, może nawet zarzut frymarczenia świętością. Bo może sam młody męczennik, zatorturowany przez wyższych pracowników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, od takiej postawy by się nie odzegnał — on, który całe swe krótkie a tak pełne treści życie poświęcił miłości Boga i miłości Ojczyzny. A tej drugiej miłości nie rozumiał abstrakcyjnie, a właśnie przez ludzi, przez tę brać robotniczą, której był pasterzem.

Nie chłód, nie cynizm, ale troska o przyszłość tej ojczyzny pojętej jako wielkie ludzkie zbiorowisko dyktuje słowa uważne, poważne.

Ksiądz Jerzy nie jest świętym z własnego wyboru. Jak każdy dobry, prawdziwie z powołania działający kapłan, rozumiał swoje posłannictwo jako nieugięte głoszenie prawdy. Zapewne wiedział, że pogróżki i anonimy, które do niego docierały, mogą przeobrazić się w rzeczywistość, ale on sam nie wybierał — on tylko

* W połowie listopada, gdy zgroza i oburzenie męczennictwem ks. Jerzego Popiełuski osiągnęły stopień najwyższy, Jan Rem czyli Jerzy Urban ogłosił artykuł „Nienawiść”, przedrukowany przez większość chyba prasy reżimowej. Ani tytuł niniejszego artykułu, ani jego treść nie jest polemiką z tą wypowiedzią rzecznika prasowego PRL, bowiem nie można polemizować z falą nienawiści i strachu, które tylko obnażyły autora.

spełniał taki obowiązek do jakiego, w swym najgłębszym przekonaniu, został przez Boga wybrany. I męczeństwa swego nie wybrał, został doń wybrany. To może nieistotne dla naszego wyводу, ale warto chyba odnotowania. Bowiem pisząc o świętości księdza Jerzego Popiełuszki nieustannie nasuwają się dwie inne postacie polskiej hagiografii: św. Stanisław Szczepanowski i św. Maksymilian Kolbe. Jakże wymownie ten nowy męczennik dopełnia tych swoich dwu poprzedników. Trudno powiedzieć, w jakiej mierze biskup krakowski z XI wieku wybierał swoje męczeństwo. Mógł przecież przypuszczać, że monarcha nie porwie się przeciwko niemu, że zawała się przed zabójstwem. Natomiast wybór św. Maksymiliana był jednoznaczny: franciszkański, całkowicie własny i podjęty dla jednego tylko bliźniego, ale poprzez niego zwracający się ku wszystkim. Dalsze analogie i różnice: św. Stanisław zwracał się przeciwko nadużyciom władzy, przeciwko królowi, bo w tamtej epoce monarcha uosabiał państwo, a więc jego postawa jest porównywalna z postawą księdza Jerzego, choć minęło wiele stuleci i niezbędna jest korektura optyki widzenia spraw. Oczywiście Jaruzelski to nie Bolesław Śmiały, a oficerowie z resortu Kiszczaka to nie siepacze, którym polecono rozsiewanie zwłok, o czym opowiada legenda i starożytne malowidła. Ale istota jest analogiczna: obaj święci zwracali się przeciwko uroszczeniom władzy państwowej, występowali przeciwko aktom przemocy i nieważne, czy w XI wieku gra sła o prymat Kościoła nad państwem, bowiem właśnie w tym miejscu wprowadzić trzeba korekturę historyczną: inaczej wówczas ten pierwszy rozumiał swe ziemskie posłannictwo, niewątpliwie nadmiernie polityczne, ale... Nie. Trzeba będzie jeszcze później do sprawy powrócić...

Św. Maksymilian nie występował bezpośrednio w sprawach politycznych, nie walczył w dosłownym znaczeniu przeciwko totalitaryzmowi hitlerowskiemu, zwalczał zło, a więc i to małe, zagnieżdżone w człowieku i to wielkie, zagnieżdżone w tworach zbiorowych: w państwach. I z miłości wybrał swój los, który kazał mu ratować nieznanego człowieka, dając w zamian własne życie. Wywleczony z podróży duszpasterskiej, katowany przez zezwierzęconych funkcjonariuszy z wyższym wykształceniem i utopiony w rzece Polaków — Wiśle, ksiądz Jerzy oddał swe życie z boskiego wyboru za tych wszystkich, którzy skazani są na bezprawie ubrane w majestat prawa. Ksiądz Jerzy walczył — tak, dosłownie walczył o wolność jednostki, o jej prawa, o sprawiedliwość i walczył konkretnie — zwracając się przeciwko totalitaryzmowi sowieckiemu, którego tylko nieudolnym odpryskiem jest totalitaryzm PZPR-owski. Czy może istnieć walka podejmowana z miłości? Właśnie zacytowani wyżej święci taką wal-

kę wcielali poprzez swą postawę, swe czyny i swe wybory, nawet jeśli ostateczne były dokonywane poza, lub słuszniej — nad nimi.

Chodzi przede wszystkim o to, że na księdzu Jerzym zamyka się zaczarowany krąg problematyki: Kościół — państwo — jednostka. I nie jest to naiwna skłonność umysłu do liczb symbolicznych. Właśnie dlatego było ich trzech, bowiem pierwszy, u podstawy owego trójkąta, rozpoczął dopiero walkę Kościoła o sprawiedliwość, to znaczy o przeciwstawienie się złu państwowemu, które w danym, feudalnym momencie dziejów wcielało się w postać króla z mieczem uniesionym nad ołtarz. Dwaj współcześni święci nie tylko, że reprezentują nowoczesne widzenie stosunku Kościoła do ludzkości jako do zbiorowości jednostek w społeczeństwach zorganizowanych w struktury państwowe, ale ponadto wyznaczają dwa bieguny najgorszego zła naszego stulecia: dwóch najkrwawszych totalitaryzmów, dwóch najbardziej odstręczających dyktatur nad tymi zbiorowościami: hitleryzmu i sowietyzmu. I tu już przestaje odgrywać rolę sprawa samego wyboru męczeństwa, bowiem wybór postawy był nie tylko w obu, ale we wszystkich trzech przypadkach identyczny: był wyborem sprawiedliwości, nie żadnej tam nazistowskiej czy socjalistycznej, ale po prostu sprawiedliwości.

Jeden z mówców w czasie pogrzebu księdza Jerzego powiedział, że ci, którzy go zamordowali, nie mieli wyobraźni. To niezwykle słuszne stwierdzenie. Przy całym sprycie, przy całej perfidii, którą się komunizm w sowieckim wcieleniu posługuje, starając się zamaskować swe prawdziwe oblicze i nadać swej działalności zbawczy wymiar „postępu”, wielokrotnie popełnia on wprost infantylne błędy, czasem dlatego, że ostrość spojrzenia zaćmiewa mu imperialistyczna pycha, czasem dlatego, że powierza wykonanie trudnych zadań ludziom prymitywnym, choć z etykietą „wyższego wykształcenia”. Brak wyobraźni w przypadku księdza Jerzego polegał na tym, że powoli, ale stale wzrastająca liczba śmiertelnych lub okaleczonych ofiar „wojny jaruzelskiej” została wzbogacona o ofiarę tak reprezentatywną, tak właśnie martyrologiczną, że trudno sobie wyobrazić coś, co byłoby większą przysługą dla polskiego Kościoła, w ogóle dla wszystkich Polaków (trudno bowiem do ich grona zaliczyć mocodawców i kolegów oficerów-terrorystów MSW). I znów nie będzie żadnym czynem stwierdzenie, że św. Maksymilian wcielał miliony męczenników hitleryzmu, ale zarazem pośród anonimowej śmierci w pacyfikacjach, kacetach i gestapowskich więzieniach poprzez własny wybór zachowywał swoją wyłączną, indywidualną, samotną świętość. Ksiądz Jerzy stał się przedstawicielem zaledwie dziesiątek czy setek, a przecież wielu z nich umierając cierpiało nie mniej niż on, ale to właśnie nie on siebie wybrał, ale został wybrany

i oficerowie terroryści byli wykonawcami nie jakichś ziemskich poleceń, ale stali się narzędziami Boskiej Opatrzności. Pomimo ogromnych podobieństw pomiędzy hitleryzmem, a sowietyzmem nie wolno pomiędzy tymi dwoma zjawiskami stawiać znaku równania. Podobieństwa są natury ogólniejszej, wynikają z dyktatorstwa, totalitaryzmu, ale to i wszystko. Hitleryzm był zjawiskiem pojedynczym: zrodził się i skończył wraz z jednym człowiekiem, obłądnym ideologiem nacjonalizmu niemieckiego, przemiął i pozostaje tylko jako wielkie memento dla Niemców: był w gruncie rzeczy nie do zaszczepienia gdzie indziej (już włoski faszizm przybrał zupełnie odmienną formę, podobnie jak frankizm czy salazaryzm — wszystkie te nacjonalistyczne zjawiska były wynikiem aktywności poszczególnych jednostek — wodzów).

Komunizm nie tylko że przeżywa swych ideologów, ale staje się dyktaturą permanentną. Groza i groźba komunizmu polega właśnie na jego ciągłości i w określeniu „kolegialność”, stosowanym do aparatu władzy, jest pewna doza słuszności: najwyższe rejony partyjnych działaczy wysuwają wprawdzie zawsze dyktatora na sam czubek, ale służą mu wiernie pomimo zaciętych walk frakcyjnych. Dyktator jest bowiem gwarantem funkcjonowania reżimu, a jego „elekcyjność” gwarantem ciągłości. Trzeba o tym niezbędnie pamiętać zwłaszcza wówczas, gdy podejmowane są próby wróżb politycznych, opierających się na hipotezach, co się stanie po śmierci aktualnego *genseka*.

Otóż w gruncie rzeczy nic się nie stanie; jedyny większy wstrząs wywołany następstwem Chruszczowa po Stalinie rozmył się bardzo szybko: wybór był zły, groził rozprzężeniem partii, bo nowy *gensek* chciał ją naprawić, oczyszczać i to było nie do zaakceptowania. Detronizacja Chruszczowa zaprowadziła „ład” i choć jego następcy nie okazali się lub nie zdążyli okazać nikczemnikami większymi od Stalina, to tylko dlatego, że jest to jednak bardzo trudna konkurencja: nie tak łatwo zostać Stalinem — na to trzeba mieć wyobraźnię, a tej właśnie brakuje aparatczykom, którzy nie przeszli rewolucji, a są tylko kontynuatorami czerwonego *establishment'u*.

Złagodzenie form dyktatury kolegialnej, pozorne ucłowieczenie komunizmu są wszelako równie niebezpieczne, jak obłądny terroryzm stalinizmu: czasy się zmieniają i nawet taka zmurszałość, jaką prezentuje w ostatniej ćwierci tego stulecia marksizm, musi się do nich dostrajać. Właśnie morderstwo księdza Popiełuszki jest przykładem, jak cienka linia dzieli pozór „praworządności socjalistycznej” od bestialstwa. Kategoryczny imperatyw władzy, udział w niej za wszelką cenę musi w konsekwencji prowadzić do takiej właśnie działalności, jaką nam zademonstrował resort gen. Kiszczaka.

I trzeba wyraźnie podkreślić: z punktu widzenia bezpartyjnych, a już w szczególności tych, którzy zdecydowanie opowiadają się jako opozycja wobec totalitaryzmu sowiecko-jaruzelskiego, jest zupełnie obojętnie, kto stał za mordercami z MSW. Tych wszystkich, którzy są poza partią, a więc *ipso facto* nie akceptują jej (margines nielicznych służbowych bezpartyjnych jak Żygulski lub funkcyjnych katolików jak Dobraczyński nie odgrywa w tej statystyce roli matematycznej) nie interesują nadmiernie wewnętrzpartyjne walki frakcyjne. Oficjalne czynniki dają mętnie do zrozumienia, że morderstwo księdza Jerzego było „inspirowane” przez kogoś, kto się tylko tymi trzema katami posłużył. Jeśli przyjąć, że dają do zrozumienia, iż to partyjny „beton” usiłował w ten sposób obalić obecnie rządzącą „liberalną” ekipę, to wystarczy stwierdzić, że to nas niewiele może obchodzić. My nie rozróżniamy „liberałów” na tle permanentnej kolegialnej dyktatury, która jest po prostu cała z betonu. Bardziej interesujące może być rozważanie prognoz na temat najbliższej zimy: będzie bardzo ostra, umiarkowana czy łagodna. W partii zima jest zawsze permanentna i zawsze ostra.

Zresztą prawdopodobnie nigdy się dokładnych szczegółów tego mordu nie dowiemy. Sądownictwo polskie (przepraszam: socjalistyczno-marxistowskie, bowiem użycie tu przymiotnika „polskie” jest dla Polaka obraźliwe) ukazało bardzo jawnie i bardzo niezdarnie zresztą całą swą agenturalność: proces przeciwko zabójcom Przemyska (których nawet nie było na sali), „stwierdzenie prokuratury co do śmierci Bartoszcze, zaistniałej jakoby z przypadku i „nadużycia alkoholu”, a jeszcze wcześniej śledztwa i ich wyniki w sprawach Pyjasa czy milicyjnego terroryzmu w Bydgoszczy ujawniają, że całe sądownictwo jest agenturą SB i MO, czyli MSW i spełnia polecenia wydawane z góry.

Można się domyślić, jak będzie wyglądał proces przeciwko zabójcom księdza Jerzego. Poprzedzi go długotrwałe i niezwykle szczegółowe śledztwo, w wyniku którego sporządzone zostanie kilkadziesiąt kilogramów „akt sprawy” — dostatecznie, by wszystko zostało rozmydlone i pozbawione ostrych konturów. Można też przewidzieć z grubsza trzy scenariusze: 1. Wykazanie zabójstwa dokonanego samowolnie, bez niczyjego nakazu i poparcia. Wówczas wyroki będą wysokie, w sferze moralnej nie tyle za czyn, ile za niesubordynację, która mogła się dla aparatu władzy okazać bardzo niebezpieczna. Jeśli zapadnie wyrok najwyższy, wówczas obowiązkiem moralnym episkopatu będzie wniesienie prośby o ulaskawienie. Ten wariant wydaje się mało przekonujący. 2. Tak daleko idące rozmycie konturów, że wszystko rozplynie się w mętnych wiślanych falach: zabity przed wrzucenie do Wisły czy może utopiony (tak jakby dla ofiary miało to jakie-

kolwiek znaczenie). Wobec niemożliwości ustalenia ostatecznej przyczyny śmierci sąd będzie zmuszony znacznie obniżyć wymiar kary, a w powodzi szczegółów zaniknie sprawa ewentualnych mododawców. 3. Dopiero trzeci wariant wydaje się prawdopodobny: już zresztą Urban mimochodem zwracał uwagę na „istotny” szczegół, że jeden z opryszków Kiszczaka kupił w krótkim okresie czasu dwa dewizowe samochody. No i już mamy wszystko jak na dłoni: oczywiście CIA, ten niezawodny straszak na partyjnych adherentów, to najobrzydliwsze zagrożenie ich udziału we władzy! CIA chciała wykorzystać morderstwo popularnego kandydata, by siać zamęt w naszym kraju. CIA przeniknęła do samego rdzenia aparatu. Tym ostrzej trzeba wzmocnić czujność, tym bezwzględniej tępić obcą i rodzimą kontrrewolucję. Że cała taka konstrukcja może przekonać tylko kompletnych debili? Czyż może to mieć jakiegokolwiek znaczenie? Przecież CIA wywołała wojnę w Afganistanie i wciągnęła biedny Związek Sowiecki w akcję niesienia „bratniej pomocy” zagrożonemu narodowi afgańskiemu. Przecież to w wyniku prowokacji CIA zestrzelono koreański samolot pasażerski: bohaterki sowiecki lotnik i jego dowódca spełnili tylko patriotyczną i socjalistyczną misję obrony granic „państwa robotników i chłopów”. Bezcelność w wywracaniu kota do góry nogami osiągnięta przez sowiecką dyplomację nie zna granic, no a mali wasalkowie nie mają nic innego do roboty, jak tylko naśladować we wszystkim „wielkiego brata”.

Jeśli proces będzie — a musi być — z gruntu nieuczciwy i zakłamany, to nie przyniesie on żadnych istotnych rozstrzygnięć w walce frakcyjnej. Najbliższa, a może i dalsza przyszłość nadal będzie stała pod znakiem chwiejnej równowagi. Pewne naturalne procesy socjologiczne często wytwarzają takie sytuacje pozornej równowagi, zwłaszcza tam, gdzie nie ma zdecydowanie przeważających sił. Balans mógł być złamany i skąpany we krwi, gdyby doszło do czystki typu stalinowskiego, ale do tego potrzebny jest genialny bandytyzm Stalina. Czasy się zmieniły, brak indywidualności tej miary co Josip Wissarionowicz. A jeżeli brak ich na Kremlu, gdzie powolne gnicie Czernienki (po równie powolnym gniciu Andropowa) gwarantuje właśnie ową chwiejną równowagę, to cóż dopiero u nas! W tej sytuacji nikt nikogo nie zaatakuje bezpośrednio: w wysokich regionach partii wszyscy się ze wszystkimi tymczasowo dogadają i nikomu nie będzie zależało na ujawnianiu czegokolwiek. No i dobrze. Bo czy my możemy na tym cokolwiek skorzystać? Rzucenie nam kogoś na pożarcie byłoby wprawdzie dla partii czynem regenerującym, ale w swej słabości nie może ona takiego rzucania ryzykować, bowiem jaki skutek miałyby ono dla coraz bardziej rzedniejącej „elity władzy”?

Cała rzecz polega na niezwyklej słabości partii w Polsce.

W Związku Sowieckim jest ona zapewne nieporównanie silniejsza, choć i tego nie należy przeceniać. Potęga za Bugiem stoi na aparacie terroru, na militarystyce i na wrodzonej (a przez system pogłębionej) nieufności Rosjan do nie-Rosjan. Gdyby nie te trzy czynniki, wszystko by się już dawno rozsypało nie tylko u nas, ale także tam — na Wschodzie. Partia więc nie może sobie w tej chwili pozwolić na jakiegokolwiek czystki, byłoby to samobójstwem.

A z czysto moralnej strony: czy rzeczywiście ważne jest ustalenie, kto jest naprawdę odpowiedzialny za śmierć księdza Popiełuszki? Odpowiedź na pytanie tak sformułowane jest ważna tylko dla historyka — dla nas — *hic et nunc* — nie! Nieważne, jak się nazywają, jakie pełnili w swym resorcie funkcje i jaka spotka ich kara za czyn, za który nie ma kary, ponieważ jest on w swej obrzydliwości niewymierny. Czy pamiętamy, czy choćby jeszcze w średniowieczu pamiętano, jak się nazywali ci, co ćwiartowali św. Stanisława, względnie ten, który z polecenia króla zadał śmiertelny cios (zdaje się bowiem, że własnoręczne zabójstwo krakowskiego biskupa przez Bolesława Śmiałego to wersja późniejszej legendy)? Czy pamiętamy, jak się nazywał SS-man wstrzykujący śmierć w żyły św. Maksymiliana? Te narzędzia terroru są z perspektywy historycznej — i tej naszej, porażonej zgrozą, ale świadomej sytuacji — zupełnie nieważne. Za każdym razem chodziło o coś innego: o zbrodnię władcy czy systemu i jeżeli pytać o winnego, to odpowiedź prawidłowa brzmi: w pierwszym przypadku — król, w drugim — Hitler i jego zbrodnicze dzieło: nazizm, w trzecim — komunizm w sowieckiej redakcji.

I nawet nie jest ważne, czy za morderstwo na ks. Popiełuszcę odpowiada Milewski czy Kiszczak; odpowiadają w równej mierze obaj, jako że to właśnie oni są tym terrorystycznym guzikiem reżimu, ale i ich odpowiedzialność jest tylko pośrednia, są przecież tylko mechanizmami ustroju. Tyle, że mechanizmami myślącymi: sami wybrali nienawiść i zbrodnię uprawianą przez państwo jako swój zawód.

Właściwie przerażająca i wymagająca jakiegoś „narodowego rachunku sumienia” jest sprawa tego rozniecenia nienawiści, którą wywołała w służącym jej aparacie słabość partii. Przecież nikt o przeciętnej inteligencji (a nie można przypuszczać, że MSW zatrudnia debili) nie może dziś przypuszczać, że czynami ludzi młodych, ludzi z powojennych roczników może powodować jakaś ideologia społeczno-filozoficzna. Marksa i innych teoretyków dawno już przestano czytać, papka propagandowo-ideowa jest niezwykle prymitywna, a znaczny stopień izolacji, który istnieje pomiędzy służącymi reżimu a resztą społeczeństwa, nie może przesłaniać oczywistości sytuacji kraju, gdzie przytłaczająca większość

ludzi nienawidzi komunizmu i komunistów, a nieudany gospodarczo system egzystuje tylko dzięki służbom terroru i nienawiści.

Na marginesie warto też podkreślić jeszcze jeden element współczesnej komunistycznej struktury społecznej: coraz bardziej pogłębiająca się izolację wojskowej kadry oficerskiej od społeczeństwa. Przed wojną oficer był nieraz ozdobą towarzystwa i niewątpliwie aktywnym uczestnikiem społeczeństwa. Dziś oficerów zawodowych niemal nie widuje się „w towarzystwie”, a ich udział w społeczeństwie jest całkowicie instrumentalny. Nie dzieje się tak za sprawą jakiegokolwiek snobizmu, ale na skutek działalności reżimu, który swemu „zbrojnemu ramieniu” stwarza dogodnie warunki izolacyjne, klanowe, a z drugiej strony na skutek zasłużonej w pełni nieufności. Dawniej oficer Wojska Polskiego był przede wszystkim i wyłącznie obrońcą ojczyzny, dziś jest tylko i wyłącznie obrońcą reżimu, a więc przybliżył się i stąpić zaczął z resortem MSW.

Teraz jednak trzeba postawić podstawowe pytanie: czy stając od dawna, ale w sposób ukryty i dotychczas sporadyczny, na terror, partia i jej słudzy będą dążyć do natężania nienawiści i wzmaganie tego ostatecznego sposobu walczenia ze społeczeństwem? I znów musimy powrócić do pytania: jak słaba jest partia? Tylko wiedząc to potrafimy postawić najprawdopodobniejszą hipotezę. Słabość bowiem działa dwojako i w dwóch przeciwnych kierunkach: z jednej strony powstrzymuje kolegialną dyktaturę przed podejmowaniem kroków zbyt drastycznych, z drugiej może właśnie prowokować do terroru jako do środka ostatecznego.

Nasz kraj znajduje się chyba obecnie na rozdrożu, na którym te dwa przeciwstawne kierunki zderzyły się ze sobą. Nie chodzi o frakcje, ale o ocenę sytuacji, która z jednej strony (Jaruzelski) nie wydaje się jeszcze tak beznadziejna, by trzeba było aż uruchamiania „brygad śmierci”, z drugiej (opozycja antyjaruzelska w PZPR) przekroczyła barierę zagrożenia reżimu, co wymaga uruchomienia środków ostatecznych. A więc jeszcze raz: nie chodzi o „beton” czy „liberalizm”, ale wyłącznie o analizę sytuacji, bowiem Jaruzelski zastosowałby te same „środki ostateczne”, gdyby nie uważał, że zdoła spacyfikować społeczeństwo bez terroru.

Ponieważ zaś sytuacja w społeczeństwie wcale nie przedstawia się tak, by reżim mógł spać spokojnie, uruchomienie mechanizmu nienawiści i terroru jest niestety wysoce prawdopodobne. Jeśli zaś ktoś powie: nie ma dziś już warunków do czystki na miarę stalinowską, odpowiedź musi być następująca: tak, bo czasy się zmieniły, ale to nie oznacza „złagodzenia kursu”, tylko zastosowanie nowych metod. Dawniej sądownictwo i terror GPU służyły do wyciskania torturami zeznań ze zbędnych działaczy partyj-

nych; dziś terror można uprawiać skrytobójczo, wykorzystując sądownictwo tylko do zacierania śladów. Komunizm ma w dziedzinie swej zagranicznej ekspansji ogromne wprost doświadczenia w zakresie terroryzmu, dlaczego nie miałby go stosować w obrębie własnych obszarów? Zwłaszcza gdy zgniły humanizm intelektualistów i zagraniczne presje coraz bardziej utrudniają terror sądowniczy. W tej sytuacji jedynym wyjściem jest terror mafijny, samosady, skrytobójstwa. Jest czymś okropnym, że jego stosowanie zaczyna się właśnie od naszego kraju. Ale to też da się wyjaśnić logicznie: to właśnie u nas umiłowanie wolności i nienawiść do jakiegokolwiek (obcej czy własnej) przemocy są najsilniejsze, a więc kryzys całego systemu tu ma swój punkt najniższy i tu przyszło do zastosowania „środków ostatecznych”.

Niestety wydaje się, że stanęliśmy na krawędzi, że ofiara ks. Jerzego, nie pierwsza, nie jest też ostatnia. Wielki PZPR-owski seans nienawiści dopiero się zaczyna: w izolowanych środowiskach policyjno-partyjnych jest stale podgrzewany. Chwilowe wyciszenie (manifestacje pogrzebowe i listopadowo-niepodległościowe, w czasie których nie użyto pałek) jest tylko wyciszeniem po pierwszym szoku. Słudzy reżimu obserwują bacznie reakcje społeczne i jak tylko uznają, że sytuacja do tego dojrzała — uderzą znowu.

Jest to świadectwem tego, o czym każdy rozsądny człowiek wie od dawna: z takim ustrojem żadne społeczeństwo nie ma szans dogadania się. Mówienie o „zasiadaniu do stołu” może być tylko manewrem politycznym, pewnego rodzaju szyfrem publicznym, ale nie celem realnym. Istnieje tylko jedna i naprawdę jedyna możliwość: *écraser l'infame* — zniszczyć źródło zła, czyli właśnie sam system z jego eskalacją nienawiści, permanencją terroru, kłamstwa i obłudy. „Dyktatura kolegialna” ukryta za „dyktaturą proletariatu” jest u schyłku naszego stulecia najciemniejszą plamą ludzkości, jej największą hańbą. To zło trzeba unicestwić i nie ma się co oglądać, że ktoś (w naiwnym przekonaniu Polaków oczywiście Reagan) robi to za nas, którzy jesteśmy tą naiwnością, terrorem i obłudą bezpośrednio zagrożeni. Kto tego zagrożenia nie odczuwa na własnej skórze, jest zazwyczaj dostatecznie krótkowzroczny, by wyznawać doktrynę „byle moja wieś spokojna”.

Czy chodzi o krucjatę, o neomesjanizm? Ależ skąd: o wielką dojrzałość, o wielką cierpliwość ale zarazem o nieugiętość w jednym — ten system musi zniknąć z powierzchni ziemi i jest to nasza — w najszerszym kręgu społeczności zniewolonych — sprawa wobec ludzkości. A chociaż wściekłość nas ogarnia, zgroza i chęć zemsty — musimy też niezbędnie pamiętać, że nasza walka

jest święta, to znaczy nie może się uciekać do zbrodni, kłamstwa i nienawiści, bowiem walczymy o sprawiedliwość, a nie o odwet. Tylko tyle mesjanizmu jest w tym naszym posłannictwie, bowiem nie oczekujemy pomocy ani od Boga, ani od ludzi, a już szczególnie od tych, którzy nie podlegają bezpośredniemu zniewoleniu. Bóg dał nam to, co boskie: świętość męczennika. Reszta jest ludzką sprawą, jest tą fundamentalną tradycją europejskiej kultury, która szacunek wobec ludzkiego istnienia, ludzkiej jedyniej niepoptarzalności, wcieliła w humanizm.

Andrzej Artur GRABIEC

Nakładem Księgarni „Libella” w Paryżu
ukazała się w druku książka

Ks. JERZY POPIELUSZKO
„KAZANIA PATRIOTYCZNE”

Msze święte w intencji Ojczyzny w czasie
stanu wojennego w Polsce
Styczeń 1982 - Sierpień 1984.

Cena: F. 95,00.

„LIBELLA”

12, rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris (France).

Książki wysyłamy na cały świat.

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE DO-
TYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie

Chrześcijaństwo

Wśród opublikowanych fotografii z okresu żałoby po śmierci kardynała Stefana Wyszyńskiego znajduje się jakże wiele mówiące dzisiaj zdjęcie: widać na nim ks. Jerzego Popiełuszkę, który, otoczony przez warszawskich hutników ze sztandarem „Solidarności”, w napięciu wpatruje się w trumnę zmarłego Prymasa. W niespełna cztery lata później on sam, do niedawna nieznaną szerzej wikary z Ząbek, Anina i warszawskiego Zoliborza, także miał się stać symbolem Polski i Kościoła w Polsce. Dla swoich rodaków i dla świata. I to po kilku zaledwie latach robotniczego apostołatu.

Ten apostołat wśród robotników rozpoczął się w niedzielę 30 sierpnia 1980 roku, kiedy Prymas Wyszyński polecił ks. Popiełuszcze odprawienie Mszy dla strajkujących w Hucie Warszawa. Zetknięcie się z ich ludzkim i chrześcijańskim świadectwem było tak silne, że postanowił wśród nich pozostać. Pozostać — jak się okazało — do końca, na dobre i na złe, także a może przede wszystkim wtedy, kiedy u niektórych zwyczajnie ludzki strach, milczenie i tylko słowa chrześcijańskiej pociechy przysłoniły wierność głoszonej wcześniej etyce Solidarności, manifestowaną na zewnątrz wierność ludziom i wartościom. „Pozostałem z tymi ludźmi — pisał niedawno. Byłem z nimi w czasie triumfu... Byłem z nimi w grudniową, czarną noc. Kiedy były rozprawy sądowe, chodziłem z ich rodzinami do sądu. Siedziałem w pierwszych ławkach i oni wiedzieli, że ich rodziny są objęte opieką”.

Zafascynowanie postawą robotników naznaczyło też bardzo wyraźnie styl jego pracy duszpasterskiej, jego stosunek do ludzi świeckich, jego spojrzenie na Kościół. Spojrzenie, w którym w sposób szczególny dawała o sobie znać ta podkreślana przez Sobór prawda, że Kościół to nie tylko i nie przede wszystkim hierarchia, ale cały Lud Boży; że — jak pisał — „sytuacja Koś-

ciola zawsze będzie taka sama, jaka będzie sytuacja ludzi". Na takim gruncie opierała się wyjątkowa w nim potrzeba solidarności z powierzonymi jego pieczy wiernymi, solidarności także w cierpieniu. Pisał: „Jeżeli ludzie, którzy mają rodziny, dzieci i obciążeni są wielką odpowiedzialnością, byli w więzieniach, cierpią — dlaczego ja, jako ksiądz, nie mam z ich cierpieniem połączyć swego cierpienia?”

Postawa ogromnego, wyrażanego nie tylko słowami, szacunku i zaufania wobec świeckich, szczególnie wobec ludzi ciężkiej pracy, wobec ich doświadczeń, wobec dostępnych tylko świeckim form dawania świadectwa, wobec ich funkcji profetycznej w Kościele, wobec dróg ich dochodzenia do religii — stanowiła, jak się wydaje, jeden z sekretów popularności ks. Popiełuszki wśród wielu tysięcy, a może i milionów jego rodaków.

Szczególną popularność przyniosły mu, jak wiadomo, głośne Msze za Ojczyznę, które od początku stanu wojennego, od stycznia 1982 roku, gromadziły każdej ostatniej niedzieli miesięczne wielotysięczne tłumy wiernych, nie tylko ze stolicy. Uczestniczyli w niej przede wszystkim główni podopieczni ks. Popiełuszki, robotnicy z Huty Warszawa, ale także inteligencja, ludzie nauki i sztuki, a wśród nich najwybitniejsze osobistości polskiego życia umysłowego. Obecność znanych pisarzy, aktorów i przywódców autentycznej opinii społecznej przypominała niejako o tym doniosłym, jedynym na taką skalę w Europie procesie moralno-kulturowym, jaki dokonał się w Polsce zwłaszcza w ostatnich kilkunastu latach. O procesie duchowej identyfikacji z Kościołem polskich elit intelektualnych i społecznych, identyfikacji, która manifestowana była nie na gruncie takich ekskluzywnych spotkań, jak np. Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej, ale w kościele, poprzez uczestnictwo w liturgii, poprzez udział w liturgicznej wspólnoty. Oczywiście, owa identyfikacja z Kościołem i solidarność z wiernymi z różnych warstw społecznych wyrażała się wielokrotnie już wcześniej. Tutaj jednak, jak się wydaje, osiągnęła ona swój wyraz szczególnie dojrzały: była niezadko świadectwem osób, które, jak np. aktorzy, za swą wierność ludzkim i chrześcijańskim ideałom robotniczej „Solidarności” zdecydowały się płacić wysoką cenę. Symboliczne były też recytacje polskiej poezji romantycznej i współczesnej: niejako podkreślenie moralnej i społecznej ważności tej funkcji naszej literatury narodowej, jaka od dawna wyraża się w budzeniu sumień, w wypowiedzianiu językiem sztuki zbiorowych aspiracji społeczeństwa, w odważnym podtrzymywaniu instytucji pisarskiego protestu.

W tych comiesięcznych Mszach za Ojczyznę szczególnym szacunkiem cieszyły się kazania ks. Popiełuszki. Kazania, w których starał się on pozostać wierny wiekowej tradycji polskiego Kościoła i ukształtowanej ostatecznie na przestrzeni ubiegłego stulecia patriotycznej religijności Polaków. Dochowując wierności tradycji — ks. Popiełuszko daleki był jednak od bogoojczyźnianego modelu wiązania kategorii polskości z kategorią katolicyzmu. Różnił go przede wszystkim sam język: pozbawiony mo-

numentalności i patosu, zwięzły i prosty. Język nowoczesny i jednoznaczny, jak jednoznaczna moralnie była postawa tych, którzy go słuchali. Ta inność uderzająca w samą sposobie mówienia o religii i o Polsce zbliżała go na pewno zwłaszcza do przedstawicieli tych powojennych generacji, które w epoce Sierpnia stały się dla wszystkich nieoczekiwanym odkryciem zupełnie nowego człowieka: człowieka wewnątrznie wolnego, w sposób nowoczesny i dojrzały wypowiadającego swą odpowiedzialność za sprawy polskie i Kościół. W tym zaskakującym odkryciu zdawała się spełniać ta nadzieja, którą wyrażał Prymas Wyszyński, odwołując się wielokrotnie do słów pisarza: „Idzie nowych ludzi plemię”. Sam ks. Popiełuszko był jednym z nich. I był jednocześnie przykładem zupełnie nowej generacji polskich księży: nie lepszych od poprzedników, ale — innych, usiłujących odpowiedzieć w swej pracy na współczesne zagrożenia i nadzieje swych rodaków.

Podczas lektury kazań ks. Popiełuszki, które zawsze noszą ślady bardzo starannych przygotowań, także pod względem formalnym, uderza precyzja i konkretność w rysowaniu obrazu moralnych zagrożeń, a także wynikających stąd moralnych powinności i wysiłków: m.in. w zakresie szeroko rozumianej kultury narodowej, oświaty i wychowania, historycznej samoświadomości Polaków. Kazania te były nie tyle moralnym protestem przeciwko różnym formom zła w życiu publicznym, ile przede wszystkim próbą przedstawienia konkretnych zadań na dziś, dla wszystkich, z nieustannym podkreśleniem tej ewangelicznej pragmatyki, która od samego siebie każe rozpoczynać budowanie prawdy, sprawiedliwości i wolności w życiu zbiorowym. Może dlatego tak wyraźne było w kazaniach ks. Popiełuszki odwoływanie się raczej do społeczeństwa, do robotników, niż do abstrakcyjnej czasem i odświętnej kategorii narodu.

W tym widocznym wysiłku konsekwentnego oddziaływania przede wszystkim na ludzką i chrześcijańską świadomość słuchaczy, na ich postawy, w upartym przypominaniu wciąż tych samych wartości i ich wzajemnych związków: prawdy, odwagi, miłości czy sprawiedliwości — tkwiła, być może, istotna przyczyna nie tylko ogromnej popularności ks. Popiełuszki, ale również siły jego moralnego oddziaływania, powaga więzi, jaka łączyła go z bardzo wieloma ludźmi w Polsce.

Spośród wymienionych wartości i cnót szczególnie często powraca w tekstach kazań ks. Popiełuszki słowo „męstwo”. Męstwo jako podstawowy warunek osiągnięcia prawdy oraz wewnętrznej wolności. Ono stanowi bardzo ważny element tej wizji chrześcijaństwa, jaką starał się przekazać innym. W sytuacji, która niektórych jego współwyznawców skłaniała do mówienia o ludzkim życiu jako wartości najwyższej, on ukazywał chrześcijaństwo trudne i heroiczne, podkreślając wiele razy, że „za prawdę trzeba cierpieć”. Przywracał sens podstawowym dla chrześcijaństwa wartościom.

Przywracał zwłaszcza sens cierpieniu. Mówił o nim bardzo często: o konkretnym cierpieniu konkretnych ludzi, o cierpieniach społeczeństwa, a sposób, w jaki powracał do tego tematu, zdawał się być echem tej świadomości soborowego Kościoła, której wyrazem stała się przed laty encyklika „Gaudium et spes”: świadomości nie tylko tego, co Kościół sam daje światu, ale również tego, co od świata i historii otrzymuje. O współczesnym cierpieniu Polaków, o podeptaniu zbiorowych wartości mówił tak konkretnie i tak żarliwie, jakby chciał w ten sposób spłacić dług Kościoła wobec „Solidarności” i robotników, dług zaciągnięty w okresie sierpniowej „rewolucji moralnej” i w latach następnych.

Trudno powiedzieć, jaka spośród poruszanych przez ks. Popiełuszkę kategorii najsilniej oddziaływała na świadomość jego słuchaczy. Może ta jego postawa, która dominowała w każdym kazaniu i której dał wyraz jeszcze na kilka godzin przed porwaniem: „Zło zwyciężaj dobrem... Módlmy się, byśmy byli wolni od lęku, zastraszenia, ale przede wszystkim od żądzy odwetu i przemocy”.

Miałem okazję zetknąć się z ks. Popiełuszką w szczególnie trudnym dla niego czasie, kiedy na pewno niełatwo mu było zachować taką właśnie postawę. Było to w kilka dni po doręczeniu formalnego aktu oskarżenia. Z trwającej wtedy wiele godzin rozmowy zapamiętałem zwłaszcza jego ogromny spokój wewnętrzny, a nawet — pogodę. Opowiadał mi o nawróceniach, o powrotach do religii nieraz po kilkudziesięciu latach oddalenia czy nawet wrogości, o otrzymywanych listach, których autorzy dziękowali za przywróconą im wiarę w człowieka, za wewnętrzne uciszenie. Był najgłębiej przekonany o słuszności i społecznej wadze tego, co robi — a jednocześnie z wielką pokorą mówił o świadectwie odwagi innych ludzi, o cenie zachowywanej godności. W pewnym momencie naszej rozmowy poprosił mnie, człowieka świeckiego, bym przejrzał teksty kazań i szczerze mu powiedział, czy nie ma w nich przypadkiem choćby cienia „robienia” polityki, czy we wszystkim wyczuwa się obecność chrześcijaństwa.

W pierwszej encyklice Jana Pawła II, „Redemptor hominis”, znajdują się zdania: „Właśnie owo głębokie zdumienie wobec wartości i godności człowieka nazywa się Ewangelią, czyli Dobrą Nowiną. Nazywa się też chrześcijaństwem.”.

Stefan FRANKIEWICZ

Notatki o symbolach

Niewiele wiemy o życiu i obyczajach kolaborantów. Nie bardzo się nimi interesujemy, a gdyby nawet ciekawiły nas jakieś pikantne historyjki — zwykle nie ma ich kto nam opowiedzieć. Środowiska rozpadły się, podziały utrwaliły, nie siadamy przy jednych stolikach w kawiarni, a i do kawiarni nie chodzimy tych samych. Czegoś podobnego nie było nigdy przedtem: zawsze istniały obszary neutralne, gdzie ludzie mocno związani z władzą spotykali się z jej mniej lub bardziej otwartymi przeciwnikami. Było miejsce na wymianę złośliwości, lecz także informacji. Teraz takich obszarów nie ma, do ich istnienia potrzebna jest bowiem pewna zgoda na dwuznaczność, nieokreśloność — tymczasem wszystko stało się preraźliwie jednoznaczne. Ma to swoje wady: między innymi rozumowanie się od tego nazbyt upraszcza. Z drugiej jednak strony zrozumią, że ludzie boją się dwuznaczności, boją się gruntu śliskiego, jako że na takim gruncie władza wciąż podcina nogi, i czyni to — przyznajmy — z dużą wprawą.

Dotarła do mnie, jako jedna z nielicznych, taka oto historia z życia kolaborantów. Dotyczy ona powstania ZPAMiG-u, czyli Związku Polskich Artystów Malarzy i Grafików. Kiedy po rozwiązaniu ZPAP władze zabrały się do tworzenia w środowisku plastyków nowej, posłusznej organizacji, pierwsi zgłosili się oczywiście partyjni rzeźbiarze, stali wykonawcy rządowych zamówień na propagandę w kamieniu i brązie. I tak, bez żadnych ociągów się i trudności, powstał ZAR (Związek Artystów Rzeźbiarzy). Gorzej poszło z malarzami i grafikami; mniej się oni muszą liczyć z mecenatem, bardziej przywiązani są do idei niezależności artysty.

Kiedy zwoływano więc zjazd założycielski nowego związku

malarzy i grafików organizatorzy nie postawili sprawy całkiem jasno: że każdy kto przyjedzie jest już w to umaczany na zaw sze. Przeciwnie — w pałacu w Zaborowie pod Warszawą, gdzie są i łabędzie na stawie i stadnina koni (a wszystko to należy do partyjnego koncernu RSW „Prasa-Książka-Ruch”) zebrało się na swobodną dyskusję grono twórców niezależnych, często o dużych nazwiskach (m.in. Berdyszak, Hasior, Wejman, Duda-Gracz, Dwurnik). Mieli się zastanowić razem nad sposobami ratowania sztuki polskiej, nieskrępowani niczym, także opinią publiczną, która często kieruje się emocjami.

Przyjęto ich mile, nakarmiono obficie, nikt im w dywagacjach nie przeszkadzał. Gdy już jednak zjedli kolację i obiad, popili, pogadali, przespali się w czystej pościeli w luksusowych komnatach — dano im do podpisania Deklarację Programową ZPAMiG, i to była mocna rzecz! Prócz normalnej w takich przypadkach obłudnej gadaniny o trosce i rozwoju znalazł się w Deklaracji donos na kolegów, a mianowicie obwinienie „części byłego kierownictwa ZPAP” za to, że Związek przestał istnieć. A więc i kłamstwo, i zdrada jednocześnie. Na jedzenie takiej żaby niezależni twórcy nie byli przygotowani: niektórzy zaczęli się wymigiwać. Organizatorzy byli jednak nieustępliwi, a przecież to oni zafundowali mięsiva i zupy, białe pościelce, przechadzki po parku — jakże więc im odmawiać? I wszyscy podpisali, nikt się nie wykręcił.

Może zresztą historia ta nie całkiem jest prawdziwa, może każdy z nich jechał do Zaborowa wiedząc doskonale, że jedzie się tam sprzedać, i sprzedał się, a tylko potem niektórzy narzekali, bo nie wyszli na tym najlepiej.

Wspaniale, że ukazuje się tyle gazetek, że mają swoje pisemka zakłady pracy, szkoły, a nawet milicjanci („Godność”) — czasem jednak zaczynają mnie one niecierpliwic: zbyt wiele gazetek przepisuje jedna od drugiej, i informacje są jedna do drugiej podobne: wyrzucili z pracy, zatrzymali, pobili, dostał wyrok itp., itp. Monotonny jest język, a zarazem zbyt krzykliwy, nafadowany epitetami. Niedawno docent B. powiedział, odkładając ze znużeniem gazetkę, że ma już dość tego tonu „oj, dupa boli, dupa boli”.

Docent B. jest naukowcem o wielkim dorobku, przy tym organizatorem życia naukowego nieustępliwym wobec władzy. W osobistych potyczkach z władzą to raczej on wygrywa, nie ona z nim. Gdy jednak instytut jego padł ofiarą pewnej niegodziwości ze strony ministerstwa — docent natychmiast sporządził

opis zajścia i wysłał do gazetek. Relacja była rzeczowa, nawet dowcipna, ale też jej autor ma za sobą kilkanaście tysięcy zapisanych stron, i w danym przypadku mógł sobie pozwolić na pewien dystans.

Co jednak, jeśli doświadczenie w pisaniu jest niewielkie, a dystansu do tego, o czym się opowiada, nie ma żadnego, bo chodzi o wyrzuconą z pracy koleżankę, pobitego kolegę. A czasem kolegę zabitego. Jeśli wtedy narzekamy na język gazetkowego opisu, to trochę jakby raziło nas, że ofiara krzyczy w sposób nieartykułowany. Nadzieжда Mandelsztam napisała, że „trzeba wyc”, że to jest jakby powinnością ofiar i sposobem obrony. Przez długi czas nie podobały mi się te słowa, może dlatego, że byłem wychowany na książkach, w których Indianie znoszą ból bez mrugnienia, a może dlatego, że słuchanie wycia jest jednak rzeczą przykrą.

Teraz, sędzę, rozumiem co Nadzieжда Mandelsztam chciała wyrazić: że to, co robią ludziom na co dzień komuniści musi być opowiedziane, jak najdobitniej. Znamy tę myśl w innej wersji: „spisane będą czyny i rozmowy”. Ale przecież w tym spisywaniu nie mogą brać udziału sami tylko poeci: poetów tu nie starczy. Może zresztą w wersji nie literackiej, w formie monotonnej wylizanki, opis wyczynów ludzi władzy jest taki właśnie jak trzeba żeby był. Ma się nie indywidualnej relacji lecz zbiorowego świadectwa.

M., jeden z czołowych dziennikarzy lat siedemdziesiątych, pracujący obecnie poza zawodem, opowiadał o pokusach, jakich doświadczył ze strony K. Ten ostatni starał się z błogosławieństwem władz stworzyć nowe pismo literackie, które miałyby uniknąć kompromitacji *Tu i teraz*, poruszałyby się bowiem wyłącznie w sferze salonowych problemów sztuki i literatury. K. i jego mocodawcy mieli nadzieję, że pismo o takim profilu przyciągnie część publicystów i pisarzy zbuntowanych dotąd, ale nie nazbyt w tym buncie upartych. Skoro brzydzą się *Tu i teraz* — niech mają pismo wedle najwybredniejszych gustów, prawdziwie europejskie. Rząd gen. Jaruzelskiego może sobie na coś takiego pozwolić.

Przedsięwzięcie upadło, bo potencjalni współpracownicy (K. z byle kim zaczynać nie chciał) nie mieli ochoty na tego rodzaju salonowe zabawy pod życzliwym okiem generałów. Nie wiem jak z nimi K. rozmawiał, ale do M., którego zna od dzieciństwa, mówił tak: słuchaj, obaj wiemy, że tu jest strasznie, i że będzie nie lepiej, lecz gorzej; w tych warunkach osoby takie jak ty

i ja powinny znaleźć sobie miejsce możliwie najwygodniejsze i na boku, gdzie można spędzać czas ciekawie — coś w rodzaju *country club*. To pismo będzie czymś takim.

Oślupiałem, opowiada M., bo to było cyniczne i jednocześnie śmieszne. Powiedziałem mu tylko, że to się nie da zrobić, nie da się teraz w Polsce urządzić takiego *country club*.

Sądzę że K. — jeśli przyjąć, że nie zwabił swego rozmówcy po prostu w pułapkę — naprawdę jest przy całym swym cynizmie naiwny. Bo jeśli nawet można zamknąć się w parędziesiąt osób w jakimś miejscu, gdzie nikt nie czyta gazetek, nie mówi o wyczynach policji, dobrze dają jeść i widać łabędzie na stawie — na przykład w pałacu w Zaborowie — nikt tam nie będzie długo spokojny. Władza istotnie jest bardziej liberalna niż dawniej, toleruje kontrolowane przez siebie *country-clubs* rozmaitego typu, pozwala intelektualistom pleść o czym się im żywnie podoba, jeśli to nie ma nic wspólnego z tym, czym ludzie naprawdę żyją. Ale sielanka bywa zwykle, jak uczy doświadczenie, przerywana przez samą władzę: zawsze w końcu utytła swoich intelektualistów w policyjne matactwa, podsunie do podpisania jakiegoś donosu, zażąda zabrania głosu w duchu „refleksji obywatelskiej”. Wbrew własnemu interesowi, lecz zgodnie ze swą naturą, władza sama dba o ostre podziały, o manichejską wykładnię wydarzeń.

Mowa, symbolika kwiatów nabierają zawsze większego znaczenia w epokach, w których myśli się symbolami. Tak było na przykład w średniowieczu, bardziej może nawet w kręgu kultury dworskiej niż kościelnej. „Roman de la Rose” to jeden tylko z przykładów najbardziej znanych. On też przypomina, że mowa kwiatów nie jest zwykłym szyfrem, lecz znakiem powściąganego uczucia, pamięci, która ma zwyciężyć śmierć. Oczywiście, kwiaty nie zawsze służą celom tak wysublimowanym, najczęściej kupuje się je po prostu pani domu na imieniny, jednak nigdy chyba symboliczno-patriotyczne zastosowanie wiązanek i wieńców nie było w Polsce tak powszechne jak ostatnimi czasami. Ścisłej — po 13 grudnia. W czasach „Solidarności” jawnej w użyciu widzieliśmy raczej znaczki, plakaty, opaski — emblematy stworzone sztucznie, umowne. Teraz — kwiaty, symbole naturalne, organiczne.

Krzyże z kwiatów. Ceremoniały z nimi związane są czasem dość niepojęte: dlaczego na przykład krzyż przed Wizytkami nie jest popularny jak ten na placu Zwycięstwa, lub ten przed św. Anną? Mało kto się przy nim zatrzymuje, opowiadają nawet, że układa go SB, w co jednak wątpię. Po prostu, sądzę, krzyż

z kwiatów żeby go ludzie adorowali musi być ułożony w miejscu ważnym, jakoś uświęconym. Na placu Zwycięstwa i przed Anną mszę odprawiał Papiież, na placu Zwycięstwa stała też trumna kardynała Wyszyńskiego. Przed Wizytkami nic się szczególnego nie zdarzyło, dlatego krzyż tam ułożony jest wyłącznie znakiem politycznym. I ludzie go nie akceptują. Bo nieprawda, że w tej wojnie na kwiaty ludzie działają byle jak, byle tego więcej pchać władzy przed oczy. Przeciwnie — postępują zgodnie z najgłębszym znaczeniem symbolu: składają ofiarę, dają znak, tam gdzie wymagają tego miejsce i okoliczności.

A władza — walczy z kwiatami tak jak ze wszystkim. Porywa je w nocy, zastawia plac parkanem, a kiedy to wszystko nie pomaga przypuszcza atak frontalny, ZOMO szarżuje na kłęczące przy krzyżu kobiety, a na opanowanym polu bitwy stają strażę. Każdy, kto widział milicjonierów pilnujących placu przy św. Annie, musi przyznać, że stoją oni jakby na pośmiewisko: nikt tam niczego nie ukradnie, najwyżej ktoś położy kwiat. I to już zagraża peerelowi!

Teraz najwięcej kwiatów — tyle, ile nigdy jeszcze w jednym miejscu nie było — jest przy i w kościele św. Stanisława. Zaczęły się tam pojawiać, najpierw przy ogrodzeniu plebanii, nazajutrz po tym, jak się rozeszła wiadomość o porwaniu księdza Jerzego. W dniu pogrzebu były tego całe kolorowe góry. Powie ktoś: jak to się ma do zbrodni, do tortur? Czy nie jest tak, jak śpiewa Kelus w piosence „O wyrwaniu Naroźniaka Jana z rąk prokurator Bardonowej”. „Modlitwa modlitwą, a tu trzeba brzytwą, albo jeszcze gorzej — sprężynowym nożem”? Treścią tej piosenki jest jedna z akcji podziemia: wykradzenia Naroźniaka ze szpitala na Banacha. Przykład nie biernego oporu, lecz sprawnego działania. Tylko że dzisiaj znamy już szczegóły tej akcji i wiemy, że do odbijania rannego drukarza z bronią w ręku namawiał tam prowokator Sławomir Miastowski. Przeprowadzający akcję obyli się bez broni.

Zboczyłem z tematu. Symbolika wieńców i wiązanek niewiele ma wspólnego, wbrew pozorom, z *non-violence*, a w każdym razie nie należy do jej przejawów. Nikt tutaj nie wręcza kwiatów, wedle pretensjonalnego wzorca *hippies*, nadbiegającym policjantom. (Zresztą: wzorce takie nie dają się przenosić, przemoc przemocy nie równa). Kwiaty daje się ludziom bliskim, jako dowód czci, znak pamięci.

Komuniści bardzo chcą nam tę pamięć odebrać, tośmy już sobie wiele razy powtarzali. Temu służą nie tylko białe plamy w podręcznikach historii, nie tylko przywłaszczanie przez nich naszych symboli narodowych (Kopernik, Kościuszko, Zamek Kró-

lewski etc.), ale także profanacja grobu Przemyska, porywanie w nocy kwietnego krzyża. Nie tylko obraz ludzi i zdarzeń jest tutaj atakowany, zamazywany, lecz także miejsca i symbole pamięci: groby, kwiaty.

Otóż jest to taki teren, na którym teraz (kiedyś było inaczej) oni sromotnie przegrywają, my zaś odnosimy zwycięstwa, i to spektakularne. Nie tylko w ilości przyniesionych kwiatów, ludzi przybyłych na pogrzeb, lecz także w szczególnej intensywności tego misterium pamięci, które się przy różnych, bardziej lub mniej dramatycznych okazjach odbywa. Kiedyś, w rocznice Powstania, policja goniła nielicznych akowców po cmentarzach, gdy się spotykali przy grobach poległych przyjaciół. Teraz policja snuje się po obrzeżach wielkich zgromadzeń i nadaje sobie przez krótkofalówki uwagi, z których wynika, że jest bezsilna i wszystko to dla niej niepojęte. A my jeszcze potem te uwagi publikujemy w niezależnej prasie, jak to się stało z nagraniami ubeckich rozmów z pogrzebu Przemyska.

To dlatego, między innymi, stało się rzeczą niemożliwą, by kolaboranci mogli sobie teraz w Polsce zorganizować spokojny *country club*. Nie, że w kraju mordują. Dawniej mordowali znacznie więcej. Ale teraz — i to się zmieniło — patrzy im na ręce i głośno komentuje ich czyny kilka milionów ludzi.

Władza także stara się zdobywać teren, i robi to po swojemu, czyli w sposób nieuleczalnie prostacki. Najzwyczajniej wtyka gdzie się da czerwone chorągwie i zamalowuje różne rzeczy na czerwono.

Przed 13 grudnia władza autentycznie cierpiała widząc co się dzieje na mieście: transparenty, napisy, plakaty, znaczki w kłapach. Różni partyjni esteci gorszyli się „brakiem porządku wizualnego w parterze ulicy”. Generałowie i kaprale stanu wojennego rzucili się, by to wszystko wydrapywać, zamalowywać, zaklejać białym Dekretem, bez daty, drukowanym w Sowietach.

Ale ze swoim towarem symbolicznym długo jeszcze bali się wyjść na ulice. Transparenty nad jezdniami mówiły wyłącznie, że cyrk przyjechał, film nowy wyświetlają, na loterii można wygrać. Dopiero potem, powoli, na ulicach zaczęło się robić czerwono. Przeprowadzali to ostrożnie, stopniowo, żeby uniknąć zrywania. A więc blisko państwowych urzędów z wartownikiem przed bramą. Najchętniej wtykali to ludziom: tym co siedzą w sklepie, żeby wystawili za szybą, albo tym, których zmusili do pochodu, żeby to nieśli w rękę.

Zabawne, jeśli pomyśleć, że przestrzeń symboliczną zdobywa

się na siłę, poprzez wyrywanie cudzych symboli i wtykanie własnych. Niby zawsze tak było, zwycięzcy burzyli jedne posągi a wznosili inne, działo się to jednak w centralnych punktach miasta, nikt nie próbował oznaczyć papierem i szmatami całego terenu, wciskając się do sklepów tekstylnych i papierniczych, na korytarze urzędów. Tego rodzaju ofensywa ideologiczna jest otwartym przyznaniem się do zamiany ideologii w administracyjny nakaz, policyjny dozór. Budzi też reakcję łatwą do przewidzenia: na plakatach ludzie dorysowują różne rzeczy, czerwone flagi jeśli się uda zrywają. Obliczyłem, że na moim osiedlu w dniach poprzedzających 1 Maja zniknęła ponad połowa czerwonych flag. Nie ma już dawnej obojętności na ideologiczne zabarwienie pejzażu.

Pomnik „utrwalaczy” (jak nazwał lud poległych za utrwalanie ludowej władzy), o którym mówi się też „ubelisk”, zlokalizowano ostatecznie koło „Domu Kultury Radzieckiej”, najwyraźniej ze względu na jego bezpieczeństwo. Dochodzi do tego, że sowioci muszą sami pilnować swoich pomników.

Kiedy w warszawskiej „Zachęcie” otwarto wystawę na czterdziestolecie wojska, znalazły się tam między innymi obrazy i grafiki twórców mało co prawda utalentowanych, takich jednak, którzy dziś do kolaborantów nie należą. Opowiadano mi, że twórcy ci są oburzeni, w „Zachęcie” bowiem pokazano ich stare prace, z czasów, kiedy mecenat wojskowy uważany był w środowisku plastyków za moralnie obojętny, w przeciwieństwie do mecenatu partyjnego. (Przynajmy, że literaci zawsze wiedzieli co to jest MON!)

Byli więc plastycy, którzy po prostu dla pieniędzy, w przekonaniu, że nie robią niczego złego, jeździli na plenery do jednostek i wojskowych domów wczasowych, malowali czołgi i spadochrony, a potem to sprzedawali drogo Muzeum Wojska Polskiego. Lenina by się wstydzili malować, nie mówiąc o Stalinie (chodzi o lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte), a czołgów się nie wstydzili. Trochę jakby te czołgi i dzieła im poświęcone należały do całkiem innego świata, i tam zawsze miały pozostać.

Tymczasem nadszedł stan wojenny; wyjaśniło się ostatecznie do czego ludowemu wojsku potrzebne są czołgi, i do czego w panoramie życia umysłowego potrzebne są czołgi malowane. Właściciel poświęconych wojsku dzieł, których autorzy często całkiem już o nich zapomnieli, wydobyl te dzieła i umieścił w centralnym salonie artystycznym stolicy. Prasa, radio, kamery telewi-

zyjne i filmowe. Władza swoim zwyczajem wyciska z okazji co się da.

Teoretycznie artysta tak niespodziewanie obnażony i obnażeniem tym dotknięty mógłby jakoś zaprotestować, wycofać się. W końcu Beethoven dedykował IX Symfonię Napoleonowi, a potem dedykację przekreślił. Analogiczna decyzja ze strony polskiego malarza drugiego rzutu wymagałaby jednak odwagi, i to większej niż się wydaje. Musiałby ją uzasadnić, a uzasadnienie takie podpadałoby pod paragraf o „osłabianiu obronności”, z tym zaś nie ma żartów. Tak więc malarzowi nic innego nie pozostaje, jak powtarzać kolegom, że to są jego stare obrazy, teraz by takich nie malował, i że mu głupio.

Względna to prawda, że ludzkie uczynki zawsze w jakiejś formie w świecie pozostają, dobre i złe. Do dzieł odnosi się to jednak na pewno w znacznym stopniu, zwłaszcza do dzieł niedobrych a powstałych w kręgu władzy. Wielu poetów musiało się wstydić za wiersze pisane w latach pięćdziesiątych, przy czym najgorliwiej może wypominają im je reżymowi publicyści. Seanse wstydu urządzało się prozaikom, architektom, muzykom, filmowcom, nie mówiąc już o dziennikarzach. Nie chodziło przy tym wcale o sam tylko socrealizm, lecz także o dzieła powstałe w poetyce „dynamicznego rozwoju” lat siedemdziesiątych, lub na „patriotycznej fali” końca sześćdziesiątych.

Ten wstyd, zataczający coraz szersze kręgi, jest — sędzę — faktem społecznym o bardzo dużym znaczeniu.

Paweł MORGA

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:
CODZIENNE / TÄGLICH 10.00 - 18.00
SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND
KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Kartki z dzienniczka

Markowi Nowakowskiemu

Stary budzik odbiera resztki złudzeń. To, co w chwilę po otwarciu oczu wydawało się blaskiem ulicznej jarzeniówki, okazuje się jednak świtem. Budzik powoli dodzwania się do końca. Zamiera. A więc już szósta. Nie można poddać się pokusie ponownego przymknięcia oczu. Nawet na chwilę. Mógłby ponownie dopaść mnie sen. A przecież w nowy dzień należy wkroczyć zdecydowanie i radośnie. Tak przynajmniej do znudzenia powtarzał major ze studium wojskowego. Ano trzeba.

Za oknem ponury widok wylaniającej się z mroku pustyni. Jednostajna szarość betonowych klocków z rozjaśniającymi się punkcikami okien. Poranna zmiana wygrzebuje się z ciepłej pościeli snu. Jeśli już mieszka się na takim osiedlu, nie wolno zaczynać dnia od spojrzenia w okno. To odbiera ochotę do życia. Dzień należy zacząć od jakiegoś wzruszenia estetycznego. Dlatego zanim zbliżę się do okna odchyłam lekko kołdrę i przez chwilę wpatruję się w uśpione piersi Anny. To nastraja bardziej optymistycznie, daje poranną porcję wzruszenia. Ponadto nic tak dobrze nie robi jak lekkie, niezaspokojone podniecenie na dzień dobry.

Właściwie mógłbym spać dłużej. Od trzech lat trwają moje nieustające wakacje. Najpierw dziesięć miesięcy Białej, a potem życie z nikłej pensji Anny i rozglądanie się za dorywczymi okazjami do zarobku. A to jakaś recenzja pod cudzym nazwiskiem, a to jakieś tłumaczenie na murzyna... Byle jakoś podreperować walący się budżet. A więc niby nie ma przymusu. Ale muszę zrobić Annie śniadanie przed jej wyjściem do pracy. Sama nigdy by na to nie wpadła. Gdybym nie wstał wypiłaby tylko

kawę zagryzając dwoma extra mocnymi. Ranek nigdy nie był dla niej najlepszą porą. Jest wściekła, wszystko leci jej z rąk. A więc śniadanie dla niej, a więc wyprawienie do szkoły małej Agnieszki. Ktoś to wszystko musi zrobić. To podstawowy minus braku stałego zatrudnienia, chcąc nie chcąc staje się czymś w rodzaju własnej pomocy domowej, kuchni.

Potem, kiedy obie nareszcie wyjdą z domu, też nie będzie czasu na dosypianie. Nie tylko dlatego, że reżym wczesnego wstawania może okazać się świetnym treningiem przed więzieniem. A więzienia nikt w naszym kraju wykluczyć nie może. Nie tylko dlatego. Jest to poza wszystkim najodpowiedniejsza pora, aby wypalić pierwszego dzisiaj papierosa i ustalić harmonogram dnia.

Harmonogram dnia! Czy nie brzmi to przypadkiem jak termin z języka drobnego urzędnika lub szefa kompanii? Oczywiście, że tak właśnie brzmi. Ale bywa i tak. Nawet ktoś o tak bałaganiarskim usposobieniu jak ja musi nauczyć się żyć z kalendarzem przed nosem. Takie czasy.

Muszę nareszcie zabrać się do tekstu o współczesnej poezji polskiej. Najwyższy czas. Już przeszło dwa tygodnie temu zamówili go u mnie chłopcy z podziemnego pisemka. Nie mogę im sprawić zawodu, szczególnie że obiecałem. Chociaż wiem, że stanie się to powodem kolejnej awantury małżeńskiej. Anna będzie wściekła, że znów piszę coś w ramach pracy społecznej zamiast rozejrzeć się za jakąś chałturą. To fakt, czuję się głupio, że cały ciężar utrzymania domu spoczywa na jej niezbyt szerokich plecach. Ale, do cholery, nie ja — że zacytuje Leopolda Tyrmanda — kazałem strzelać z Aurory. A mam czasami taką głupią ochotę napisania czegoś, co po prostu będzie moje, ze mnie. Nawet jeśli miałoby to być za darmo. Trudno. Wiem, że chłopcy z redakcji mają tarapaty finansowe i trochę głupio byłoby prosić ich teraz o pieniądze. Gdyby mieli, na pewno by dali.

Najzabawniejsze, że czysto techniczne przygotowanie zajmie mi kilka razy więcej czasu niż samo pisanie. Szczęśliwy pisarzu niemiecki, który chcąc pisać esej po prostu sięgasz do półki z książkami! To, co ja muszę wykonać, aby zgromadzić materiał, wymaga o wiele więcej wysiłku. Przeważnie zresztą fizycznego.

To, że czasami trudno mi z Anną wytrzymać nie zmienia w niczym faktu, że jest ona niezwykle mądrą i zapobiegliwą kobietą. W pierwszy dzień stanu wojennego, jak tylko zorientowała się, że to, co dzieje się na ulicach to nie żarty, a moja nieobecność może potrwać dłużej, wywiozła z mieszkania nieomal całą moją bibliotekę. Nie bacząc na niebezpieczeństwo rozwiozła ją po różnych znajomych. Okazało się to najlepszym jej pomysłem, odkąd zdecydowała się wyjść za mnie za męża. Ocalało wszystko, co przez wiele lat gromadziłem. A ubecy biorą podczas rewizji co

popadnie; książki, maszynopisy, rękopisy, notatki, listy. U Andrzeja całymi kartonami wynosili do nyski. Załamał się potem, przepadło wszystko, co robił przez ostatnie trzy lata. Dobrze wie, że nigdy już tego nie odzyska. Ja zachowałem wszystko, choć trudno mi z tych bogactw korzystać. Nie jest to najwygodniejsze, ale trudno. Podczas kilku ostatnich rewizji (poprzednia półtora miesiąca temu, najwyższy czas na następną!) wpadały tylko pojedyncze egzemplarze bieżącej bibuły. A to doprawdy drobnostka.

Kiedy Anna rozwoziła moje skarby, starała się umieszczać je w miejscach w miarę bezpiecznych. Po wyjściu jeszcze trochę to bardziej rozparcelowałem. Przede wszystkim wybieraliśmy takich ludzi, takie mieszkania, gdzie istniało małe prawdopodobieństwo nalotu bezpieki. Ale czy są takie miejsca w Warszawie, czy są takie miejsca bezpieczne w którymkolwiek z polskich miast? Dziś, kiedy nieomal każdy jest mniej lub bardziej związany z jakąś niezależną, a więc tym samym i nielegalną, inicjatywą? Niby wszyscy żyjemy normalnie, czytamy, piszemy, chodzimy po zakupy, do kina, kopulujemy. Ale w każdym z nas czai się napięcie. Żyjemy w cieniu oczekiwania na ostry, poranny dzwonek do drzwi.

No, ale do rzeczy, trzeba by wreszcie ten harmonogram.

A więc przede wszystkim punkt wyjścia — moje mieszkanie na Chomiczówce. Cały plan muszę ułożyć w taki sposób, aby jego realizacja zajęła mi jak najmniej czasu. Bo jego zawsze szkoda.

Najpierw, najpierw... Najpierw wpadnę do Bronka. Zrobię u niego kilka wypisów z „Etyki i poetyki” Barańczaka. A więc Nowe Bródno. Jeśli będę miał szczęście i podlecą mi autobusy, to powinienem załatwić to w ciągu dwóch godzin. W porządku. I tak dobrze, że nie jadę w ciemno, że wiem na pewno, iż zastanę Bronka w domu. Musi być, zważywszy na silne przeziębienie i jego wielki nochal upodobnił się do wciąż ciekącego kranu.

Stamtąd wprost na Grochów do byłej i nie tylko byłej narzeczonej. U Magdy w piwnicy trzymam karton z tomikami poetyckimi wydanymi poza państwowym monopolem wydawniczym. Trzeba będzie posiedzieć, poprzeglądać, powybierać, przepisywać. Pewnie kolejne dwie godziny. A może i dłużej, kto wie. Mogę jej przecież nie zastać, mogła wyjść z bachorem na spacer.

A swoją drogą ciekawe z kim ma to dziecko. Nikomu nie chce na ten temat nic powiedzieć. Te wszystkie złośliwe plotki, jakobym miał w tym jakąś zasługę uważam za lekko przesadzone. Fakt, zostaje u niej czasami dłużej. Jest to o tyle usprawiedliwione, że trudno w całej Polsce znaleźć tak piękne piersi, jak u Magdy. A ja lubię ładne piersi. Ale żeby od razu dziecko...

Potem dalej, do pana Artura, emerytowanego taksówkarza

ze Stegien. Właściwie to już nie Stegny, to prawie Wilanów. Tam wszystkie moje notatki i maszynopisy, których nie potrzebuje od razu, tak na co dzień. Trzeba poszperać, miałem kiedyś tyle inteligentnych pomysłów. Mógłbym je teraz wykorzystać. Ale tym razem zajmie to przynajmniej trzy godziny. Bowiem do pana Artura nie wypada wpaść ot tak, jak po ogień. Inteligentny i samotny zawsze bardzo cieszy się z moich odwiedzin. A więc obowiązkowo kawa i ploteczki. A właściwie nie tyle ploteczki, co poważna dyskusja polityczna. O nowym oświadczeniu Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, o ostatnich wypowiedziach Wałęsy, pogłoskach na temat przygotowywanych rzekomo zmian personalnych w Biurze Politycznym, czy rządzie.

I na koniec nieodmiennie zawsze ten sam dialog.

— Jak pan myśli, panie Jacku, długo się jeszcze czerwony utrzyma?

— Niedługo, panie Arturze, już niedługo — odpowiadam siorbiąc słabiutką kawę ze zrzutów.

— Bo wie pan stary już jestem i muchy, jak to się mówi, bym nie skrzywdził. Podczas okupacji, to i owszem, nosiłem broń. Wtedy zresztą wszyscy nosili, broń, długie buty, taki, jak to się mówi, sznyt. Ale jak przyszło do jakiejś strzelaniny, to ja tylko Panu Bogu w okno. Wie pan, nikogo w życiu nie zabiłem. I zawsze, musi pan wiedzieć, poczytywałem to sobie za powód do dumy. Tak. A dziś, wie pan, to ja bym tych czerwonych rznął i wiesział tymi rękoma. O, tymi... Tyle, że pewnie już tego nie dożyję...

— Dożyje pan, dożyje. To już niedługo panie Arturze, niech mi pan wierzy.

Bo cóż innego miałbym mu odpowiedzieć. Myśl o wieszaniu czerwonego jest ostatnią nadzieją, która jeszcze trzyma go przy życiu. Nieludzkim byłoby tej nadziei go pozbawiać.

A więc cała operacja, przy sprzyjających warunkach, nie powinna mi zająć więcej niż siedem godzin. I tak niewiele, całkiem nieźle. A wracając, po drodze, trzeba by jeszcze jakieś zakupy. Potem szybki obiad, to też na mojej głowie. I tak dobrze, że Annie udało się wczoraj wystać kawałek „woł-ciel. z kością”. Będzie rosół i kawałek mięsa z. Co prawda mięso nie należy do najładniejszych, ale jakoś tam z kartoflami będzie można zjeść. Gdyby go nie było, musielibyśmy naruszyć żelazne zapasy, nędzne resztki zeszłorocznych zrzutów od jakiegoś nieznajomego, dobrego człowieka z Francji. Czyli po prostu zjeść ostatnią już puszkę ravioli. Byłoby o wiele smaczniej, ale przecież to na Czarną Godzinę, na Wszelki Wypadek, na Czas Morowy, na Dopust Boży. I tak dalej. Na nieuniknione zwycięstwo komunizmu jednym słowem.

Po obiedzie zasiadam do pisania. Czyli do roboty właściwej. Anna zmywając burczy coś w kuchni na temat mojej nieodpowiedzialności, nieumiejętności utrzymania rodziny, ogólnej dupowatości. Oraz o tym, że jej pierwszy narzeczony to nawet ma już samochód, a ja co. A ja olewam jego samochód i jego stragan z sałatą. Olewam wymówki zmywającej naczynia żony. Piszę. Powiem więcej — tworzę. I przez cały czas niespokojnie rzucam okiem na drzwi, których zamki i łańcuch przed nikim i niczym nie ochronią. Tok myśli tak podniosłych, bo przecież piszę o poezji, zakłóca zubożna nadzieja, że dziś jednak nie przyjdą. Że dziś nie mają mnie w planie, albo że zgubili plan. Nadzieja jest podobno matką głupich. Lecz wolno mi. Anna i tak jest przekonana, że jestem głupi, więc pewnie ma ku temu jakieś powody. Niech ma i ten, że mam nadzieję. Bo gdyby jednak, gdyby przyszli, to zabiorą. To wszystko, co właśnie piszę i mnie jako załącznik. A potem, po rutynowych czterech/ośmiu znów ten sam szlak. Chomiczówka - Nowe Bródno - Grochów - Wilanów - Chomiczówka. I znów pisanie tego samego.

Wieczorem zapisane równym pismem kartki wsuwam do kieszeni Anny swetra. I wyganiaj ją na plotki do pani Jadzi, starej nauczycielki mieszkającej w sąsiednim bloku. Jestem dobrym mężem, dbam o swoją żonę. Który mąż z własnej woli namawia żonę by wieczorem szła do znajomej a sam, pod jej nieobecność, zajmuje się odrabianiem lekcji z dzieckiem. No, który? Ha! Tylko ja jestem taki!

U pani Jadzi trzymam bieżącą robotę, teksty nad którymi właśnie pracuję. Ot tak, aby po prostu mieć je pod ręką. Sąsiedni dom spełnia więc rolę, jaką u normalnego pisarza, w normalnym kraju przeznacza się szufladzie biurka. Być może nie jestem największym pisarzem w Europie, lecz za to mam niewątpliwie największe biurko, pół Warszawy jest moim biurkiem.

I tak dobrze, że udało się taką metę załatwić blisko domu. To doprawdy wielkie szczęście. Inni mają dalej. Przydała się kolejkowa znajomość Anny. Dobrze jest, że istnieją kolejki. Ludzie się w nich poznają, integrują, zaprzyjaźniają. W kraju, gdzie nie ma kolejek człowiek musi być bardzo samotny. A jak człowiek jest samotny staje się podatny na ataki nudy, socjalizmu, pornografii i innej zgnilizny.

Przed snem, zamiast modlitwy, którą odmawiałbym, gdybym był katolikiem, mam krótką chwilę na okrucieństwo nadziei. Jeśli nie zjawia się, z nakazem lub raczej bez, jutro z samego rana, to mam już plan na ten dzień. To krzepiąca świadomość, jeśli, tak jak ja, zostało się wychowanym w kraju planowej gospodarki. Przed południem będę musiał wpaść do Kazika przepisać tekst na ma-

szynie. Potem będę mógł pojechać do jednego z chłopców z redakcji, aby oddać mu gotowy materiał.

A wieczorem... Wieczorem, jak Bóg da, pójdziemy na przyjęcie do Tadeusza. I nareszcie będę mógł spokojnie, z czystym w miarę sumieniem, oddać się picciu wódki. A Anna, odprowadzając mnie w nocy chwiejącego się do domu, będzie miała powód do dalszych na mnie narzekań. To jej dobrze zrobi. I tak narzeka, więc jeśli dać jej powód, czuje się po prostu bardziej w porządku.

Jeśli, oczywiście, nie przyjdą.

Antoni PAWLAK

Nowości wydawnicze

TOM 394 — MICHAŁ HELLER (Adam Kruczek)
POLSKA W OCZACH MOSKWI

Analiza wypowiedzi prasy sowieckiej w ostatnich trzech latach.
Str. 208. Cena F. 75,00.

TOM 395 — KAZIMIERZ BRANDYS
MIESIĄCE 1982-1984

Trzeci tom zapisów pamiętnikarskich o charakterze osobistym na tle wydarzeń kulturalno-politycznych.
Str. 356. Cena F. 80,00.

TOM 396 — SŁAWOMIR MROZEK
ALFA

Nowa sztuka sceniczna znanego dramaturga, której bohater przypomina postać Lecha Wałęsy. Autor ukazuje nam dylemat człowieka, który stał się symbolem, nie przestając być człowiekiem.
Str. 84. Cena F. 40,00.

Jaworzno

Po raz pierwszy znalazłem się w pędzącym samochodzie jako dziecko, a kierowcą był ksiądz. Jeżeli nie proboszcz, u którego usługiwała moja ciotka, to może jakiś inny duchowny, który owego plebana właśnie odwiedził. Dokładnie nie pamiętam, to było pół wieku temu. Pamiętam tylko, że ksiądz był młody, a więc młody był na pewno, kiedy dziecku wydawał się niestary, a samochód także był czarny jak ksiądz — wtedy księża zawsze nosili sutanny — i kwadratowy, takie były wtedy samochody. Pędził od Porąbki Uszewskiej do Dębna, a może nawet za Dębno ku linii kolejowej Kraków-Tarnów. Bowiem pamiętam las wysokich sosen, a za Dębnem był taki las, może jeszcze jest. Po raz pierwszy widziałem pędzące sosny. Kiedy szło się pieszo albo siedziało na furmance, sosny stały w miejscu. Nowość — sosny pędzące — była oszałamiająca.

Po raz drugi zasiadłem w samochodzie znacznie, znacznie później, dopiero po wojnie i po rozpoczęciu budowy socjalizmu. Samochód był marki „Skoda”, a kierowcą pan Mozer.

Pewnego razu jechaliśmy sobie od Śląska do Krakowa z powrotem. Bardzo lubiłem powroty, a wyjazdy były męką. Nie żebym nie chciał wyjeżdżać „w teren”, jeszcze traktowałem moją posadę i rolę dziennikarza poważnie, bardzo poważnie. Ale w miarę zbliżania się do każdego celu podróży, do jakiejś fabryki, do jakiejś Powiatowej Rady Narodowej, do jakiegoś Państwowego Gospodarstwa Rolnego, moja nieśmiałość zamieniała się w przerażenie. Czy wydam się napotkanym Przewodniczącym, Sekretarzem i Dyrektorom dosyć dorosły i pewny siebie, swobodny, lecz i stanowczy zarazem, towarzysko przyjemny, lecz i przedstawiciel Wyższej Świadomości, którą, jako pracownik RSW-Prasa

— powinienem reprezentować? Czy wydam im się dostatecznie obyty i światowy, ale jednocześnie nasz, robotniczo-chłopski? Co zrobię z rękami, twarzą, głosem? Miałem dwadzieścia jeden lat i co dopiero stał się cud: z biednego maturzysty, z nieudanego studenta — żegnaj wyższe wykształcenie, z bezdomnego buntownika — żegnaj parafiańska rodzinę, jam raczej Lord Byron, wyniosło mnie na Pana Redaktora z samochodem, tak, z samochodem, z zieloną „Skodą” — gdym był delegowany w teren — do dyspozycji.

I komu teraz pędzą sosny? Mnie. Ten samochód bardzo był ważny, strzały z „Aurory” swoją drogą i Lenin w Smolnym, także budowa Dnieprostraju całkowicie przekonywujące intelektualnie plus moralnie, genialny Marks — „słodki” — jakby powiedziała pewna późniejsza moja znajoma, ale samochód też nie włókł się w ogonie historii. Tej mojej ówczesnej.

Tym bardziej, że w Polsce nie było wtedy samochodów. To znaczy, ludzie nie mieli samochodów, nawet literaci nie, jeszcze nie, to znaczy krakowscy nie, bo chodzili słuchy, że w Warszawie już poniektórzy... Na pustych szosach pojawiały się tylko czarne Citroëny, nieomylny znak dla ludności, że jedzie UB, Kraj Rad właśnie zaczynał produkcję limuzyny marki „Pobieda”, czyli „Zwycięstwo”, jeżeli tak można nazwać mozolną kopię amerykańskiego, przestarzałego modelu, z którego później z kolei powstała żerańska „Warszawa”. Marszałek Polski, Konstanty Rokossowski, też pewnie czymś jeździł, ale ludzie — nie. A tu proszę — ja sobie w teren samochodem marki „Skoda”.

Więc wracamy, ja i pan Mozer, z tego terenu. Nigdy nie wiedziałem, które miejsce wybrać: koło pana Mozera, czy tylne. Z przodu lepiej widać pędzące sosny, ale i niezręcznie, bo trzeba przecież z panem Mozerem zamienić jakieś słowo, przynajmniej od czasu do czasu, a o czym tu, a jak tu mówić z ludźmi. Natomiast na tylnym siedzeniu już w ogóle nic nie muszę. Wiadomości o dalszych zwycięstwach na froncie walki z kułakiem w oparciu o biedotę wiejską w sojuszu ze średniakiem spoczywają w zeszyciku. Albo o sukcesach walcówki na zimno. Albo o rekordowym wyrębie na przodku metodą Pstrowskiego. Posłużą do rozwinięcia w artykuł, ale dopiero jutro, dziś wpiszę się tylko do Książki Dyscypliny Pracy, że wróciłem z terenu, godzina taka, a taka i jestem wolny. Piwko w „Żywcu”, albo u „Hawelki”, może do kina...

Za szybami samochodu okolice Jaworzna, każdy kto je zna, wie, że one nieapetyczne. Krajobraz, dumnie mówiąc — przemysłowy, a po ludzku — parszywy. Przeklęta spuścizna kapitalizmu. Ale z drugiej strony — to dymią kominy naszych przecież

fabryk. Tutaj dialektyczne myślenie przychodzi z pomocą i łatwo ustalamy: te domki, te pokraczności, ta bieda — to kapitalizm (spuścizna), ale fabryki już nasze, więc słusznie, że dymią, bo w nich wykuwa się zręby. Nowe domy się zbuduje, a co krzywe wyprostuje. Pozbywszy się w ten sposób sprzeczności między moją wrażliwością a moim światopoglądem, już bez dalszych przeszkód moralno-politycznych oddaję się spostrzeżeniom: autobus PKS, tak wypchany i obwieszony ludźmi, że brzuchem szoruje po jezdni, puszcza z rury czarne faje. Wyprzedzamy go z łatwością. Nie daj Boże — (jaki Boże, przecież Boga nie ma) — podróżować Pekaesem w taką listopadową mżawkę. Co innego, gdy się siedzi w limuzynie, tylko ja i pan Mozer. Ach, gdyby i pana Mozera nie było... Co prawda wybrałem tylne siedzenie i jego obecność zredukowana jest do niezbędnego minimum. Mżawka na samochodowych szybach, gdy siedzi się wewnątrz, nawet przyjemna, powiększa uczucie prywatności, bezpieczeństwa, wygody. Zacisznie tu, sucho i ciepło, prawie samotnie, a przede wszystkim całkiem inaczej niż za szybą, niż w codzienności. Świat jest, ale na zewnątrz, wszystko czego ode mnie wymaga, to żeby na niego patrzeć, wcale nie wymaga nawet, tylko proponuje. Przesuwam się, ale nie narzuca, co sprzyja refleksji. A więc powstają marzenia o przyszłej sławie i chwale i chyba kupię ten amerykański płaszcz w komisie na Grodzkiej. Jakieś dalekie egzotyczne podróże, kto wie, może nawet do Sopotu następnego lata? Wprawdzie pociągiem, ale na pewno pierwszą klasą. Tajemniczy nieznanomy — ja, będzie patrzył w horyzont, tylko w jakiej marynarce, najlepiej sztruksowej, kupić sztruks i uszyć u pana Dyczka, tylko teraz sztruksu nigdzie nie można dostać — a obok znajdzie się piękna nieznajoma. Gdy nawiąże ze mną rozmowę, zapyta: „Czym pan się zajmuje?” — „Dziennikarstwem”, rzucę niedbale. A wtedy ona, aktorka...

Pan Mozer zwolnił. Wyprzedzaliśmy kolumnę maszerującą czwórkami, estetycznie bardzo interesującą. Bowiem utrzymaną w gamie szarości, białawości, pleśni i razowej mąki. Szare czapki bez daszków, szare dreluchy, szare drewniaki, twarze również w tej samej tonacji. Normalnie twarze są zaczerwienione, lub brązowe gdy opalone, ewentualnie białe, czyli blade, te jednak wszystkie były szaro-białawe jak razowa mąka. Między czapką a kołnierzem nie było przerwy na twarz, tylko ta ciągłość szarości. Normalnie twarze są chude albo tęgie, a te wszystkie były jednako obłe, to znaczy nie tęgie, bo nie z odżywienia, tylko z opuchliny. Więc jakby to nie ludzie szli, ale worki czymś byle jak wypchane, bez żadnego ludzkiego wyrazu, poruszające się jednako i mechanicznie. W żywym kontraście do manekinów szło

po bokach kolumny kilka ludzkich postaci. Mundury zielone, twarze czerwone, a w rękach karabiny trzymane w gotowości.

— To ci z Jaworzna — powiedział pan Mozer.

Otóż wiedziałem, jakoś przecież wiedziałem, że w Jaworznie znajduje się Obóz Pracy, jeden z Obozów Pracy, choć nie wiedziałem skąd ja to właściwie wiedziałem, miejsce w którym wrogowie ustroju, męty i pasożyty poddawane są reedukacji przez pożyteczną pracę. Ale o tym, choć rzecz była słuszna, więc chwalebna, nie pisało się, a zatem nie mówiło. Wiedzieć w zasadzie nie było wzbronione, ze względu na wychowawczy charakter takiej wiedzy, ale powinna to być wiedza ogólna, a więc bez żadnych szczegółów. Oraz, jeżeli nie przede wszystkim, wiedza niewyznawana, nie dzielona z nikim, ściśle na użytek prywatny obywatela, nie do rozmów między obywatelami. Zazwyczaj, kiedy siedziałem na tylnym siedzeniu, pan Mozer nie odzywał się wcale, za co mu byłem wdzięczny. Teraz nie tylko złamał ten zwyczaj, ale złamał go w sposób szokujący. To, co powiedział, powiedział niby obojętnie, ale sam fakt, że to właśnie powiedział nie mógł być obojętny. Dlaczego to powiedział? Co mu się stało?

Pan Mozer był dużo starszy ode mnie, to znaczy między trzydziestką a czterdziestką najwyżej. Zawsze staranny i powściągliwy, samochód prowadził dokładnie i ostrożnie, bez śladu fantazji, co miałem mu czasami za złe, kiedy pragnąłem, aby szybciej pędziły mi sosny. Jako kierowca redakcyjny zachowywał się nienagannie, to znaczy absolutnie nijako. Wiedział kto jest kto i co jest co i w ogóle jak jest i wyciągał z tego jedynie słuszny wniosek, żeby samemu być jak najmniej. To, co powiedział, to, że właśnie to powiedział, nie przystawało do jego osobowości, takiej jaką dotąd znałem.

No, ale powiedział i nie mogłem nie odpowiedzieć. W innych okolicznościach mógłbym odpowiedzieć cokolwiek, byle zaznaczyć, że usłyszałem jak człowiek odezwał się do człowieka, aby mu ten drugi człowiek potwierdził jego obecność na świecie. Na tym przecież polega większość rozmów i pogaduszek. Ale teraz to nie mogło być cokolwiek, to nie był temat na cokolwiek. Więc, żeby nie przesadzić w ideologicznej gorliwości — „Wrogowie ustroju, męty i pasożyty” byłoby za silne — a jednak ustosunkować się do zjawiska, powiedziałem krótko, ale dosyć surowo:

— Kryminalni.

Kolej na niego. To on postawił sprawę, ja wobec tego nadałem jej właściwy kierunek, teraz on powinien dopełnić jakimś wnioskiem. Czekam, ale on nic nie mówi. Moje oczekiwanie, jego milczenie przedłuża się. Czy się ze mną zgadza? Zaczynam się denerwować, każde milczenie może oznaczać dezaprobatę. Choć trudno przypuścić, a nawet wyobrazić sobie, że pan Mozer

mógłby się ze mną w tym wypadku nie zgadzać. Więc to chyba tylko moja wyobraźnia jest zbyt pochopna. Nie widzę jego twarzy, kark nie wyraża nic, ale wiem, że on widzi moją twarz w lusterku. Kark nic, ale ręka... Ręka spoczywa na lewarku od zmiany biegów, nie, nie spoczywa, zaciśnięta jest na gałce lewarka tak mocno, że zbiełała na kostkach białawością podobną do tych plam-twarzy, co przesuwały się powoli w prawej szybie, jedziemy na pierwszym biegu. Aż nareszcie powiedział:

— Różni.

Co to, zostawił sprawę otwartą? A nawet ją rozszerzył, gdy ja dążyłem do uściślenia. „Różni” — to mogło różnie znaczyć. Ale w takim razie tym bardziej wypada mi ujednoznaczyć i to przeciwko jego już wyrażonej, pośrednio wprowadzie, ale jednak wyrażonej niezgodzie na traktowanie omawianego zjawiska w sposób jedynie słuszny, czyli jednoznaczny. Wypada, powinienem, muszę, tak, tak, coś przecież trzeba powiedzieć, tylko co, tylko jak, panicznie zastanawiam się co by tu, jakby tu, gdy słyszę:

— Dają w dupę.

Kto daje? Ci „różni”? Nie, gdyby ich miał na myśli, powiedziałby: „Biorą w dupę”. Wtedy mógłbym to przyjąć nawet jako wyraz obywatelskiej, państwowotwórczej satysfakcji, że oto „wrogowie ustroju, męty i pasożyty” otrzymują zasłużoną karę. Ale on najwyraźniej powiedział: „Dają”. Więc kto? Kto daje? Czyżby on miał na myśli... Nie, to niemożliwe, nie mogę w to uwierzyć, to niemożliwe po prostu, żeby on... i to w mojej obecności, przy mnie, a nawet wprost do mnie... A jednak powiedział, najwyraźniej słyszałem: „Dają w dupę”. I ta jego ręka, zaciśnięta na lewarku aż zbiełała... Tak, pan Mozer okazał się wrogiem klasowym.

Kolumna pozostała już za nami, a ja ciągle jeszcze nic nie powiedziałem. Ach, gdyby na moim miejscu był Pawka Korczagin, albo ktoś z „Młodej Gwardii” Fadiejewa, ten by sobie poradził. Oni umieli zdeptać ohydny łeb kontrrewolucyjnej hydry. Ale to byli prawdziwi mężczyźni, z żelaza, z granitu, z magnitogorskiej stali. Charaktery. A ja, mięczak w okularach. I dlatego on sobie tak ze mną pozwala, ten Mozer, ten ukrywający się dotąd pod płaszczkiem ucziwego człowieka pracy pogrobowiec burżuazyjnej, obszarniczo-kapitalistycznej Polski. Czyżby mu się wydawało, że ze mną można? Czyżby sobie pomyślał, że ja taki słaby? I powstała we mnie wielka, prawdziwa, bo nie tylko klasowo uzasadniona, ale teraz i całkiem osobista nienawiść do pana Mozera.

Ten jednak jakby się jej nie domyślił, czy też przeciwnie — perfidię swoją posunął jeszcze dalej, bo wiózł mnie teraz — przypadek to, czy umyślnie — wzdłuż wysokiego, bardzo wysokiego

muru, nad którym pasma kolczastego drutu, nad którym wieżyczki strażnicze na cienkich nóżkach, a na tych wieżyczkach, całkiem już wysoko, zielone figurki. Pan Mozer powiedział:

— Nowiutkie, kurrrwa.

To by mi wystarczyło, gdybym miał jeszcze wątpliwości co do ideologicznej postawy pana Mozera. Kto zna język polski, nie w piśmie, lecz w mowie, ten wie, że słowo „kurwa” może wyrażać wszystko, zależnie od intonacji. Często wyrażamy przy jego pomocy zachwyt i podziw. Ale to „rrr” przez zaciśnięte zęby żadnych wątpliwości nie pozostawiało, to nie był zachwyt ani podziw, lecz nienawiść, większa od tamtej mojej do wroga klasowego, bo bezsilna.

Wróciwszy do Krakowa, zamiast na piwko, lub do kina poszedłem do domu. Za dużo przeżyć. Konwój na drodze, mury więzienia zrobiły na mnie takie wrażenie, że tylko odpowiednie uporządkowanie tego wrażenia mogło mnie uspokoić. Jakie uporządkowanie było odpowiednie? Oczywiście dialektyczne. My nie twierdzimy, że ludzkie cierpienie jest przyjemna. Przeciwnie, jesteśmy za ludzkością bez cierpień, Dobrą i Szczęśliwą. O to przecież walczymy. I wiemy, jak to ludzkości załatwić raz na zawsze. Dlatego musimy zadawać cierpienia, choć niechętnie, wrogom ludzkości, tej przyszłej, Szczęśliwej, czyli naszym wrogom. Dla nich jesteśmy bezlitośni. Tak jest, twardzi, bezwzględni, nieustępliwi — rozpedzałem się w zaciszu mojego pokoiku. — Nie ma rewolucji bez ofiar, rewolucja, to nie wycieczka majowa, jak powiedział Lenin. A Lenin, to autorytet większy niż pan Mozer, wróg zresztą.

Jednak Lenin na portretach, a pan Mozer w życiu. Nie, nie będzie mi pan Mozer kłał mojej miłości. Byłem jak zakochany mąż, któremu ktoś szepnął brzydkie rzeczy o żonie. Mąż nie chce takich rzeczy słyszeć i cały jego gniew zwraca się przeciw oszczercy. Ja Otello, Idea jako Desdemona, a pan Mozer wystąpił w roli Jagona. Z tą zasadniczą różnicą, że ja nie dam się zwieść podszeptom i nie uduszę mojej Desdemony, raczej pana Mozera. Ścisłej, nie tyle kochałem Ideę, ile raczej siebie zakochanego w Idei. Dzięki niej, dzięki Idei — jakże się sobie spodobałem. Nareszcie mi się udało pokochać siebie, moją pierwszą i wielką miłością, byłem sobą zachwycony, ja, który dotąd tak siebie nienawidziłem. I teraz miałbym pozwolić, aby mi tę miłość odebrano? Nigdy. Biada panu Mozerowi.

Oczywiście o więzieniach, obozach, a nawet pewnych piwnicach pewnych urzędów państwowych wiedziałem i przedtem. Wszyscy wiedzieli, nie można było nie wiedzieć. Ale można było nie wiedzieć, że się wie. Gdyby to była wiedza publiczna — nie

wiedzieć, że się wie byłoby trudno. Publiczna, to znaczy taka, o której się pisze, rozmawia i dyskutuje. Ale ta wiedza, choć powszechna, nie była publiczna, tylko ściśle prywatna. Każdy wiedział, ale pozostawał z tą wiedzą sam na sam, czy też, zgodnie z nigdy nie ogłoszonym, a jednak znanym jako oczywistość życzeniem Władzy — zaś z życzeniami teje nie było żartów — powinien sam na sam z nią pozostać. A kiedy człowiek jest sam na sam z tym, co ma w głowie, może z tym wyczyniać dowolne i dziwne rzeczy, rozmaity z tego robić użytek, ten przede wszystkim, żeby nie robić żadnego, jeśli mu tak wygodniej. O więzieniach, torturach i zabijaniu strzałem w tył głowy nie wolno było pisać, rozmawiać i dyskutować, ale każdy mógł o tym myśleć co uważał za stosowne, każdy miał wybór, czy o tym w ogóle myśleć, czy też nie myśleć. Nie myśleć, jeśli ktoś potrafił, było oczywiście o wiele wygodniej. Zwłaszcza, gdy ktoś chciał kochać Władzę Ludową.

W normalnie pracującym umyśle doświadczenie, informacje i fakty ulegają nieustannej obróbce, umysł konfrontuje je nawzajem w najrozmaitszych kombinacjach, porządkuje w hierarchiczne układy, wyprowadza wnioski. Żaden materiał nie pozostaje martwy i niewykorzystany i nic nie jest statyczne ani ostateczne. W umyśle porażonym — inaczej. Całe obszary świadomości pozostają bez ruchu i bez połączenia z innymi, nic się na nich nie dzieje. Odgródzone są szczelnie od innych obszarów murem takim, jak ten, który pokazał mi pan Mozer, szczelniej jeszcze, bo murem bez bramy, tu nawet przepustek się nie wydaje. Człowiek wie, ale tak, jakby nie wiedział, płaszcz, którego się nigdy nie nosi, trzymany w skrzyni, a skrzynia na strychu, niby się go ma, ale tylko ma, więc czy się go ma naprawdę, jeśli się go nigdy nie używa, a nawet się o nim zapomniało? W umyśle porażonym pełno jest informacji „otorbionych”, jak bywają „otorbione”, nieczynne, izolowane od reszty organizmu bakterie w płucach. Zaś porażony bywa umysł zarówno miłością jak i strachem, wystarczy tylko jedno, albo tylko drugie, żeby umysł porazić. Co dopiero, kiedy jedno zejdzie się z drugim. Niewielu kochało Władzę Ludową, nieco tylko liczniejsi byli ci, którzy chcieli ją kochać, znacznie liczniejsi, którzy chcąc nie chcąc kochać ją postanowili, ale bali jej się wszyscy. Więc ci nieliczni co i kochali i się bali mieli podwójnie porażone umysły i wyszli na najwybitniejszych durni, dzięki czemu zrobili największe kariery. Do tych ja należałem.

Nigdy nie będę sztychował z Niemców, którzy tłumaczyli się po wojnie: „Ja przecież nie wiedziałem”. Oczywiście, że wiedział, ale czy kłamię? Tylko w pewnym sensie, bo wiedział, ale nie chciał wiedzieć, że wie. Paradoks? Tak, ale ja wiem jak się to

robi, ponieważ sam to robiłem. Ale przed sądem nie można się bronić paradoksami. Sądzi się wolę, a zarówno Niemiec jak i ja obaj mieliśmy szczerą wolę, aby nie wiedzieć, że wiedzieliśmy. On miał walkę ras, a ja walkę klas do kochania i obaj żeśmy się bali.

Dialektyczne uporządkowanie moich wrażeń nie przyniosło mi ulgi. Coś należało jeszcze zrobić, aby uratować — nie tyle Władzę Ludową, bo ta, silna i zwycięska, poradziłaby sobie w dalszym ciągu i bez mojej odsieczy — ile moją własną twarz przed moim własnym lustrem, zarówno ideologicznym jak i psychologicznym. Najlepszym sposobem było donieść na pana Mozera.

To jednak nie przyszło mi w ogóle do głowy. Prawdopodobnie nie ze względów moralnych, nie ręczę za moralność, gdy się kocha Władzę Ludową, ale po prostu dlatego, że nigdy nie byłem człowiekiem czynu, czyli mówiąc ówczesnym i nie tylko ówczesnym językiem — działaczem. Zużywałem się wyłącznie w wyobraźni, ta zaś w pisaniu artykułów o dalszych zwycięstwach na froncie walki z kułakiem w oparciu o biedotę wiejską w sojuszu ze średniakiem, o sukcesach walcówki na zimno, lub o rekordowym wyrębie na przodku metodą Pstrowskiego. Postanowiłem więc napisać utwór literacki, w którym bym rozgromił pana Mozera, ukazał jego nikczemność we wskazywaniu na rzekome represje jakoby stosowane przez Władzę Ludową — (ci z Jaworzna, to nie były represje, tylko klasowa sprawiedliwość) — by przeciwstawić tej reakcyjnej kreaturze męstwo i heroizm Partii, która choć zwycięska, zмага się bohatersko z odradzającą się wciąż na nowo kontrrewolucją (np. pan Mozer), tym niebezpieczniejszą, im bardziej pokonaną. Jako model tej logiki służyła mi teza Stalina o zaostarzającej się walce klasowej w miarę jak krzepnie i umacnia się Dyktatura Proletariatu. Podkreślam — nie miał to być artykuł publicystyczny, ale dzieło literackie. Pan Mozer miał być niewymieniony z nazwiska, lecz wystąpiłby jako postać, z autentycznej uogólniona, okoliczności przemieniona, choć wydarzenia takie, jakich doświadczyłem naprawdę. Chciałem rzeczywistość wyrazić przez sztukę, zgodnie z zaleceniami, jakie czytywałem pilnie w *Nowej Kulturze*, Organie Związku Literatów Polskich. Byłem już tego Związku członkiem, wpuszczony tam nie dlatego, że wydałem jakąkolwiek książkę, ale jako świeża i ożywcza krew Nowego w walce ze Starym, które to Stare uwiło sobie gniazdko reakcyjnych zmij w pewnych kołach niektórych szeregów określonych członków ZLP, aby — zamaskowane tak tchórzliwie, że dobrze trzeba było się naszukać, żeby je znaleźć — bronić się jeszcze przed Nowym.

Pisałem, pisałem, a pisałem, ale jakoś mi dziwnie nie szło. Obracałem tak i owak, ustawiałem pana Mozera, siebie i tych

z Jaworzna w rozmaitych konfiguracjach sytuacyjnych, choć zawsze w tej samej ideologicznej — nie wychodziło. Charakteryzowałem postacie, to znaczy pana Mozera i siebie, na rozmaite sposoby, choć zawsze w tym samym sensie — wynik mnie nie zadowalał. Wymyślałem nowe i dodawałem je — nie pomagały. Skreślałem — było mi ich brak. Próbowałem opisu, dialogu, monologu wewnętrznego — wszystko brzmiało jakoś nie tak. Oskarżałem się o brak talentu, wpadałem w depresje. Co prawda dzieło było ambitne jak na moją miarę. Dotąd byłem autorem tylko chłospzczącej satyry na opieszalych kelnerów, na Churchilla i Trumana, teraz chciałem napisać prawdziwe, głębokie opowiadanie, jak Tomasz Mann, z którego dziełem już byłem nieco zapoznany. Możliwe, że gdybym wtedy był starszym i bardziej doświadczonym literatem, udałoby mi się napisać tę nowelę tak, żeby mnie zadowalała, wydrukować ją w *Nowej Kulturze* i jednym skokiem znaleźć się w gronie sławnych kolegów, których podziwiałem, którym zazdrościłem i których teraz starałem się naśladować. Niezmiernie mi na tym zależało. Chciałem, ale nie umiałem, to wystarczy, żeby popaść w neurastenię.

Zwłaszcza zimą. Bo zima już nastała, a ja ciągle nie umiałem tego napisać. Zima w Krakowie szczególnie jest ponura. Kolejnymi wersjami mojego opowiadania paliłem w moim kaflowym piecu. Na szczęście przyszła wiosna, a wiosna w Krakowie jest szczególnie interesująca, zwłaszcza gdy się ma dwadzieścia dwa lata, już dwadzieścia dwa...

No i o wszystkim, co nie było wiosną, zapomniałem. Choć jak się okazuje, nie na zawsze.

Sławomir MROŻEK

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwareczne.

Wydawnictwa antykwareczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Pagórek

Życie, któremu wciąż się przyglądam z niesłabnącym zdumieniem i ciekawością, nie skąpiło mi doświadczeń. Ani dobrych, ani złych. Większość z nich, zwłaszcza tych dobrych, ma wartość tylko dla mnie samego. Bo cóż komuś przyjdzie z tego, że każdej wiosny stają oniemiały z zachwyty nad brzozą, która wypuszczając pierwsze liście cieszy się z ciepłego wiatru w sposób prawie ludzki? Albo też, że nie mogę się nadziwić, ile to piękności mieści się w uśmiechu kobiety, która skłania głowę z przyzwoleniem lub bodaj tylko z obietnicą.

Ludzi mało obchodzą cudze radości. Znacznie chętniej biorą udział w cudzych cierpieniach. Niedole stanowią prawdziwą wartość społeczną. Dlatego, jak się wydaje, więcej korzyści może przynieść to, czego się dowiedziałem o naturze człowieka w warunkach typowych dla życia zbiorowego. Osobliwości temu życiu przydaje jedynie fakt, że toczyło się ono w obozie zagłady, w Oświęcimiu. Wyostrza to tylko obraz, ale go nie fałszuje.

Do wspomnień z pobytu w obozie powracałem bardzo rzadko. Przez pewien czas, w pierwszych tygodniach po powrocie, dręczyły mnie uparcie złe sny. W panicznej ucieczce dopadałem gęstych łoż nad Sołą i starałem się w nich ukryć, chociaż wiedziałem, że mi się to nie uda, gdyż w pogoni brały udział olbrzymie wilczury o podpalanych grzbietach. Budziłem się z bijącym sercem, kiedy mnie osaczały. Po trudnym ponownym zaśnięciu sen podsuwał jakby dalszy ciąg tego wydarzenia. Klęczałem osłaniając głowę przed ciosem podniesionej pałki, a stojący za mną kapo czy esesman mówił spokojnym i niemal pieszczotliwym głosem: *Aber Hände ab, Hände nieder, Mensch!*

Wkrótce jednak prawdziwe i niezmiernie pociągające niebez-

pieczeństwa życia konspiracyjnego zupełnie mnie uwolniły od tych koszmarów. Sypiałem łączywie, jakbym oszczędzał siły na rzeczy ważniejsze niż wewnętrzne nieporządki. Po wojnie nie czułem potrzeby, żeby się zwierzać z przejść upadających, do jakich zmusza każde niewolnictwo. Opowiadałem o nich urywkami ludziom bliskim. Właściwie nie wiedzieć dlaczego. Może po to, żeby dać im dowód zaufania.

Wszystko to sprawiło, że wspomnienia obozowe zachowały się w takiej świeżości, jakby działały się wczoraj, nie przed kilkudziesięciu laty. Mogę przywołać z pamięci z całą dokładnością szorstkość murawy, ubogiej i wyschłej, na której wolno nam było usiąść w dwa rzędy po nieprzytomnym biegu z wagonów do obozu wśród ujadania psów, wrzasków esesmanów i uderzeń ich kijów. Dzisiaj zaskakuje mnie to, czego zupełnie nie dostrzegłem wówczas, że w tym olbrzymim hałasie nie było zupełnie słychać głosu więźniów. Ani ich jęków, ani zdyszanych oddechów. Biegli w milczeniu. Była to pierwsza zapowiedź tej posłusznej ciszy, w której znosili katusze i umierali ludzie w obozie, gdzie rozlegał się tylko ryk dozorców.

Mam również w oczach uśmiech drwiny na twarzy więźnia z poprzedniego transportu, teraz już funkcyjnego, kiedy zabierał nam z rąk nietknięte bochenki chleba. Otrzymaliśmy je przed zaryglowaniem drzwi w towarowych wagonach na Warszawie Zachodniej i dowieźli przyciśnięte do ciała aż na miejsce. Co dziwniejsze, nie wypuściliśmy ich z rąk, kiedy o świcie drzwi wagonu otworzyły się gwałtownie z obu stron, aby wpuścić oszalałą, podnieconą alkoholem bandę esesmanów, tłukących kijami po głowach i osłaniających je rękach, wymierzających kopniaki w sposób bardzo umiętny, bo godzące w podbrzusze. Przy ich dzikich wrzaskach: *Loos, loos, nieder! Du Schweinehund!* wyskakiwaliśmy z wagonu wprost pod rąk pałek, między psy rzucające się do gardła. Takie powitanie oczekiwało wszystkich więźniów przybywających do obozu, czyli *zugang'ów*. Należało do wypróbowanych środków wymuszania posłuchu. Stosowali je od wieków pasterze bydła, kiedy zapędzali ogromne stada do zagród. Oszalała ze strachu gromada ludzka mało się różniła od stada zwierzęcego. Wypchnięci z wagonów mężczyźni tłoczyli się, popychali, zbijali w drgającą masę, niemal tratowali się wzajemnie, byle znaleźć się najdalej od brzegu, gdzie wciąż wznosiły się pałki i wspinały się na smyczach ujadające psy.

Kiedy całe to kłębowisko miotające się między rzędami żolnierzy wpadło na plac apelowy i ostatni z pędzonych minęli bramę z uśmiechającymi się drwiąco wartownikami po obu jej stronach, esesmani ucichli nagle, sprawnie ustawili się w czwórki i odmaszerowali ze swoim wesołym: *Hola-li, hola-la!* Dopiero

wtedy można było ze zdumieniem dostrzec, że cały oddział nie liczył więcej niż trzydziestu paru ludzi i sześć psów.

Na podwórzu z dala od bramy stała grupka oficerów SS w opiętych mundurach, sztywnych czapkach z czarnymi otokami, lśniących butach i brązowych rękawiczkach. Wszyscy trzymali pod pachą lub bawili się trzaskając o cholewy trzcinami z rzemienną pętlą na końcu. Dopiero w trakcie dalszego obozowego życia mogliśmy się przekonać, jak wielkie znaczenie dla naszych losów miały niedbałe ruchy tych trzcin. Tym razem dygnitarze obozowi nie zrobili z nich użytku. Po krótkim obejrzeniu dyszącej gromady więźniów porozumieli się lekkim skłonem głowy i wyszli tocząc niedbale rozmowę, która zapewne nie dotyczyła nowego transportu z Warszawy. Dowódca oddziału, który nas zapędził za druty na pewno już zameldował, że liczba więźniów zgadza się z wymienioną w dokumencie, gdy się doliczy zmarłych po drodze.

Po ich wyjściu do naszego tłumu zastygłego w oczekiwaniu podeszło kilkunastu więźniów w biało-niebieskich pasiakach i takich samych pasiastych beretach. Część z nich miała w rękach kije. Oni to właśnie bardziej popychaniem niż słowem ustawili nas w dwuszereg, zaprowadzili na bok podwórza pod zielone jeszcze drzewa i pozwolili nam usiąść. Za chwilę przesuwali się dwójkami wzdłuż szeregów z kocami utrzymanymi za rogi, aby zbierać w nie bochenki chleba, w które zaopatrzono nas na drogę. Robili to z uśmiechem politowania, jeszcze wówczas dla nas niezrozumiałym. Oglądali nietknięte obłe razowce, jakby nie dowierzali własnym oczom. Jeden z tych funkcyjnych, chyba Ślżak, nie mógł się nawet powstrzymać od podzielenia się z nami swoim oburzeniem. — Ty byś, głupi chłopie — mamrotał biorąc chleb z ręki — chociaż go pocałował w ten gładki zadek na pożegnanie, będziesz jeszcze śnił o nim po nocach.

Przez cały pierwszy dzień obozowy podlegaliśmy władzy ludzi w pasiakach. Dopiero przed zmrokiem na wieczornym apelu dostąpiliśmy zaszczytu stanięcia przed obliczem właściwej zwierzchności w stalowych mundurach i sztywnych czapkach. Nabraliśmy już wówczas wyglądu więziennego, który wyjednał nam to wyróżnienie, chociaż nie dostaliśmy jeszcze trepów ani beretów. Umieliśmy już jednak wybijać krok marszowy bosymi stopami i podnosić zgodnie prawe ręce do ogolonych głów na rozkaz: *Mütze ab!* Dostąpiliśmy także sporo innych wtajemniczeń zaznajamiających od razu z całkowitą odmianą życia. Właściwie po tych doświadczeniach mało już nowego dalszy pobyt zdołał dorzucić.

Na to, że już tego pierwszego dnia zdobyłem nowy zawód

i zostałem w Oświęcimiu ogrodnikiem złożyły się aż trzy powody. Pierwszym była zabawa, jaką za zezwoleniem dowództwa urządzili sobie kapowie ze świeżo przybyłymi więźniami. Drugim moja ciekawość ludzi tak żywa, że czasami traciła poczucie bezpieczeństwa. Trzecim i chyba najważniejszym powodem był mój kpiarsko i życzliwie uśmiechnięty los, który mi pozwalał wyjść cało z sytuacji na pozór zupełnie beznadziejnych.

Pierwszy z tych powodów zasługuje na krótkie zastanowienie. Wiele błędów, jakie popełniają ludzie wywodzący się ze środowiska kulturalnego polega na niewłaściwym pojmowaniu prostactwa. Pociąga to za sobą skutki niezmiernie groźne. Wypacza naszą wiedzę o świecie, w którym zachodzą zmiany bardzo odległe od nabytych wyobrażeń. Urabiały je wiary i złudzenia ubiegłego wieku, mało już przydatne obecnie. Nasza epoka tym się zapewne najbardziej różni od epok poprzednich, że na wielkich obszarach ziemi zdobywają i sprawują władzę, prawie nieograniczoną, właśnie prostacy. Hitlerizm był niemal idealnym wcieleniem tej odmiany rządów. Dlatego jego najbardziej odrażające cechy odnajdujemy we wszystkich ustrojach, które posługują się przymusem jako głównym środkiem panowania. Słowa „pan” i „panowanie” tutaj nabierają znaczenia tak pełnego, jakiego nie miały od dawna. Przywracają one sprawcom przemocy, od najlichszych posługaczy poczynając, władzę zadawania cierpień i śmierci, chyba największe z uprawnień, jakie może posiadać człowiek nad człowiekiem. W sposobach korzystania z tej niezmiernej, nieograniczonej władzy kryje się właśnie błąd w pojmowaniu prostactwa. Zwykło się sądzić, że prostakowi wystarcza samej przewagi fizycznej, gdyż stanowi ona aż nadto wyraźny dowód jego mocy. Zapomina się zbyt łatwo o rozległych, mrocznych przestrzeniach duszy prostaka. Tę duszę rodzi natura, a kształtuje system. Rozporządza on, ten system, własnym zasobem wartości, odmiennym od naszego, ale nie mniej rozbudowanym. Trzeba było wielu wieków, aby cywilizacja ludzka zrodziła nie tylko nakaz, ale i potrzebę takich uczuć jak wstręt do ucisku słabszych czy chęć obrony prześladowanych. Historia nie dostarczała wielu sposobności do przejawiania „uczuć wyższych”: dobroci, miłosierdzia, poświęcenia, wyrzeczenia. Przeciwnie, w naszych czasach wyzwoliła inne, ukryte pod wymytą skórą, wyprasowanym mundurem i wypraną bielizną siły pierwotne. Czy aby pierwotne? Czy właśnie w tym określeniu nie przejawiało się całe zaślepienie pogrobowców dawnej cywilizacji? Przecież współczesne barbarzyństwo, zwycięskie i pyszne, posługuje się także swoim systemem wartości, chociaż krańcowo różnym od naszego. Tam, gdzie my stawiamy np. wolność, ono umieszcza posłuch, tam gdzie my okazujemy litość, ono stosuje okrucień-

stwo, tam gdzie my przejawiamy współczucie, ono popisuje się głośną i brutalną drwiną. Słowem, chce się czy nie chce, jest to również odmiana ludzkiej organizacji wraz z przynależnym do tego systemu prawodawstwem i obyczajami. Mieści się w nich również odmienna znajomość człowieka, dostarczająca różnych niż nasze satysfakcji poznawczych. Z jednym z takich doświadczeń mieliśmy wkrótce się zetknąć.

Na razie zaprowadzono nas do łaźni. Tam po zabranii nam ubrań i zapakowaniu ich w numerowane worki, ogoleniu nas ze wszystkich włosów na ciele, przepędzeniu przez zimne prysznic, wysmarowaniu maścią cynkową dla ochrony przed świerzbem, zamieniono nas w więźniów obozu koncentracyjnego Auschwitz. Przebiegło to niezwykle sprawnie, gdyż dostaliśmy tylko po parze spodni z mnóstwem łat i po bluzie w pasiaki z wielkim czarnym numerem na plecach i czerwonym trójkątem na piersi, również opatrzonym u dołu numerem oraz literą P. Numer był ten sam, co na worku z naszym ubraniem i miał od-tąd zastępować nam wszystko, czym byliśmy w życiu — imię, nazwisko, zawód i całą przeszłość, długą lub krótką, bo w transporcie znaleźli się ludzie podeszli wiekiem obok kilkunolet-nich chłopców. Większość jednak stanowili mężczyźni w sile wieku, około trzydziestki, jak ja — najbardziej niebezpieczni. Ja dostałem przez czysty przypadek pasiak raczej na moją miarę, co nie było bez znaczenia, gdyż nie pobudzało do znęcania się. Nie-szczęśnicy, którym jedna nogawka nie zakrywała kolan a druga opadała na stopę od razu przyciągali uwagę wszystkich dozorców w pasiakach czy w mundurach. Okazywali oni zadziwiającą jak na dorosłych mężczyzn skłonność do okrutnej zabawy z ludzkich śmieszności czy niedoślestwa. Należało to do żelaznego repertuaru ich żartów i najwyraźniej sprawiało im głębokie zadowolenie, gdyż utwierdzało ich w poczuciu wyższości.

Ja dostałem numer 4880. Tę cyfrę, wymawianą zawsze po niemiecku *achtundvierzig achtzig*, mogę wypowiedzieć głośno i wyraźnie nawet wyrwany ze snu w samym środku nocy. Podobnie jest z dwoma zdaniem, których nauczyłem się w parę godzin później. Wystarczyły one zupełnie do porozumienia się ze zwierchnikami przez cały czas uwięzienia i brzmiały: *Jawohl, Herr Kapo!* oraz *Häftling Nummer achtundvierzig achtzig mel-det sich an der Stelle.*

Wśród wielu spraw, które nie dochodziły wówczas do mojej świadomości, a które dzisiaj ze zdumieniem odkrywam, należą takie, że np. ani nie odczuwałem głodu w trakcie całego trans-portu w zamkniętym wagonie ani później zimna przez cały pierw-szy dzień pobytu w obozie. Panowały już wczesne jesienne chłody. Narażony byłem na nie jak nigdy w życiu. Powinienem je

był przeżyć silnie. Byłem bosi, z gołą świeżo ostrzyżoną głową i niemal nagi, gdyż pasiak z lichej i bardzo już spranej tkaniny nie zastępował nawet piżamy. Otóż nie zachowałem z tego ze-tknięcia z surowością przyrody żadnych złych wspomnień, cho-ciaż przez cały dzień aż do zmroku chodziłem bez butów po zwi-rowanych drogach, dźwigałem na *Industriehof* narecza dachówek i potem na kłęczkach czyściłem je z narosłych latami mchów, trąc jedną o drugą. Natomiast ostro zapadło mi w pamięć wszystko, co poprzedziło tę moją pierwszą niewolniczą pracę, kiedy po przemianie w więźniów wyszliśmy wszyscy ze starej łaźni. Mam wyraźnie w oczach obraz ogromnej gromady ludzi przypominających wyglądem raczej nędzarzy niż więźniów. Więk-szość nosiła pasiaki zupełnie nie dopasowane do ciała, o spod-niach różnej długości i kurtkach albo nie zasłaniających brzucha, albo sięgających do kolan. Kilkunastu miało na sobie stare wojskowe mundury różnych kolorów z ogromną kwadratową łatą na plecach. Paru wyróżniało się wymalowanymi farbą olejną na plecach i piersiach czerwonymi kołami. Później dowiedzieliśmy się od starszych więźniów z poprzedniego transportu, że w ten sposób oznaczano *Polizeihäftling*'ów przeznaczonych na szybkie rozstrzelanie, gdy większość z nas była tylko *Schutzhäftling*'ami, którym przysługiwało parę miesięcy życia. Drugi transport war-szawski liczył około sześciuset ludzi. Teraz tych sześciuset ludzi stało bezradnie na skraju placu w pobliżu łaźni i patrzyło na siebie z bolesnym zdumieniem. Nie wiedzieliśmy, co ze sobą zrobić, gdyż z chwilą przebrania w pasiaki zaczęło działać pierw-sze i chyba najgroźniejsze z praw więziennych: wszyscy zrozu-mieliśmy jasno, że nic od nas samych już nie zależy.

Przez pewien czas nikt do nas nie podchodził. Na obszernym podwórzu pośród schludnych domów, na wkrótce już dobrze nam znanym placu apelowym, nic się nie działo. Pod bramą uwięń-czoną napisem z ogromnych drewnianych liter „*Arbeit macht frei*”, przy budce wartowniczej stało dwóch eleganckich oficerów SS i przyglądało się nam, niedbale paląc papierosy. Za chwilę zniknęli za szlabanem. Wtedy dopiero spostrzegliśmy, że wokół placu w odstępach kilkudziesięciu metrów stali nieruchomo więź-niowie również w pasiakach jak nasze, ale dobrze skrojonych i noszonych z wojskową elegancją. Mieli nie tylko nowe trzewiki na nogach i berety na głowach, ale nawet kolorowe chustki na szyjach. Berety i chustki większość z nich formowała na sobie z fantazją, niemal jak w oddziałach skoczków spadochronowych. Najwyraźniej na kogoś czekali. Po pewnym czasie z wartowni wyszedł bardzo wysoki więzień, który zbliżywszy się do środka placu stanął, założył ręce za plecy i długo przyglądał się nam kołysząc głową, jakby nie mógł wyjść z podziwu, że w tak wzo-

rowym obozie mogła się znaleźć podobnie odrażająca gromada oberwańców. Wreszcie ruszył w naszym kierunku i zatrzymał się o kilkanaście kroków przed krawędzią tłumu. Znowu ogarnął nas spojrzeniem tak spokojnym i przenikliwym, jakim handlarz byłą ocenia nowo przypędzone stado. Kiedy przesuwiał wzrok po ludziach, to robił to tak, jakby wyławiał najbardziej potrzebne mu okazy. W oczach zjawiało mu się coraz spokojniejsze rozbawienie. Mogłoby ono uchodzić za życzliwe, gdyby nie błysk szczególnej ciekawości, jaką obdarzał więźniów o wyglądzie inteligentkim.

— Czy któryś z was — zapytał poprawną niemczyzną z twardym akcentem berlińskim — włada językiem niemieckim dość biegle, aby przetłumaczyć bez zmian to, co wam powiem?

Jeden w tłumie podniósł rękę.

— Chodź tutaj i stań obok mnie — rozkazał.

Błyski rozbawienia zjawiały mu się znowu w oczach, kiedy przyglądał się idącemu. Prezentował on inteligentką nieporadność w sposób pokazowy. Ubrał się natychmiast w to, co mu rzucono nie próbując zamienić się ze stojącymi obok. Spodnie o nierównych nogawkach sięgały mu zaledwie do połowy łydek, gdy kurtka z ogromną łątą na plecach opadała poniżej kolan. Wkrótce mieliśmy się przekonać, że ludzie o takim wyglądzie mieli przed sobą niewiele dni życia. I to przy pomyślnym zbiegu okoliczności, jeśli kapo natknął się w swoim komando na kogoś jeszcze zabawniejszego w odruchach przedśmiertnego strachu. Nasz kapo patrzył na bojaźliwy i niepewny chód wezwanego kandydata na tłumacza z takim napięciem, że pochylił się do przodu. Jego postawa udzieliła się kapom stojącym wokół placu. Stali się równie czujni i również pochyliłi ciała w jego kierunku. Widocznie oczekiwali czegoś, co budziło ich podziw, a czego myśmy zupełnie się nie spodziewali. Dopiero po kilku dniach dowiedziałem się, jakiego to popisu obozowego mistrzostwa nie było nam dane oglądać. Ten bardzo wysoki, szczupły, żyłasty, jakby zbudowany z samych twardych mięśni pod napiętą skórą mężczyzna należał podobno przed paru laty do elity świata przestępczego Berlina. Był najwybitniejszym i długo nieuchwytnym złodziejem samochodów. Ujęty, zdołał szybko w kilku kolejnych obozach koncentracyjnych zdobyć sobie także wybitną pozycję. Tak się wyróżniał jako kapo, że w Oświęcimiu sprawował już najwyższe stanowisko, jakie mógł osiągnąć więzień. Został starszym obozu czyli *Lagerältester*'em, zwierzchnikiem więźniów w zastępstwie władz właściwych z uprawnieniami równie nieograniczonymi. Miałem później sposobność widzieć parokrotnie, jak się wywiązywał z obowiązków tego urzędu.

Zjawiał się niespodziewanie w trakcie krótkich przerw na obiad, kiedy więźniowie czekali w kolejce przy studni na umycie miski albo po prostu snuli się po podwórzu w poszukiwaniu chętnych do zamiany okruchów chleba na okurek papierosa. Na widok jego wysokiej postaci, górującej nad wszystkimi o głowę, natychmiast powstawała pustka. Kto żyw, schodził mu z drogi tym *schnellschritt*'em, który był w obozie obowiązującym sposobem chodzenia. Zostawali kalecy lub ludzie starzy. Wtedy zdarzało się to, do czego nie doszło przy pierwszym z nim spotkaniu. *Lagerältester* nie zmieniając swego elastycznego, miarowego kroku gimnastyka przechodził obok niemrawego więźnia po jego lewej stronie i przy mijaniu kantem dłoni uderzał go pod nos. To z pozoru lekkie i jakby niedbałe dotknięcie działało jak strzał z pistoletu prosto w twarz. Uderzony nie poruszał nawet nogami, kiedy padał na ziemię. Obiegało powiedzenie, że łatwiej było popełnić samobójstwo nasuwając się pod rękę *Lagerältester*'owi niż pójść na druty.

Tym razem jednak do takiego pokazu nie doszło. Kapo dopuścił amatora przekładu na odległość ramienia, kilku celnymi szturchnięciami przycisnął mu ręce do bioder, włoczył brzuch, podniósł głowę i kazał patrzeć sobie w oczy.

— Będziesz tłumaczył wolno i głośno — znowu uderzeniem prawie niedostrzegalnym wcisnął mu brzuch i drugim wyprostował grzbiet — żeby każdy z tej nędznej bandy zrozumiał, co powiem.

Mówił potoczycie, okrągłymi zdaniami, wyraźnie lubował się swoim wystąpieniem. Naprzód oznajmił, że nie będzie zajmował się tym, czego dowiemy się od samego pana komendanta na wieczornym apelu. Radzi nam jedynie, abyśmy zapamiętali z tego przemówienia zdanie najważniejsze. Brzmi zaś ono tak: Napis nad bramą „Praca czyni wolnym” nie kłamie, gdyż z tego obozu także się wychodzi na wolność, chociaż tylko przez komin.

Powiedliśmy wszyscy oczami za gestem jego ręki, która wskazywała wysoki, czerwony komin. Komin działał. Wysnuwał się z niego rzadki, ciemny dym.

— Zanim jednak zamienicie się w taką smugę dymu — mówił — będziecie mieli sposobność dowiedzieć się paru rzeczy, które zrobią z was innych ludzi. Pozwolą wam mianowicie zrozumieć prawdziwe życie, zupełnie inne od tego życia, do któregoście przywykli. Należy zacząć ode mnie samego. Przyjrzyjcie mi się uważnie.

Odszedł o parę kroków, wyprostował i lekko obrócił w obie strony jak na pokazie mody.

— No i co? — zapytał po powrocie na poprzednie miejsce — skłonni jesteście przypuszczać, że macie przed sobą zwykłego

więźnia? Tak? Niechaj jednak nikogo nie myli mój pasiak. Nie radzę. Jestem *Lagerältester*, najwyższy wasz zwierzchnik wewnątrz obozu, zastępca pana komendanta, czyli ktoś, kto decyduje o waszym życiu lub śmierci. Nie rozumiecie? Zaraz to sam wyjaśnię.

Z jego wyjaśnień podawanych spokojnym równym głosem dowódcy przed frontem wynikało, że tej wysokiej godności dostąpił dzięki temu, że obóz koncentracyjny rządzi się najbardziej demokratycznymi prawami, jakie ludzkość dotychczas wynalazła. Więźniowie podlegają w nim mianowicie władzy innych więźniów. Ten samorząd korzysta ze swobód bardzo rozległych, gdyż panowie z SS wkraczają w życie wewnętrzne obozu jedynie wtedy, kiedy dostrzegą odchylenia od obowiązujących zasad albo też wtedy, kiedy wprowadzają nowe zasady. W gruncie rzeczy więc właściwym tokiem życia obozowego kierują mianowani przez nich więźniowie wypróbowani w dłuższym, przynajmniej paroletnim doświadczeniu. On sam może się pochlubić już sześciu latami pobytu w różnych obozach poczynając od doświadczalnych a kończąc na karnych, z jakich wychodzi się tylko tamtędy. — wskazał ręką na komin z taką samą, nikłą smugą dymu — ale on wyszedł przez bramę. Wprawdzie nie prowadziła ona na wolność, ale otwierała nadzieje, że po ostatecznym zwycięstwie, więc w przyszłości niezbyt odległej, będzie mógł na nią wstąpić. Dlatego postara się ze swojej strony zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby ten termin się nie odwlekał. Nie musi tłumaczyć, co to znaczy.

Potoczył po nieruchomym tłumie takim wzrokiem, że naprawdę zaparło dech w piersiach. Był całkowicie pewien zamierzonego efektu, gdyż uśmiech zadowolenia przemknął mu po twarzy.

Nie będzie zatem ukrywał — jego spokojnemu głosowi towarzyszył tak przerażony, że niemal zamieniony w krzyk głos tłumacza — że wykona to, czego się zwierzchność po nim spodziewa z całą bezwzględnością. Ci panowie kapo — potoczył ręką wskazując mężczyzn rozstawionych w głębi — spełnią dobrze swoje zadanie. Nic z tego, do czego przywykliście w poprzednim życiu, chronionym różnymi paragrafami, nie przeszkodzi im w wykonaniu obowiązku. A ich obowiązkiem jest narzucenie posłuchu, absolutnego i natychmiastowego, w sposób, który uznają za właściwy. Mówiąc po prostu, każdy z nich może za każde przewinienie — i tylko on sam określa jego rozmiar — ukarać śmiercią, kiedy zechce. Nie ma powodu, żeby bawić się w niedomówienia. Co wcale nie znaczy — wdawał się w te wywody z lubością — aby panowie kapo mogli dopuszczać się samowoli. Kara musi być surowa, ale sprawiedliwa. Chciałby być dobrze zrozumiany. Ze sposobu jej wykonania nie należy sądzić o słuszności. Czasami wymierzenie kary może wykonawcy sprawić przyjemność, nie

jest bowiem nigdzie powiedziane, że przy zadawaniu śmierci nie wolno odczuwać satysfakcji, jak przy każdej sprawnie wykonanej robocie. Nie wolno natomiast zabijać bez powodu dla zaspokojenia okrucieństwa, gdyż byłoby to zwykłym zabójstwem.

Po tych wyjaśnieniach będziecie już wiedzieli — teraz mówić jeszcze staranniej — jak pracować, kiedy udacie się do roboty. Zanim jednak to się stanie, powinniście się jeszcze dowiedzieć, że pan komendant udzielił wam dzisiaj wyjątkowego przywileju. Zwykle nikt nie pyta więźnia, jakiego kapo sobie wybiera, jak nikt nie pyta żołnierza, jakiego chce mieć kaprała. Tym razem jednak dla uczczenia pierwszego dnia pobytu w Auschwitz, co sobie zapamiętajcie na całe życie, pan komendant wam dozwala wybrać sobie bez żadnego przymusu, całkiem dobrowolnie, swojego zwierzchnika i opiekuna. Macie prawo wskazać kapo, któremu chcecie podlegać od tej chwili aż do wieczornego apelu. Wybrany kapo stanie się na te godziny waszym nauczycielem, ale i najwyższym sędzią. Wybierajcie zatem dobrze. Pamiętajcie, że taka okazja już wam się nigdy nie zdarzy. Przyjrzyjcie się uważnie stojącym na placu panom kapo, dokonajcie wyboru i stańcie przy tym, którego chcecie mieć dzisiaj za dowódcę. Daje wam trzy minuty czasu.

Wyjął z kieszeni starter, położył na otwartej dłoni, odczekał wyznaczony czas i krzyknął jak na stadionie sportowym — *Hopla! Schnell! Noch schneller! Leute!*

Podbiegliśmy ku środkowi placu rozciągając się w szeroką ławę. Kapowie stali w postawie na baczność, nie wykonanej jednak zbyt gorliwie. Jedni mieli berety na głowach, inni je trzymali w rękach przyciśniętych do ud. Można było podziwiać ich starannie utrzymane chociaż krótko przycięte fryzury. Ta dbałość o wygląd przebijająca także z eleganckich odprasowanych pasiaków i błyszczących żołnierskich trzewików. W samym środku, jakby wystawionych na pokaz, ścigało uwagę dwóch mężczyzn wyjątkowej urody, raczej jednak hiszpańskiej niż germańskiej. Smukli, wysocy, świetnie zbudowani, o wyrazistych jakby aktorskich ciemnych twarzach mogliby posłużyć za wzór dla esesmanów, jak wygląda oficer najlepszej armii świata, gdyby tej elity nie obowiązywał ideał jasnowłosego wojownika. Jeden z nich zwłaszcza, trochę młodszy, budził ufność ślicznymi orzechowymi oczami w smagłej twarzy. Zasnuwała ją lekka mgielka jakiejś zadumy czy marzenia. Nie patrzył na setki oczu utkwionych w niego z niepokojem pełnym nadziei. Zdawał się przebywać w obcym swoim świecie, dalekim od tego dużego placu otoczonego po dwóch stronach jednopiętrowymi budynkami dawnych koszar a zamkniętym niskim barakiem kuchni.

Na rozkaz wyrzucony z tyłu: Wybierać! Biegiem! — przy najmniej połowa więźniów rzuciła się na wyścigi do tego smukłego bruneta o wyglądzie tak sympatycznym. Druga połowa skupiła się wokół jego towarzysza, odstawiającego zęby w uśmiechu i wokół kilku innych kapo nie budzących lęku.

Przez krótką chwilę stałem sam. Od początku wystąpienia *Lagerältester*'a z napiętą, prawie bolesną uwagą przyglądałem się kapo stojącemu na prawym skrzydle. Coś w jego zachowaniu wskazywało, że nie bierze udziału w próbie z nowo przybyłymi więźniami. Z lekko pochyloną głową rysował grubym kijem jakieś zygzaki pod stopami, jakby cierpliwie oczekiwał, kiedy ta zabawa się skończy. Wyraźnie nie chciał do niej należeć i nie obawiał się tego okazywać. Może mógł sobie na taką niezależność pozwolić ze względu na wyjątkowo odpychającą a nawet straszną powierzchowność. Okrągłą głowę pokrywały mu twarde jasne włosy prawie się nie różniące od świńskiej szczeciny. Podobny kolor miały gęste brwi i zupełnie jasne rzęsy wokół małych bladych oczu. Jakby dla pełni obrazu nos miał zakłęsły, pewnie od uderzenia pięści, bardzo szerokie usta i ręce bawiące się kijem tak długie, że sięgały mu poza kolana.

Szybko, żeby nie zostawić sobie czasu na opamiętanie, pobiegłem i stanąłem obok niego. Nikt nie pobiegł za mną. On chwilę poczekał, czy ktoś jeszcze nie pójdzie w moje ślady, po czym przyjrzał mi się swoimi wodnistymi oczami spod szczeciny brwi z nieukrywanym uznaniem.

— Kim jesteś z zawodu? — zapytał.

— Profesorem — odpowiedziałem.

— Gimnazjalnym?

— Nie, w szkole wyższej.

— Czego tam uczysz?

— Historii teatru.

Westchnął głęboko ze współczucia czy zdziwienia i nie zmieniając życzliwego sposobu bycia, stuknął mnie pięścią pod brodę. Miał to być zapewne szturchaniec przyjazny, ale zaćmiło mi się w oczach.

— *Nun gut* — powiedział — ale odtąd nie jesteś żaden profesor, ale ogrodnik, rozumiesz?

— Rozumiem — zgodziłem się natychmiast.

— Powtórz.

— *Ich bin Gärtner* — zapewniłem gorliwie.

— Nie tak — poprawił mnie z gniewem.

— Nie rozumiem.

Znowu, tym razem bez pobłażliwości, uderzył mnie pod brodę kantem dłoni. — *Scheiss und Tausend Jahre alt Grossvater*

blutige Scheiss — masz powtórzyć jak należy: *Ich bin Gärtner, Herr Kapo!*

— *Jawohl, ich bin Gärtner, Herr Kapo!* — zapewniłem z całym przekonaniem.

Trącił mnie ramiem po koleżeńsku, co było niezwykłym wyróżnieniem, z którego jeszcze wówczas nie zdawałem sobie sprawy. Zwłaszcza, że było ono wstępem do rozmowy, na jaką nie zasłużyłem niczym oprócz mego ryzykanckiego postępku.

— Widzę, że rozumiesz po niemiecku — zaczął rozglądając się po placu, gdzie kapowie ustawiali piątkami oddziały liczące po 60-70 ludzi.

— Tak jest, rozumiem, panie kapo.

— Słuchaj zatem i zapamiętaj każde słowo. Powtórz.

— Będę słuchał i zapamiętam każde słowo, panie kapo.

— Dobrze. Jestem już więźniem od sześciu lat. Przeszedłem przez liczne obozy. Żyję. A wiesz dlaczego?

Milczałem.

— Dobrze, że nie odpowiadasz. Bo nie wiesz. Zaraz ci powiem. Dlaczego, że trafiłem na dobrych ludzi, którzy mnie poznali z największą prawdą obozową. Co mówi ta największa prawda? Mówi, że w obozie pracować nie wolno. Kto pracuje, ten ginie, rozumiesz?

— Rozumiem, panie kapo.

— *Scheiss*, jeszcze nie rozumiesz, ale za parę dni zrozumiesz, jeżeli przeżyjesz. Przekonasz się od dzisiaj, że dostaniesz tylko tyle żarcia, żeby przy dwunastu godzinach pracy na zimnie przeżyć cztery tygodnie. Tyle wam przeznaczono dni do gazu, dwadzieścia osiem, zapamiętałeś?

— Zapamiętałem, panie kapo.

— Każdy więc wasz wysiłek, to krok do śmierci z własnej woli, rodzaj samobójstwa, a ty pewnie nie chcesz umrzeć, co?

— Nie chcę, panie kapo.

— Masz rodzinę?

— Mam żonę i córkę, panie kapo, ale ja nie dlatego...

— Stul pysk. Jeszcze nie wiesz, czy ja nie pobiegnę do *Schreibstube* i nie doniosę. Ale ja nie doniosę. Ja też chcę przeżyć z podobnego powodu. Dlatego ci mówię, że w obozie pracować nie wolno, tak?

— Tak, panie kapo.

— A teraz uważaj. Nie wolno pracować, ale tym bardziej nie wolno okazać że się nie pracuje. Kto się z tym zdradzi, ten ginie jeszcze prędzej niż ten, który pracuje, rozumiesz?

Nie odezwałem się.

— Nic nie mówisz? Słusznie. Nie trzeba udawać, że się rozumie, jak się nie wie. Ty jeszcze nie wiesz, że kto nie chce pra-

cować i tego nie ukrywa, ten umiera trudną śmiercią. Ja sam go zabiję. Będę musiał go zabić, żeby samemu przeżyć. Nie wiesz, że umiem zabijać. Umiem. Zobaczysz.

Grupa kilkudziesięciu więźniów prowadzona przez młodego kapo, który posuwał się tak lekko, jakby płynął przez powietrze, zbliżała się do nas w nieładzie. Składała się głównie z ludzi mających od razu wygląd żalosny. Biła z nich rezygnacja świadcząca, że nie będą się opierać swemu losowi. Widocznie przy spędzaniu ich razem dokonano pierwszej selekcji.

— Masz to swoje komando, Horst — krzyknął z szerokim uśmiechem kapo i zatrzymał się, żeby przepuścić niemrawy tłum. Sami wybrani. Dawno już takich nie miałeś. Życzę przyjemnej zabawy.

Wziął w zęby witekę, którą zapędział drepzczący oddział jak stado gęsi. Najwyraźniej świetnie się bawił. Lekkim krokiem sportowca, który szykuje się do treningu pobiegł do swego oddziału ustawionego piątkami. Jego komando nabrało już trochę geometrycznej formy. Tak zresztą wyglądały również inne oddziały przemierzające plac w różnych kierunkach. Smukły kapo o marzącym spojrzeniu szedł obok swojej grupy maszerującej sprawnie. Przyspieszał kroku albo zwalniał oglądając mijające go piątki, jakby chciał się zapoznać z ludźmi, którzy stłoczyli się do niego z takim pośpiechem. Twarz miał zakrzepłą w wyrazie jakiegoś niemal bolesnego oczekiwania.

Mój kapo wskazał na niego kijem.

— Dlaczego nie zgłosiłeś się do niego razem ze wszystkimi?

— Bałem się — odpowiedziałem.

— Czego?

— Jego.

— Może ty się tu i uchowasz — uśmiechnął się po raz pierwszy i inteligencja tego rozbawienia sprawiła, że jego brzydota już nie raziła. Mimo to więźniowie świeżo przybyli patrzyli na niego z ponurą obawą.

— Powtórz tym swoim kolegom to, co ci powiedziałem. I uprzedź ich, że tego, kto to doniesie, ja od razu zabiję, a ponadto zabiję i ciebie. Będę musiał się bronić. Rozumiesz?

— Tak jest, panie kapo.

— A o tym przystojnym kapo to się niedługo czegoś dowiesz.

Dowiedziałem się tuż po powrocie z roboty. Wiadomość rozniosła się błyskawicznie. Piękny kapo zatopiony w marzeniach zabił siedmiu więźniów ze swojego komando.

Robił to ze spokojną, bystrą ciekawością, jaka cechuje prawdziwych badaczy, kiedy w laboratoriach usiłują odkryć któryś z sekretów życia. On pragnął może odkrycia jeszcze większego sekretu, sekretu śmierci. Swoich dociekań dokonywał w sposób

umiejętny i celowy, najwidocznie wyniesiony z często uprawianej praktyki. Prosił mianowicie niezręcznego więźnia głosem łagodnym i życzliwym, żeby położył się na ziemi z szeroko rozrzuconymi ramionami. Dopomagał mu nawet popchnięciem wyczyszczonego buta. Po czym stawał w rozkroku na tych rozciągniętych rękach i zaostrzoną laskę, jaką się dotąd wciąż bawił, opierał sztorcem na grdyce karanego. Wyszukiwał tchawicę lekkimi dotknięciami i albo naciskał krtań tak gwałtownie, że od razu przebijał gardło, albo też robił to stopniowo zwalniając parokrotnie ucisk w chwili, kiedy źrenice skazańca uciekały już pod górną powiekę. Przez cały czas egzekucji wpatrywał się uważnie w twarz ofiary, w jego oczy naprzód błagające o litość, potem wytrzeszczone z przerażenia i wreszcie zachodzące mgłą śmierci. Pochylony do przodu nie oglądał się za siebie. To, co się działo za jego rozkraczonymi nogami, znał z pewnością na pamięć. Wiedział dobrze, kiedy ciało wypręża się łukiem na piętach wbitych w trawę, a kiedy szamoce się i kopie ziemię, jakby umierający usiłował zerwać się do ucieczki.

Po wymierzeniu kary, kiedy już ciało zwiotczało, kapo otrząsał się z tego zapamiętania w robocie i zaczynał dostrzegać ludzi ze swego oddziału. Wodził po nich nieruchomych i zdrętwiałych ze zgrozy, zdziwionymi oczami.

— *Es ist schrecklich, Leute, nicht wahr?* — zapytywał, jakby sam się dziwił temu, co zrobił — *Natürlich, Leute, das ist schrecklich, aber das ist ganz wahrscheinlich und ganz notwendig, nicht wahr, Leute, verstehen sie, Leute?*

Przy powrocie, kiedy komanda znowu wkraczały piątkami na plac, smukły kapo szedł lekkim, prawie tanecznym krokiem przed swoim oddziałem. Na końcu niesiono zwłoki zabitych, składano je na końcu dwuszeregu, aby w raporcie liczba obecnych była zgodna ze stanem. Mogliśmy wtedy przekonać się, że i w innych komandach zdarzało się to samo, chociaż nie w takich rozmiarach. Drugi z urodziwych kapów, ten olśniewający uśmiechem białych zębów, zabił uderzeniem pięści pod nos trzech więźniów, a pocziwiec o wyglądzie parobka jednego. Raczej jednak z winy niedołągi, który mu się w porę nie usunął spod pięści, kiedy na niego groźnie ruszył, aby go tylko nastraszyć.

Nasz kapo nawet nie trącił nikogo swoim grubym kijem, chociaż wymachiwał nim nad naszymi pochylonymi plecami z takim rozmachem, że przechodzący esesmani poklepywali go po ramieniu. Sposób, w jaki sobie radził wart jest oddzielnego opisu. Spędziłem pod jego opieką — to słowo jest tu na miejscu — pierwsze sześć dni pobytu w obozie. Wykonywaliśmy w czterdziestu pracę uchodzącą za morderczą nawet w Oświęcimiu. Prze-

nosiliśmy mianowicie z betoniarni na krańce obozu półtonowe słupy, tak zwane faje, które do dzisiaj podtrzymują druty kolczaste otaczające teren. Wówczas przewodziły one jeszcze prąd elektryczny pod wysokim napięciem. Tutaj nasz straszny dowódca popisował się wciąż umiejętnościami, które zasługują na wprowadzenie wszędzie tam, gdzie praca wzbudza gniew i nienawiść. Doły dla tych słupów musiały wynosić metr średnicy i półtora metra głębokości. Otóż — aby poprzestać tylko na tym przykładzie — póki nie wykopaliliśmy tych dołów przynajmniej na głębokość pół metra, nie rozginaliśmy grzbietów i ziemię wyrzucaliśmy w górę z taką siłą, że wyglądało to na odkrycie podziemnych źródeł. Kapo krążył wokół nas z podniesioną pałką i na widok któregoś ze zwierzchników wybuchał wrzaskiem, jakim mało kto umiał się popisać. Wyzywał nas od „świńskich psów”, „zdechłych krów”, „śmierdzących trupów”, „gnuśnych i głupich bydła”, które dopiero on nauczy porządnie pracować. Umiał nawet spuścić kij na tył kopacza zupełnie bezboleśnie, ale z głębokim trzaskiem. Kiedy jednak doły osiągnęły taką głębokość, że można już było się w nich ukryć, rozkazywał nam wtulić się w ziemię, przycisnąć się do siebie, aby nie dopuścić do utraty ciepła i siedzieć bez ruchu trzymając jednak na wszelki wypadek łopaty wypełnione piaskiem. Przy pierwszym ukazaniu się w oddali munduru kapo rozpoczynał wokół dołów swój oszalały taniec, a my wyrzucaliśmy w górę przygotowany zapas ziemi z takim zapałem, że nie było bezpiecznie znaleźć się w pobliżu. Toteż dzięki takim popisom pracowitości nie roztaczano nad nami ciągłej kontroli i mogliśmy siedzieć w spokoju opierając się o nagrzaną ziemię przez czas dłuższy. Udawało się nam zyskać dla życia nawet kilkadziesiąt minut.

Po sześciu dniach jednak otrzymaliśmy, już jako *Gartenkommando*, polecenie bodaj jeszcze trudniejsze i bardziej niebezpieczne. Kazano nam mianowicie przenieść na inne miejsce pagórek wznoszący się w ogrodzie za willą, którą przed wojną zajmował dowódca pułku a obecnie sam pan komendant Hess. Pan komendant Hess nie miał z okna swej sypialni dobrego widoku na koszary SS, dokąd udawał się co rano dla sprawowania swego urzędu. Również stamtąd nie mógł oglądać bez przeszkód swego domu, który jako dobry mąż i ojciec chciał mieć na oku. Rozumie się samo przez się, że przy tej robocie nie wolno nam było zmieniać niczego ani w kształcie pagórka, ani w rozmieszczeniu krzewów i wieloletnich kwiatów. Wykonanie tej pracy mogłoby stanowić wzór, dzisiaj dla nas niedosiężny, dla pielęgnacji zabytkowych parków. Ze względu na doniosłość zadania dołączono do naszego komanda jeszcze dwa inne i przydano do nadzoru aż trzech nowych kapo. Zaopatrzone też nas w potrzebny sprzęt.

Znieśliśmy na miejsce taczki, łopaty, łomy oraz szerokie i długie deski. Deski te służyły za drogi. Należało po nich przetoczyć biegiem taczki wypełnione ziemią albo, co gorsze, wykopanymi wraz z ziemią krzewami. Stały się też one dla ludzi posługujących się nimi po raz pierwszy w życiu czymś w rodzaju cyrkowej liny, po której trzeba było przebiec w górze nad areną. Ześlizgnięcie się taczek z deski nie było wcale mniej niebezpieczne niż upadek w cyrku. Do niezdary rzucał się natychmiast jeden z kapów i pomagał mu uderzeniami pałki wdrapać się wraz z ciężarem na tor szybko, aby nie stawał na przeszkodzie innym biegnącym. Przy wypadkach cięższych, kiedy ulegały uszkodzeniu przewożone rośliny, do sprawy podbiegało paru dozorców, a jeśli ich zachęta do podniesienia taczek nie skutkowała, *Kommandoältester* dowodzący całością przystępował do wymierzenia kary. Nosiła ona nazwę „huštawki”, gdyż polegała po prostu na tym, że kapo kładł stylisko łopaty na gardle powalonego, stawał w rozkroku na kiju i kilku mocnymi wahadłowymi ruchami dawał oddech. Nie zdarzało się to jednak często. Po ukończeniu roboty w pięć dni naliczyliśmy ledwie dwóch czy trzech zabitych. Nasz kapo wciąż wymachujący pałką nie miał na sumieniu żadnego.

Do raportu o wykonaniu polecenia stanęliśmy po porannym apelu. Ledwie świtało. Wczesny przygruntowy przymrozek, jak to ładnie mówią ogrodnicy, pokrył trawę szronem i asfalt, po którym wybijał się takt w marszu bosymi stopami, parzył jak rozpalona blacha. Każde ziarno żwiru wdierało się w podeszwy ostrym ukłuciem. Kapo ustawił nas w dwuszeregu tuż przed domem komendanta. Obrzucił nasz oddział spojrzeniem, które dawało do zrozumienia, że tym razem stawka jest bardzo wysoka, gdyż waha się między dodatkową porcją zupy i szubienicą. — *Rube, meine Knechte* — powiedział. — Gdyby któremu z was zechciało się kaszlnąć, to... Wskazał oczami taczki, które ustawił równym rzędem na końcu oddziału. W każdej z nich starczyły po dwie łopaty tworzące idealnie równy płot. Z doświadczenia poprzednich dni wiedzieliśmy dobrze, jaki użytek można zrobić z trzonków tych łopat. Nie ośmieliliśmy się więc poruszyć nogami, w których zanikało czucie. Z gęstych zarośli nad Sołą majających za drutami wpełzały wolno białe tumany mgły. Niosły ze sobą przenikliwy poranny chłód.

Po kilkunastu minutach uchyliły się drzwi z boku willi i na schodki wyszła duża, tęga dziewczyna w fartuchu opiętym na wydatnym biuście. Poziewała smacznie, zaplatając gruby warkocz. Zeszła parę kroków, żeby się przyjrzeć nieruchomym więźniom. Jej dużą twarz z rumianymi policzkami wykrzywił uśmiech złej, triumfującej kpiny. Demonstrowała nim przynależność do Narodu Panów. Skinęła palcem na naszego kapo, który po obejrzeniu

frontowych okien posłał jej całusa z ostrożnym cmoknięciem. Kiedy uspokoiła go ziewnięciem służącym za znak, że w domu jeszcze śpią, podbiegł do niej skradającym się krokiem. Zniknęli za węglem willi i tylko podniecone piski dziewczyny i mocne klaśnięcia świadczyły, że nasz dowódca nie przestał być mężczyzną. Widocznie jednak coś zaszło w domu, gdyż służąca w kilku ciężkich susach dopadła drzwi, a nasz kapo podbiegł do dwuszeregu i wyprężył się na jego prawym skrzydle.

Dom nie zdradził jednak żadnego ruchu. Nikt nie przesunął się nawet za białymi marszczonymi firankami. Mimo to stanęliśmy wyprężeni z rękami przyciśniętymi do ud. Trwało to długo. Mgły znad rzeki po przepełnieniu przez zasieki z drutów kolczastych zaczęły się podnosić postrzępionymi smugami. Wkrótce przestroniły strażnika na wieży z wycelowanym w nas karabinem maszynowym. Natychmiast zaczął coś śpiewać niskim gardłowym głosem, żeby w ten sposób zapewne dać znak, że czuwa.

Nagle drzwi rozchyliły się szeroko, jakby ktoś je otworzył mocnym pchnięciem — *Hab Acht* — zapał kapo, któremu głos uwiązał w gardle. Wbiliśmy oczy w drzwi, gdyż staliśmy wyprężeni już od dawna. W drzwiach nie ukazał się jednak pan komendant Hess. Wyszedł z nich mały, może pięcioletni chłopiec w krótkich tyrolskich spodenkach, ledwie widocznych spod obcisłego zielonego munduru z błyskawicami SS na czarnym kołnierzu. Nie nosił jednak czapki ze srebrną trupią główką. Był z gołą głową. Płowe włosy miał ostrzyżone na modłę przyjętą wśród wyższych oficerów i dostojników partyjnych. Dał jej początek przed wielu laty marszałek Hindenburg, a obecnie utrzymywał ją Reichsführer Himmler. Na wzór uwielbianego zwyczajcy znad Jezior Mazurskich małe miał skronie wystrzyżone niemal do skóry, a na głowie krótką szczotkę włosów. W ręku niósł krótki karabinek Mauser fabrykowany chyba specjalnie dla dzieci dygnitarzy, gdyż broń nie wyglądała wcale na zabawkę. Spojrzeliśmy po sobie z niepokojem, czy to przypadkiem nie na nas zechce wypróbować celności swego sztucera. Chłopak jednak nie zaszczycił nas uwagą. Widocznie miał ciekawsze zadania. Ustawił się przy wejściu na rozstawionych szeroko nogach z karabinem przy prawej stopie odchylonym na długość ramienia. Przypominał postawę grenadierów Fryderyka Wielkiego trzymających straż przed jego gabinetem. Po czym zaczął przerabiać główne ćwiczenia musztry tupiąc nogami i uderzając kolbą o beton ganku. — *Ein, zwei und drei* — powtarzał sobie wysokim dziecinny głosem ze skupioną uwagą. Poruszał się bardzo sprawnie. — *Sehen Sie, Scheiss* — powiedział z uznaniem nasz kapo — *wunderbar, Scheiss, nicht wahr?* — Urwał, nagle i zachrypiął: *Achtung! Mütze ab!* — Wlepiliśmy znowu oczy w otwarte drzwi.

Jednak i tym razem nie ukazał się w nich komendant. Sprężystym krokiem, błyskając wyczyszczonymi butami wyszedł z domu chłopiec ośmio- czy dziewięcioletni. Ubrany był w pełny mundur esesmana z dystynkcjami podoficera, Rottenführera czy Oberrottenführera. Przy boku miał kordzik zawieszony na rapciach, w ręku trzymał trzcinę, stanowiącą niemal atrybut obozowego oficera. Obdarzona była mocą większą niż niegdyś berło królewskie. Jej niedbałe skinienie skazywało na śmierć lub darowało życie. Urosła do niebywałej potęgi, kiedy nieprzebrane tłumy starców, kobiet i dzieci szły wprost z wagonów do komór gazowych.

Chłopak w mundurze esesmana posłużył się nią dla wymierzenia kary. Wskoczył na taras unosząc ją wysoko w górę i wrzeszcząc wysokim, łamiącym się głosem. W drugim ręku trzymał czapkę z czarnym otokiem. Słowo „*Scheisse*” w różnych obozowych odmianach, *Scheissedreck*, *Scheisseschweineerei*, *Scheissfresse*, *Scheisswagen* wypełniało ten przeraźliwy krzyk. Wtoczył niesioną czapkę na głowę malca i osadził ją mocniej uderzeniem trzciną w głowę. — *Hab' Acht!* — pisnął czerwony z gniewu. Młodszy chłopak nie podniósł nawet ręki do bolesnego miejsca. Widocznie wydarzyło mu się to nie po raz pierwszy. Wyprężył się na baczność. Starszy wciąż z tą samą kaprałską popędliwością uczył go chwytów przy komendzie: *Prezentuj broń!* Trzcinę włożył pod pachę i bez względu na sprawność przy wykonywaniu ćwiczeń wymierzał swemu podkomendnemu bezlitosne policzki. Małemu głowa latała na wszystkie strony, łyż ciekły po obitej twarzy, ale nie wydał z siebie skargi. Przeciwnie, w oczach miał jakby dumę z udziału w tak trudnej zabawie.

Pan Komendant ukazał się w drzwiach całkiem niespodziewanie. Odwrócony tyłem poprawiał na pasie kaburę ciężkiego pistoletu. Nasz kapo dostrzegł go pierwszy. — *Hab' Acht!* — zachrypiął z uniesieniem, chociaż przez cały czas staliśmy wyprężeni z głowami zwróconymi w kierunku drzwi. Ten wrzask wytrącił starszego chłopca z pedagogicznego zapału. Odskokzył od brata i stanął w rozroku z lewą ręką wspartą na biodrze, a prawą uniesioną do góry. Trzciną nakazał bratu uwagę i kilku rozkazami wydanymi piskliwym głosem ustawił go w pozycji „*prezentuj broń*”. Wtedy podszedł do ojca na sztywnych nogach, zasałutował kordzikiem, zwał z trzaskiem buty i naśladując przyjęte szczekanie wyrzucił z siebie słowa meldunku. Pan Komendant Hess przyjął raport w postawie na baczność. Podniósł nawet dłoń do daszka czapki. — *Wolno wydać rozkaz: spocznij* — powiedział z całą powagą i dopiero kiedy chłopcy wykonali polecenie, dał upust powstrzymanej radości. Wybuchając raz po raz szczęśliwym śmiechem, poklepał starszego synka po obu policzkach, podniósł młodszego do góry, wyciął czerwona od ude-

rzeń, lśniącą od łez ale promieniejącą z dumy twarzyczkę i przytulił obu do nóg. Wpatrywali się w niego rozkochanymi oczami. Wreszcie popchnął ich lekko do drzwi. — Idźcie do Mutti — powiedział — na mnie czas. Słowo „mateczka” miało w sobie miękkość skrzydeł anioła, który przypadkiem zabłąkał się w ten świt i umknął przerażony.

Do nas zszedł po kilku stopniach schodów ciężkim żołnierskim krokiem. W zachowaniu nie miał już nic z poprzedniego sposobu bycia. Najwyraźniej umiał oddzielić życie prywatne od urzędowego. W tym życiu urzędowym nie mieścił się chyba zupełnie stosunek osobisty do ludzi poddanych jego władzy, tak ogromnej, że podobnej trzeba by szukać u wodzów plemion barbarzyńskich, czy u królów miast rządzących się prawami okrucieństwa, jakiejś Asyrii czy Babilonii. Był kimś więcej niż przysłowiowym panem życia i śmierci. Był tylko panem śmierci. Nie wbijało go to w pychę ani nie wyzwałało w nim utajonej żądzy panowania, gdyż zupełnie nie zdawał sobie sprawy z potęgi, jaką go jego państwo obdarzyło. Śmierć pięciu milionów ludzi nie różni się w zasadzie od śmierci jednego człowieka, jeśli dokonuje się w majestacie prawa. Śmierć jemu podległa leżała w interesie państwowej instytucji, którą starał się kierować, jak przystało przyswoitemu urzędnikowi. Przecież to nawet nie od niego zależało, kiedy i w jaki sposób ma ją zadać, gdyż rozstrzygały to rozkazy z góry. Przychodziły do niego w kopertach opatrzonej pieczęcią: „ściśle tajne”, „tylko do użytku służbowego” i „zniszczyć zaraz po przeczytaniu”. Któż ośmieliłby się nie być im posłuszny? Toteż on z zupełnie czystym sumieniem dbał tylko o to, żeby zakład utylizacyjny, jemu powierzony, działał sprawnie i przynosił jego państwu zamierzone korzyści. Nie wydaje się zresztą, aby wówczas, jesienią 1940 roku przewidywał, jak ogromnym zadaniem niedługo przyjdzie mu sprostać. Nie obejmował wyobraźnią, jeśli się kiedykolwiek do wyobraźni odwoływał, tych tysięcy ludzi, mieszkańców całych miast, jacy w olbrzymim pochodzie będą szli całymi dniami do niskich prostokątnych budynków u stóp czerwonych kominów. Tymczasem jego obóz liczył zaledwie 8.000 więźniów i tylko tym różnił się od kilkudziesięciu podobnych obozów, że przeprowadzał doświadczenie specjalne. Miał za zadanie mianowicie sprawdzić, jak bez uciekania się do masowego morderstwa doprowadzić do śmierci w ciągu czterech tygodni mężczyzn młodych, zdrowych i rozporządzających jeszcze pełnią sił. Wśród sposobów stosowanych nagminnie przez prostaków czyli głodu, strachu i pracy ponad ludzką wytrzymałość znalazły się również i takie, o jakie się prostaków na ogół nie posądza. Dowodzą one bowiem dosyć przenikliwej wiedzy o człowieku, którego się zamierza zgładzić. Zasługują więc na uznanie

jako sztuka niszczenia. O jednym z takich zabiegów mieliśmy się wtedy dowiedzieć.

Nic jednak nie zapowiadało niebezpieczeństwa. Pan Komendant Hess zupełnie nie budził tej grozy, jaką później legenda otaczająca jednego z najgłośniejszych ludobójców przydała jego nazwisku. Nie miał w sobie nic z Himmlera, łagodnego zwyrodnialca o cofniętej szczęce, ani z Goebbelsa, kulawego diabła tej religii głupców, obdarzonego przenikliwą i bezlitosną inteligencją. Nie wyróżniał się zupełnie z tysięcy roślących, dobrze odżywionych i dobrze umundurowanych mężczyzn, którzy wtedy defiladowym krokiem przemierzali zdobyte stolice Europy. Był pospolity w całym znaczeniu słowa. W odświętnym garniturze cywilnym wyglądałby na zamożnego rzemieślnika, może nawet na starszego cechu, i cieszyłby się wśród sąsiadów nieposzlakowaną opinią jako solidny majster i wzorowy ojciec rodziny. W mundurze wojskowym nie zdradzał także jakiejś chęci wyróżnienia się. Nosił się skromniej od wielu swoich podwładnych, którzy z dala od frontu błyszczeli oficerską elegancją i wobec śmierci, cudzej, demonstrowali zachowanie twardego żołnierza. Hess nie przybierał żadnej pozy. Zapewne taki niepoważny pomysł nie przyszedł mu do głowy. Nosił mundur żołnierski z tej zielonkawej wełny *feldgrau*, której włochatość i mięsistość budziła w nas rozpaczliwą zazdrość. Wyobraźnia podsuwała ciepło, jakiego musiał doznawać pod tym mundurem, pod kilku warstwami miękkiej bielizny, w grubych butach na wełnianych skarpetach, w ciepłej czapce chroniącej głowę przed powiewem tej mroźnej wilgoci, która nas przejmowała do szpiku kości.

Nasz wygląd musiał go czymś urazić, gdyż cień niezadowolenia przesunął się po jego szerokiej mięsistej twarzy. Skinął palcem na kapo, a ten natychmiast podbiegł do niego i w przepisaną odległość trzech kroków stanął wyprężony z czapką przyciśniętą do uda. Komendant jednak odsunął go na bok niedbałym ruchem ręki i podszedł do naszego komando. — *Mütze ab!* — wychrypiął kapo, jakby go ktoś chwycił za gardło. Podnieśliśmy ręce do ogolonych głów i przycisnęliśmy je do bioder z nieistniejącymi czapkami.

— Czapkę nie przysłano? — zapytał.

— Tak jest, Panie Komendancie, melduję posłusznie, że nie przysłano — wyznał kapo z takim strachem, jakby osobiście ponosił winę za to, że nasze wykonanie rozkazu uchybiało regulaminowi.

Komendant popatrzył na nasze bose stopy w kolorze brudnego śniegu i skrzywił się znowu. Zapewne taki sam grymas miał na twarzy, kiedy ktoś przesunął linijkę na jego biurku.

— Butów także nie ma?

— Tak jest, Panie Komendancie, melduję posłusznie, że jeszcze nie nadeszły.

— A skarpety?

— Skarpet, Panie Komendancie, melduję posłusznie, magazyn nie wydaje przed rozdaniem obuwia.

— Wojna, *Scheisse* — z lekkim westchnieniem wymamrotał Hess, jakby się przed kimś niewidocznym ale wszechobecnym usprawiedliwiał. Widocznie w jego umyśle, wypełnionym od małego czią dla porządku, kilka najkonieczniejszych „sort mundurowych” przysługiwało nawet więźniom skazanym na śmierć z głodu i wysiłku w ciągu czterech tygodni. Dopiero masowe transporty do gazu w następnych latach i odrażający widok czołgających się za drutami „muzułmanów” skłoniły go do zmiany przyzwyczajzeń. Należy przypuszczać, że nie obyło się to bez moralnych oporów.

Nasz zakrzepły w oczekiwaniu dwuszereg i ustawione za nim taczki ze sterczącymi łopatami przypomniały mu rozkaz wydany przed tygodniem.

— Melduj! — w głosie komendanta odezwała się wyraźna niechęć.

Kapo wystraszony tym tonem doniósł posłusznie Panu Komendantowi, że jego rozkaz przeniesienia pagórka o 256 metrów na północny zachód od miejsca pierwotnego został w dniu wczorajszym wykonany. Komando ogrodnicze tutaj obecne, spełniło to zadanie ściśle stosując się do instrukcji. Pagórek w nowym miejscu zachował dokładnie kształt, jaki miał w poprzednim. Nie stracił niczego z dawnych właściwości. Murawa, cięta i przenoszona numerowanymi pasmami, została ułożona na trzydziestocentymetrowej warstwie urodzajnej ziemi, a krzewy i bulwy parosezonowych kwiatów posadzono tak, jak rosły. Przed wykopaniem oznaczono ich położenie wobec stron świata, co pozwoliło nie narażać roślin na trud przystosowania się do zmienionych warunków. Może Pan Komendant zechce łaskawie rzucić okiem na wykonaną pracę, aby sprawdzić czy mimo usilnych starań nie dopuszczono się jakiegoś uchybienia. Gdyby tak się stało, winni ponieść karę, na którą zasłużyli niedbalstwem.

Hess nie zwrócił nawet głowy w kierunku pagórka, który wznosił się teraz po lewej stronie willi. Prawdopodobnie ten sposób zachowania przewidziany był również w systemie przesładowań wiodących do zagłady.

— W poprzednim położeniu — powiedział z zupełną obojętnością — pagórek wyglądał lepiej. Przenieść z powrotem.

Nietrudno się domyślić, jak przebiegała teraz robota, do której pobiegliśmy natychmiast z głośnym turkotem taczek po zlod-

waciałych grudach. Nad komando unosił się wrzask kapów, migotanie ich pałek i chrapliwy oddech więźniów. Taczki ciągle zsuwały się ze swoich torów, sześciany murawy rozpadały się przy spadaniu i łopaty częściej służyły do „huštawki” niż do przerzucania ziemi. Kiedy znowu po tygodniu nasz *Kommando-führer* mógł zameldować *Lagerältester*’owi o zakończeniu roboty, z zespołu czterech oddziałów wykonywujących to zadanie ubyła przynajmniej trzecia część więźniów.

Wolno przypuszczać, że ten rodzaj udręki wymyślony był na przód przez Niemców dla Niemców. Istotnie, społeczeństwo nawiąże w równej mierze do posłuchu jak do dobrej roboty musiało bardzo boleśnie przyjmować praktykę, w której posłuch służył do roboty bezużytecznej. Nasze doświadczenie wskazywało, że taka zasada miała zasięg znacznie rozleglejszy. Pomysł wyniszczenia przez pracę pozbawioną sensu godził w tę potrzebę ludzką, która zbudowała cywilizację i stała się cechą niemal wrodzoną — w nawyk działania skutecznego. Przejawiał się on z siłą prawie irracjonalną. Przecież tę robotę wykonywaliśmy na polecenie człowieka, który był dla nas wcieleniem bezlitosnej przemocy. Powinna była zatem na zdrowy rozum wzbudzić w więźniach, do niedawna ludziach wolnych a teraz obróconych w najędźniejszych niewolników, zacieklą nienawiść. W dodatku miała zadowolili kaprys wielkorządcy, więc pozbawiona była rozumniejszych uzasadnień. A jednak nie tylko strach przed karą sprawił, że wykonana była porządnie. Wciągała, jak ambicja prześcignięcia wrogiej czy współzawodniczącej brygantyny udzielała się zapewne galernikowi przykutemu do ławy pod pokładem. Wypruwał on z siebie resztę sił w tych zawodach, a potem może nawet uśmiechał się, kiedy jego okręt zwyciężył. Popadłby jednak w zupełną rozpacz i bez oporu pozwolił się zatłuc dozorczy, gdyby przez swój mały otwór dla wiosła spostrzegł, że nie było żadnej walki ani wyścigu, ale zmuszono go do śmiertelnego wysiłku tylko po to, żeby był to wysiłek śmiertelny.

W tym miejscu mogę już wyjawić powód, dla którego powróciłem do tych wspomnień, właściwie głęboko upokarzających. Niechęć przemogła znowu żywa przyjaźń dla narodu, do którego należę nie tylko z fatalizmu urodzenia, ale i ze świadomego wyboru. Od roku 1945 miałem nieraz sposobność do opuszczenia kraju, który popadł w niedolę, pełną niezrozumiałych krzywd i niezasłużonych upokorzeń. Nie uległem tej pokusie jedynie dlatego, że wyjazd byłby w moim rozumieniu ucieczką. Hańbę ucieczki już kiedyś przeżyłem i nie chciałbym jej znowu doznać.

Stało się to również w Oświęcimiu. Wysoki okup wręczony oficerowi z Alei Szucha sprawił, że znalazłem się na liście ośmiu więźniów zwolnionych z obozu. Nastąpiło to chyba w samą porę, gdyż przy twarzy osmalonej na wietrze i opuchłej z głodu ważyłem już tylko 34 kg. Niewiele zatem brakowało do stanu, kiedy nie podejmuje się już obrony życia.

Po przebraniu się w dawne cywilne ubranie, z którego nie zginęła nawet chusteczka do nosa i po złożeniu w *Schreibstube* podpisu o zachowaniu w całkowitej tajemnicy wszystkiego, czego się dowiedzieliśmy w obozie, wyruszyliśmy ze smukłym i eleganckim podoficerem SS na stację kolejową.

Tego dnia na obóz spadła gęsta mgła i z tego względu więźniowie nie poszli do pracy. Mieliby zbyt wiele sposobności do ucieczki. Biegali piątkami wokół placu apelowego popędzani przez kapów uzbrojonych w kije. Kapowie cwałowali wściekli po wewnętrznej stronie koła. Na zewnątrz stały gęsto strażę SS z palcami na spustach automatów.

W przemarszu od *Schreibstube* do bramy obozowej przyszło nam niemal się otrzeć o ten pierścień ludzki, obracający się wokół placu z odgłosem charakterystycznym dla życia obozowego. Nad biegającymi unosił się mianowicie chrapliwy i świszczący oddech chorych na zapalenie płuc. Bardzo rzadko dostępowali oni wówczas łaski umierania w Izbie Chorych. Ułatwiano im śmierć przez szczególnie uciążliwą pracę. Nasze przejście trwało dostatecznie długo, aby wielu z tych siedmiu tysięcy ludzi, biegających ciężkim cwałem mogło spostrzec, że idziemy we własnych ubraniach z kapeluszami w rękę. Widzieliśmy, jak kolejno zwracały się ku nam ich twarze. Na większości z nich malowała się tak przejmująca i rozpaczliwa zazdrość, że aż dosłownie dławiała za gardło. Straszniejsze jednak od tej zazdrości były na innych twarzach przyjazne uśmiechy, którym czasami towarzyszyły łzy w oczach i drobne znaki krzyża, przesyłane na pożegnanie nam, cudownie ocalonym. Mieściła się w nich życzliwość, jaką niezmiernie rzadko, chyba tylko w takich okolicznościach, może przekazać człowiek innemu człowiekowi. Na widok palców kreślących symbol błogosławieństwa, udzielanego przez umierających żywym, naprawdę trudno było nie wyrwać się z szeregu cywilów kroczących za esesmanem i nie dołączyć do biegających piątkami. To, że żaden z nas tego wówczas nie zrobił, odczuwamy chyba wszyscy — jeśli wszystkim było dane dożyć czasu na spokojne porachunki ze sobą — jako obrzydliwe tchórzostwo. I wcale nie przyniosła ulgi myśl, którą podzieliłiśmy się wkrótce potem w wagonie, że takie dobrowolne skazanie się na śmierć w wyszukanych cierpieniach trzeba by było opłacić ceną wyższą od ceny życia. Byłoby mianowicie wyrzeczeniem się nadziei, iż tam, dokąd wracamy,

uda się nam spełnić pragnienie, powracające w gorączkowych marzeniach sennych — że oto pocujemy przy policzku gładkość kolby najzwyczajszego kbk, polskiego karabinu piechoty. Nie widzę powodu, żeby przerazić się szczerości i nie posunąć się w niej aż do samego strasznego krańca. Takie sny miewam jeszcze często. Dzisiaj powracają z brutalną natarczywością.

To wyznanie tłumaczy, dlaczego czasami wolno wrócić do wspomnień, skazanych raczej na przemilczenie, jak wszystko to, co obraża zwykłą i każdemu przysługującą dumę. Naród, który ma za sobą podobne doświadczenia, zasłużył sobie bez żadnej wątpliwości na taką bodaj skromną poprawę doli, żeby wreszcie po czterdziestu latach nie był zmuszony do przenoszenia pagórków. Historia nie uznaje zasług ani tym bardziej nie kieruje się współczuciem. Wiemy to dzisiaj aż nadto dobrze. Wiemy jednak także, że ukrywa ona przed ludźmi tajemnice przyszłości, której nikt nie zdoła odgadnąć i przewidzieć. Pozwala to mimo wszystko żywić nadzieję, choćby miała nosić nazwę nadziei heroicznej.

Bohdan KORZENIEWSKI

NAKŁADEM ANEKSU

Jacek Kuroń POLITYKA I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

ARTYKUŁY I ESEJE

Działy: Etyka zaangażowania. Tradycja i cele. Myśli o opozycji.
Próba „Solidarności”. Z więzienia.

Str. 222.

Cena: £ 4.00; US \$ 10.00.

Władysław Bartoszewski

DNI WALCZĄCEJ STOLICY

KRONIKA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Str. 382.

Cena: £ 7.00; US \$ 14.00.

Adam Michnik

SZANSE POLSKIEJ DEMOKRACJI

WYBÓR ESEJÓW I ARTYKUŁÓW POLITYCZNYCH

Str. 256.

Cena: £ 4.80; US \$ 10.50.

ANEKS

61, Dorset Road, London W5 4HX, England

Święty Smok

What is a dragon? An animal, one might say, which looks or regards (Greek drakon); so called, presumably, from its terrible eyes.

Norman Douglas: *Old Calabria*

I

Wracam z pogrzebu księdza Ilario Sterpone. Ludzi było mało, albo tak to wyglądało w ogromnej nawie Świętej Klary. Gromadka jego studentów i uczniów z lewej strony ołtarza, szeptających do siebie, zniecierpliwionych długością ceremonii. Z prawej jego siostra w czerni z mężem, krewni z Kalabrii, koledzy uniwersyteccy i przyjaciele (tacy jak ja). Z tyłu trochę starych kobiet, które w kościele przesiadują każdego dnia i o każdej porze, lubią pogrzeby i śluby, niezależnie od tego kto umarł czy wstępuje w związku małżeńskie.

Trumna stała na ziemi, pokryta wieńcami z fioletowymi szarfami. Złote na nich litery zęgały „ukochanego brata i szwagra”, „mądrego nauczyciela”, „najdroższego kolege”, „wiernego przyjaciela”. Gdy wyniesiono trumnę do karawanu, siostra zmarłego i jej mąż przystanęli z boku na podjeździe przed kościołem, co było wezwaniem do składania kondolencji. Przyszła kolej na mnie: „Pan odwiedzał go najdłużej. Panu zawsze coś opowiadał”.

Kondukt pogrzebowy wcisnął się w tłum i sznur samochodów na Spaccanapoli w momencie odezwania się w samo południe dzwonu na szczycie kampanili obok kościoła. Dzwon Świętej Klary, słyszalny w południe w całym mieście, był ostatnio główną nicią łączącą zmarłego z Neapolem.

Tak, to prawda, odwiedzałem go najdłużej, ostatni raz byłem u niego tydzień przed śmiercią. Nic jej wówczas nie zwiastowało, mimo że powiedział nagle ze smutkiem: „Dawno już zapomniano, że jeszcze żyję. Ja też czasem o tym zapominam”.

Mam w notatniku zapis pierwszej u niego wizyty dwa lata temu, wkrótce po przewiezieniu go z kliniki (gdzie blisko pół roku leczono jego wylew krwi do mózgu) do mieszkania siostry w górnym Neapolu.

„Siedział w fotelu — brzmi ten mój zapis — lekko odwrócony od okna, z którego widać było całą zatokę: leniwy słoneczny dzień wrześniowy, mnóstwo kolorowych zastygłych żaglówek, statki powoli sunące ku wyspom. Zdawał się uradowany wizytą, chociaż dostrzegłem natychmiast w jego twarzy cień przestachu. Przez pierwsze pół godziny zabawiał się erudycyjnymi ćwiczeniami pamięci, w czym łatwo odgadywało się głośny dalszy ciąg nieustannej, obsesyjnej kontroli sprawności mózgu. Nieostroźnie poprosiłem o powtórzenie tytułu pewnej książki. Prawą zdrową ręką sięgnął po bloczek z przyczepionym doń ołówkiem, położył go sobie na kolanach, z trudem nagryzmolił parę liter, potem zerknął na lewą bezwładnie zwisającą rękę i zrezygnowany zakrył bloczek dłonią. Do końca wizyty nie mógł już opanować rozdrażnienia, rozmowa się nie kleiła, wydłużały się pauzy milczenia. Gdy w odruchu zakłopotania zagapiłem się na zatokę, odchylił krótko głowę w tym samym kierunku i obrzucił mnie spojrzeniem, w którym była pustka bólu. Chwila słabości okupiona szeptem przy pożegnaniu: *Sto bene, sto sempre meglio*”.

II

Zanim jego choroba związała nas przyjaźnią, a może nawet więcej niż przyjaźnią, wspólnym wsłuchiowaniem się w coś zagadkowego i bardzo nam obu bliskiego, byliśmy przez wiele lat na stopie zwykłej konwencjonalnej znajomości.

Był od dawna w częstym i żywym kontakcie z rodziną mojej żony: odkąd, w roku 1955, przyjechał z Kalabrii do Neapolu jako nauczyciel filozofii w liceum zakonnym. Miał wtedy trzydzieści pięć lat (dokładnie niemal mój rówieśnik), księdzem był od dziecięciu. W roku 1970 powierzono mu wykłady zlecone na uniwersytecie, nie przestał jednak uczyć w liceum i dalej też mieszkał w internacie zakonnym.

Widywałem go czasem na proszonych herbatkach; nasze spotkania ograniczały się do zdawkowych rozmów. Raz tylko, gdy podarował mi swój świeżo wydany przekład Plotyna z uczynnym komentarzem, postanowiłem wybrać się na prezentację książki

w Towarzystwie Filozoficznym. Nie zachowałem z jego odczytu żadnych szczególnych wspomnień, poza może niejasnym uczuciem słuchania bardzo osobistych wyznań owiniętych szczelnie i umyślnie w bardzo hermetyczny język; uczuciem niejasnym i dość widocznie przelotnym, skoro w naszych następnych spotkaniach wróciliśmy natychmiast do poprzedniej zdawkowości. Dopiero później, podczas jego opowiadań w okresie choroby, wyrwało mu się któregoś dnia mimochodem: „Nikt chyba nie usłyszał w moim odczycie tego, co w nim było naprawdę ważne”. Zajrzał mi w oczy wyczekująco, jakby spodziewał się przez chwilę że powiem: „Ja usłyszałem”. Ponieważ milczałem, dodał sam: „Plotyn twierdził że Bóg, jeśli o Nim mówić bez prawdziwej cnoty, jest tylko imieniem. Czy wystarczy cnota, żeby Bóg przestał być dla nas tylko imieniem?”

Owego dnia marcowego 1982 znaleziono go rano nieprzytomnego, po wyważeniu drzwi, na podłodze między stołem do pracy i łóżkiem. W klinice przeleżał pięć i pół miesiąca. Zachodzili do niego siostra i szwagier, nie życzył sobie innych wizyt. Lekarze wypisali go do domu (czyli do mieszkania siostry) z zaleceniem „rehabilitacji gimnastycznej”, nie rokując poufnie wielkich nadziei na przyszłość. Oczekiwało go życie pasywne, przy względnej jasności umysłu, wystarczającej by w umiarkowanych dawkach czytać i rozmawiać.

Pierwsza odwiedziła go tam moja żona. Uderzyło ją, że cofnęła się w odległą przeszłość, do lat kiedy zaraz po wyświęceniu posłano go do opróżnionej właśnie parafii w małej wiosce między Catanzaro i Nicastro. Nigdy przedtem, tzn. przed chorobą, nie wspominał o tych latach; jego autobiograficzne wtręty zaczynały się zawsze od późniejszego okresu w Catanzaro, gdzie na własną rękę poświęcił się studiom filozoficznym, ucząc równocześnie religii w miejscowym gimnazjum. Catanzaro zresztą było jego miastem rodzinnym, tam odumarli go za młodu rodzice, tam mieszkała jego owdowiała i bezdzietna ciotka, tam skończył seminarium duchowne.

— Jak się nazywa ta wioska?

— Dość dziwnie, San Dragone. Trochę to tak, jakby wymyślono nazwę San Demonio.

Usłyszawszy tę „dziwną” nazwę, stałem się dość częstym bywalcem w domu chorego.

III

O San Dragone przeczytałem kiedyś artykuł w magazynie ilustrowanym, zanadto po dziennikarsku sensacyjny by można było

odtworzyć sobie jasno obraz i przebieg wypadków, ale dostatecznie frapujący by nazwa wsi kalabryjskiej odcisnęła się trwale w pamięci. Nie wiedziałem, że istnieje poważna książka o San Dragone, autor artykułu nie mógł jej wymienić, gdyż ukazała się znacznie później (nawiasem mówiąc, w Anglii; nie przełożono jej dotychczas na włoski, nie wpadła mi również do rąk żadna o niej informacja w prasie włoskiej). O tej właśnie książce napomknął ksiądz Sterpone podczas mojej pierwszej u niego wizyty; jej tytułu nie zdołał, na moją nieostrożną prośbę, napisać w bloczku. Wróciłem do domu z zamiarem ponowienia prośby podczas następnej wizyty, w pomyślniejszych być może okolicznościach. Zamiar okazał się zbyteczny. Nazajutrz rano znalazłem książkę w naszej skrzynce pocztowej, z przyklejonym do okładki wizytówką chorego nadawcy. Przeszło dwustronicowy tom *The Hidden God*, bogato ilustrowany, zaopatrzony w przypisy w solidną „aparaturę naukową”. Z noty na obwolucie wynikało, że jego młody autor George Herbert Grudger specjalizował się w badaniach „z pogranicza socjologii i religioznawstwa” i spędził w San Dragone dwa miesiące w roku 1952.

Mógłbym moich czytelników odesłać w tym miejscu do książki Grudgera, zaoszczędzając sobie trudu ekspozycji. Ale każdy zrozumie, że byłby to nonsens z wielu względów, których nie trzeba nawet wyliczać. Nie pozostaje nic innego jak streścić tu zwięźle, w najistotniejszych punktach, *Ukrytego Boga* (wydane go w Londynie w roku 1957); a potem podjąć relację o opowiadaniach księdza Sterpone z lat naszej przyjaźni.

Na stronie tytułowej motto z Pascala, uzasadniające tytuł: „Gdyby nie było ciemności, człowiek nie odczuwałby swego skazenia, a gdyby nie było światła, człowiek nie miałby nadziei uleczenia. Stąd jest nie tylko słuszne, lecz użyteczne dla nas, że Bóg jest po części ukryty a po części odsłonięty, gdyż dla człowieka równie jest niebezpieczne znać Boga nie znając własnej nędzy, jak znać własną nędzę nie znając Boga”.

W rozdziale wstępnym Grudger podaje garść wyszperanych w archiwach wiadomości historycznych o San Dragone i dość drobiazgowo opisuje wieś, z odsyłaczami do odpowiednich fotografii. Z końca siedemnastego stulecia pochodzą ruiny Torre Falconara, resztki wieży ocalałe z zamku hrabiów Falcone. Wieś powstała na zboczu wzgórza, obok ruin, w połowie osiemnastego stulecia jako kontynuacja dawnego zamkowego *borgo*, zburzonego czy spalonego wraz z zamkiem. Nazywała się najpierw Falconetta, była i pozostała do dziś wsią głównie pasterską. Otaczającą dolinę rzeki (raczej rzeczki) Chiariva obręcz wzgórz obfituje w łąchy pastwisk, względnie łatwo dostępnych dla stad owiec i kóz. Nazwę zmieniono na San Dragone u progu zeszłego stulecia, z przy-

czyn które wymagają dokładniejszego wyjaśnienia. Oto w ruinach Torre Falconara, w ścianie rozległej i ciemnej pieczary (niegdyś pewnie lochów zamkowych), rozwarła się głęboka przepaść, wydzielając co jakiś czas smugi dymu. Narodziła się tak legenda o Smoku; instynktowną próbą prześlągnięcia go było przypuszczenie — zdaniem Grudgera — oddanie wsi pod jego władzę i opiekę w nowej nazwie San Dragone. Wieś nie posiadała jeszcze wówczas kościoła, z Nicastro rzadko przyjeżdżali księża z posługą religijną. Został zbudowany na początku tego stulecia: aż nadto okazały jak na niewielką liczbę mieszkańców, pod wezwaniem Świętego Michała. „Cofnęły się bądź przycichły — pisze Grudger — oznaki półpogańskiego kultu, lecz przetrwał osobliwy Święty Smok w nazwie wsi”. Kilka kamieniołomów, otwartych po pierwszej wojnie między pastwiskami, wpłynęło na pewne ożywienie San Dragone. Po drugiej wojnie wieś liczyła ponad pięć tysięcy dusz. Na fotografiach widać domki spiętrzone jak gniazda jaskółek, wąskie uliczki podobne do pochyłych kamiennych korytarzy ze schodkami.

Centralną postacią historii opisaną przez Grudgera jest Gioacchino Scauro, zwany także we wsi Scuro (Ciemny) z racji posępnego usposobienia i surowej, zawziętej twarzy. Gdy był małym chłopcem, pastuchem owiec swego ojca, widywano go często w pobliżu ruin Torre Falconara, zapatrzonego w bezruchu godzinami w pieczarę gdzie rozwarła się przepaść i podnieconego, ilekroć wypęzła z niej, snując się krótko wśród kamieni i zwalów ziemi, smuga dymu. Ożenił się z córką sąsiada Marią Minuzio i założył warsztat stolarski. Ślub odbył się w nowozbudowanym kościele, udzielił go Don Pietro Vitale, pierwszy proboszcz San Dragone. Scuro stał się najgorliwszym parafianinem, spędzał dużo czasu na modlitwie i w gościnie na plebanii, wykonywał bezpłatnie drobne roboty stolarskie i murarskie w kościele. Powołany do wojska po wybuchu pierwszej wojny, opuścił wieś jako ojciec trojga dzieci, dwóch córek i syna.

Wrócił do domu inwalidą, bez prawej nogi i z przestrzelonym płucem. Poruszał się z trudem o kulach, męczyła go szybko praca w warsztacie. Siedział ciągle w chałupie nad książkami: nauczył się czytać i pisać biegle w czasie rekonwalescencji w szpitalu wojskowym.

IV

Najdłuższy rozdział — blisko trzecia część książki — zatytułowany jest *The Conversion* i zawiera taką masę świadectw, dokumentów, drobiazgowych opisów, dygresji i interpretacji

autorskich, że nieuniknione staje się wyłuskanie z niej kilku tylko podstawowych i nagich faktów. Zabieg w którym tkwi ryzyko zubożenia i spłaszczenia całej historii, a nawet znacznej redukcji jej wiarygodności w oczach czytelników, zdają sobie z tego aż za dobrze sprawę. Lecz nie znajduję innego rozwiązania.

Pewnej nocy w roku 1930 Scuro miał objawienie. Stała przed nim we śnie kobieta w zielonej sukni, wskazała mu lampkę oliwną z trzema dzióbkami i rozkazała: „Zapał tę lampkę”. Po czym dorzuciła: „Nazywasz się Levi i musisz tą lampką rozniecić światło”. Nazajutrz rano zapukał do jego drzwi jakiś człowiek, którego Scuro nigdy przedtem nie widział w San Dragone, i podarował mu egzemplarz Biblii: był to pastor ewangelicki, roznoszący w Kalabrii od wsi do wsi literaturę religijną. Scuro zabrał się do czytania i kiedy dobrnął wreszcie do końca, odkrył że żył dotąd w fałszywej wierze. „Zrozumiał — według świadectwa córki Scuro przytoczonego przez Grudgera, — że religia Starego Testamentu spoczywała u źródeł wszelkiej religii a zatem była prawdziwa, podczas gdy religie Nowego Testamentu, zarówno katolicka jak protestancka, były późniejsze a zatem fałszywe”. Nie miał wówczas pojęcia, że na świecie istnieją jeszcze Żydzi, był święcie przekonany, że to jemu Bóg powierzył misję przywrócenia ludzkości prawdziwej wiary. Przystąpił więc do szerzenia odkrytej wiary: gromił „pogan” czczących obrazy i posągi Matki Boskiej, upominał ich że należy odpoczywać w sobotę a nie w niedzielę. Grudger przytacza wypowiedź chłopca, nawróconego przez Scuro: „Jeden tylko Bóg nam rozkazuje. Mówi On: Jam jest twój Pan Bóg, Ja cię ocaliłem i wyprowadziłem z ziemi egipskiej. Jam jest wasz Bóg zazdrosny aż do piątego pokolenia. Sąd Ostateczny odbędzie się w Dolinie Jozafata. Nasz Bóg nie przebaca wielokrotnym grzesznikom, jak Bóg katolicki. W Dolinie Jozafata Sąd Ostateczny nagrodzi wiekuistym życiem prawych, ukarze wiekuistą śmiercią niegodziwych”. Komentarz Grudgera: „Co najbardziej podbiło jego wyobraźnię, to nieugięta sprawiedliwość Boga żydowskiego. Chłopom z San Dragone nie mówił już nic miłosierny Bóg chrześcijański; woleli, jak starożytni Żydzi, Boga sprawiedliwego i nieubłaganego”.

Scuro, który kazał się odtąd nazywać Levi-Nauczyciel i uważał się za potomka Lewitów i kapłana Wspólnoty, nawrócił około pięćdziesięciu osób. Ani jedna z nich nie podejrzewała nawet, że gdzieś na świecie żyją jeszcze wyznawcy Starego Zakonu. Pierwszą o tym wiadomość przywiózł do San Dragone pewien wędrowny handlarz; on też wpisał do książeczki Nauczyciela adres swego przyjaciela-Żyda w Neapolu. Scuro wysłał do niego natychmiast list i w odpowiedzi otrzymał adres naczelnego rabinu rzymskiego. Następny list, wysłany już do Rzymu, pozostał

bez odpowiedzi. Nawróceni z San Dragone nie dali jednak za wygraną i napisali po raz drugi: było to znowu zawiadomienie o odkryciu prawdziwej religii i prośba o pomoc, gdyż „chcieliby zostać prawdziwymi Żydami”. Tym razem przyszła odpowiedź. Rabin rzymski donosił, że z początku uważał to wszystko za żart, ale teraz zmienił zdanie i wkrótce wysłał do San Dragone swego przedstawiciela. I rzeczywiście po kilku dniach zjawił się w San Dragone wysłannik rabina, spędził cały dzień u Scuro i odwiedził także pozostałych nawróconych. Słuchał opowiadających uważnie i w milczeniu, lecz na odjeździe powiedział: „Jesteście bardziej Żydami, niż wszyscy inni Żydzi”. Po tej wizycie zaczęły do San Dragone przychodzić broszurki religijne, z których jedna nosiła nazwę *Prosta Droga*. Ale nawróconym nie wystarczyło samo słowo drukowane, chcieli być oficjalnie przyjęci do gminy żydowskiej. W Rzymie tymczasem panowało nadal wahanie. Przed wojną dwukrotnie jeszcze odwiedził San Dragone delegat żydowskiej gminy wyznaniowej w Rzymie, który po wprowadzeniu ustaw rasistowskich we Włoszech ukrywał się nawet jakiś czas w kalabryjskiej wsi. „W roku 1938 — powiada jedno ze świadectw — dowiedzieliśmy się, że wydano prawo, które na wszystkich Żydów nakłada obowiązek zgłoszenia swojej rasy. Napisaliśmy do Rzymu że i my chcemy zgłosić naszą rasę, bo jesteśmy Żydami jak inni i chcemy cierpieć wraz z całym narodem żydowskim. Ale z Rzymu odpowiedziano nam: nie”.

Żydzi z San Dragone czekali więc cierpliwie na uznanie Rzymu i praktykowali prawa mojszowe według własnych reguł, wyinterpretowanych z ksiąg Starego Testamentu. Wielka zmiana w ich życiu nastąpiła dopiero pod koniec roku 1943, po zajęciu południowych Włoch przez Sprzymierzonych. Zobaczyli któregoś dnia na głównej drodze przecinającej rzekę w dolinie osiem ciężarówek wojskowych z gwiazdą Dawida; i przecierając oczy ze zdumienia, odczytali na naszywkach kierowców słowo znane dotychczas tylko z ksiązek: Palestyna. Gromada nawróconych ruszyła na powitanie przybyszów. Żołnierze brygady palestyńskiej nie bardzo mogli zrozumieć o co chodzi, ale z chaotycznych opowiadań w obcym języku wyłowili w każdym razie słowo *conversione* i zawiadomili o wszystkim rabina wojskowego w Cosenzy. Wybrał się do San Dragone, gdzie powitano go pieśniami Boga Zastępów i Twierdzy Świątów. Wzruszony, obiecał swoje wstawiennictwo u rabina rzymskiego natychmiast po uwolnieniu stolicy Włoch. Latem 1946 wytrwałość nawróconych doczekała się nareszcie nagrody: z Rzymu przyjechał nowy rabin naczelny. Uroczystość przyjęcia nawróconych na łono Synagogi odbyła się tuż przed zachodem słońca nad brzegami Chiarivy.

Ale nowi Żydzi czuli się w San Dragone jak ich praszczury

w Egipcie: musieli żyć na wygnaniu, między „poganami”. W roku 1948 Scuro dowiedział się, że w Izraelu utworzono państwo żydowskie; powziął więc myśl przeprowadzenia gromady do Ziemi Obiecanej i dopiął swego na początku następnego roku. Odpłynęli wszyscy statkiem z Neapolu, w Izraelu umieszczono ich razem w jednym osiedlu rolniczym (tam Grudger spisywał w roku 1949 ich świadectwa, pierwszy materiał do zaplanowanej w Londynie książki).

Odpłynęli wszyscy, z wyjątkiem samego Scuro. Owdowił krótko przed wyjazdem, zgon żony pogłębił jego kalectwo, nie do zniesienia wydała mu się nagle myśl o rozstaniu z wsią rodzinną. Pozostawiono mu wnuka, syna drugiej córki, ośmioletniego chłopca imieniem Giosue, anemicznego, chorowitego, zagrożonego stopniową utratą wzroku.

Grudger cytuje list Scuro do rabina rzymskiego, datowany w trzy miesiące po wyjeździe Żydów z San Dragone do Izraela. Jest w nim przedsmak konfliktu, jeśli nie zerwania: „Ten kto zamyka niebios a mówi że nie ma Wizji, odrzucając Boga Wizji odrzuca także Mojżesza i Pięcioksiąg Praw. Albowiem mówię Wam w imieniu mojego Stwórcy, który jest również Waszym Stwórcą, że jeśli chcemy pokonać Zło, musicie głosić Widzenie. Powinniście też założyć szkołę proroków. W ten sposób ani wy ani my nie będziemy błędzili po omacku. Nie uwierzycie na pewno w to co Wam powiedziałem, a przecież bez Widzenia pasterz jest ślepy. Gdyż nasz Bóg nie jest Bogiem umarłym, ale Bogiem Zastępów... Jeśli gardzicie moimi słowami, nie mną gardzicie lecz Bogiem Wizji, który wywołuje i zmienia Wiatr jak Mu się podoba. I nie ma nikogo, kto mógłby Go zapytać: Co czynisz?”.

Począwszy od roku 1946 nie ma już właściwie potrzeby odwoływać się do książki Grudgera. W tym bowiem roku zmarł bardzo stary ksiądz Vitale, a na jego miejsce przyjechał młody ksiądz Sterpone, który w San Dragone spędził cztery lata. Grudger odwiedził go w Catanzaro w roku 1952: „Przyjął mnie w mieszkaniu swojej ciotki, zamknięty, nieskłonny do opowiadań, napięty, odpowiadający na pytania monosylabami, prawie nieuprzejmy. Ci, którym zawdzięczałem krótkie z nim spotkanie uprzedzili mnie, że po tragedii w 1950 roku opuścił za zgodą przełożonych San Dragone w stanie bliskim nerwowego załamania. Nie przeminęło widocznie bez śladów”.

V

Chorobie przypisać należy charakter opowiadań księdza Sterpone podczas moich wizyt. Płynęły jakby skrzepami. Pewne

epizody, wspomnienia, refleksje, uczucia zbijały się w zakrzepłe płaty, za jednym sędź po jakimś czasie drugi, potem następne, ale przecięte lub co najmniej nadszarpięte wydawały się związki między nimi: każdy stanowił dość autonomiczną całość, luźno i mgliście zaczepioną o pozostałe, płynął nie dbając zanadto o chronologię wypadków i ich lokalizację, zamazując często a nawet myląc twarze osób. Stwarzało to wrażenie — nieraz męczące dla mnie jako słuchacza — historii odtwarzanej poza czasem i miejscem, oderwanej od jej konkretnych uczestników. Kto wie, może serce opowiadającego pękło w końcu nocą, gdy uderzył w nie w bezsennych i samotnych godzinach rozpamiętywać wszystkie połączone nagle skrzepy.

Chorobie więc należy przypisać charakter opowiadań księdza Sterpone. Ale nie wyłącznie. Także wobec mnie, mimo ciągłego zacieśniania się naszej przyjaźni, musiały w jakiejś mierze działać opory, których ofiarą padł w sposób tak drastyczny autor *Ukrytego Boga*. Były proboszcz San Dragone do ostatka, jak sądzę, bronił się przed swoistą spowiedzią, ulegając równocześnie krok po kroku jej nieodpartej potrzebie.

Tak czy owak, cóż mogę zrobić innego poza wyznaczeniem mojemu pióru roli porządkującej, funkcji wyprucia ze zbitej i bezkształtnej masy paru dostatecznie wyraźnych żyłek?

VI

O starym księdzu Vitale mówiono, że umarł ze zgrzyoty po oficjalnym powstaniu Wspólnoty żydowskiej w San Dragone. Dla jego następcy apostazja pięćdziesięciu mieszkańców wsi była co prawda zaskoczeniem, lecz nie powodem do załamania rąk czy choćby zgorszenia. Przeciwnie, uważał ją w duchu za znak spotęgowanej obecności Boga w kraju, gdzie od dawna religia przybrała postać tradycji wydrążonej z wszelkiej prawie treści, lub ocierała się o mieszaninę zabobonu i magii. Usiłował zbliżyć się do członków Wspólnoty, pukać do ich drzwi jak pukał do drzwi swoich wiernych. Przyjmowali go chłodno. Gdy nie dał się zniechęcić, zaczęli go witać i żegnać zarazem jednakowym: „My modlimy się do prawdziwego Boga”. Było oczywiście, że powtarzali te słowa za Scuro, u niego bowiem usłyszał je po raz pierwszy, stojąc w progu warsztatu stolarskiego, przygwożdżony gniewnym spojrzeniem gospodarza. Z okna małego domu obok warsztatu przyglądała mu się w milczeniu, z zawstydzonym zdawało się uśmiechem, żona Scuro. Tuliła do piersi wnuka Giosue, który bladą twarzączką z przymrużonymi oczami obracał ku słońcu.

Scuro trzymał mocno w garści Wspólnotę. Mieszkali w różnych częściach wsi, co piątek wieczorem jednak i co sobotę rano schodzili się do warsztatu zamienionego w dom modlitwy. W rogu stała szafka z Torą, przysłaną z Rzymu. Do ściany przybita była szeroka wstęga popielatego płótna z wyhaftowanymi po hebrajsku literami (podobne do niej makatki wisiały w chałupach nad łózkami nawróconych, w miejscach zajmowanych dawniej przez krucyfiksy i obrazy Madonny). Kapłanem był Scuro i on sam obmyślił liturgię: zmagano chóralnie ułożoną przez niego modlitwę po włosku, wysłuchiowano jego lekcji, po czym czytał wybrane fragmenty Starego Testamentu. Scuro zadbał też o wytyczenie i otoczenie kamiennym murkiem skrawka jałowej ziemi w pobliżu Torre Falconara, z myślą o przyszłych zmarłych członkach Wspólnoty. Pierwsza spoczęła na nowym cmentarzu Maria, żona Scuro, na krótko przed wyjazdem Żydów z San Dragone do Izraela.

Wieś odnosiła się z początku obojętnie do swoich apostatów. Rzadkie były głosy potępienia. Częściej kręcono w zadumie głowami: „Któż potrafi dotrzeć do prawdy, kto zdoła ją przeniknąć? Robimy co nam przykazali księża”. Wykopywana później stopniowo przepaść była głównie dziełem nawróconych. Odpychali księdza Sterpone słowami: „My modlimy się do prawdziwego Boga”. Do jego wiernych mówili: „Wy modlicie się do fałszywego Boga”. W San Dragone narodziła się Wspólnota „obcych”. Budząc lęk raczej, niż wrogość.

Lęk — *timore*, a niekiedy nawet *timore religioso* — odgrywał dużą rolę w opowiadaniach księdza Sterpone z pierwszych dwóch lat jego pobytu w San Dragone. Czuł ten lęk w nagłym wybuchu pobożności, nieledwie żarliwości, wśród swoich wiernych: kościół był w niedziele pełny, modlono się głośno, jak gdyby z zamiarem przekrzyknięcia w sobie czegoś niejasnego i niepokojącego, spowiadano się i komunikowano tłumnie, przesiadywano w pogodne wieczory na kościelnych schodach, garnięto się do proboszcza z nadmierną aż ufnością. Poczul ten lęk ostrzej jeszcze po roku, w równie nagłym opadnięciu ferworu: nie, nie opustoszał w niedziele kościół, nie przestano spowiadać się i komunikować, dalej przesiadywano w pogodne wieczory na kościelnych schodach, ale wszystko to w odrętwieniu, z trwożliwym przymusem; na nabożeństwach pośpieszny, bezgłośny ruch warg zastąpił supliki zanoszone głośno do Boga. Ksiądz Sterpone przeżywał wtedy (jak się wyraził) „całkowitą samotność wśród ludzi”. Pamiętam jego okrzyk: „Ach, jak bardzo Bóg potrzebuje ludzi, by nie być tylko imieniem!”.

Zadawał sobie wciąż pytania jak do tego doszło, co się naprawdę stało w San Dragone... Lubił myśl Pascala, użytą przez

Grudgera jako motto do jego książki; bywało, że zapominał w ogóle o mojej obecności w bezustannych, uporczywych nawrotach do „Boga odsłoniętego” i „Boga ukrytego”. Był bliski przekonania, że Bóg odsłonił się „w dwójnasób” dzięki nawróceniu i apostazji pięćdziesięciu mieszkańców wsi, aby potem ukryć się głębiej niż zwykle na widok rosnącego we wsi rozdarcia. Teraz — twierdził — wszyscy w San Dragone poznawali już tylko własną nędzę ludzką, wszystkich ogarniała powoli ciemność. Apostatów zatruchiła pycha jedynej prawdy; wiernych trawiał podskórny lęk życia w fałszywej wierze.

Do późna w nocy śleczął nad swoimi książkami, sypiał mało i źle, wyczerpywały go przelotne napady gorączki, śledził przerażony jak do jego modlitw zakrada się bezduszna czczość. Całkowitej samotności wśród ludzi towarzyszyło zagubienie w obliczu Boga. Oczekiwał cudownego ocknięcia i z dnia na dzień tracił nadzieję by mogło nastąpić.

Któregoś popołudnia, w pustym kościele, zdrzemnął się w ławce przed ołtarzem. Było to styczniowe popołudnie 1949 roku, słoneczne, zimną pożyłą opryskiwało witraże w oknach. Tego dnia rano Żydzi z San Dragone pochowali żonę Scuro na nowym cmentarzu; za miesiąc mieli na zawsze opuścić rodzinną wieś. Z drzemki wytrącił go dziecinny, piskliwy płacz. Zerwał się na równe nogi i szybko pobiegł tam skąd rozlegał się płacz, do zagrożonego w półmroku kąta koło drzwi. Zobaczył małego Giosue, skulonego pod ścianą, przebiegającego bezradnie rączkami, podobnego w swoim trzepocie do ryby w sieci. Otoczył go ramieniem, przycisnął do siebie i wyprowadził z kościoła. W połowie schodów stał Scuro wsparty na jednej tylko kuli i ciężko dyszał. Gdy ksiądz Sterpone popchnął ku niemu chłopca, Scuro oparł się lewą ręką na ramieniu wnuka, a prawą podniósł do góry swoją kulę gestem pogroźki. Ten gest długo prześladował proboszcza San Dragone.

VII

Szli spadzistymi uliczkami w dół, do dwóch autobusów na drodze w dolinie, objuczeni resztkami niesprzedanego dobytku. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Pochód widać było dobrze z okna plebanii. Prowadził go Scuro, w lewej ręce trzymając rączkę małego Giosue. Przed drzwiami domów stali „poganie”. Odprowadzali wyjeżdżających tak, jak od wieków zwykło się w włoskich wsiach na południu obserwować bieg życia za murami własnych domów: wyblakłym, tępym wzrokiem, bez słowa.

Ksiądz Sterpone osunął się na krzesło przy oknie; ogarnęło go ogromne znużenie, nie mógł w żaden sposób wydobyć z siebie

modlitwy za odjeżdżających. Był wczesny poranek ostatniego dnia lutego, nad San Dragone zbierało się na burzę. Z drogi w dolinie dobiegły przytłumione krzyki i nawoływania, uciął je warkot motorów, po czym nastała cisza.

Scuro wrócił z małym Giosue do domu nazajutrz wieczorem. Odtąd widywano go rzadko, raz na tydzień. Nie wiedziano z czego żyje, rzuciwszy stolarkę; żył chyba z tego, co mu przed wyjazdem zostawiła Wspólnota. Odmówił oddania Giosue do szkoły, chciał go sam uczyć i wychowywać w prawdziwej wierze. Wypytywano chłopca, ilekroć przychodził do sklepu, co robi całym dniami dziadek. „Czyta, pisze i modli się do naszego Boga”. Widywano go co sobotę, kiedy wyprawiał się z wnukiem na samotny grób żony. Szedł z wysiłkiem, przystawał co parę kroków, dusił się i chwycił za gardło w atakach kaszlu. Stary, schorowany kaleka w czarnym kapeluszu chłopów kalabryjskich i wąty małe stąpający niepewnie, obmacujący ziemię pod nogami natężonym spojrzeniem chorych oczu.

Grudger przytacza pełen goryczy (żeby nie powiedzieć więcej) list Scuro do rabina rzymskiego, datowany w trzy miesiące po wyjeździe Żydów z San Dragone do Izraela. Wtedy właśnie, gdy wzywał w liście do głoszenia chwały „Boga Wizji” i założenia „szkoły proroków”, zaczęto widywać go częściej z nieodstępnym Giosue. Z cmentarza szli do Torre Falconara, tam odpoczywali na dużym kamieniu, na tym samym może kamieniu z którego w dzieciństwie Scuro czyhał na smugi dymu wypełzające z ciemnej pieczary. Wypełzały co pewien czas i dalej, nic się pod tym względem nie zmieniło z upływem lat; a raczej zmieniło się tyle tylko, że doszczętnie niemal wygasła we wsi pamięć o pochodzeniu nazwy San Dragone. I oto (według księdza Sterpone) obraz „pasterza bez trzody” wpatzonego w otwór pieczary, kapłana „obcych” przed progiem umarłej przeszłości, obudził w ludziach zawiść i mroczne skojarzenia, rozniecił w popiele pamięci tłące się ledwie ogniki. Naraz w postaci Scuro ujrzano coś złowrogiego, odwracano się — a zdarzało się, że i żegnano ukradkiem — na jego widok.

Podjeżdżam, że zwrot o „roznieceniu w popiele pamięci tłących się ledwie ogników” nie był dla księdza Sterpone tylko metaforą.

W listopadową noc spłonął warsztat Scuro, zamieniony niegdyś na bóżnicę. Okoliczności pożaru pozostały na zawsze niewyjaśnione. Był aktem podpalenia, czy Scuro przed pójściem do domu zaproszył ogień zasypując popiołem niedopalone drzewo w palenisku? Ksiądz Sterpone płatał się tu w relacji, wydawał się wzburzony i zakłopotany, jak gdyby rzecz wydarzyła się wczoraj, a nie przed tylu laty. Nikt z sąsiadów nie pomógł w uga-

szeniu pożaru, to było faktem. Scuro usiłował wdrzeć się do płonącej szopy, ale podmuch ognia oślepił go i gwałtownie odrzucił oparzonego pod mur po przeciwnej stronie ulicy. Przeniesiono go do domu, kobiety z sąsiedztwa obmyły mu poparzenia i rany i przewinęły je naoliwionymi szmatami; jęczał i majaczył, wreszcie zapadł w konwulsyjny sen. Nie dał się od niego oderwać mały Giosue; dziecko było w stanie szoku. Taką sytuację zastał przebudzony dopiero o świcie ksiądz Sterpone. Udało mu się zabrać do siebie chłopca. Rannego zawieziono do szpitala w Nicastro.

Po tygodniu przyjechała do San Dragone zakonnica ze szpitala w Nicastro. Ranny był poza niebezpieczeństwem, leczenie jednak wymagało kilku miesięcy. Scuro domagał się wnuka, bez niego odmawiał przyjmowania pokarmów i lekarstw. Cóż było zrobić? Zakonnica przyjechała po małego Giosue.

„W ciągu moich czterech lat w San Dragone — mówił ksiądz Sterpone — nigdy nie byłem tak szczęśliwy, tak blisko Boga, jak opiekując się przez ten tydzień chłopcem, ucziszając w nim wspomnienie przeżytego wstrząsu. Myślałem wtedy często o jego niespodzianej ucieczce do kościoła, o jego płaczu w kącie koło drzwi. Był w tym jakiś znak? Bóg odsłonił się najpełniej w usmarowanej łzami twarzy dziecka, w jego na wpół ociemniałych oczach?”. I po chwili, z drżeniem w głosie: „Boże, jak bardzo kochałem małego Giosue!”.

VIII

Pobyt Scuro w szpitalu trwał do marca 1950. Wiosna nadeszła w tym roku wcześniej, zazieleniły się szybko pastwiska, wyganiano stada owiec i kóz, fala ciepła ożywiła roboty w kamieniołomach.

Scuro przywłókł się na plebanię z małym Giosue, żeby podziękować księdzu Sterpone za opiekę nad wnukiem zaraz po pożarze. Wyglądał strasznie: szkielet obciążony skórą z plamami po oparzeniach. Ale straszniejsze jeszcze od jego wyglądu było uczucie rozmawiania z nieobecny. Wycharczał swoje podziękowanie, nie chciał przestąpić progu plebanii, oparł się o framugę drzwi i stał tak wzrok utkwivszy w krucyfiksie na ścianie. Machinalnie głaskał głowę dziecka i bełkotał coś niezrozumiałego, kalecząc słowa, nie słysząc co się do niego mówi, nie odpowiadając na pytania. Odszedł bez pożegnania. Na schodach kościoła chłopiec odwrócił się i krzyknął za obu: *Addio, Padre*.

Dziwny spokój zapanował w San Dragone z nastaniem wiosny: martwy spokój między burzą która minęła i burzą która nadciąga. Scuro zamknął się w domu; mały Giosue rzadko pojawiał się w sklepie. Któregoś rana, w pierwszych dniach kwietnia, ksiądz Sterpone zapukał do drzwi ich domu. Nie było odpowiedzi. Pukał mocniej i mocniej pewny nagle, pewnością podobną do ukłucia w sercu, że nigdy więcej ich nie zobaczy.

Reszta należy do legendy. Rzeczywistością dotykającą było odkrycie pustego domu Scuro, oraz — w parę dni później, przez wezwaną policję — czarnego kapelusza i dziecinnego bucika na ścieżce wiodącej w górę, od kamienia koło Torre Falconara, do otworu pieczary. Legendą zrodzoną w wyobraźni mieszkańców San Dragone, albo ukrytą przed ludzkimi oczami prawdą, był Scuro który szlakiem smugi dymu wchodził, ciągnąc w ofierze małego opierającego się Giosue, do podziemnej otchłani; do królestwa Świętego Smoka.

IX

Zacząłem spisywać zdarzenia związane z San Dragone w dniu pogrzebu księdza Sterpone, 29 października. Kończę pisanie dzisiaj, w słotny dzień listopadowy, po wieczornej wizycie u jego siostry pod pretekstem zwrotu książki Grudgera. Zależało mi bardzo, nie umiem powiedzieć dlaczego, na zajrzeniu jeszcze raz do pokoju zmarłego.

Pani domu zostawiła mnie w nim samego. Był nietknięty, na stoliku obok łóżka leżał nawet pod zapaloną lampą bloczek z przyczepionym doń ołówkiem i pękaty tom aktów sympozjonu bolońskiego z lat siedemdziesiątych *Studi sulla religiosità vecchia e nuova*, z tekstem wystąpienia księdza Sterpone. „Słyszemy i czytamy, że ciągłym zmianom ulega wśród ludzi obraz Boga, że niby w ruchu wahadła to opada to wzrasta się potrzeba wiary w Niego. Moim zdaniem zmienia się i przybiera wciąż inny wyraz twarz Szatana, w wiecznej przed nią ucieczce, bądź w wiecznym uleganiu jej fascynacji, błądzi i kołuje, upada i podnosi się, pielgrzymujący wiecznie człowiek”.

Przez szybę smaganą strugami deszczu spojrziałem na czarną zatokę. Wystarczyło zgasić lampę, aby w oknie ciemnego pokoju przejaśniła się od razu i pokryła ruchliwymi błyskami czerń nad zatoką.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Listopad 1984

Siedziałem w samochodzie, który przejechał człowieka na śmierć,
Ale kiedy mnie samochód najechał, połamał mi tylko kości.

Nie przesłuchiowano mnie na policji abym wydał siebie,
Ani po to, abym wydał moich przyjaciół i moje dzieci,

Ale przesłuchiowano moje dzieci i moich przyjaciół
I ani przyjaciele, ani dzieci nie wydały mnie.

Chodziłem o kuli i nie miałem trudności w rzuceniu kuli,
Chodziłem o lasce i nie miałem trudności w rzuceniu laski.

O miedzę, o krok, o włos, o głos, który ma być świadectwem
I oto je daję, nie trudząc się nadto o wyraz i styl.

Pękało mi serce, ale nie pękło ostatecznie i została blizna.
Może blizna stanowi trudność dla innych, ale nie dla mnie.

Berlin, 3 marca 1984 r.

Witold WIRPSZA

Anna FRAJLICH

W INNYM ŻYWIOLIE

Renacie Gorczyńskiej

„Ogień Kartezjusza, ogień Pascala, popiół,
iskra”

Adam Zagajewski: „Ogień, ogień”.

Woda Heraklita
woda pra-bytu
woda bóstwa Nu i Domnu
Heraklit powoli i lekko
zanurzał duży palec swej stopy
w nurcie czystym i chłodnym
jak czynią ludzie co chcieliby
po raz wtóry
wejść do tej samej rzeki
woda Styksu
woda Lety
ciemne wody o które wiosło

Wiersze

Witold WIRPSZA

TRUDNOŚCI

Marii i Kazimierzowi Brandysom

Nie te, które mam, ale te, które mnie ominęły,
Ale innych nie ominęły i ja to widziałem.

Nie byłem prowadzony do baraku z gazem,
Ale wiem, że inni mieli trudności przekraczając próg.

Mogłem być tam, ale mnie to ominęło,
Widziałem fotografie i nie miałem trudności przy oglądaniu.

Nie byłem wieszony w bydlęcych wagonach na wschód,
Ale wiem, że inni mieli tam trudności, by wyżyć.

Ominęło mnie to, ale czytałem o tym książki
I nie miałem trudności w zdobyciu lektury.

Byłem w ogniu artyleryjskim, ale pociski mnie ominęły
I nie miałem trudności zobaczyć, jak innych zabito.

Zawsze byłem o miedzę od rzeczywistej grozy:
Nie dojadłem, ale nigdy nie byłem głodny,

Siedziałem lata za drutami kolczastymi,
Ale one były tylko kolczaste i nie było w nich prądu.

uderza bez echa
nie zostawiając najlżejszej smugi
nie przegląda się w nich
ani ptak ani skała
i nawet Narcyz nie mógłby
tu utonąć
zwabiony własnym odbiciem
albowiem w krainie cieni
cień nie ma swojego cienia
a kształt nie posiada odbicia
woda oceanu w jednej zawarta kropli
która całym jestestwem
wyraża swe krótkie trwanie
kulistą doskonałością
zanim wpadnie na zawsze
do chłodnej i czystej rzeki
z której jeszcze Heraklit
nie zdążył wyciągnąć
palca
woda która początkiem
jest
końcem będąc wszystkiego.

1 lipca 1984 r.

Anna FRAJLICH

KSIEGARNIA „POLONIA”

2886 Milwaukee Ave., Chicago, IL 60618.

Tel.: (312) 489-2554.

POLECAMY największy wybór polskich książek i o Polsce po angielsku. Słowniki, książki do nauki angielskiego, historyczne, naukowe, religijne, pamiętniki, powieści sensacyjne, poradniki, książki kucharskie, literaturę dla dzieci i młodzieży, podręczniki.

ALBUMY, mapy, nowe nagrania polskich płyt i kaset.

Polskie karty okolicznościowe.

KUPUJEMY stare książki.

Katalog na żądanie bezpłatnie.

Kraj

Gawędy gospodarcze

Kilka wydarzeń jesienią 1984 przerwało dotychczasowe, notorycznie słabe tętno polskiego życia gospodarczego i intelektualnej nadbudowy nad procesami gospodarczymi. W sferze tzw. realnej odnotować należy niezwykle urodzaj w rolnictwie, natomiast w sferze tzw. regulacyjno-systemowej ożywienie dyskusji o postępie reformy gospodarczej i ujawniające się na tym tle polemiki o projekcie tzw. Planu Rocznego (CPR) na 1985 rok.

Zacznijmy od pierwszej sprawy. Urodzaj w tym roku był rzeczywiście nadzwyczajny, plony i zbiory zbóż rekordowe. Blisko 30 q z hektara to poziom, jakiego nie notowano dotychczas w historii naszego kraju. Ponieważ areał zbóż wynosi około 8 mln hektarów, daje to zbiory w wysokości ponad 24 mln ton. Doskonale obrodził również rzepak — ponad 1 mln. Zbiory ziemniaków były poniżej poziomu rekordowego, ale też duże. Rekordowy był urodzaj buraków. Ogromnie obrodziły warzywa (z wyjątkiem pomidorów), zwłaszcza kapusta, której zebrano wprost niebywałe ilości. Dobra sytuacja jest również w owocach twardych, a w jabłkach Polska ma już trwałą pozycję jako potęga sadownicza w Europie.

Żeby w pełni ocenić znaczenie tych wyników, trzeba przypomnieć, że jest to już czwarty rok urodzaju. Magazyny są pełne. Trzeci czy czwarty rok z rzędu produkujemy rocznie 1.700 tys. ton cukru — grubo ponad własne potrzeby — i nie ma go gdzie składować. Przez kraj płynie coraz szersza rzeka mleka i nie można jej zagospodarować, przerobić i skonsumować. Ogromne ilości rzepaku z tegorocznych, zaskakująco dużych zbiorów, trzeba było składować pod gołym niebem. Żeby choć częściowo ratować sytuację, przywrócono dawne proporcje w handlu zagranicznym: rolnictwo stało się znów eksporterem netto produktów rolnych

i przynosi krajowi (?) dewizy. Ale co mamy z tego stanu obfitości? Nic lub bardzo niewiele.

Po pierwsze zaskakująco powściągliwa jest reakcja władz na tę sytuację. Jeśli dawniej byłby to powód (mający pokrycie w faktach) do uderzenia w bębny propagandy sukcesu, to dziś minister rolnictwa przestrzega przed „nadmiernym optymizmem”, studzi zapał komentatorów prasowych, podmalowuje sytuację ciemniejszymi kolorami rozmaitych zastrzeżeń i obaw. Dlaczego?

Wyjaśnienie jest w tym, co się dzieje na rynku i co ma z tego konsument. Ilościowa obfitość urodzaju nie znalazła dostatecznego odbicia w dobrym zaopatrzeniu rynku czy sprawnie działającym handlu. Reglamentacja podstawowych produktów żywnościowych: mięsa, mąki i tzw. przetworów zbożowych, tłuszczów i cukru utrzymuje się nadal. W odpowiedzi na coraz bardziej natarczywe głosy, domagające się zniesienia upokarzającego systemu kartek, minister rolnictwa zapewnia, że w przyszłym roku „w pełni zostaną pokryte potrzeby wynikające z reglamentacji” (a więc to jest maksimum, na które możemy liczyć), a przy party do muru niechętnie przyznaje, że wyniki osiągnięte w rolnictwie „dają podstawy do rozpoczęcia prac dotyczących rozważenia możliwości ograniczenia reglamentacji niektórych artykułów żywnościowych”. Z tego pokrętnie barokowego zdania wynika, że władze dopiero zaczną się zastanawiać, czy w ogóle można będzie znieść reglamentację, przy czym namysł będzie dotyczył nie wszystkich — broń Boże — artykułów, ale tylko niektórych, prawdopodobnie kaszy i płatków owsianych.

Z czego wynika utrzymywanie tego nonsensu gospodarczego, kompromitacji politycznej i upokorzenia (dla ludności) społeczno-moralnego? Odpowiedź nie jest trudna. Kartki, zwane urzędowo reglamentacją, zapewniają władzy tak pożądaną komfort w postaci spokoju na kartkowym „rynku”, spokoju niezależnego przede wszystkim od sytuacji politycznej, zarówno wewnętrznej jak i światowej. Wprowadzone pierwotnie jako doraźny i tymczasowy środek przywrócenia równowagi na rynku, kartki stały się trwałą protezą władzy w jej polityce gospodarczej wobec ludności. Nic tu nie pomogą argumenty natury gospodarczej, że reglamentacja — uzasadniona w sytuacji, gdy nie można zwiększyć podaży — nie ma uzasadnienia wtedy, gdy podaż — reprezentowana przez chłopskich producentów i reagująca przeciw na ceny — może ulec zwiększeniu. Nie pomaga wskazanie, iż kartki prowadzą do marnotrawstwa zarówno po stronie produkcji jak i konsumpcji, że reglamentacja osłabia konsumpcję lub nawet przekreśla motywacyjną funkcję płac, a zatem działa przeciw wysiłkom na rzecz podniesienia wydajności pracy. Nie ma również znaczenia to, że

system kartkowy zatrudnia ćwierć miliona ludzi i to w sytuacji, gdy tak brak ludzi właśnie w handlu. Wreszcie nie pomaga argument, że system kartkowy jest sprzeczny z proklamowaną i jakoby wprowadzaną reformą gospodarczą: zwiększenie samodzielności przedsiębiorstw czyli producentów nie może iść w parze z ograniczaniem samodzielności konsumentów, bo to prowadzi do ograniczenia funkcji pieniądza i paraliżu systemu cen, który według reformy ma stanowić główną informację dla samodzielnych przedsiębiorstw. Wszystko to jest nieważne wobec faktu, że dzięki systemowi kartkowemu władza może się nie obawiać paniki na rynku przy kolejnym wzroście napięcia np. w Nikaragui czy w Gdańsku. System kartkowy pełni w PRL funkcję nie gospodarczą, lecz polityczną. Z reglamentacją łatwiej się rządzi. W braku normalnych amortyzatorów politycznych można nawet rządzić samą reglamentacją, stosowaną w coraz szerszym zakresie. System kartkowy nie ma u nas zatem wiele wspólnego z sytuacją w rolnictwie i z wynikami produkcji rolnej. Grozi więc nam stała reglamentacja. Do 1980 roku rządy komunistyczne wstydyli się reglamentacją, informacje o systemie kartkowym np. na Kubie ukrywano lub podawano z zażenowaniem, o zastosowaniu tego systemu myślano ze strachem: jak to, w Europie, w czasie pokoju, wprowadzać kartki! Niemożliwe. Gdy jednak raz weszli na tę drogę, odkryli jej zalety w systemie centralnego planowania. Ci, którzy — powołując się na czwarty rok urodzaju — żądają zniesienia reglamentacji żywności dowodzą, że nie rozumieją, o co tu chodzi. Jeśli wyniki w rolnictwie będą nadal takie dobre lub jeszcze lepsze, to najwyżej podniesie się przydziały, jak np. zrobiono z masłem, dodając jedną kostkę na miesiąc. Teraz na ogół nie narzeka się w Polsce na brak masła. Jest go dosyć, część ludzi nie zjada swojego przydziału, ale... jest na kartki. I jak trzeba będzie, to się przydział ograniczy, zróżnicuje, tu czy tam obetnie: co za wygoda. Nic dziwnego, że planiści komunistyczni z przerażeniem i niedowierzaniem myślą o tym, jak można było kiedyś żyć bez kartek!

Czy jednak naprawdę jesteśmy już skazani na system kartkowy? Jak już powiedziałem, tłumaczenie reglamentacji względny niedoborem towarów jest fałszywe. Trzeba bowiem zaraz zapytać: niedobór towarów, niedostateczna podaż, ale przy jakich cenach? Możemy z dnia na dzień doprowadzić do ostrego niedoboru towarów, w tym także wyższych gatunków żywności (mięsa) nawet w Stanach Zjednoczonych Ameryki, jeśli obniżymy dostatecznie ceny. Wtedy pojawią się od razu ludzie, którzy będą żądali wprowadzenia reglamentacji. Na swój sposób będą mieli rację, bo jeżeli ceny nie stanowią bariery dla popytu na dobra, które są ograniczone (nawet w Ameryce) to taką barierą musi być regla-

mentacja. A jeśli tak, to można by przeprowadzić rozumowanie odwrotne. W Polsce można znieść system kartkowy natychmiast, ze środy na piątek, jeśli podniosą się ceny, przy czym wystarczyłoby podnieść cenę masła o 30 %, cenę mięsa od 50 % do 80 %, a cenę cukru (ze względu na możliwość jego magazynowania i alternatywnego zastosowania — bimber) o 100 %, aby uzyskać równowagę na rynku i względną obfitość podaży. Cena mąki i tzw. przetworów zbożowych mogłaby pozostać bez zmian lub potrzebna byłaby jedynie niewielka podwyżka. Owe podwyżki cen mogłyby być — przynajmniej częściowo — skompensowane przez podwyżki płac i świadczeń, sfinansowane przez kwoty, które dotychczas stanowiły dotacje do żywności sprzedawanej po niskich cenach systemu kartkowego. Dotacja wynosiła dziś ponad 200 mld zł i skierowane do grup ludności o niższych dochodach byłyby odczuwalną kompensatą podwyżek cen.

Ale taka kombinacja cenowo-dotacyjna przekracza nawet połączoną wyobraźnię planistów z Ministerstwa Rolnictwa, Handlu Wewnętrznego i Urzędu Cen, których imaginację paraliżuje dodatkowo groźba ewentualnych politycznych komplikacji związanych z podwyżką cen żywności. Trzeba zatem szukać innej drogi — przez tworzenie faktów dokonanych. I to się już robi. Istnieje i rozszerza się wolny rynek reglamentowaną żywnością. Dotyczy to także, a może nawet przede wszystkim, mięsa i jego przetworów. Na wsi prowadzony jest ubój gospodarczy na coraz szerszą skalę, coraz więcej masy mięsnej omija państwowy monopol skupu, powstają małe masarnie. Dziś można kupić na wsi bardzo dobrą kiełbasę za 600 zł/kg, podczas gdy w systemie kartkowym najlepsza, ale niesmaczna kiełbasa kosztuje 400 zł.

Oczywiście władze mogą wprowadzić ostre represje, może nawet przymusowe dostawy, i ograniczyć tę działalność. Ale jeśli kary będą umiarkowane, a rosnąca podaż (z rosnącej hodowli opartej na zwiększonej podaży zbóż i ziemniaków) pozwoli na to, by ceny równowagi były dostępne dla dużych grup ludności o średnich dochodach, wówczas drugi, czyli wolny rynek żywności reglamentowanej (na pierwszym rynku) będzie się rozwijał.

Jednak przeszkodą dla tego rozwoju może być bardzo konkretna bariera w postaci braku infrastruktury przetwórczo-usługowej. Indywidualny rolnik wytwarza żywność w postaci surowca: zboża, żywca, buraków cukrowych, mleka. Ten surowiec trzeba przetworzyć, żeby uzyskać formę końcowego produktu żywnościowego. Zboże musi być przerobione na mąkę, chleb i bułki, żywiec na mięso i wędliny, buraki cukrowe na cukier, a mleko musi być w części przetworzone na masło. Tym procesom przetwórczym ma służyć przemysł tzw. rolno-spożywczy.

Kiedyś był to najsilniejszy przemysł w naszym kraju, dziś jest on zaniedbany i stanowi wąskie gardło na drodze od rolnictwa do konsumenta. Zboże nie może być zmielone na mąkę w odpowiednich terminach, asortymentach i ilościach, gdyż państwowy przemysł młynarski ma za małe moce przerobowe, a setki małych młynów chłopskich zmieniało się w ruinę. Mąka nie może być zamieniona na chleb i „chrupiące bułeczki”, gdyż nie ma dostatecznej ilości piekarni. Państwowe piekarnie-giganty nie wystarczają, pieką chleb i bułki złej jakości, a tysiące małych piekarni zostało zlikwidowanych. Ogromne ilości mleka marnują się, gdyż nie jest schładzane i szybko kwaśnieje, albo też nie można go przetworzyć na masło. Państwowe wielkie mleczarnie nie wystarczają, a sieć małych spółdzielczych mleczarni została zlikwidowana. Żywiec dostarczony do wielkich zakładów mięsnych znika gdzieś lub zamienia się w podłe, niejadalne wyroby, tylko z nazwy przypominające kiełbasę, a małe masarnie po wsiach i miastach zniknęły już bez śladu.

Nie ma więc drobnej, rzemieślniczo-usługowej infrastruktury przetwórczej w gospodarce żywnościowej. Strukturę tę trzeba odbudować lub zbudować na nowo i w ten sposób przełamać monopol państwa, które zamiast służyć obywatelowi pragnie tylko nad nim panować przez żywność: monopolizację jej produkcji i reglamentację jej konsumpcji. W rozmowach z Solidarnością w 1981 roku Rakowski wypowiedział słowa, które streszczają program komunistów w tej dziedzinie: „kto ma żywność, ten ma władzę”, a jego pomocnik Urban uzupełnił to, odwracając zdanie, a mianowicie, że kto ma władzę, ten ma żywność (słynne: „dla rządu wystarczy”).

Trzeba tę jedność władzy i żywności rozerwać, przeciąć krótką smycz kartek, na której nas trzymają. Tylko wówczas na rynku, w naszych spiżarniach i na naszych stołach zobaczymy rezultaty owego wielkiego, rekordowego urodzaju w rolnictwie, tylko wówczas odczuwamy, że istnieje pozytywny związek między produkcją a rynkiem i konsumpcją. Ten pozytywny związek to wolny, niereglamentowany rynek żywności, oparty o wielką sieć drobnego przemysłu przetwórstwa rolno-spożywczego. Sieć taką może zbudować rolnik indywidualny. To chłop jest producentem surowców żywnościowych i komunistycznym biurokratem nie udało się go w tej funkcji zastąpić. Chłop ma środki produkcji, ma kapitał. Potrzeba tylko inicjatywy i programu wyparcia państwowego socjalizmu z tego obszaru naszej gospodarki i wprowadzenia na to miejsce prywatnej inicjatywy wolnych producentów.

W organizowaniu takiej inicjatywy chłopów, w tworzeniu takiego programu infrastruktury przetwórstwa rolno-spożywczego, wreszcie w zasilaniu tej inicjatywy środkami finansowymi kluczo-

wą rolę może odegrać „kościelna fundacja” pomocy rolnictwu indywidualnemu. Ale komuniści wiedzą, że fundacja ta ma być tylko zapalnikiem i rozrusznikiem, który powinien spowodować eksplozję prywatnej przedsiębiorczości na wsi. Wiedzą i dlatego nie dopuszczają do jej uruchomienia. I chociaż od dwóch lat minister rolnictwa mówi, że prace na temat fundacji są już „na ukończeniu”, to taki stan trwać może jeszcze lat dziesięć i sto. Tylko odpowiedni nacisk w postaci utrzymania restrykcji i twardej warunków w sprawach spłaty zaciągniętych długów może zmusić rząd PRL do ustępstw w tej dziedzinie.

A poza tym można liczyć także na czynnik losowy. Dotychczasowa historia PRL wskazuje, że gdy tylko było kilka lat urodzaju, władza komunistyczna zaczynała przemyślać, jakby tu pogorszyć sytuację rolnika indywidualnego, aby mu się nie powodziło zbyt dobrze, bo mógłby stanowić zagrożenie dla ustroju. I pogarszała. Dopiero gdy wraz z tym pogorszeniem przychodziły nieurodzaje, produkcja rolna spadała i pojawiały się napięcia społeczno-gospodarcze, komuniści liberalizowali swoje zarządzenia wobec chłopów, zmniejszali ciężary, przywracali ulgi, obiecywali uroczyście respektowanie prywatnej własności gospodarstwa rolnego.

Otóż teraz jesteśmy po czwartym roku urodzaju. Magazyny państwowe są pełne, skup wzrasta, eksport się ożywił. Władza komunistyczna w stosunkach z chłopem nabrała pewności siebie i uważa, że nie trzeba go zanadto rozpieszczać. I tak ceny kontraktacyjne zbóż są już wyższe od cen wolnorynkowych, które ostatnio spadły (nie byłoby tak, gdyby ów wolny rynek nie ograniczył się do rolników tej samej wsi). My wiemy jednak, że taka polityka może przynieść opłakane skutki. Bowiem po latach tłustych przychodzą lata chude i im dłużej trwa urodzajna passa w rolnictwie, z tym większym prawdopodobieństwem należy oczekiwać pojawienia się krowy chudej. Wtedy oczywiście zacisną nam ciasniej pętlę reglamentacji. Ale jednocześnie, zgodnie z zasadą, że gdy gorzej to właśnie lepiej — opór przeciw takim inicjatywom, jak fundacja kościelna, zostanie przewyciężony.



Latem tego roku Komisja Planowania (przy Radzie Ministrów, a jakże) opracowała projekt planu gospodarczego na 1985 rok. Ten projekt nazywał się „założeniami do planu”. Ale jakież to jest plan i jaka Komisja! Dawniej należało obowiązkowo uważać, że projekt opracowany przez Komisję jest prawie najlepszym z możliwych. Można go było tylko chwalić. Dzisiaj każdy ma prawo powiedzieć, że opracowałby plan lepszy niż Komisja i

w komentarzach jest tylko krytyka (zresztą, jak się okaże, uzasadniona). Komisja Planowania nie ma już tego autorytetu, co dawniej. Gdzie te czasy, kiedy na czele wszechpotężnego urzędu stali tacy zasłużeni w walce o socjalizm weterani ruchu jak Stefan Jędrzychowski lub Eugeniusz Szyr, nie mówiąc już o Hilarym Mincu. Choć im to właśnie trzeba przypisać odpowiednią część winy za doprowadzenie naszej gospodarki do obecnego stanu, propaganda zdołała otoczyć ich nimbem wyjątkowej ważności i kompetencji, co miało pewne znaczenie dla dyscypliny gospodarczej w zakresie wykonania planów opracowanych przez tak wysoki urząd. Dziś jest inaczej. Sama Komisja Planowania jest cieniem dawnego urzędu, a jej obecny przewodniczący — Manfred Gorywoda — niczym się nie wyróżnia, nie błyszczy ani koncepcją, ani siłą decyzji. Słaby człowiek na czele słabego urzędu. Urząd zaś jest słaby, gdyż zachwiały nim dwa wydarzenia: katastrofa gospodarcza lat 1980-1982, która obnażyła nicość socjalistycznej gospodarki planowej, oraz reforma gospodarcza, która — jakkolwiek połowiczna i niekonsekwentna — sama postawiła pod znakiem zapytania rację bytu takiego urzędu jak Komisja Planowania. Toteż urząd ten robi co może, aby odzyskać swoje dawne kompetencje, osłabić działanie reformy i znów okiełznać przedsiębiorstwa. Jednym z takich działań jest właśnie opracowanie planu rocznego.

Od trzech lat plan opracowywany przez Komisję nazywa się skromniej niż dawniej. Dawniej brzmiało to pompatycznie: „Narodowy Plan Społeczno-Gospodarczy”. Teraz ani nie „narodowy”, ani nie „społeczny”, ani nawet nie „gospodarczy”; po prostu skromnie i technicznie: Centralny Plan Roczny, w skrócie dźwięczna trzyliterówka CPR.

Otóż CPR na 1985 rok zawiera wszystkie wskaźniki, jakie klasyczny elaborat tego typu zawierał: wskaźnik wzrostu dochodu narodowego, produkcji przemysłowej, produkcji rolnej i zatrudnienia, liczby dotyczące budownictwa, inwestycji, handlu zagranicznego i transportu. Ale brak mu tego, co było dotychczas duszą socjalistycznego planowania: dyrektywności i to adresowanej do konkretnych wykonawców. Te prawdziwe zęby centralnego planu zostały przez słabą i niekonsekwentną reformę gospodarczą jeśli nie wyrwane (niestety), to przynajmniej bardzo zachwiane. Chodzi bowiem o rzecz podstawową: jak przenieść opracowany przez Komisję plan z jego liczbami, proporcjami i kierunkami do bezpośrednich wykonawców-przedsiębiorstw, zakładów usługowych i innych jednostek, które teraz mają pracować według własnych planów, samodzielnie i „samofinansowo”. A przecież sens centralnego planu gospodarczego ma polegać na tym, że on organizuje, koordynuje i stymuluje pracę 17 milionów ludzi

pracujących w PRL (tak się przynajmniej łudzono). Dyrektywność i adresowość czyli nakazowo-rozdzielczy charakter planu gwarantowały (w teorii), że plan zostanie wiernie przeniesiony do wykonawców i że suma planów wykonawców będzie arytmetycznie zgodna z planem centralnym. Ta zgodność była konieczna, aby się wszystko bilansowało, to znaczy, aby popyt zgadzał się z podażą na każdym szczeblu, w każdym asortymencie i w każdym czasie. To nic, że rzeczywistość, czyli tzw. „wykon” (?!) był zupełnie inny niż plan, i że nic się nie bilansowało. Ale na etapie planu tryb nakazowo-rozdzielczy zapewniał spójność całej imprezy.

Nic z tego nie zostało. Nie można już przenosić planu w dół w dotychczasowym trybie nakazów i zakazów. Trzeba stosować tzw. narzędzia parametryczne, czyli bodźce i antybodźce ekonomiczne (ceny, podatki, cła, płace, odpisy, normy). Ale chwila namysłu wystarczy, by uznać, że metoda takich bodźców ekonomicznych przy tak szczegółowo opracowanym planie, jak to Komisja Planowania zwykła czynić, nie da się przenieść do wykonawców. Metoda tzw. parametrycznego sterowania przy pomocy bodźców ekonomicznych została wzięta z kapitalistycznej gospodarki rynkowej. Ale tam parametry są po pierwsze adresowane „do wszystkich, których to obchodzi” (a więc imiennie do nikogo), a pod drugie są bezwzględnie egzekwowane przez twarde prawa rynku i prywatnej własności, aż do śmierci ekonomicznej tych, którzy tym parametrem się nie podporządkowali, choć powinni byli. Chodzi tu bowiem o wrażliwość prywatnych przedsiębiorstw na minimalne nawet zmiany parametrów ekonomicznych i natychmiastową reakcję na te zmiany. Po trzecie wreszcie parametry ekonomiczne w gospodarce rynkowej nie przenoszą do wykonawców żadnego antycypacyjnie sformułowanego przyszłego stanu gospodarki, bo to nawet przy olbrzymiej wrażliwości przedsiębiorstw kapitalistycznych byłoby niemożliwe. Przy kształtowaniu się bowiem setek i tysięcy wielkości gospodarczych istnieją w pewnych przedziałach tzw. pola obojętności, wewnątrz których przedsiębiorca może postąpić tak lub inaczej i to nie zmienia jego pozycji ekonomicznej. Ostateczny stan kapitalistycznej gospodarki rynkowej (co i ile wyprodukowano, sprzedano, kupiono, jakimi metodami itd.) kształtuje się zatem *ex post* jako wynik milionów działań podmiotów ekonomicznych obdarzonych wolną wolą (w zakresie owych pól obojętności), które parametrom ekonomicznym podporządkowują się jako masa statystyczna. Nikomu to nie przeszkadza, gdyż nie ma centralnego planisty, który antycypuje stan gospodarki i chce go narzucić milionom wykonawców.

Oczywiście ludzie z Komisji Planowania zdają sobie sprawę ze słabości narzędzi parametrycznych użytych niezgodnie z ich

naturą. Toteż próbują „ratować sytuację” (to znaczy planowy, dyrektywny charakter gospodarki) przez stosowanie metod zastępczych i dekompozycję całego programu. Najpierw o metodach zastępczych: nie ma już dawnych, nieodżałowanych wytycznych Komisji, które *in nuce* zawierały cały plan. Ale język polski jest bogaty. Komisja opracowuje więc „założenia” do planu. Dawne wytyczne w trybie rozkazodawczym „spuszczało się” w dół po kolejnych szczeblach gospodarczej biurokracji. Tego nie można robić teraz z „założeniami”. Trzeba demokratycznie. Organizuje się więc na wielką skalę tzw. konsultacje (swoista forma realizowania demokracji socjalistycznej). W trybie tych konsultacji „założenia” dotrą do wszystkich wykonawców, tak jak dawniej docierały wytyczne. Ale teraz trzeba uzyskać od wykonawców wiernopoddańczą odpowiedź. Nie można im nakazać, żeby składali swoje plany w Komisji, gdyż mają to być plany autonomiczne. Ale od czego pomysłowość? Komisja rozsyła więc do 1.200 największych przedsiębiorstw tzw. ankietę na temat założeń do planu, a odpowiedź na tę ankietę (kilkadziesiąt pytań) stanowi właśnie ten drugi ruch dawnego czółenka, w ramach którego plany od dołu spływały do Komisji. Może ona je teraz porównać z wytycznymi (*pardon*, z założeniami). W ten sposób sprawę trybu jakoś załatwiono; nie zdając się na mgliste i zaszyfrowane* parametry, przekazano konkretną informację w dół i uzyskano odpowiedź. Ale podobnie jak przedtem odpowiedź z dołu nie zgodziła się z pytaniem (założeniem) z góry i znów jest tak, jak w piosence Młynarskiego o układance. Zgodność (w planie) trzeba wyegzekwować. Tutaj przychodzi z pomocą metoda dekompozycji. Jeżeli nie można tego zrobić w stosunku do całej gospodarki, to trzeba to zrobić na wybranych obszarach, w wybranych dziedzinach i tam narzucać zadania i limity dawną metodą nakazowo-rozdzielczą. W tym celu trzeba mieć jednak jakieś elementy siły materialnej. Takie elementy pozostały w rękach centrum, jako rozwiązanie tymczasowe, choć sprzeczne z reformą. Jest to centralne rozdzielnictwo surowców, materiałów, półfabrykatów, urządzeń, maszyn. Posługując się tym narzędziem, ogłasza się tzw. programy operacyjne i „składa” zamówienia rządowe, czyli narzuca się przedsiębiorstwom konkretne zadania za gwarancję przydziału zaopatrzenia materiałowego „pod” program czy pod „zamówienie”. Są to więc wewnętrzne plany dyrektywne w ramach ogólnego planu parametrycznego. Przedsiębiorstwa przyjmują je w wyniku nacisku, perswazji lub widząc w tym swój interes, ale w ramach takich zamówień rządowych

* Ekonomści np. nazywają ceny zaszyfrowaną informacją co do tego, co i ile produkować.

czy programu operacyjnego nie ma miejsca na samodzielność (co produkować i jak), a samofinansowanie staje się pozorem (jeżeli każą produkować coś, co przy takich cenach i takich kosztach nam się nie opłaca, to muszą dać dotacje).

W ten sposób na pewnych obszarach gospodarki mamy dawny system centralnego planowania metodami nakazowo-rozdzielczymi. Tak jest w przemyśle ciężkim, z pewnością w przemyśle zbrojeniowym, częściowo w elektrotechnicznym i maszynowym, w zakresie niektórych grup asortymentowych, nawet w przemyśle lekkim i wolnospożywczym.

Ale programy operacyjne i zamówienia rządowe nie wyczerpują całej zdolności produkcyjnej przedsiębiorstw i nie obejmują wszystkich przedsiębiorstw. Co tam się dzieje? Otóż dla tych przedsiębiorstw plan centralny opracowany przez Komisję Planowania jest po prostu zbiorem pobożnych życzeń, które przy stosowaniu tych grubych parametrów (ceny urzędowe jako parametr?) nie mają żadnej szansy, by te przedsiębiorstwa sobie podporządkować. Jak więc one działają? To jest właśnie niewiadoma, bo przedsiębiorstwa, które nie są włączone do programów operacyjnych i zamówień rządowych, nie działają również według praw rynkowych, gdyż brak im istotnych elementów rynku: wolnej ceny, swobodnego dostępu do czynników produkcji, konkurencji, maksymalizacji zysku. Przedsiębiorstwa te są na ogół monopolistami na swoim odcinku, ale nie działają również jak typowi monopolisci. Jaka jest więc sytuacja systemowa na tym obszarze? Mówi się, że to jest stan żadności systemowej. Nie jest to gospodarka centralnie planowana (chciałoby się powiedzieć: już nie jest) i nie jest to gospodarka rynkowa (jeszcze nie jest?). Jest to stan przypadkowości i chaosu.

Poza tym istnieje oczywiście trzecia strefa gospodarki, w której działają normalne prawa ekonomiczne i stosowany jest rachunek gospodarczy. Jest to obszar gospodarki prywatnej, wszędzie tam gdzie zachowała się lub rozszerzyła własność środków produkcji (i przedmiotów konsumpcji — nie lekceważmy tego — np. gospodarstwa domowe. Czy wyobrażacie sobie, co by się stało, gdyby upaństwowiono nasze gospodarstwa domowe?).

Wróćmy jednak do planu. Choć jak wynika z powyższego, plan ma charakter częściowo abstrakcyjny jako gabinetowe opracowanie służące głównie Komisji Planowania, to jednak jest krytykowany także w sposób klasyczny, przez analizę poszczególnych wskaźników, zadań i środków, ich realność i zgodność wewnętrzną. Spójrzmy od tej strony na to dzieło.

Z jednej strony zarzuca się CPR-owi, że jest mało ambitny

i dynamiczny. 3,2% wzrostu dochodu w trzecim roku tzw. Planu 3-letniego, który miał nas wyprowadzić z kryzysu, to rzeczywiście nie jest imponujące. Gdzie te dawne skoki po 6% a nawet 10% rocznie? Łza się w oku kręci. Z rachunku zaś wynika, że i po pełnym zrealizowaniu CPR 85 będziemy grubo pod kreską, tzn. poniżej poziomu roku 1978 (we wskaźnikach globalnych, a co dopiero mówić o wskaźnikach przeliczonych na głowę!).

Z drugiej strony ocenia się jednak, że odwrotnie, CPR 85 jest nierealny, że żądania w nim postawione nie mają pokrycia w środkach. Najpoważniejszy zarzut w tym zakresie wskazuje, iż plan przewiduje (ale i włącza do bilansu) wzrost wydajności pracy o ca 5% przy całkowitym zamrożeniu płac realnych. Ów wzrost wydajności pracy ma nastąpić w sytuacji, gdy tzw. poziom technicznego uzbrojenia pracy nie podniesie się, a więc ma być wynikiem ulepszeń organizacyjnych, a w ich braku po prostu wzrostu intensywności pracy. Państwowe związki zawodowe po kilku gestach protestu w ramach konsultacji przyjeły przewidywania planu, ale czy przyjmą je także masy robotnicze? Czy rzeczywiście będą wydajniej, tzn. intensywniej pracować za tę samą płacę? Wprawdzie intensywność pracy w PRL nie jest wielka, część czasu roboczego to tzw. czas pusty, ale żeby go wypełnić, czyli zmusić ludzi do intensywnej pracy, trzeba zapłacić lub postraszyć; centralny planista w PRL nie może zrobić ani jednego, ani drugiego.

Inny zarzut kierowany do CPR 85 dotyczy inwestycji. Inwestycje okazały się pod rządami Jaruzelskiego podobnie niestęrowe jak za czasów Gierka. „Plany” inwestycyjne są rokrocznie przekraczane, stając się motorem inflacji. Ale zarzut dotyczy głównie tego, że Komisja Planowania kieruje strumień inwestycji (częściowo przy pomocy parametrów ekonomicznych) nie tam, gdzie trzeba. Finansuje się gierkowską strukturę inwestycji, co uniemożliwia tzw. restrukturyzację. Zarzut słuszny, ale prawdopodobnie właśnie o to chodzi, aby nie dopuścić do zmiany struktury, gdyż ta która jest i która się odtwarza w inwestycjach najlepiej spełnia swoje zadania. Jakże zadania? To już inna historia...

Poza tym do CPR 85, jak w piosence, mają pretensje wszyscy, „i rolnicy i hutnicy, marynarze i młynarze”. Świadczy to o tym, że mimo głoszonej reformy gospodarczej nie udało się zobiektywować stanu gospodarki. Nie udało się braku środków inwestycyjnych, materiałowych, zatrudnieniowych i finansowych przedstawić jako stanu obiektywnego, który każde przedsiębiorstwo musi uznać jako *datum* (stan dany). Ciągłe wszyscy jak dawniej

żądadą środków od centrum, a więc podstawowy cel, jaki reforma miała spełnić, nie został osiągnięty.

Co będzie dalej? Najlepszą metodą przepowiedni jest ekstrapolacja. Będzie dreptanie w miejscu, będą istniały trzy obszary regulacji, inflacja będzie postępować, płac realnych prawdopodobnie nie uda się zamrozić, ale przez to nierównowaga na rynku się nie zmniejszy. Ogólnie: na pewnych odcinkach się poprawi (rynek żywnościowy), ale na innych się pogorszy i ta druga tendencja będzie narastać.

OBSERWATOR

Rzym, w grudniu 1984

Spis wydawnictw podziemnych w PRL (6)

Pomimo wytężonej pracy służb bezpieczeństwa, usiłujących za wszelką cenę wykryć podziemne drukarnie, często nawet z pewnym powodzeniem, ilość wydawnictw konspiracyjnych, tak prasowych jak książkowych, ma stałą już tendencję zwykłą. Widać to choćby z obecnego i z poprzednich ich zestawień. Mniej lub więcej regularnie ukazują się książki w oficynach wydawniczych Białegostoku, Gdańska, Gorzowa, Katowic, Krakowa, Lublina, Łodzi, Poznania, Warszawy i Wrocławia. Najstabilniej w ruchu wydawniczym „Solidarności” podziemnej wygląda Gdańsk, niegdyś jej stolica. Podobno ma on trudności w zorganizowaniu porządnej drukarni, gdyż wszelkie próby paraliżuje kontrwywiad Marynarki Wojennej. Natomiast nie dobrał się on dotąd do licznych wychodzących tam organów prasowych, których liczba stale wzrasta (zob. uzupełnienia).

SPIS NOWYCH CZASOPISM PODZIEMNYCH, WYDANYCH OD LUTEGO DO SIERPNI 1984 ROKU (WRAZ Z UZUPEŁNIENIAMI ZA OKRES WCZEŚNIEJSZY)

1. *ARO*. Pismo studentów Politechniki Wrocławskiej. Wrocław 1983.
2. *Barykada*. Pismo Ruchu Oporu NSZZ „Solidarność” w Pionkach. Pionki 1983.
3. *Bibuła*. Biuletyn informacyjny Niezależnej Organizacji Młodzieżowej. B.m.w.* 1983.
4. *Bielawianka*. Bielawa 1983.

* Bez miejsca wydania.

5. *BIS*. Biuletyn informacyjny Studenckiego Komitetu Solidarności. Gdańsk 1984.
6. *BIS Spec. MRKS*. Biuletyn informacyjny Solidarności Spec. Warszawa 1984.
7. *Biuletyn IG*. Warszawa 1983-1984.
8. *Biuletyn Informacyjny*. Wałbrzych 1982.
9. *Biuletyn Informacyjny Bytomskiej Delegatury RKW*. Bytom 1983-1984.
10. *Biuletyn Informacyjny Huty Stalowa Wola*. Stalowa Wola 1983-1984.
11. *Biuletyn Informacyjny Kolejarzy Solidarności*. Lublin 1983-1984.
12. *Biuletyn Informacyjny Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Solidarności Ziemi Puławskiej; Region Środkowo-Wschodni*. Puławy 1982.
13. *Biuletyn Informacyjny NSZZ „Solidarność”, Region Śląsk Opolski*. Opole 1982.
14. *Biuletyn Informacyjny NZZ*. Wydanie wojenne. [Lublin] 1982.
15. *Biuletyn Informacyjny Polskiej Socjalistycznej Partii Pracy*. Szczecin 1983-1984.
16. *Biuletyn Informacyjny „Solidarność” Region Podkarpacki*. Kraków 1983.
17. *Biuletyn Informacyjny Uniwersytetu Warszawskiego*. Warszawa 1983-1984.
18. *Biuletyn Informacyjny Ziemi Kraśnickiej*. Kraśnik 1983.
19. *Biuletyn Informacyjny Ziemi Zgorzeleckiej*. Zgorzelec 1983.
20. *Biuletyn Instytutu Geologii*. Warszawa 1984.
21. *Biuletyn NSZZ „Solidarność” Region Podkarpacki*. Krosno 1983.
22. *Biuletyn Podziemny NSZZ Solidarność. Region Południowo-Wschodni*. Przemyśl 1982.
23. *Biuletyn Specjalny Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” Stoczni Gdańskiej im. Lenina*. Gdańsk 1982.
24. *Budowlana Polska*. Pomorze Zachodnie 1984.
25. *Bunt*. Redagują: „Kal”, „Kalina”, „Klementyna” i „Karol”. B.m.w. 1984 nr 1 styczeń.
26. *Busola*. Rzeszów 1983-1984.
27. *Ceglorz*. Koło Oporu Społecznego „Cegielski” w Poznaniu. Poznań 1984 nr 1 z 20. II.
28. *C[el] Viskoziak. Nasz cel: Samorządna Rzeczpospolita*. Jelenia Góra 1984.
29. *Co u Nas*. Pismo młodzieży szkolnej. Wrocław 1984.
30. *Czas Siewu*. Pismo rolników. Wydaje KOS. B.m.w. 1984 nr 1 z czerwca.
31. *Dokument RKW*. Regionalna Komisja Wykonawcza Małopolska. Kraków 1982.
32. *Dywanik*. Kowary 1983.
33. *Echo*. Biuletyn informacyjny TKZ ZUO „Hydroster”. Gdańsk 1983.
34. *Elbudowiec*. Serwis informacyjny Tajnej Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przy Zakładzie Konstrukcji Stalowych. Kraków 1984 nr 1 z 25. III.
35. *Errata*. Niezależne pismo środowisk inteligenckich Białegostoku. Białystok 1983-1984. Nr 1 z grudnia 1983.
36. *Fama*. Pismo Famago. Zgorzelec 1983.
37. *Feniks*. Tarnów 1983-1984.
38. *Głos Akademicki*. (Gdańsk?) 1983.
39. *Głos TKWS*. B.m.w. 1983-1984.
40. *Głos Wolny*. Solidarność. (Warszawa?) 1984.
41. *Głosy zza muru*. Wyd. „Skrót” 1982-1983.

42. *Głośno*. Pismo Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej Górnictwa Węglowego NSZZ Solidarność Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. Katowice 1983-1984.
43. *Gros*. Górniczy Ruch Oporu „Solidarność”. B.m.w. 1982.
44. *Hipolit*. Biuletyn NSZZ „Solidarność” HCP. Poznań 1984.
45. *Homo Homini*. Pismo Komitetu Pomocy Więzionym na Przekonania. Kraków 1984.
46. *Idee*. Program i dokumenty. B.m.w. Wydawnictwo WSN, 1984. Nr 1 z 23. II.
47. *Impuls*. Niezależny biuletyn młodzieży. Wrocław 1983-1984.
48. *Informator NSZZ „Solidarność” przy FSO*. Warszawa 1982.
49. *Informator Opolski NSZZ Solidarność*. Biuletyn informacyjny Komitetu Oporu Społecznego (KOS). Opole 1984.
50. *Informator Politechniki Wrocławskiej*. Wrocław 1983.
51. *Instalator*. Pismo na rzecz: Rewolucyjnej Partii Robotniczej. Czasopismo Rewolucyjnej Ligi Robotniczej Polskiej Sekcji IV Międzynarodówki. B.m.w. 1982.
52. *Jedność Robotnicza*. Pismo na rzecz Rewolucyjnej Partii Robotniczej. Czasopismo Rewolucyjnej Ligi Robotniczej Polskiej Sekcji IV Międzynarodówki. B.m.w. 1982.
53. *Jesteśmy*. Biuletyn Terenowej Komisji Oświaty w Zakopanem. Zakopane 1983.
54. *Jeszcze Tym Razem*. Pismo Komitetu Oporu Społecznego. B.m.w. 1983.
55. *Komunikat*. Warszawa 1983.
56. *Komunikat*. Kasa Oporu i Pomocy. TKW NSZZ „Solidarność” Instytutu Badań Jądrowych. Świerk 1983.
57. *Komunikat*. Międzyzakładowa Rada Solidarności w Poznaniu. Poznań 1984.
58. *Komunikat*. Publikuje Krajowy Komitet Strajkowy. Gdańsk 1981 grudzień nr 1-3.
59. *Komunikat Nr ... Zarząd Uniwersytecki NZS*. Wrocław 1983-1984.
60. *Konfederat*. Poznań 1984 od lutego.
61. *Kontra*. Pismo Niezależnej Rady Oporu. Lublin 1984.
62. *Kornik*. Niezależne pismo studentów Wybrzeża. Gdańsk 1984.
63. *KOS*. Edycja Świętokrzyska. Kielce: Zespoły Drukarskie Vega 1983-1984.
64. *Kręgi Kręgi*. Pismo młodzieżowe. Kraków 1984.
65. *Metrum*. Wydaje Komitet Oporu Społecznego. Siedlce 1983-1984. Nr 1 z 20. XI. 1983.
66. *Miesięcznik Międzyuczelnianego Komitetu Protestacyjnego Uczelni Poznańskich*. Poznań 1983.
67. *Miś*. Pismo szkolne. B.m.w. 1983.
68. *Monitor Świętokrzyski*. Pismo NSZZ „Solidarność” Regionu Świętokrzyskiego. B.m.w. 1982.
69. *Motor Odmowy*. Niezależne pismo NSZZ „Solidarność” przy PP „Polmozbyt” w Toruniu. Toruń 1983.
70. *Mój Głos*. Biuletyn Informacyjny NSZZ „Solidarność” Środowiska Puławskiego. Puławy 1983 nr 1 z 10. III.
71. *Murator*. Warszawa 1983-1984.
72. *Mysł*. Pismo Rady Solidarności Walczącej. Jelenia Góra 1983.
73. *Nasz Komentarz*. WSN. B.m.w. 1984.
74. *Nauczycielska Solidarność*. Informator białostockich nauczycieli. Region Białystok 1984 nr 1 z 28. I.
75. *Nie*. Biuletyn Informacyjny NSZZ „Solidarność” Regionu Południowo-Wschodniego. Przemyśl 1983.

76. *Nie*. Serwis informacyjny „KOS”. Gdańsk 1982.
77. *Niepodległość — Wybrzeże*. Gdańsk 1983 nr 1 z listopada.
78. *Nierzeczywistość*. Kielce 1983.
79. *Niezależna Agencja Informacyjna „Solidarność” (N.A.I.)*. Serwis informacyjny. Wrocław 1983.
80. *Niezależne Wiadomości Wydawnicze*. Warszawa 1983 nr 1 z 24. XII.
81. *Niezależni Ludowcy „Roch”*. B.m.w. 1982.
82. *Nihil Novi*. NZS. B.m.w. 1982.
83. *Nowe Spojrzenie*. NSZZ Solidarność Region Mazowsze. Warszawa 1983.
84. *Odmiennym Zdaniem*. Pismo TKZ NSZZ „Solidarność” ZUP Nysa. Nysa 1982-1983.
85. *Ognik*. Warszawa 1983.
86. *Ogniw*. Biuletyn Informacyjny Tymczasowej Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”. Poznań 1982.
87. *Opornik*. Pismo „Unitra — Telpod”. Kraków 1983-1984.
88. *Opór*. Poznań 1982.
89. *Pegaz*. Gdańskie pismo przeciwigazowe (humorystyczne). Gdańsk 1984 nr 1 z marca.
90. *Pismo członków „Solidarność” Nowotko*. Warszawa 1983.
91. *Poglądy*. Niezależny miesięcznik społeczno-polityczny. Wyd. Agencja Informacyjna Solidarności Walczącej. Wrocław 1983.
92. *Pokolenie*. Pismo Polskiej Walczącej. Gorzów Wielkopolski 1983-1984.
93. *Polska Zwycięży*. Poznań 1984.
94. *Poza Układem*. Pismo dziennikarzy prasy podziemnej Trójmiasta. Gdańsk 1984 nr 1 ze stycznia.
95. *Prawda*. Miesięcznik Myśli Niezależnej. RKS NSZZ „S” Dolny Śląsk. Wrocław 1983-1984.
96. *Praworzędność*. B.m.w. 1982-1983.
97. *Praworzędność*. Pismo Komitetu Funduszu i Ochrony Praworzędności. Warszawa 1984 nr 1 z czerwca.
98. *Prorządowiec — Bdziamak*. *Periodyk brygad do zwalczania imperializmu amerykańskiego*. Wrocław 1984.
99. *Przeгляд Katowicki*. (Miesięcznik). Pismo związane z RKK „S” Region Śląsko-Dąbrowski. Wydane nakładem Oficyny Śląskiej. Katowice 1983-1984.
100. *Przeгляд KPN*. Wydanie terenowe, obszar centralny. Warszawa 1984 nr 1 z 25. III.
101. *Przeгляд* — Sierpień 83. Wyd. Mysł Niezależna. Wrocław 1983.
102. *Radiowiec*. Pismo Zakładów im. Kasprzaka. Warszawa 1984 nr 1 z 9. II.
103. *Republika*. Wrocław 1983.
104. *RIS*. Biuletyn informacyjny „Solidarności” Śląsko-Dąbrowskiej. Podporządkowany RKW „Solidarność” Regionu Śląsko-Dąbrowskiemu. B.m.w. 1982-1984.
105. *Robotnik Łęborka*. Pismo Terenowej Komisji Koordynacyjnej, Łębork.
106. *Samorząd*. Warszawa 1984.
107. *SIM*. Serwis informacyjny Mazowsza. Warszawa 1982.
108. *S.W. Solidarność Walcząca*. Pismo organizacji Solidarność Walcząca Lublin. Lublin 1983-1984.
109. *Serwis Informacyjny NSZZ „Solidarność” WSP w Słupsku*. Słupsk 1982.
110. *Serwis Informacyjny Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk*. Wrocław - Wałbrzych - Legnica - Jelenia Góra - Dzierżoniów - Opole - Bolesławiec 1984.
111. *Serwis Informacyjny w WDN*. Wrocław 1983.

112. *Smoluch. KZ „S” Fabryki Przyrządów i Uchwytów w Białymstoku.* Białystok 1984.
113. *„Solidarni Zwycięzimy!”* — tygodnik NSZZ „Solidarność” Region Mazowsze. Warszawa 1982 nr 1 z 15-21. II — nr 7 z 25. III-4. IV (ostatni). Następnie z tego pisma połączonego z *Sumem* zrobiono *Sprawę*.
114. *Solidarność.* Biuletyn informacyjny kolejarzy. Lublin 1983-1984.
115. *Solidarność.* Pismo wydaje Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność”. Warszawa 1984.
116. *Solidarność Chłopska.* Pismo Regionalnego Komitetu Koordynacyjnego NS Chłop. ZZ „Solidarność” Dolnego Śląska i Opolszczyzny. Biuletyn Wojenny. Wrocław 1982.
117. *Solidarność — Gorzów.* Gorzów Wielkopolski 1982.
118. *Solidarność Hutnicza.* Wyd. Krajowa Sekcja Hutnicza. B.m.w. 1983 nr 1 z listopada.
119. *Solidarność — Lublin.* Lublin 1982.
120. *Solidarność Lubuska.* Zielona Góra 1983-1984.
121. *Solidarność Nauczycieli i Uczniów.* Wyd. „Oświata”. Wrocław 1983-1984.
122. *Solidarność Opolska.* Opole 1983.
123. *Solidarność Płock — Komunikat.* Tymczasowy Komitet Wykonawczy Regionu Płockiego. Płock 1982.
124. *Solidarność Podkarpacka.* Rzeszów (?) 1983-1984.
125. *Solidarność Podziemna PBK (Przedsiębiorstwa Budownictwa Kolejowego i Przedsiębiorstwa do Spraw Robót Kolejowych).* Warszawa 1984 nr 1 ze stycznia.
126. *Solidarność — Poznań.* NSZZ „Solidarność” Region Wielkopolska. Poznań 1983-1984.
127. *Solidarność S.* Biuletyn informacyjny TKZ ZWCH „Stilon” w Gorzowie Wlkp. Gorzów Wlkp. 1984.
128. *Solidarność TKK Ziemi Puławskiej.* Puławy 1984.
129. *Solidarność Walcząca Ziemi Wschowskiej.* Wschowa 1983-1984.
130. *Spiccie.* Białostockie Zakłady Podzespołów Telewizyjnych „Unitra — Biazet”. Białystok 1984.
131. *Strzelec.* Pismo Konfederacji Polski Niepodległej. Wydawnictwo Polskie. Lublin 1983.
132. *Syrenka — Solidarność.* Wyd. Robotniczy Komitet „S”. Warszawa 1983.
133. *Szerszeń.* *Niezależny Biuletyn Informacyjny.* Rybnik 1983-1984.
134. *Tarnina.* Biuletyn Tarnowskiej TKK „Solidarność” Robotników i Chłopów. Tarnów 1983.
135. *Tędy.* Krakowskie niezależne pismo społeczno-literackie. Kraków 1983 nr 1 z grudnia.
136. *Tygodnik Wojenny.* (Edycja Toruń). Warszawa 1984.
137. *W Milczeniu i Nadziei.* Miesięcznik niezależny. Wrocław 1983.
138. *Wąbrzeski Informator Solidarności.* Wąbrzeźno 1983.
139. *Wątek. KZ „S” BZPB (Białostockie Zakłady Przemysłu Bawełnianego).* Fasty. Białystok 1983.
140. *Wiadomości.* NSZZ „Solidarność” w Stoczni Północnej im. Bohaterów Westerplatte. Gdańsk 1982.
141. *Wiadomości Dnia.* Ośrodek Badań Społecznych i Biuro Informacyjne NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze. Warszawa 1981 po 13 grudnia.
142. *Wiadomości Wojenne.* Jastrzębie 1982.
143. *Więści Obozowe.* Wydawnictwo poświęcone sytuacji w krajach komunistycznych. Bydgoszcz 1984.

144. *Wolny Głos.* Biuletyn informacyjny Tymczasowych Komisji Zakładowych NSZZ „Solidarności” Agromet, MPK, LZNS. Lublin 1983 nr 1 z 1. IV.
145. *Wolny Mazur.* (Szczytno) 1984 nr 1 z lutego.
146. *Wolny Obywatel.* Gdańsk 1983.
147. *Wujek.* Katowice 1984.
148. *Wycinanki.* Periodyk polityczny. Wybór artykułów z polskiej prasy emigracyjnej. Wyd. i red.: Adam Marconi. Miami (miejsce fikcyjne) 1982.
149. *Wyzwolenie. Społeczeństwo, Demokracja, Niepodległość.* Niezależny miesięcznik polityczny. Poznań 1984 nr 1 ze stycznia.
150. *Z Ukrycia.* Wyd. Ruch Oporu NZS A[kademii] R[olniczej]. Kraków 1983-1984.
151. *Zawsze Solidarni.* Biuletyn publicystyczno-informacyjny Ruchu Samoobrony „Solidarność”. B.m.w. 1982.
152. *„Zerwij Kajdany Połam Bat...”* Niezależne pismo Solidarności Walczącej w Piechowicach. Piechowice 1984.
153. *Zeszyt Tematów Polskich.* Katowice 1984 nr 1 z kwietnia.
154. *Zgierz.* 1983-1984.
155. *Ziemia Gdańska.* Pismo Organizacji Solidarność Walcząca. Oddział Gdańsk. Gdańsk 1984.

UZUPEŁNIENIA

156. *Biuletyn Informacyjny Studenckiego Komitetu Solidarności.* [Gdańsk] 1984 nr 1 ze stycznia.
157. *Dwójka.* Pismo młodzieży II LO [Liceum Ogólnokształcącego] w Gdańsku. Gdańsk 1984 nr 1 z 8. V.
158. *Emisariusz.* Biuletyn informacyjny VIII LO. Koło Oporu VIII LO. Wyd. GMN Kierunki. Gdańsk 1984 nr 1 ze stycznia.
159. *Jedynka.* Pismo młodzieży I Liceum Ogólnokształcącego w Gdańsku — Biuletyn. Gdańsk R. 1: 1984.
160. *PAP-a.* Niezależne pismo młodzieży IV i X LO. [Gdańsk] 1984 nr 1 ze stycznia.
161. *Biuletyn Nowohucki.* Nowa Huta 1984 nr 1 z 23. VIII.
162. *AR — Czasopismo Społeczno-Polityczne dla Rolników.* [Warszawa] 1984 nr 1 z maja.

WYKAZ KONSPIRACYJNYCH KSIĄŻEK, BROSZUR
I KASET MAGNETOFONOWYCH

1. A.Z.: *Pomiędzy „odnową” a niepodległością. Ruch „Solidarność” wczoraj i jutro.* Wydanie II rozszerzone. (Region Śl[ąska] Opolskiego, październik 1983 r.). Str. 48, nlb. 1, hektograf, tyt. okł. (*Solidarność dziś. Niepodległość jutro*).
2. Albert Andrzej (pseud.): *Wschodnie granice Polski.* Warszawa 1984, Wydawnictwo [?], str. nlb. 2, 5, nlb. 1, fotootset (cena 120 zł). Przedruk z *Zeszytów Historycznych* nr 53 z 1980 roku.
3. *„Aneks” kwartalnik polityczny 33/1984.* [Przedruk:] Warszawa 1984 Wydawnictwo Krag, str. 160, fotootset (cena: 200 zł).
4. *Antologia poezji polskiej na Środkowym Wschodzie.* Kraków 1984, Biblioteka Obserwatora Wojennego.
5. Arzak Mikołaj (Julij Daniel) [pseud.]: *Mówi Moskwa.* Warszawa 1984, Wydawnictwo CDN, str. 38, fotootset (cena: 100 zł).

6. Bagiński Kazimierz, Pużak Kazimierz, Garlicki [właśc. Garliński] Józef: *Proces szesnastu* (w Moskwie). Kraków 1984, str. 147, nlb. 1, fotooffset (cena: 360 zł).
Na k. tyt. nazwisko przekreślone na: Garlicki, a na okładce na: Gawliński.
7. Barańczak Stanisław: *Czytelnik ubezwłasnowolniony. Perswazja w masowej kulturze literackiej PRL*. Libella 12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris IV^e. [Przedruk: Kraków 1983]. Str. nlb. 2, 5-141, fotooffset. [Cena: 350 zł]. — Na str. 7: St.B.: *Przedmowa do wydania krajowego*.
8. Barańczak Stanisław: *Przywracanie porządku*. B.m.w. [1983], str. nlb. 2, 16, nlb. 1, fotooffset.
9. Barańczak Stanisław: *Samobójstwo sandauryzmu*. Kraków 1984, Biblioteka Promienistych, str. nlb. 2, 24, nlb. 2, fotooffset. (Cena: 30 zł).
(Przedruk z miesięcznika *Kultura*, Paryż 1982 r.).
10. Bartoszewski Władysław: *Dni walczącej Warszawy. Kronika Powstania Warszawskiego*. Warszawa 1984, Wydawnictwo Krąg, Warszawa — „Aneks” Londyn, str. 377, nlb. 1 + plan 1, fotooffset (cena: 700 zł).
11. Besançon Alain: *Krótki kurs sowietologii na użytek władz cywilnych, wojskowych i kościelnych*. [Warszawa] 1984, Niezależna Kooperatywa Wydawnicza Feniks, str. 56, fotooffset. Cena 150 zł.
12. Besançon Alain: *Wojciech Karpiński rozmawia z Alain'em Besançon*. B.m.w. 1984 Kanon, str. nlb. 2, 24, nlb. 2, fotooffset, tom 2. (Cena: 60 zł).
(Przedruk z *Lotnia* — Ełk '83).
13. Bienek Horst: *Cela*. Warszawa 1984, Oficyna WE [Wydawnictwo Enklawa], Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, str. 66, fotooffset.
14. Bienkowski Władysław: *Dramatu polskiego dalszy ciąg. PZPRowska normalizacja*. Warszawa 1984, Wydawnictwo Victoria.
15. Bienkowski Władysław: *Polskiego dramatu ciąg dalszy*. Warszawa 1984, Niezależna Kooperatywa Wydawnicza Feniks, str. nlb. 2, 33, fotooffset (cena: 85 zł).
16. Bierdajew Mikołaj: *Nowe średniowiecze*. Poznań 1984, wyd. „Głosy”, str. 80, fotooffset. [Cena: 250 zł].
(Przedruk wydania Towarzystwa Wydawniczego „Rój”, Warszawa 1936).
17. Bór-Komorowski Tadeusz: *Armia podziemna*. Kraków 1983, Biblioteka Promienistych, str. 66, nlb. 1, fotooffset. (Cena: 70 zł).
(Przedruk 3 rozdziału części I książki: *Armia podziemna*, Londyn 1950).
18. Brandys Marian: *Twardy człowiek*. Kraków 1984, Biblioteka Obserwatora Wojennego. (Druk — „Powielarnia Puszcza Niepołomska”), str. 16, fotooffset. (Cena: 55 zł).
19. Brandys Marian: *Twardy człowiek*. (Przedruk za Oficyną WE [Wydawnictwo Enklawa]). Warszawa 1983, Oficyna Wydawnicza „Pokolenie”, str. 22, nlb. 1, fotooffset (cena: 40 zł).
20. Bratkowski Stefan: *Co zrobić kiedy nic się nie da zrobić? Rzecz o samorządzie pracowniczym*. Wrocław 1984, Inicjatywa Wydawnicza „Aspekt”, str. 120, fotooffset (cena: 200 zł).
21. Bratkowski Stefan: *List otwarty do władzy*. Łódź 1983, Tajne Wydawnictwo Oświatowe. Zeszyt 3.

22. Bratkowski Stefan: *Listy Stefana Bratkowskiego do Andrzeja M. Wrocław 1984 (C.A.H.)*, str. 29, fotooffset.
23. Braun Andrzej: *Przemówienia do pisarzy i o pisarzach*. Warszawa 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, str. nlb. 2, 25, nlb. 1, fotooffset.
24. Brodowski Michał ks.: *Aktualizacja marksizmu przez trockizm*. Warszawa 1983, Unia Nowoczesnego Humanizmu, str. 36, fotooffset. — *Wolni z Wolnymi — Równi z Równymi*.
(Przedruk z wydania: Londyn 1983).
25. Bruliński Władysław: *Prawo tworzenia w świecie współczesnym. Część 1. „Problem Filozofii Absolutnej”*. Warszawa 1981/1982 [Unia Nowoczesnego Humanizmu], str. 91, rys. 19, tabela 1, fotooffset. (Wolni z Wolnymi — Równi z Równymi).
26. Brzeziński Zbigniew: *Polityka radziecka: od przyszłości do przeszłości?* Warszawa 1984, Wydawnictwo „Most”, str. 27, nlb. 1, fotooffset (cena: 55 zł).
27. Bukowski Władimir: *I powraca wiatr... Przełożył z rosyjskiego Andrzej Mietkowski*. (Wiersze przełożył Stanisław Barańczak. Do druku przygotowała Julia Juryś). Warszawa 1984, Niezależna Kooperatywa Wydawnicza Feniks, str. dwuszpaltowych 82, fotooffset. — (2. *Z dziejów ZSRR*).
(Pierwsze wydanie polskie: Londyn 1983, Polonia Book Fund Ltd.).
28. Bukowski Władimir: *Pacyfiści kontra pokój*. Lublin 1983, Spotkania, str. nlb. 2, 43, nlb. 3, fotooffset.
(Zawiera także: Gorbaniewska Natalia: *Zamiast posłowania*).
29. Bukowski Władimir: *Pacyfiści kontra pokój*. (Tłumaczył z j[ęzyka] rosyjskiego Andrzej Mietkowski. Published by Editions Spotkania, 1983). [Przedruk: Warszawa 1984]. Str. 47, nlb. 1, il. Cena: 85 zł.
30. *Pacyfiści kontra pokój*. Warszawa 1983, Wydawnictwo „Ziuk”, str. nlb. 4, 7-14, nlb. 2, fotooffset. Cena 150 zł.
(Przedruk z paryskiego wydawnictwa „Spotkania” 1983).
31. Bukowski Władimir: *Ruch pokoju w Związku Radzieckim*. Gorzów Wlkp. 1983. Oficyna Wydawnicza „Pokolenie”.
32. *Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo*. Warszawa 1983 Wydawnictwo Głos, str. 37, il., fotooffset.
Album fotografii z manifestacji Solidarności z lat 1982-1983.
33. Camus Albert: *Człowiek zbuntowany*. Przedruk: Instytut Literacki, Paryż 1958. Kraków 1984, Oficyna Literacka, str. nlb. 4, 13-314. [Cena: 500 zł].
34. Camus Albert: *Człowiek zbuntowany*. Przedruk: Instytut Literacki, Paryż 1958. Warszawa 1984, str. nlb. 4, 13-314, fotooffset. Cena: 550 zł.
35. Chojnacki Roman: *Apel poległych i inne wiersze*. Poznań 1983, wyd. „Głosy”.
36. Chruszczow Nikita S.: *Fragmenty wspomnień*. Warszawa 1984, Wydawnictwo Krąg, str. nlb. 2. 109, fotooffset. Cena 220 zł.
(Tłumaczenie z wydania rosyjskiego, New York 1978 Chalidze Publications).
37. Ciolkosz Adam: *Niewysłana depeza do Stalina*. Warszawa 1984, Wydawnictwo im. Gen. „Nila” Fieldorfa, str. nlb. 2, 12, powiel. Cena 30 zł. Artykuły historyczne.
38. Ciolkosz Adam: *Sąd krzywoprzysięzny*. Warszawa 1984, Wydawnictwo im. Gen. „Nila” Fieldorfa, str. nlb. 2, 9, nlb. 1, powiel. Cena 30 zł. Artykuły historyczne.
39. Ciolkosz Adam: *Trzy zapalki Churchilla*. Warszawa 1984, Wydawnictwo im. gen. „Nila” Fieldorfa, str. 11, powiel. Cena 25 zł.

40. Ciołkoszowie Adam i Lidia: *Niepodległość i socjalizm 1835-1945*. Audycje radiowe. Warszawa 1984, „Mysł”, str. 70, nlb. 2, fotooffset. Bolesław Sulik: *Słowo wstępne*. (Przedruk: Puls Publications, Londyn).
41. *Cywilizacja więzienna. (Wypisy literackie)*. Część I: *Świadectwa rosyjskie*. Wybór i opracowanie: Marek Burski. Warszawa 1984, Niezależna Oficyna Wydawnicza N[owa], str. 44, nlb. 2, powiel.
42. Cywiński Bohdan: *Polityka wschodnia Watykanu*. Warszawa 1983, Wydawnictwo „Głos”, str. 28, nlb. 3. (Cena 70 zł). (Jest to 9 rozdział książki *Ogniem próbowane*, T. I., Rzym 1982).
43. Cywiński Bohdan: *Rodowody niepokornych*. Warszawa 1984, Wydawnictwo Krag, str. 349, fotooffset. (Cena 620 zł). (Wydanie kompletne bez skreśleń cenzury, które miały miejsce w wydaniu warszawskim z 1971 roku Biblioteki „Więzi”).
44. *Czego nie ma w podręcznikach. Historia*. Wydanie III. Kraków 1983, („Suplement”), str. 61, fotooffset. [Cena 130 zł]. (Wydanie I: Wydawnictwo Krzyża Nowohuckiego, Kraków 1980).
45. *Część polskiej ziemi*. B.m.w. 1983, str. 1, 30, fotooffset, nuty do tekstów 115 pieśni patriotycznych. [Cena: 100 zł].
46. *Człowiek istota sumienna — szkic o twórczości Jerzego Andrzejewskiego*. Łódź 1983, Tajne Wydawnictwo Oświatowe. Zeszyt 1.
47. Czornowit W[aczesław], Penson B[orys]: *Dialog za drutem kolczastym*. — Amalrik G[uzel]: *Spotkanie w łagrze*. B.m.w. (Wydawnictwo Vadamecum, 1984), str. nlb. 2, 45, nlb. 1, fotooffset. [Cena: 90 zł]. (Przedruk z *Kontynent* nr 6/1976 i nr 11/1977).
48. [Czwarty] *IV rozbiór Polski w dokumentach. (Druga wojna sowiecko-polska)*. (Opracował Zespół Programowy „Warszawianka”. Wyboru dokonano z *Białej Księgi* Wiktora Sukiennickiego (Paryż 1964 r.). [Warszawa 1984], (Oficyna Wydawnicza Rytm), str. nlb. 2, fotooffset. Cena 60 + 30 na pomoc dla tych, co (nie daj Boże) wpadną przy następnym drukowaniu.
49. Danilewicz Zielińska Maria: *Szkice o literaturze emigracyjnej*. B.m.w. [1983], str. nlb. 2, 7-412, fotooffset. [Cena: 700 zł].
50. Dmowski Roman: *W kwestii komunizmu*. Poznań 1983, wyd. „Głosy”.
51. Dorn Ludwik: *Krótki kurs wyborów do rad narodowych*. Warszawa 1984, Wydawnictwo „Głos”, str. 40, fotooffset. — 100 publikacja Wydawnictwa „Głos”.
52. Dürrenmat Friedrich: *Upadek*. Gdańsk 1983.
53. Dürrenmat Friedrich: *Upadek*. [Kraków 1984], Krakowska Oficyna Studentów K., str. 44, fotooffset. Cena 60 zł. — Przetłumaczył z oryginału St. A. Owsianko.
54. Džilas (Djilas) Milovan: *Nowa klasa*. Przetłumaczył Aleksander Lisowski. Wydanie II. Warszawa 1981 [właśc. 1984], Oficyna Liberałów, str. nlb. 2, 230, fotooffset. Cena: 550 zł.
55. Esden-Tempski Stanisław: *Organy Rosji pracują nocą*. [Warszawa] 1984, Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy (Wydawnictwo „Przedświt”), str. 15, il., fotooffset.
56. Falenbüchl Zbigniew: *Geneza powstania RWPG. Aktualna sytuacja gospodarcza*. Kraków 1984, str. nlb. 1, 29, fotooffset. Cena: 155 zł.
57. Falenbüchl Zbigniew: *Ile nas kosztuje reforma?* Warszawa 1984, str. 36, tyt. okł., fotooffset.
58. Fejtő Francais, Fišera Vladimir: *Praski zamach stanu 1948*. Warszawa 1984, Wydawnictwo Krag, str. nlb. 2, 148, fotooffset.
59. Freedman Milton: *Kapitalizm i wolność*. Warszawa 1984, str. nlb. 2, 31, nlb. 1, fotooffset. 9.

60. [Freedman] Friedman Milton, Friedman Róża: *Wolni wobec wyboru*. I. Kraków 1984, druk: Inicjatywa Wydawnicza, str. nlb. 4, 74, nlb. 2. powiel. (Cena 80 zł) — biblioteka trzynastki.
61. Gancewicz Władysław: *Człowiek nr 102078*. [Warszawa] 1984, Wydawnictwo „Przedświt”, str. 141, nlb. 4, il., fotooffset. Cena: 360 zł.
62. Giertych Jędrzej: *Co robić? List otwarty do społeczeństwa polskiego w Kraju*. Londyn 1982. Odbitka z *Opoki* Nr 17. [Przedruk: Warszawa 1983, Unia Nowoczesnego Humanizmu], str. 85, wydanie ksrograficzne.
63. (Giertych Jędrzej:) *Wileńszczyzna*. Wrocław-Warszawa 1982, Unia Nowoczesnego Humanizmu, str. 16, fotooffset. — Agencja Informacyjna (Nr 7). [Cena: 70 zł].
64. Gross Jan T[omasz]: *W zaborze sowieckim*. Gdańsk [19]83, Wydawnictwo „Braterstwo”, str. 31, powiel.
65. Grossman Wasilij: *Wszystko płynie...* Przetłumaczyła Olga Sijanowa. Warszawa 1984, Wydawnictwo Krag, str. 111, fotooffset (cena: 220 zł).
66. *Grudzień 1970. Relacje*. Wrocław 1983, wydaje Agencja Wydawnicza Solidarności Walczącej, str. nlb. 2, 14, nlb. 2, powiel. (Cena: 50 zł).
67. Grzybowski Waclaw: *Byłem świadkiem*. [Warszawa] 1984, [Wyd.] ZZ, str. nlb. 1, 90-110, nlb. 1, fotooffset. Cena: 50 zł.
68. Harasiuk Tomasz: *Semantyka zbrodni [katyńskiej] wyd[anie] III popr[awione]*. Warszawa 1984, Oficyna Liberałów, str. nlb. 2, 38, fotooffset. Cena: 70 zł. Wydanie 1: Warszawa 1981.
69. Harniček Martin: *Mięso*. [Warszawa] 1984, Wydawnictwo „Przedświt”.
70. Havel Václav: *Eseje polityczne. List do Husaka. Rozmowa z Lederelem. Siła bezsilnych. Kundera: O Havlu*. Przetłumaczył Paweł Heartman. Warszawa 1984, Wydawnictwo Krag, str. 85, nlb. 1, fotooffset. — Biblioteka kwartalnika politycznego *Krytyka*.
71. Herbert Zbigniew: *Arkusze*. Warszawa 1984, Wydawnictwo Krag, str. nlb. 4, 25, nlb. 3, fotooffset. Cena: 50 zł. Wiersze.
72. Herbert Zbigniew: *Raport z oblężonego miasta i inne wiersze*. [Kraków] 1983, Oficyna Literacka, str. nlb. 2, 7-83, nlb. 1, fotooffset. Cena: 130 zł. Przedruk za wydaniem Instytutu Literackiego, Paryż 1983.
73. Herbert Zbigniew: *Raport z oblężonego miasta i inne wiersze*. [Warszawa] (1984), Wydawnictwo Dobra Powszedniego, str. 65, nlb. 3, fotooffset.
74. Herbert Zbigniew: *Wiersze*. (Warszawa 1984. Nakładem Wydawnictwa), str. nlb. 2, 57, nlb. 5, fotooffset. Cena: 80 zł.
75. Herling-Grudziński Gustaw: *Dziennik pisany nocą (1976-1977)*. Przedruk z Instytut Literacki, Paryż 1980. Warszawa 1984, Oficyna Wydawnicza PS, str. nlb. 4, 7-105, fotooffset. Cena: 150 zł.
76. Hertz Ania: *Czy i ty już pojąłeś*. B.m.w. (1983, „Świadectwo”), str. 55, nlb. 3, fotooffset. (Cena: 75 zł). Wiersze.
77. Jan Paweł II, Frossard André: *Rozmowy z Janem Pawłem II*. Libreria Editrice Vaticana. [Przedruk: Warszawa 1983], str. 59, fotooffset.
78. Jastrun Tomasz: *Na skrzyżowaniu Azji i Europy*. Warszawa 1983, Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy. Wydawnictwo „Przedświt”, str. 48, il., fotooffset. Cena: 110 zł.
79. Jerzewski Leopold: *Dzieje sprawy Katyńia*. [Wydanie 4 znacznie powiększone]. (Warszawa 1984), Wydawnictwo W[ola — Solidarność], str. 80, nlb. 2, (cena: 180 zł), fotooffset z jednego pozostałego

- egzemplarza z nakładu wydrukowanego na początku grudnia 1981 r., który w całości skonfiskowano.
80. Jerzmanowski S.: *W potrzasku*. Białystok 1983, Białostocka Oficyna Wydawnicza.
 81. *Junta juje! Obrazki z tzw. „stanu wojennego”*. Gdańsk 1983 (Wydawnicza Inicjatywa Podziemna), str. nlb. 24, il. Cena: 50 zł.
 82. *Kalendarz entuzjastów 1984*. (Redaktor — Franciszek Sendziwoj). Warszawa 1984, Oficyna Wydawnicza „P.S.”, str. 214, nlb. 1, tabl. 1, fotooffset.
Zawiera dużo tekstów rocznicowych, uwzględniających przede wszystkim okres 1976-1983.
 83. *Kalendarz Solidarności 1984*. [Warszawa 1984]. (Wydawca: NSZZ „Solidarność”), str. nlb. 16, il., fotooffset. Cena: 25 zł + 15 zł koszty + 10 zł na cele samoobrony społecznej.
 84. Kaleta Józef: *Reforma gospodarcza w PRL*. (Z prof. dr. Józefem Kaletą, rektorem Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu, rozmawiał Stanisław Lejda, red. *Nowin Jeleniogórskich*). [Wrocław 1984], str. nlb. 2, 13, nlb. 1, il., fotooffset. — Biblioteczka Robotnicza 1.
 85. Kallenbach Józef: *Zygmunt Krasiński wobec komunizmu*. Warszawa 1984, „Słowo”, str. 18, nlb. 1, fotooffset. (Cena: 60 zł. — 20 pozycja wydawnicza „Słowa”, Odbitka z *Przeglądu Powszechnego* Kraków 1920).
 86. Kappa: *Partia stanu wojennego*. Warszawa 1984 (Unia), str. nlb. 2, 16, nlb. 2, powiel. Cena: 40 zł.
 87. *Karta '84*. Warszawa (1984), Wydawnictwo ABC, str. 23, fotooffset. (Cena: 60 zł).
Postania T.K.Z. NSZZ Solidarność Stoczni Gdańskiej: Do Polaków w Kraju i za granicą; Do rządów: Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i Wielkiej Brytanii.
 88. *Karta '84*. NSZZ „Solidarność” Stoczni Gdańskiej. (Wrocław, czerwiec 1984. Wydawca: „Jednością Silni”, str. 8, tyt. nagł., fotooffset. Cena: 20 zł.
 89. Kazimierz C.: *Pierwsze godziny, dni, miesiące po wpadce*. Warszawa 1984, Wydawnictwo „V”, str. nlb. 2, 18, powiel. [Cena:] (50 zł).
 90. Kisielski Stefan: *Bez cenzury*. Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN, str. nlb. 2, 173, nlb. 1, fotooffset. (Cena: 350 zł).
(Wybór prac i artykułów drukowanych w kraju i za granicą 1977-1981).
 91. Kisielski Stefan: *Wstęp do programu opozycji*. Warszawa 1984, Oficyna Liberałów, str. 15, nlb. 1, fotooffset. Cena: 40 zł.
(Popr. przedruk z *Kultury* nr 1-2/1984). [Zawiera także:] (Michał Heller: *Spotkanie trzeciego typu?*).
 92. Kisielski Stefan: *Wstęp do programu opozycji*. Warszawa 1984, Wydawnictwo im. Gen. „Nila” Fieldorfa, str. nlb. 2, 8, nlb. 2, fotooffset. Cena: 25 zł.
 93. Kluz Stanisław: *W potrzasku dziejowym. WIN na szlaku AK. Rozważania i dokumentacja*. Warszawa 1981 (1984), Wydawnictwo im. gen. E[mila] „Nila” Fieldorfa, str. 464, fotooffset.
[Przedruk z wydania: Londyn 1978, Veritas].
 94. *Kłamca czy czciciel? Mieczysław F. Rakowski „Skutki centralizacji”*. „Polityka” nr 47/80 (skrót). (Paweł Regis [Uwagi]. B.m.w. (1983) Oficyna Śląska 1/0. Str. nlb. 2, 6, nlb. 2, powiel. Cena: 15 zł.
 95. Koestler Arthur: *Ciemność w południe*. Przełożył Tymon Terlecki. Paryż 1983, Instytut Literacki. [Przedruk: b.m.w. 1983], str. 206, nlb. 1, fotooffset. Cena: 350 zł.

96. Kołakowska Tamara: *Psychiatria radziecka a dysydenci*. Białystok 1984, Białostocka Oficyna Wydawnicza.
97. Kołakowski Leszek: *Kłopoty z kulturą*. [Warszawa 1983], Oficyna Wydawnicza „Numer Drugi”, str. 131, nlb. 1, fotooffset. [Cena:] (220 zł).
98. Kołakowski Leszek: *Kłopoty z socjalizmem*. [Część] 4. Kraków [19]83 (Wydawnictwo) Rota, str. nlb. 2, 25, nlb. 3, powiel. (Seria Byk). Cena: 60 zł.
99. Kołakowski Leszek: *Nie wierzę w zwycięstwo totalitaryzmu...* Poznań 1983, wyd. „Głosy”.
100. Kołakowski Leszek: *Pałka i teoria*. Kraków 1984, Biblioteka Promienistych, str. 12, nlb. 4, fotooffset.
(Przedruk: *Kultura* nr 3/438. Paryż 1984).
101. Komiega Marcin [pseud.]: *Przepowiednie pojutrznia*. Warszawa 1983, Wydawnictwo „Głos”, str. 34, fotooffset.
102. Koneczny Feliks: *O ład w historii. Z dodatkami o twórczości i wpływie Konecznego*. Londyn 1977. [Przedruk:] (Warszawa [1983] (Unia Nowoczesnego Humanizmu), str. nlb. 2, 7-188, fotooffset. (Wolni z Wolnymi — Równi z Równymi).
103. Konwicki Tadeusz: *Mała apokalipsa*. [Warszawa 1983], (Wydawnictwo „Dialogi”), str. 115, tyt. okł., fotooffset.
104. Korboński Stefan: *W imieniu Kremla*. Paryż 1956, Instytut Literacki. [Przedruk: Warszawa 1983], str. 87, fotooffset.
105. Korboński Stefan: *Wybory 1947*. Warszawa 1984, str. nlb. 2, 21, nlb. 1, powiel. Cena: 50 zł. — 11.
(Przedruk fragmentu książki *W imieniu Kremla* wydanej przez Instytut Literacki, Paryż 1956).
106. Korboński Stefan, Wójcik Stanisław: *Wolne wybory 1947: Stefan Korboński — W imieniu Kremla (fragmenty); Stanisław Wójcik — Na 30-lecie wyborów w Polsce*. Warszawa 1984, str. nlb. 2, 69, powiel. Cena: 100 zł.
107. *Kościuszkowcy*. Opracował Wiktor Kulerski. Warszawa 1984, Niezależne Wydawnictwo Harcerskie, O[święta] N[arodowa], str. nlb. 2, 17, nlb. 1, fotooffset. Cena: 30 zł. — *Zeszyty Edukacji Narodowej* (Historia).
108. Kowalska Anka: *Wiersze z obozu internowanych*. Kraków 1983, Biblioteka Obserwatora Wojennego. (Druk — „Powielarnia Puszcza Niepołomska”), str. 12, powiel. Cena: 35 zł.
(Przedruk z *Kultury*).
109. Krasiński Zygmunt, hr.: *Memoriał dla Napoleona III z października 1854 roku*. Warszawa 1984, Wiera i Wolność, str. nlb. 2, 8, nlb. 2, il., fotooffset.
110. Krawczyk Rafał: *Antyreformistyczny syndrom*. Warszawa 1983, Wydawnictwo Wola-Solidarność.
111. Kropotkin Piotr: *Zapiski z ostatnich dni*. Warszawa 1984, Oficyna Wydawnicza „Pokolenie”, str. nlb. 1, 14, nlb. 1, fotooffset. Cena: 25 zł.
112. Król Marcin: *Słownik demokracji*. [Kraków] 1983, Wszechnica Społeczno-Polityczna (WSP), str. nlb. 5, 8-79, fotooffset. [Cena: 130 zł.].
113. Kukiel Marian: *Dzieje Polski porozbiorowe 1795-1921*. Przedruk krajowy z wydania: Paryż, „Spotkania”, cz. 1-3. [Kraków 1983], str. 742, fotooffset.
114. Kundera Milan: *Walc pożegnalny*. Przełożył Paweł Heartman. Warszawa 1983. (Niezależna Oficyna Wydawnicza N[owa]. Oficyna WE [Wydawnictwo Enklawa]), str. 114, nlb. 2, fotooffset. Cena: 236 zł.

115. Kurowski Stefan: *Doktrynalne uwarunkowania kryzysu gospodarczego w PRL*. Wrocław 1983, str. 26, fotooffset. Cena 70 zł.
116. Kuśmierk Józef: *Credo*. Część 2.B. B.m.w. [1983], Wydawnictwo Społeczne „Errata”, str. 66, fotooffset (cena: 140 zł).
117. Kuśmierk Józef: *Polacy! Uwaga! Część pierwsza Polska a Europa*. (Warszawa 1983), Niezależna Oficyna Wydawnicza Stara, str. nlb. 2, 98, fotooffset.
(Tekst niniejszy publikowany był pod nazwą *Stan Polski*. Tytuł *Polacy! Uwaga!* jest pierwotnym zamysłem autora).
118. Kwaśniewski Antoni, Wyrwa Waclaw: *Jakiej polityki Polacy potrzebują?* [Warszawa 1984] (Wydawnictwo Społecznej KOS) ON [Oświata Niezależna], str. nlb. 2, 36, nlb. 2, fotooffset. — *Zeszyty Edukacji Narodowej* (Dyskusje).
119. Leon XIII: *Encyklika Ojca Świętego Leona XIII „Rerum novarum”*.
120. Lipski Jan Józef: *Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy*. B.m.w. 1983, Wydawnictwo MKKW.
121. Lipski Jan Józef: *Dwie ojczyzny — dwa patriotyzmy (uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków)*. Kraków [miejsce fikcyjne] 1981 [właśc. 1984] Resursa, str. 40, fotooffset. Cena: 100 zł.
(Przedruk z wydania Niezależnej Oficyny Wydawniczej, 1981).
122. Lipski Jan Józef: *Komitet Obrony Robotników KOR. Komitet Samoobrony Społecznej*, tom I-II. (Wydanie II). Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN, str. nlb. 4, 207, nlb. 3, il. + nlb. 3, 208-434, nlb. 6, fotooffset. Cena: 420+460 zł.
(Wydanie I: „Aneks”, Londyn 1983).
123. Mackiewicz Józef: *Nie trzeba głośno mówić*. Powieść. Londyn 1980, „Kontra”. [Przedruk: Kraków 1984]. Str. 559, il., fotooffset. Cena: 1.000 zł.
124. Mackiewicz (Cat) Stanisław: *Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.* Część II. M.I. Kolin (Publishers) Ltd., London. [Przedruk: Kraków 1984, Enigma]. Str. nlb. 4, 173-332, nlb. 2, fotooffset.
125. Mackiewicz Stanisław: *Klucz do Piłsudskiego*. Warszawa 1984, Wydawnictwo Krąg, str. 174, fotooffset.
126. Maksimow Włodzimierz: *Tam gdzie nie już się nie liczy*. Dramat w 3 aktach. Przełożyła Irena Lewandowska. [Warszawa] (1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa). Str. 58, nlb. 1, fotooffset. Cena 70 zł.
127. Małopolski Kazimierz [pseud.:] *Wybory bez wyboru*. (Nowa Huta 1984 r.). Str. nlb. 1, 50, nlb. 1, powiel. Cena 60 zł.
128. *Mały konspirator*. Warszawa 1983, Wydawnictwo MKK, str. nlb. 2, 42, powiel. Cena 60 zł + 40 zł na rozwój podziemia.
129. *Manipulacja i obrona przed manipulacją*. Sesja na Uniwersytecie Warszawskim 1981. [Warszawa 1984] O[świata] N[arodowa. Wydawnictwo] (Adsum). Str. nlb. 2, 85, nlb. 1, fotooffset. — *Zeszyty Edukacji Narodowej* (Dokumenty).
130. Marzenko G.: *Kim jestem*. [Warszawa 1984], Oficyna Wydawnicza im. Grzegorza Przemyska. — Biblioteka Wyrostka.
131. Marek Krystyna: *Jałta po latach*. Kraków 1983, (Wydawnictwo) Rota, str. 25, tyt. okł., powiel. Cena zł 50.
132. Micewski Andrzej: *Kardynał Wyszyński. Prymas i mąż stanu*. [Kraków] 1983, Wszechnica Społeczno-Polityczna, str. 444, fotooffset. Cena 650 zł.
133. Michnik Adam: *Grypsy z Cytadeli*. [Warszawa 1984], Victoria, str. 129, fotooffset. [Cena zł] (200).

134. Michnik Adam: *List z Mokotowa: grudniowe rekolacje*. Przedruk z *Krytyki* nr 16. Warszawa 1984 r., str. nlb. 2, 21, powiel. Cena 40 zł.
135. Michnik Adam: *Rozmowa w Cytadeli*. Kraków 1983, Biblioteka Wolnej Myśli, str. 56, fotooffset. Cena 110 zł.
Przedruk: *Zeszyty Historyczne* [Nr 64], Instytut Literacki, Paryż 1983.
136. Michnik Adam: *Uгода, praca organiczna, myśl zaprzeczna*. Warszawa 1983. (Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa). Str. 213, fotooffset [cena 400 zł]. — Biblioteka Kwartalnika Politycznego *Krytyka*.
137. *Między Polską naszych pragnień, a Polską naszych możliwości. Szkic do programu*. B.m.w. 1983, Biblioteka Polityki Polskiej, str. 23, fotooffset. Oprac.: Zespół Polityki Polskiej (tekst drukowany jest w 4-tym numerze *Polityki Polskiej*).
138. Miłosz Czesław: *Podróżny świata*. Rozmowy (Ewy Czarneckiej) z Miłoszem. Ewa Czarnecka: *Komentarze*. [Kraków] 1984 Wszechnica Społeczno-Polityczna, str. nlb. 4, 7-389, nlb. 1, fotooffset.
139. Minona Tomasz: *Tunel*. Warszawa 1984, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, str. 33, nlb. 1, powiel. Cena 70 zł. — (Seria Współczesna).
140. Miszański Marian: *Wysokie progi*. [Kraków 1984] Wydawnictwo „Kurs”, str. nlb. 4, 58, nlb. 1, fotooffset. Cena 220 zł.
141. Mrozek Sławomir: *Pogadanki z historii najnowszej*. Gdańsk 1984, AntyMON, str. 15, nlb. 1, powiel. Cena 25 zł, il.
(Przedruk: Krąg II, W-wa 1983, Wydawnictwo Ruchu Alternatywnego).
142. Mrozek Sławomir: *Sławomir Mrozek donosi!* (Warszawa 1984, Wydawnictwo „Słowo”). Str. nlb. 12, fotooffset (cena 30+10.— na rzecz represjonowanych).
143. Muller Jean-Marie: *Strategia politycznego działania bez stosowania przemocy*. Warszawa 1984, Wydawnictwo Krąg, str. 133, nlb. 1, fotooffset (cena: 270 zł).
144. *Narodziny PRL: dylematy wokół uspołecznienia środków produkcji*. [Warszawa 1984] (Druk: Robotnik), str. 8, tyt. nagł., powiel.
145. *Niezależna Oficyna Wydawnicza istnieje od 1977 roku. Jej nakładem ukazały się: ...* [Warszawa] 13 kwietnia 1984, Niezależna Oficyna Wydawnicza, str. 5, tyt. nagł., fotooffset.
146. *Nobel dla Wałęsy*. (Kraków) Październik 1983 (Wydawnictwo „Libertas”), str. nlb. 3, 44, fotooffset.
147. *Nobel dla Wałęsy*. [Warszawa] Październik 1983, (Unia), str. nlb. 1, 66, nlb. 1. Cena 130 zł.
148. Nowak Leszek: *Anty-Rakowski czyli o tym co wygwizdali wicepremierowi robotnicy*. Kraków 1984, Biblioteka Obserwatora Wojennego, str. 21, nlb. 3, fotooffset.
149. Nowak L(eszek): *Anty-Rakowski czyli o tym co wygwizdali wicepremierowi robotnicy*. Wrocław 1983 [Wyd.], 13 str. 28, fotooffset. Cena 70 zł.
150. Nowak Leszek: *Liczą się tylko masy*. Warszawa 1984, Unia, str. 36, fotooffset (cena 100 zł).
151. Nowakowski Marek: *Notatki z codzienności grudzień 1982 - lipiec 1983*. Przedruk: Instytut Literacki, Paryż 1983. [Warszawa 1984] (Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, str. 148, fotooffset. Cena 400 zł).
152. Nowicz Andrzej: *Stosunki Kościół — państwo w Polsce 1944-56. (Szkic zagadnienia)*. Poznań 1984, Wyd. „Głosy”, str. nlb. 2, 66, fotooffset. Cena 130.

153. Nowomowa. [Warszawa 1984] O[świata] N[arodowa], str. 83, nlb. 3, fotooffset. (Cena 130 zł). — *Zeszyty Edukacji Narodowej* (Dokumenty).
154. (Oppman Artur) Or — Ot [pseud.]: *Abecadło wolnych dzieci*. 24 obrazki. Warszawa 1984, Wydawnictwo ABC, str. nlb. 31, il., fotooffset, okł. tekturowa. Cena 300 zł. (Przedruk wydania z 1926 roku księgarni Gustawa Szylinga).
155. Orłowski Leon: *O polityce*. Warszawa 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, str. nlb. 6, 9-209, nlb. 1, fotooffset (cena 340 zł). — BMK (Biblioteka Myśli Krytycznej). (Przedruk: Instytut Polski i Muzeum Sikorskiego. Nakładem Księgarni Orbis, London).
156. Orwell George: *Esseje*. [Warszawa 1983] (Oficyna WE) [= Wydawnictwo Enklawa], str. 48, fotooffset. Cena 105 zł.
157. Orwell George: *Folwark zwierzęcy*, tłumaczyła Teresa Jeleńska, przedruk za: Odnova Londyn 1974. B.m.w. [1984], str. nlb. 2, 5-94, nlb. 2, fotooffset. + obwoluta z rysunkiem.
158. *Ostatnie dni bez ZOMO*. Obrady Komisji Krajowej (NSZZ Solidarności) Gdańsk, 11-12. XII. 81. Kraków 1984 [Wydawnictwo] L, str. 23, nlb. 1, fotooffset (cena 65 zł). (Przedruk z czasopisma *Arka*).
159. *Ostatnie miesiące Związku Polskich Artystów Plastyków. Wstęp, kalendarium, dokumenty, refleksje*. Warszawa [19]83, Oficyna Sztuk Pięknych, str. 102, powiel. (cena 200 zł).
160. Ostrowska Bronisława: *Bohaterski miś czyli przygody pluszowego niedźwiadka na wojnie [polsko-bolszewickiej 1920 roku]. Dla dzieci od lat 10 do 100*. [Kraków 1984] Wydawnictwo „Kurs”, str. 143, nlb. 1, il., fotooffset. Cena 320 zł.
161. Parns Łukasz: *Mafia gospodarcza*. B.m.w. [1984] (Uniwersytet Ludowy Solidarności), str. nlb. 2, 6, nlb. 1, fotooffset. [Cena:] 20 zł + na wydawnictwa dla wsi).
162. Pasternak Borys: *Doktor Żiwago oraz stenogram ogólnego zebrania pisarzy moskiewskich z 31. X. 1958 w sprawie B. Pasternaka*. Wstęp do wydania krajowego — Andrzej Drawicz. Kraków 1983, Oficyna Literacka, str. 543, nlb. 1, fotooffset. (Przedruk za wydaniem Instytutu Literackiego, Paryż 1967).
163. Pawlak Antoni: *Brulion wojenny (grudzień 1981 - grudzień 1982)*. [Kraków] 1983, Oficyna Literacka (OL), str. nlb. 2, 5-39, nlb. 3, druk ze składu zecerskiego. Wiersze.
164. Pawlak A(toni), Terlecki M(arian): *Każdy z nas jest Wałęsą*. [Warszawa] 1984, (Wydawnictwo) „Przedświt”, str. 82, nlb. 2, il., fotooffset. Cena 210 zł.
165. Piasecki Sergiusz: *Zapiski oficera Armii Czerwonej. Z ilustracjami wykonanymi w studio art[ysty] grafika Władysława Szomańskiego*. Londyn 1957, Wydawnictwo „Książka dla Wszystkich”, Gryf Publications Ltd. [Przedruk:] Warszawa 1984, str. nlb. 2, 5-202, fotooffset. Cena 420 zł.
166. *Pięć miesięcy „zawieszonoego stanu wojennego” w Małopolsce*. [Autory:] Tadeusz Kowalski, Wacław Majewski, Magdalena Nowakowa, Irmína Piekarska i Artur Sokołowski. Kraków — maj 1983, str. nlb. 1, 197 + A — E, powiel. Cena 300 zł.
167. Piłka Stanisław: *Dlaczego i jak wywołać wojnę?* Warszawa 1983 [na okładce:] Poznań 1984 Oficyna Wydawnicza „Syzyf”, str. nlb. 2, 20, nlb. 2, powiel. Cena 60 zł.

168. Piłka Stanisław: *Jak i dlaczego wywołać wojnę*. [Warszawa 1984], str. 15, nlb. 1, fotooffset. Cena 25 zł.
169. Pius XI: *Encyklika Ojca Świętego Piusa XI O bezbożnym komunizmie*. Warszawa 1984, (Unia), str. 17, nlb. 3, powiel. Cena 40 zł.
170. *Po agresji. Polska — Rosja w świetle pamiętników*, cz. 1: 1939-1941. W(ydawnictwo), str. nlb. 2, 24, nlb. 2, fotooffset (cena 60 zł). Seria dokumenty. (Jest to fragment książki pt.: *Sprawa polska podczas II wojny światowej w świetle pamiętników*, wydanej w opracowaniu Stanisława Zabięły).
171. Podlaski Kazimierz: *Białorusini — Litwini — Ukraińcy. Nasi wrogowie — czy bracia?* (II wydanie poprawione i uzupełnione. Warszawa [19]84, (Wydawnictwo) „Przedświt”, str. 90, nlb. 2, fotooffset.
172. *Polacy znad Wilii, Niemna, Narwi i Bugu w łagrach radzieckich w latach 1944-1947. (Z relacji mieszkańców Białostocczyzny)*. (Wydanie pierwsze). Warszawa 1984, Wydawnictwo LOS, str. nlb. 2, 34, nlb. 4, mapa 1 w tekście, fotooffset. Cena 100 zł.
173. Poleski Maciej: *Pomysły polityczne*. Warszawa [19]84, oficyna „Copyright”, str. 28, nlb. 1, powiel.
174. Poleski Maciej: *Wolność w obozie*. Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN.
175. Polkowski Jan: *Ogień. Z notatek 1982-1983*. B.m.w. [1983] (Półka Poetów), str. 31, fotooffset. Wiersze.
176. *Polska lat osiemdziesiątych. Stan środowiska przyrodniczego*. Warszawa 1984, Niezależny Ośrodek Myśli Politycznej Consilium Pro Patria (ON) [Oświata Narodowa]. Wydawnictwo „Przedświt”, str. 48, nlb. 4, il., fotooffset [cena zł:] (130). — *Zeszyty Edukacji Narodowej*.
177. Popiełuszko Jerzy ks.: *Homilia na mszy św. za Ojczyznę wygłoszona przez ks. Jerzego Popiełuszkę w kościele św. Stanisława Kostki (29. I. 1984 r.)*. [Warszawa 1984], str. 5, fotooffset.
178. Popper Karl R(ajmund): *Nędza historycyzmu z dodaniem fragmentów autobiografii*. Słowo wstępne Stanisław Żerski. Warszawa 1984, Wydawnictwo Krag, str. XI, nlb. 3, 103, nlb. 2, fotooffset. — (Biblioteka kwartalnika politycznego *Krytyka*).
179. *Poradnia drukarza*. Wrocław 1984.
180. (PPN) *Polskie Porozumienie Niepodległościowe. Polityka niepodległościowa, wybór tekstów*. Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN, str. nlb. 1, CDN, str. nlb. 1, 98, fotooffset (cena 200 zł).
181. Prisoner J.: *Proces przeciwko Annie Walentynowicz*. B.m.w. 1983.
182. *Proces 12, Kraków 3 maja 1946*. Wstępem opatrzył Andrzej Chyży. Warszawa 1984, Biblioteka *Polityki Polskiej*, str. nlb. 2, 77, fotooffset (cena 150 zł).
183. *Proces Janusza Pałubickiego*. Warszawa 1984, Wydawnictwo „Głos”, str. nlb. 1, 36, nlb. 3, fotooffset. Cena 100 zł.
184. *Propozycje programowe*. Kraków 1984, Biblioteka *Obserwatora Wojennego*. — *Zeszyty Związkowe* nr 2.
185. Przemek Grzegorz: *Syn a może sen*. (Warszawa [19]83. Nakładem NZS. Str. 48, fotooffset. (Przedruk z wydawnictwa „Głos”).
186. Przemek Grzegorz: *Syn a może sen*. Łódź 1983, Tajne Wydawnictwo Oświatowe, Zeszyt 5.
187. Radomski Ursyn: *Czerwiec 1976. Protest i propaganda*. Warszawa 1984, [Wydawnictwo] (10), str. 45, nlb. 3, fotooffset. [Cena:] (100 + 30 na rozwój poligrafii).

188. *Raport z obozu*. Warszawa 1983, *Zeszyty Edukacji Narodowej*.
189. Rejtan Lech: *Pax sovietica*. B.m.w. [1984]. Niezależne Wydawnictwo Kopalń Śląskich, str. 34, nlb. 2, fotooffset (cena 60 zł).
190. Rembek Stanisław: *W polu*. Opowieść. Tom pierwszy — drugi. (Warszawa, kwiecień 1983). Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, str. 211, nlb. 4 + nlb. 1, 212-465, fotooffset. Cena 470 zł.
191. *Rewolucja kulturalna w IBJ* (Instytut Badań Jądrowych). Wydanie drugie poprawione i rozszerzone. Warszawa 1983. Wydawnictwo „W okopach”, str. VII, nlb. 1, 94, fotooffset. [Cena:] (200 zł).
192. Roux Dominique de: *Rozmowy z [Witoldem] Gombrowiczem*. [Warszawa] rok 1981 [właśc.: 1984. Wydawnictwo] Europa, str. 130, fotooffset, tyt. okł. Cena 300 zł.
193. Russell Bertrand: *Przyszłość ludzkości*. Warszawa 1984, Oficyna Liberałów — Biblioteczka Laureatów Nobla.
194. Rybicki Bogusław: *Solidarność ale kogo i z kim?* Warszawa, listopad 1981 rok [właśc.: 2 połowa grudnia 1981. Unia Nowoczesnego Humanizmu], str. 29, fotooffset. Cena 100 zł.
195. Rymkiewicz Jarosław Marek: *Mogila Ordona i inne wiersze z lat 1979-1984* [Warszawa] 1984, Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy. (Wydawnictwo „Przedświt”), str. 29, nlb. 2, fotooffset.
196. Rymkiewicz Jarosław Marek: *Rozmowy polskie latem roku 1983*. (Warszawa 1984, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa), str. 102, nlb. 1, fotooffset. (cena 270 zł).
197. Sadowski Andrzej: *Komunizm i faszyzm. Wspólny rodowód, wspólne zasady*. Wrocław 1984, str. 59, nlb. 1, fotooffset. Cena 100 zł.
198. Sadowski Andrzej: *Socjalizm a komunizm. Słownik wyrazów obcych*. Wrocław 1983, str. 15, fotooffset. Cena 25 zł.
199. Sartre Jean Paul: *Egzystencjalizm jest humanizmem*. [Warszawa] 1982, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa.
200. *Sejm 4-letni, Konstytucja 3 Maja, Targowica — teksty źródłowe*. Łódź 1983, Tajne Wydawnictwo Oświatowe. Zeszyt 2.
201. Sienkiewicz Henryk: *Zjednoczenie narodowe*. Warszawa 1984, Oficyna Liberałów — Biblioteczka Laureatów Nobla.
202. *IV rozbiór Polski*. Kraków 1984, Biblioteka Obserwatora Wojennego, str. nlb. 2, 54, fotooffset. Cena 150 zł. (Okładkę projektował: Powój).
203. Skarski Wojciech: *Refleksje nad rządami Gomułki*. Warszawa 1984, ON [Oświata Narodowa], str. nlb. 2, 39, nlb. 3, fotooffset (cena 65 zł). — *Zeszyty Edukacji Narodowej* (Najnowsze dzieje Polski).
204. *Słownik historii zakazanej*. Słownik historyczny. Zeszyt 1. [Kraków] 1984 (Wydawnictwo Libertas), str. nlb. 2, 78, fotooffset. [Cena zł] (160).
205. *Słownik polityczny* pod redakcją Wojciecha Wasutyńskiego. Nowy Jork 1980, Instytut Romana Dmowskiego. [Przedruk:] (Warszawa) [1984] (Unia Nowoczesnego Humanizmu), str. nlb. 2, 7-207, fotooffset. [Cena 500 zł].
206. *Słownik wyrazów obcych*. Wrocław 1984.
207. Smolar Aleksander (Wosleński Michaił, Smith Hedrick): *Władza i przywileje*. Londyn „Aneks”. [Przedruk: Warszawa 1984] Unia, str. 94, fotooffset. (Cena: 150 zł).
Treść: A. Smolar: *Dystrybucja dóbr społecznych i rozkład systemu*; M. Wosleński: *Jeden dzień w życiu Denisa Iwanowicza*; H. Smith: *Klasa uprzywilejowana*.
208. Sobczak Janusz, Lewicki Piotr: *Wschód*. — Andrzej Marek: *Z dziejów walki Ukraińców w Rosji o niepodległość*. B.m.w. [1983], str. 23, nlb. 1, fotooffset. Cena 40 zł.

209. Sobieski Wacław: *Dzieje Polski*. Wydanie drugie — pośmiertne. Tom I do roku 1696. Przejrzał i uzupełnił Kazimierz Tymieniecki. Tom II 1696-1964. Przejrzał i uzupełnił: Kazimierz Marian Morawski (Czasy Saskie), Władysław Konopczyński (Panowanie Stanisława Augusta) i Janusz Iwaszkiewicz (1796-1864). Tom III 1864-1938. Przejrzał i uzupełnił Stanisław Kozicki. Warszawa 1938, Wydawnictwo Żorza. [Przedruk: Warszawa 1983, Unia Nowoczesnego Humanizmu], str. nlb. 5, 10-262, IV, nlb. 2 + nlb. 3, 8-204 + nlb. 7, 10-308, III, nlb. 1 mapa 1, fotooffset. [Cena: 500 zł + 460 zł + 550 zł].
210. Sobolewski Darek: *O granicach reformowalności systemu komunistycznego*. Kraków 1983, Niezależne Pismo Społeczno-Polityczne *Dokumenty i Analizy*, str. nlb. 10, 9-84, fotooffset. [Cena 200 zł]. — *Studia Niezależnego Pisma Społeczno-Politycznego Dokumenty i Analizy*, tom I. — Biblioteka Krakowska t. I.
211. *Solidarność z wolnością* (opracowano na podstawie książki o tym samym tytule, wydanej przez Cato Institute). Przetłumaczyła Ewa Rurarz. B.m.w. [1983/1984], str. 135, nlb. 1, fotooffset. Cena 250 zł.
212. Sołżenicyn Aleksander: *Archipelag Gułag*. T. I. Cz. III. (Kraków 1983, Wydawnictwo „Liberte”), str. nlb. 2, 149-256, fotooffset. Cena 200 zł.
213. Sołżenicyn Aleksander: *Czterdzieści dni Kengiru. Archipelag Gułag*, część V — rozdział XII. Kraków 1984, Biblioteka Promienistych, str. 46, nlb. 1, fotooffset (cena 60 zł).
214. Sołżenicyn A(leksander): *Zagroda Matryony* (przełożył Józef Łobodowski). Katowice 1984, Wydawnictwo Górnośląskie, str. 40, powiel. [Cena zł] 100.
215. *Spadek Jalty*. Wybór artykułów. Warszawa 1983 [Wydawnictwo Wola — Solidarność], str. nlb. 2, 24, nlb. 2, fotooffset. Cena 60 zł.
216. *Spojrzenie z drugiej strony. Relacja z Gdańska 1970*. (Opracował Leopold Jerzewski). [Warszawa] (1984 Wydawnictwo „V”), str. nlb. 8, 33, nlb. 3, fotooffset (cena 60 zł). [Przedruk:] Wydawnictwo „Głos”. Nowy Jork 1982.
217. *Sprawa Piotra Andrejewskiego*. B.m.w. [1983], str. 4, tyt. nagł., fotooffset.
218. Steiner Jean-François: *Warszawa powstanie [19]44*. Warszawa 1984, Wydawnictwo Krag, str. 157, nlb. 1, fotooffset (cena 320 zł). — Biblioteka kwartalnika politycznego *Krytyka*.
219. Steinsbergerowa Aniela: *Widziane z ławy obrończej*, przedruk z wyd[ania:] Instytut Literacki, Paryż 1977. (Lublin 1984), str. nlb. 1, 6-89, fotooffset (cena 160 zł). — Biblioteka Informatora Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ *Solidarność*.
220. Stelma Paweł, Dębski Maciej: *Samorząd terytorialny cz. 1: Wprowadzenie — czym jest samorząd?* [Warszawa 1984] (Biblioteka *Tygodnika Wojennego*), str. 8, powiel.
221. „*Sumienie świata woła o świadectwo prawdzie*”. [Katyń] (Warszawa, kwiecień 1984. Powielono w drukarni polowej im. 11 Listopada). Str. nlb. 1, 9, powiel. — *Warszawianka* — dodatek.
222. Swianiewicz Stanisław: *Lenin jako ekonomista*. Poznań 1983, Wyd. „Głosy”, str. 15, nlb. 1, fotooffset. [Cena 25 zł]. Poznań, [t.] 3).
223. Szałamow Warłam: *Opowiadania kołymskie*. B.m.w. [19](84, Rota), str. nlb. 2, 81, nlb. 1, powiel.
224. Szaruga Leszek: *Czas morowy*. [Warszawa] 1982, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa.
225. Szestow Lew: *Apoteoza nieoczywistości. Próba myślenia adogmatycznego*. Tłumaczyli z rosyjskiego Nina Karsow i Szymon Szechter.

- [Kraków] 1983, *Wszechnica Społeczno-Polityczna*, str. nlb. 2, 7-233, nlb. 3, fotooffset [cena 480 zł].
226. Szpotkański Janusz: *Szmaciak w mundurze, część I wojna pcimska*. (Wydanie II. Ilustrował Stiopa Stoper). [Warszawa] 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, str. 39, fotooffset [cena 100 zł].
227. *Śpiewnik z wojny polsko-jaruzelskiej cz. VII*. [Lublin, Wydawnictwo] Solidarność. [Drukarnia polowa] (KOS 44 LW, kwiecień 1984 r.), str. 12, fotooffset, il. Cena 35 zł.
228. Talbot Strobe: *Komunizm — widmo i walka*. (Warszawa 1984, Unia), str. nlb. 2, 35, nlb. 3, powiel., il.
229. Tarniewski Marek: *Ewolucja czy rewolucja*. Kraków 1981 [właśc.: 1983] rok, Wydawnictwo „Alfa”, str. nlb. 4, 9-82, fotooffset [cena 160 zł]. (Przedruk: Biblioteka Kultury Tom 254).
230. Tarniewski Marek: *Nowy ustrój i rewolucja* Kraków 1983, Oficyna Wolnego Słowa.
231. Tarniewski Marek: *Słownik polityczny*. (Warszawa 1984), TUR, str. nlb. 2, 35, nlb. 1, powiel. [Cena:] (80 zł). — Biblioteka TUR.
232. Teslar Tadeusz: *Propaganda bolszewicka podczas wojny polsko-rosyjskiej 1920 roku, cz. 1.: Polska w propagandzie bolszewickiej*. B.m.w. 1984, WENA, str. nlb. 1, 29, nlb. 2, fotooffset [cena 60 zł].
233. Tischner Józef, ks.: *Etyka Solidarności*. [Warszawa 1982]. (Wydawnictwo „Słowo”), str. 91, nlb. 1, fotooffset (cena 350 zł).
234. Tomaszewski Bolesław, Węgierski Jerzy: *Lwowskie „AK”*. Warszawa 1984, str. 74, nlb. 2, fotooffset (cena 100 zł).
235. [Trzecia] *III wojna światowa czyli prorocтва z Fatimy*. (Wydanie I). Warszawa 1984, Wydawnictwo „Kresy”, str. nlb. 2, 12, powiel. (cena zł 30).
236. Turkuć Waclaw doc. rehabilit[owany]: *Łopatologiczny słownik nowomowy*. B.m.w. [1984], str. nlb. 2, 15, powiel. Cena 50 zł.
237. Turkuć Waclaw doc. rehabilit.: *Łopatologiczny słownik nowomowy*. Łódź 1983, Tajne Wydawnictwo Oświatowe. Zeszyt 4.
238. *Uniwersytet i władza 1981-1983*. [Warszawa 1983]. (Centrum Dokumentacji i Analiz NSZZ „Solidarność”), str. 23, nlb. 2, fotooffset. Zeszyt CDiA nr 3.
239. Vonnegut Kurt, jr.: *Matka noc*, przełożył Lech Jęczyk. [Warszawa] (1984), Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, str. VI, nlb. 3, 12-98, nlb. 1, fotooffset (cena 260 zł).
240. *W hołdzie Józefowi Piłsudskiemu*. Warszawa, 3. IV. 1984 r., str. 6, powiel. + 4, powiel., tyt. nagł. — Dodatek *Warszawianki*.
241. *W stanie [wojennym]*. (Warszawa 1984) Karta. Wydawnictwo „Przedświt”, str. 86, nlb. 1, fotooffset [cena:] (220 zł).
242. Wandy K.: *Katolicyzm i nasze jutro*. Gdańsk 1984. Z funduszu wydawniczego „Nasz Czas”.
243. Wańkiewicz Melchior: *Dzieje rodziny Korzeniewskich*. Wrocław 1983 (Akademia Sztuk Wszelakich), str. nlb. 2, 36, fotooffset. [Cena 80 zł]. Przedruk za: Instytut Literacki, Paryż 1963. Wybór z książki: *Po-lacy w ZSRR (1939-1942)*.
244. Wat Aleksander: *Mój wiek. Pamiętnik mówiony część pierwsza*. Tom I-II, przedmowa Czesława Miłosza, do druku przygotowała Lidia Ciołkoszowa. Warszawa 1980 r. [właśc.: 1983] (Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa), str. nlb. 2, 5-170 + nlb. 2, 171-373, nlb. 3, fotooffset.
245. Watowa Paulina (Ola): *„Paszportyzacja”*. Warszawa 1984, M.S.S. (Wydawnictwo Międzyzakładowej Struktury „Solidarności”), str. 27, nlb. 1, powiel., tyt. okł.

246. Watowa Paulina (Ola): *Paszportyzacja*. [Wrocław 1984], Wydaje Agencja Informacyjna Solidarności Walczącej, str. nlb. 2, 13, fotooffset (cena 50 zł).
247. Wąsowicz Wera, Socha Łukasz: *Z archiwum Bolesława Bieruta*. B.m.w. [1983], str. 36, nlb. 1, powiel. — Najnowsza historia Polski. Dokumenty.
248. Weil Simone: *Wybór pism*. Wydanie drugie rozszerzone. [Tom] (1-2). Warszawa 1983, Wydawnictwo Krąg, str. 348 + nlb. 2, 351-528, nlb. 2, fotooffset. (Cena t. I-II: 540 zł). (Przedruk według edycji Instytutu Literackiego, Paryż 1958).
249. Weissberg-Cybulski Aleksander: *Wielka czystka*. [Warszawa] 1984, Niezależna Kooperatywa Wydawnicza Feniks, str. 140, fotooffset (cena 700 zł). (Przełożył z niemieckiego Adam Ciołkosz. Wstęp Gustawa Herling-Grudzińskiego. Przedruk: Institut Litteraire, S.A.R.L., 1967).
250. *Wezwania, przesłuchania i rewizje w świetle prawa*. Lublin 1984, str. nlb. 3, 11, nlb. 2, fotooffset. — Biblioteka Informatora Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ Solidarność. [Cena:] (20 zł).
251. Węgierski Ludwik: *Wiwisekcja systemu — rzecz o Aleksandrze Sołżenicynie*. Łódź 1984, Tajne Wydawnictwo Oświatowe, str. nlb. 2, 17, nlb. 1, powiel. (Cena 45 zł). — Zeszyt 6.
252. Wileńczyk Jacek: *PPS — partia wolności*. [Warszawa 1984] WSN (Wolność — Sprawiedliwość — Niepodległość), str. 39, nlb. 1, tyt. okł. — fotooffset. (Cena 50 zł). — Seria Opracowań Samokształceniowych (SOS nr 1).
253. Władimow Georgij: *Wierny Rusłan*, przełożył Andrzej Drawicz. Warszawa 1984, Wydawnictwo Krąg, str. 112, fotooffset (cena: 120 zł). — „Aneks”.
254. Władimow Georgij: *Wierny Rusłan*. Przełożył z rosyjskiego Andrzej Drawicz. [Warszawa] (1984, Feniks), str. 112, fotooffset [cena:] (170 zł).
255. Wodecki Wiesław: *Listy do Leona*. [Warszawa] 1984 (Wydawnictwo „Przedświt”, str. 128, il., fotooffset. [Cena:] (320 zł).
256. Wojnowicz Włodzimierz: *Życie i niezwykle sprawy żołnierza Iwana Czonkina*, przełożył Władysław Doroń. [Warszawa] (1984 Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, str. nlb. 1, 146, nlb. 1, fotooffset (cena 380 zł).
257. Woroszyłski Wiktor: *Na kurczącym się skrawku i inne zapiski z kwartalnym opóźnieniem 1971-1980*. [Kraków] 1984, Oficyna Literacka, str. 283, nlb. 5, fotooffset [cena 450 zł].
258. Wójcik Stanisław: *Sfatszowane wybory*. Poznań [19]84, Niezależna Inicjatywa Wydawnicza Errata, str. 34, powiel. Cena 60 zł. (Pierwodruk: *Zeszyty Historyczne* nr 43, Instytut Literacki, Paryż. Przedruk Biblioteka Robotnicza N.O.W. „Nowa”, Warszawa, kwiecień 1981).
259. *Wrocław 1 maja [19]83. Pochód „Solidarności” w pochodzie rządowym rozbity przez ZOMO przed trybuną honorową*. [Wrocław 1983]. Wydano staraniem NAF Kwadrat, mała teczka w formacie 15,3×10,4 zawierająca 8 fotografii + 1 fotografia na okładce.
260. *Wspomnienia obozowego lekarza... Szpital w tajdze...* [Warszawa 1984], str. 112-130, nlb. 1, fotooffset (cena 40 zł).
261. *Wybory [19]84*. (Kraków 1984), Wydawnictwo Myśli Nieinternowanej, str. 6, nlb. 2, fotooffset. (Cena 50 zł). [Zbiór karykatur].
262. *Wybór artykułów programowych [czasopisma] „Niepodległość” stycznia 1982 - sierpień 1983, nr 1 - nr 20*. [Warszawa 1984, Wyd. „Niepodległość”, str. nlb. 2, 112, nlb. 3, powiel., il.

263. Zaremba Paweł: *Historia dwudziestolecia (1918-1939)*. Do druku przygotował Marek Łatyński. Tom II-III. Warszawa 1983 (Wydawnictwo Przyszłość) WDN, str. nlb. 4, 9-274, nlb. 1, + 158, nlb. 2, fotooffset. (Cena zł 300 + 200).
Przedruk z wydania: Paryż 1981.
264. Zawieja Andrzej: *Proszę się rozejść. Uwaga: czytanie surowo uzbrojone*. Kraków 1983, Biblioteka Obserwatora Wojennego, str. 23, nlb. 1, powiel. Cena 50 zł.
265. *Zbiorek wierszy plebejskich*. Wrocław 1984, Spółka edytorska „W”, str. 32, il., fotooffset. Cena 60 zł.
266. *Zeszyty Literackie 3*. Paryż, lato 1983. [Przedruk: Kraków 1983], str. 168, fotooffset.
267. Zinowiew Aleksander: *My i Zachód*. Warszawa 1984, (Unia), str. 45, nlb. 3, powiel. (cena 70 zł).
268. Zinowiew Aleksander: *Postępy sowietyzacji*. (Wybór z tomu „My i Zachód”). [Warszawa 1984] (Oficyna Wydawnicza Rytm), str. 30, nlb. 2, fotooffset. (Cena 80 zł).
269. Ziuk Józef: *Widziane z podziemia*. [Wrocław] Luty, 1984 rok. Wydaje Agencja Informacyjna Solidarności Walczącej, str. nlb. 2, 20, fotooffset. Cena 80 zł.
270. Znicz Władysław [pseud.]: I. *Totalitaryzm*. II. *Demokracje*. III. *Unio-nizm*. Warszawa 1981 r. [właśc.: 1982], Unia Nowoczesnego Humanizmu, str. nlb. 2, 38, fotooffset. Cena 100 zł. — Wolni z Wolnymi — Równi z Równymi.
271. Żenczykowski Tadeusz: *Dramatyczny rok 1945. Polonia*. [Warszawa 19] (83, Wydawnictwo Historyczne), str. nlb. 4, 7-233, nlb. 8, fotooffset. [Fototypiczny przedruk z wydania paryskiego Instytutu Literackiego].
272. Żenczykowski Tadeusz: *Dramatyczny rok 1945*. [Warszawa 1984] Polonia, str. 56 dwuspaltowych, tyt. okł. [Cena 650 zł].

UZUPEŁNIENIA

273. *Oskarżona Solidarność*. Warszawa [19]84, Wydawnictwo Mysia 5 [siedziba Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk!], str. 88, fotooffset, [cena:] (230 + 10 zł — na Fundusz Ochrony Praworządności).

KASETY MAGNETOFONOWE

274. *Bojkot. Aktorzy przeciwko stanowi wojennemu*. Audycja Jana Galla. [Warszawa] 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, kaseta 004.
275. *Dezertery. O emigrujących działaczach* [Solidarności. Warszawa] 1984, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, kaseta 017.
276. Gombrowicz Witold: *O Polakach, Polsce i komunizmie*. [Warszawa] 1984, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, kaseta 014 (cena 800 zł).
Fragmenty *Dzienników W. Gombrowicza* czyta Mieczysław Voit. Kasetą została wydana przy pomocy Komitetu Kultury Niezależnej.
277. Kaczmarek Jacek: *Przejsie Polaków przez Morze Czerwone*. Muzyka i teksty J. Kaczmarek. [Warszawa 1984] Post Scriptum. (Cena 740 zł).
Zawiera 21 pieśni.
278. Mandelsztam Osip: *Wzlot*. Nagranie z przedstawienia Teatru Ósmego Dnia. Warszawa 1983, Wydawnictwo CDN.

279. Młynarski Wojciech: *Róbmy swoje...* Teksty i wykonanie — Wojciech Młynarski. Akompaniament — Jerzy Derfel. Realizacja — Janusz Gryficz. [Warszawa] 1984, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, kaseta 020 (cena 800 zł).
Zawiera 19 ballad i piosenek w wykonaniu W. Młynarskiego.
280. Olszewski Tomasz: *Wieczna partyzantka*. Gdańsk 1984, Wolna Nuta — stereo. WN 02 (cena 800 zł).
Zawiera 21 pieśni napisanych i skomponowanych przez T. Olszewskiego.
281. Orwell George: *Rok 1984*. [Warszawa] 1984, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, kaseta 018 i 019.
282. Pietrzak Jan: *Epidemie, szajby, dewiacje*. Realizacja: Janusz Gryficz. Audycja powstała w oparciu o dźwiękowy zapis recitalu autora. W programie wystąpił również gościnnie Jerzy Dobrowolski. [Warszawa] 1984, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, kaseta 021 (cena 1.000 zł).
283. „Sierpień” o strajkach 1980. [Warszawa] 1983, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, kaseta 006.
284. Tyrmand Leopold: *O Polakach, Polsce i komunizmie*. [Warszawa] 1984, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, kaseta 015 (cena 800 zł).
Fragmenty *Dziennika 1954* Leopolda Tyrmanda czyta Andrzej Jeleński. Kasetą wydana została przy pomocy Komitetu Kultury Niezależnej.
285. Wójtowicz Leszek: *Moja litania*. Tekst i muzyka: Leszek Wójtowicz. Realizacja: Janusz Gryficz. [Warszawa] 1984, Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa, kaseta 016 (cena 800 zł).
Zawiera 24 piosenki.

PRL A MIĘDZYNARODOWA ORGANIZACJA PRACY

Napięte od dłuższego czasu stosunki między PRL a Międzynarodową Organizacją Pracy weszły w nową fazę. Jak wiadomo, rząd PRL „zawiesił” współpracę z Organizacją na znak protestu przeciw powołaniu Komisji Badawczej, której zadaniem było rozpatrzenie skargi przeciw temu rządowi o pogwałcenie konwencji MOP nr 87 i nr 98 o wolnościach związkowych. Jak również wiadomo, raport Komisji, opublikowany w czerwcu br. stwierdził, że istotnie rząd PRL te konwencje pogwałcił i zalecił podjęcie konkretnych kroków celem przywrócenia naruszonej legalności. Na swojej ostatniej listopadowej sesji Rada Administracyjna MOP przyjęła raport Komisji do wiadomości. W rezultacie, pismem z dnia 17 listopada 1984, PRL wypowiedziała swoje członkostwo w MOP.

Sytuacja prawna wypowiadającego państwa jest uregulowana niezwykle precyzyjnie. Sprawa jest skomplikowana i wymaga wyjaśnienia.

W myśl artykułu 1, alinea 5 konstytucji Organizacji, wypowiedzenie nabiera mocy prawnej po upływie dwóch lat, z dodatkowym zastrzeżeniem wywiązania się przez wypowiadające państwo ze wszystkich zobowiązań finansowych wynikających z jego członkostwa. PRL, jak wiadomo, od dłuższego czasu zalega ze składkami członkowskimi. Innymi słowy, PRL pozostaje członkiem Organizacji w każdym razie do 17 listopada 1986, ewentualnie dłużej, jeśli do tej daty nie ureguluje swoich zobowiązań finansowych.

Cytowany artykuł konstytucji reguluje również los konwencji ratyfikowanych przez wypowiadające państwo, stanowiąc, że pozostają one w mocy

na okres przez nie same przewidziany. Konstytucja odsyła zatem w tej materii do samych konwencji.

Otóż: jednobrzmiące artykuły obu konwencji, o które toczyła się sprawa przed Komisją Badawczą — art. 16 konwencji nr 87 i art. 11 konwencji nr 98 — regulują autonomicznie procedurę ich wypowiedziania. W myśl tych przepisów, państwo które ratyfikowało te konwencje może wypowiedzieć je wyłącznie raz na dziesięć lat poczynając od ich pierwotnego wejścia w życie (a więc niekoniecznie od chwili ratyfikacji przez dane państwo; konwencje MOP wchodziły pierwotnie w życie z chwilą uzyskania dwóch pierwszych ratyfikacji), z tym, że wypowiedzenie takie nabiera mocy prawnej dopiero w rok po jego notyfikacji. Konwencja nr 87 weszła pierwotnie w życie 4 lipca 1950, konwencja nr 98 — 18 lipca 1951. Dziesięcioletnie terminy wypowiedzenia biegną więc jak następuje: dla konwencji nr 87 — 1960, 1970, 1980, najbliższym nowym terminem wypowiedzenia jest 1990; dla konwencji nr 98 — 1961, 1971, 1981, najbliższym nowym terminem wypowiedzenia jest 1991. PRL może zatem wypowiedzieć konwencję nr 87 najwcześniej 4 lipca 1990, konwencję nr 98 najwcześniej 18 lipca 1991, przy czym obie te konwencje obowiązują PRL jeszcze rok po ich wypowiedzeniu. PRL pozostaje więc, nawet po efektywnym wystąpieniu z MOP w listopadzie 1986 (uzależnionym jeszcze, przypomnijmy, od uprzywilejowania zaległości finansowych), nadal związana obiema konwencjami, nawet gdyby wypowiedziała je w najwcześniejszym możliwym terminie: konwencją nr 87 do 4 lipca 1991, konwencją nr 98 do 18 lipca 1992. W okresie przejściowym, kiedy występujące państwo już przestało efektywnie być członkiem organizacji, a jeszcze pozostaje stroną konwencji, ciężar na nim nadal wszystkie obowiązki dotyczące wykonywania tych konwencji, łącznie z przedstawianiem corocznych sprawozdań na ten temat, podlegających w dalszym ciągu normalnej kontroli Komisji Ekspertów.

Podsumowując: odkładając moc prawną wypowiedzenia członkostwa na dwa lata, konstytucja MOP daje państwu wypowiadającemu okres dla pogłębionej refleksji lub dla uwzględnienia mogących zajść w tym okresie zmian; jednocześnie maksymalnie chroni ważność obowiązujących je konwencji, nawet poza granice definitywnej utraty członkostwa.

Uniwersytet ich marzeń

Tekst, o którym będzie tu mowa, nosi tytuł: „Projekt. VIII 1984. Ustawa z dnia... o zmianie ustawy o szkolnictwie wyższym” i opatrzony jest nadrukiem: POUFNE. Jest anonimowy. Liczy 25 stron znormalizowanego maszynopisu; prawie 23 zajmują propozycje zmian w obowiązującej w PRL (uchwalonej 4 maja 1982 roku) Ustawie o szkolnictwie wyższym, na pozostałych stronach zawarto „uzasadnienie” tych propozycji.

Pojawienie się „Projektu...” poprzedziła krzykliwa antyakademicka kampania propagandowa w mass-mediach PRL. Szerszemu środowisku akademickiemu znany on jest od niedawna, jako „nieoficjalnie kolportowany przeciek”. Jego geneza i przeznaczenie budzą zresztą w tym środowisku wątpliwości. Niektórzy są zdania, że tekst ten nie „przeciekł”, lecz został „wpuszczony”

na postrach, że jego zamierzona funkcja ogranicza się do spotęgowania uczucia zagrożenia i do „wyciszenia” w następstwie tych ośrodków uniwersyteckich, które próbują zachować resztki własnej niezależności od władz politycznych. Komentarz, którym opatruje się zazwyczaj taką interpretację funkcji tego tekstu, można streścić w twierdzeniu: „Przecież nawet ten sejm nie może uchwalić takiej ustawy!”.

Osobiście sędzę, że ten sejm może uchwalić każdą podsunętą mu przez rząd ustawę, z czego wszakże nie wynika, że „postrachowa” interpretacja omawianego projektu jest całkiem nietrafna. Przemawia za nią groteskowa przesada wielu zawartych w nim szczegółowych pomysłów ograniczenia swobód akademickich; stalinizm może się na tym tle wydawać epoką złotej wolności polskich uczelni wyższych. Wolno przypuszczać, że autorem, czy też pomysłodawcom tego tekstu zależało na takim właśnie jego odbiorze przez zainteresowane kręgi społeczne: gdy sejm uchwali ostateczną, zapewne nieco ogólniej sformułowaną (choć w skutkach praktycznych — równoważną) wersję nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym, społeczna pamięć pierwszej jej wersji złagodzi szok, a zwolennikom teorii walki ideologicznej w łonie władzy pozwoli skwitować sprawę jako kolejny sukces partyjno-rządowych liberałów w ich heroicznych zmaganiach z „betonem”.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że ostateczna wersja tej nowelizacji uwzględni w całości „cel strategiczny” wersji już istniejącej, sformułowany dość wiarygodnie w jej uzasadnieniu:

„Celem strategicznym postulowanych poniżej zmian w ustawie jest zapewnienie kształcenia w szkołach wyższych socjalistycznej inteligencji, co można osiągnąć jedynie w drodze doboru kadry nauczycieli akademickich o właściwej postawie społeczno-politycznej, gwarantującej socjalistyczne wychowanie studentów. Mając to na uwadze, konieczne jest w szczególności wypracowanie prawnych mechanizmów stymulowania i prowadzenia określonej polityki kadrowej i procesu wychowawczego w szkołach wyższych.

W rozwiązaniach powyższych należy zapewnić właściwe miejsce w szkołach wyższych dla PZPR i stronnictw politycznych, socjalistycznych organizacji studenckich oraz związków zawodowych. W szczególności trzeba stworzyć warunki dla sprawowania kierowniczej roli partii w szkole wyższej. Pożądane jest także stworzenie możliwości dla szerokiego rozwoju organizacji studenckich, czemu na przeszkodzie stoją obecnie prerogatywy samorządu studenckiego”.

Środki, które są, w myśl „Projektu...”, nieodzowne dla urzeczywistnienia tego celu, scharakteryzować można najkrócej jako likwidację wszelkich znaczących form samorządności w szkole wyższej i pełne podporządkowanie szkoły władzom politycznym (markowanym w tekście za pomocą słowa „minister”). Lista tych środków jest długa: „Projekt...” zmienia łącznie ponad 80 artykułów obowiązującej ustawy, a żadna z tych zmian nie jest neutralna ze względu na zaprezentowany wyżej w oryginalnym sformułowaniu „cel strategiczny”. Zilustrujmy je kilkunastoma reprezentatywnymi przykładami.

Funkcje ministra, charakteryzowane dotąd jako „nadzór nad podległymi szkołami w zakresie zgodności ich działania z prawem”, zostają obecnie określone jako „kontrolowanie działalności szkół wyższych”. Społeczność akademicka traci na rzecz ministra wszystkie swe ważniejsze uprawnienia, wśród nich prawo do uchwalania (przez senat) statutu szkoły, regulującego jej wewnętrzną organizację i sposób funkcjonowania, oraz do wybierania (przez senat lub kolegium elektorów) rektora i prorektorów szkoły (wedle wariantu „bardziej liberalnego”, rektora wybierałby senat spośród kandydatów przedstawionych przez ministra). Tak desygnowany rektor mieć będzie znacznie szersze uprawnienia, niż rektor wybierany w myśl dotychczasowej ustawy, przejmie bowiem wiele aktualnych prerogatyw ciał kolegialnych. Nie zmniejszy to jednak zasięgu „kontroli” ministra, gdyż „Projekt...” rezerwuje dlań prawo uchylecia dowolnej decyzji rektora, a także odwołania go przed upływem kadencji. Tak więc, narzucony szkole rektor będzie we wszystkich swych poczynaniach zależny od ministra; ponieważ zaś wobec dziekanów ma on analogiczne, jak minister wobec niego, uprawnienia (mianowanie lub dawanie radom wydziałów „wyboru” spośród przedstawionych przez siebie kandydatów, nadto zaś prawo, a na wniosek ministra — obowiązek, odwołania dziekana przed upływem kadencji), więc za pośrednictwem rektora pełną zależność od ministra dziedziczą wszystkie jednoosobowe organy szkoły.

Organy kolegialne szkoły tracą, w myśl „Projektu...”, także prawo decydowania o obsadzie stanowisk dyrektorskich, o treści programów nauczania i planach studiów oraz o planach rzeczowo-finansowych szkoły. W tych i innych „sprawach dotyczących bezpośrednio szkoły i jej działalności” przysnaje im się w zamian funkcje opiniodawcze (słowa „bezpośrednio” użyte w tym kontekście po to, by w sprawach dotyczących szkoły tylko pośrednio — w szczególności w sprawach ogólnospołecznych — odebrać senatom i radom wydziałów nawet możliwość wyrażania opinii).

Zdawałoby się, że tak dalece ograniczone w swych uprawnieniach organy kolegialne nie mogą już zagrozić realizacji „strategicznego celu” władz w szkole wyższej. Najwidoczniej jednak tak nie jest, „Projekt...” pozwala bowiem ministrowi:

- „1) zawiesić w czynnościach na okres do 6 miesięcy lub odwołać członka organu kolegialnego, który podejmuje działalność sprzeczną z prawem lub interesem społecznym, albo którego postawa obywatelska jest sprzeczna z interesem społecznym,
- 2) zawiesić wykonanie na okres do 6 miesięcy lub uchylić każdą decyzję i uchwałę organu szkoły albo innego działającego w szkole ciała kolegialnego naruszającą prawo lub interes społeczny,
- 3) zawiesić na okres do 6 miesięcy działanie lub rozwiązać każdy organ kolegialny szkoły albo inne działające w szkole ciało kolegialne, które swą działalnością narusza prawo lub interes społeczny,
- 4) zawiesić na okres do 6 miesięcy działalność dydaktyczną lub rozwiązać jednostkę organizacyjną szkoły, która swą działalnością narusza prawo lub interes społeczny”.

Nikt, komu nie jest obce pojęcie interesu społecznego w peerelowskiej nowomowie, nie ma przy żadnym z tych punktów trudności interpretacyjnych: minister zawiesi, uchyli, rozwiąże itd. ilekroć zechce lub otrzyma odpowiednie polecenie od swoich zwierzchników.

Nie wyczerpuje to jeszcze arsenału środków zaradczych wobec zagrożenia, które stwarza istnienie wybieralnych ciał kolegialnych w szkole wyższej. Autorzy „Projektu...” uznali nadto za konieczną radykalną zmianę składu tych ciał. Pomysł polega na tym, by z senatów i rad wydziałów wykluczyć (lub zredukować do minimum zarówno liczbę jak i prawo głosu) młodych pracowników naukowo-dydaktycznych i studentów; ci ostatni przy tym mogliby wchodzić w skład senatu tylko „z ramienia” swych organizacji „o zasięgu ogólnokrajowym” (czytaj: politycznych), w skład rady wydziału zaś — także jako powołani przez dziekana starostowie lat studiów (zamiast, jak dotąd, w wyniku przeprowadzanych przez samorząd studencki powszechnych wyborów delegatów do senatu i rady wydziału).

Zmiana ta, idąca zresztą w parze z formalną likwidacją instytucji samorządu studenckiego, służyć ma zniszczeniu lub zahamowaniu niepokojących komunistyczny reżim zjawisk, które pojawiły się w życiu polskich szkół wyższych w ostatnich czterech latach. Chodzi o pierwszy w dziejach tych szkół, dość szybko postępujący proces autentycznej demokratyzacji i integracji społeczności akademickiej oraz o pierwsze w mijającym czterdziestolecu oznaki odrodzenia naturalnej ludzkiej potrzeby inicjowania zbiorowych działań w interesie środowiska lub całego społeczeństwa. Atomizacja społeczności akademickiej i wzmocnienie istniejących w niej tradycyjnie, a nadwierzonych ostatnio barier kastowych, przywróciłyby normalny, z punktu widzenia tego reżimu, stan świadomości, paraliżując inicjatywę i niszcząc ledwo nawiązane porozumienie środowiskowe. Odebranie prawa głosu w uczelni ludziom młodym — studentom, asystantom i adiunktom — ma głównie właśnie ten cel na uwadze. Korzyść dodatkowa polega na wyciszeniu tym samym głosów najmniej skąpanych sowietyzją.

W jednej wszakże sprawie „Projekt...” wnosi w życie akademickie ducha egalitaryzmu. Znosi mianowicie (a w wariantach złagodzonych — ogranicza) zasadę stabilizacji zawodowej pracownika naukowo-dydaktycznego po uzyskaniu przez niego tytułu docenta: zamiast mianowania na stałe proponuje mianowanie na 5 lat, pozwalające odnowić lub przerwać stosunek pracy po tym okresie. Wybór między tymi ewentualnościami zależałby od oceny pracownika dokonanej przez rektora (ustawa aktualnie obowiązująca sankcjonuje wyłącznie ocenianie wyników pracy pracowników naukowo-dydaktycznych, dokonywane przez organy kolegialne). Od asystentury po emeryturę pozycja zawodowa pracowników tej kategorii byłaby zatem równie niepewna, zależna od jednoosobowej decyzji zwierzchnika, skądinąd całkowicie podporządkowanego władzom politycznym.

Nie zapomniano, oczywiście, o stworzeniu możliwości usunięcia pracownika ze szkoły (również — jednoosobową decyzją) przed upływem okresu zatrudnienia. Projektowany nowy ustęp jednego z artykułów pozwala rozwiązać stosunek pracy z nauczycielem akademickim w przypadku popełnienia przez „przewinięcia o szczególnej szkodliwości społecznej albo wystąpienia przeciwko ważnym interesom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Analogiczny ustęp dołączono do artykułu dotyczącego odpowiedzialności studentów; daje on rektorowi prawo skreślenia z listy studenta (bez orzeczenia komisji dyscyplinarnej) m.in. „w wypadku wszczęcia przeciwko niemu postępowania o naruszenie porządku publicznego (czytaj: w wypadku oskarżenia go przez policję o udział w nielegalnej manifestacji ulicznej).

Lektura „Projektu...” dostarcza przejrzystego obrazu jego intencji nawet bez porównywania go z obowiązującą ustawą o szkolnictwie wyższym. Oto przykłady charakterystycznych fragmentów.

W ust. 2 w punkcie 13 skreśla się wyrazy „samorządu pracowniczego i studenckiego...”;

W art. 91 w ust. 2 skreśla się wyrazy „w porozumieniu z uczelnianym samorządem studenckim”;

W art. 97 skreśla się wyraz „samorządną”;

W artykule 100 w ust. 2 skreśla się wyrazy „w porozumieniu z organami samorządu studenckiego”; itd., itp.

Zapomniano natomiast — a może zaniechano przez upodobanie do ironii — usunąć z ustawy jeden z ustępów pierwszego jej artykułu, z rozdziału „Postanowienia ogólne”; nabiera on w kontekście projektowanej nowelizacji charakteru pustego ogólnika:

„Szkoły wyższe są samorządymi społecznościami nauczycieli akademickich, studentów i innych pracowników szkoły”.

Obrazu swoistej kultury prawnej właściwej ustawodawstwu komunistycznemu dopełnia tekst projektowanego, nowego ustępu art. 7, w którym mowa o statucie szkoły wyższej, nadawanym jej przez ministra:

„3. Statut może zawierać uregulowania odmienne od ustalonych w ustawie, w szczególności w zakresie wyłaniania organów jednoosobowych i kolegiałnych szkoły oraz ich kompetencji”.

Zdawałoby się, że ustawowe usankcjonowanie praktyki łamania ustawy przez władzę wykonawczą jest w istocie pomysłem, do którego nowelizację wszelkich niewygodnych dla tej władzy ustaw można by ograniczyć. Czegóż jej więcej trzeba?

Maria JAGODZIŃSKA

Archiwum polityczne

Przyszłość Jałty

I

Jałta jest sprawą niezakończoną, o dłuższej przeszłości i być może groźniejszej przyszłości, niż się na ogół sądzi. U progu czterdziestolecia brzemiennego w skutki spotkania na Krymie Wielkiej Trójki sprzymierzonych mocarstw drugiej wojny światowej, między 4 a 11 lutego 1945, znaczna część naszych niepokojów i wątpliwości związanych z Jałtą dotyczy raczej jej interpretacji mitycznej niż jej znaczenia w perspektywie historycznej.

Mitem jest sąd, że Zachód zgodził się w Jałcie na podział Europy. Faktem jest, że Roosevelt i Churchill w praktyce oddali Wschodnią Europę Stalinowi już na Konferencji w Teheranie (listopad-grudzień 1943), w Jałcie natomiast przywódca brytyjski i amerykański poniewczasie się w tej sprawie zawahali. Zdobyli się w ostatniej chwili na bezskuteczny wysiłek, by osiągnąć przynajmniej minimalne warunki wolności dla Europy Wschodniej, zgodnie z brytyjsko-amerykańskim pragnieniem zapewnienia demokracji na całym kontynencie europejskim. Zachodni mężowie stanu nie potrafili jednak należycie ocenić bezwzględności rozwoju powojennej potęgi sowieckiej i w starciu między stalinowską siłą i ich naiwnością zwyciężyła siła.

Znaczenie Jałty w perspektywie historycznej polega na tym, że wykazała i potwierdziła trwałość ambicji Rosji w stosunku do całej Europy. Jałta była ostatnim ogniwem ostrożnie wyważonej sowieckiej dyplomacji w celu osiągnięcia brytyjsko-amerykańskiej zgody na decydującą rolę Sowietów w całej Europie. W Jałcie Zachód nie tylko nieśmiało zakwestionował decyzje w sprawie Wschodniej Europy, lecz równie ogólnikowo i bojaźliwie sprzeciwił się sowieckim aspiracjom do dominującej pozycji na zachodnim krańcu eurazjatyckiego kontynentu.

Wielkie znaczenie geopolityczne Jałty polega na tym, że stanowi ona symbol niezakończonych walki o przyszłość Europy. Czterdzieści lat po Jałcie walka ta nadal obejmuje Amerykę i Rosję, ale powinniśmy sobie dziś uświadomić, że nie można załatwić tej sprawy w sposób historycznie konstruktywny, jeśli nie odegra w niej czynniejszej roli sam przedmiot sporu — Europa.

II

Tłem Jałty była obezwładniona Europa. Ów ośrodek globalnie dominującej cywilizacji popełnił historyczne samobójstwo na skutek dwu niszczycielskich wojen toczonych w ramach jednego ćwierćwiecza. Gdy przywódcy brytyjskiej i amerykańskiej demokracji spotkali się z gruzińskim tyranem Wielkiego Sowieckiego Imperium, aby zadecydować o przyszłości Europy, brak było w tych obradach Europy kontynentalnej. Tymczasem sprawa przyszłości Europy rozgrywała się w znacznej mierze na jej ziemiach między dwiema wielkimi armiami spoza Europy, pracującymi ze Wschodu i z Zachodu do Niemiec — serca Europy.

Do chwili Jałty główną sprawą mącą wojenne przymierze była Polska, klucz do kontroli nad Wschodnią Europą. Od Jałty zaś stawką tą stawały się w coraz większej mierze Niemcy, klucz do kontroli nad Europą Zachodnią. Polska stanowiła dla Moskwy bramę wiodącą na Zachód, stąd bezkompromisowe stanowisko wojennej dyplomacji Kremla w sprawie jej przyszłości. Mimo że Churchill określił później w swych pamiętnikach sprawę polską jako „pierwszą ważną przyczynę spośród tych które doprowadziły do zerwania Wielkiego Przymierza”, ani on, ani jego atlantycki partner, prezydent Roosevelt, nie potrafili zrozumieć zasadniczej strategicznej wagi polskiej sprawy; nie byli zresztą, ani jeden ani drugi, skłonni do wykorzystania słabości Rosji w pierwszej fazie wojny, by doprowadzić do zadowalającego rozwiązania polsko-sowieckiego sporu, spowodowanego sowieckim zaborem niemal połowy Polski w roku 1939, na skutek układu między Mołotowem i Ribbentropem.

Stalin natomiast bystro potraktował terytorialny spór jako okazję do przemiany niepodległej Polski w podległy Moskwie kraj. Zdali sobie z tego sprawę Polacy. Przed spotkaniem w Teheranie polski premier rozpaczliwie przestrzegał Churchilla (zanotował to Sir William Strong 9 września 1943), „że rozgrywka między Polską i Rosją to nie tylko sprawa granic, ale ich wzajemnych stosunków, a w gruncie rzeczy sprawa istnienia Polski jako nie-

podległego państwa¹”. Miesiąc później minister spraw zagranicznych Anthony Eden poinformował brytyjski gabinet wojenny, że polski premier oświadczył 6 października: „Postawa Stalina wobec Polski, wobec Niemiec i Ruchu Wolnych Niemiec, wobec spraw dotyczących innych okupowanych krajów, a wreszcie jego życiorys i mentalność wskazują na ambicje idące o wiele dalej niż sprawa kresów wschodnich Polski, strategicznie ważna dla Polski, ale pozbawiona decydującego znaczenia dla Rosji”. Wreszcie 22 listopada, w przeddzień konferencji w Teheranie, Eden podał do wiadomości gabinetu wojennego, że zdaniem Polaków „Rosja na długą metę dąży do osadzenia w Warszawie rządu marionetek i obrócenia Polski w sowiecką republikę”.

Brytyjczycy oceniali zamiary Stalina pobłażliwiej. Eden zapewnił Polaków, że „wnioskując z brytyjskiego doświadczenia, Stalin jest o wiele mniej nieprzejednany...”. Z jego wewnętrznego memorandum dotyczącego przygotowań do konferencji w Teheranie wynika natomiast jasno, że Wielka Brytania już była gotowa zaspokoić terytorialne żądania Stalina w nadziei, że doprowadzi to do dopuszczalnego układu politycznego. Amerykanie byli zaś jeszcze bardziej skłonni do zadowolenia apetytów Stalina; pod koniec listopada i z początkiem grudnia 1943 Churchill i Roosevelt zgodzili się na przesunięcie polskich granic bez dalszego porozumienia z Polakami, a w dodatku przyznali Moskwie przeważającą rolę na Bałkanach.

Co gorzej, wywierając nacisk na Polaków, by dokonali terytorialnych koncesji na rzecz Moskwy, w nadziei że to zaspokoi rosyjskie żądze, Brytyjczycy i Amerykanie nie chcieli dać Polakom żadnych gwarancji dotyczących kompensaty na Zachodzie. Stojąc na stanowisku, że ze zmianami granic niemieckich trzeba poczekać na koniec wojny, sprawili, że sytuacja polska stała się jeszcze bardziej rozpaczliwa. W rezultacie większość Polaków odrzuciła jakikolwiek kompromis twierdząc, że przepołowiona Polska nie może się ostać jako państwo niepodległe, pozostali zaś, wstrząśnięci i zgorzkniali, coraz bardziej byli skłonni do widzenia w Moskwie jedyne poplecznika zdobycia dla Polski istotnych koncesji terytorialnych od Niemiec jako kompensaty ziem oddanych Rosji. Ceną była jednak nieunikniona zależność Polski od Rosji, a przez to samo dominacja sowiecka nad Europą Wschodnią.

1. Ten dokument i dalsze tu cytowane zawarte są w wartościowym zbiorze tekstów pod redakcją A. Polonskyego „Wielkie mocarstwa i sprawa polska” (*The Great Powers and the Polish Question*), Londyn, L.S.E., 1976. Korzystałem tu również z pracy V. Mastnego „Droga Rosji ku zimnej wojnie” (*Russia's Road to the Cold War*), Nowy Jork, Columbia University Press 1979 i miło mi tu pokwitować ten dług.

Gdy nadszedł czas Jałty, Polska nie tylko była już okupowana przez Armię Czerwoną, ale zainstalowano w Warszawie rząd narzucony przez Stalina. W Jałcie Zachód wymógł na Sowietach zapewnienie, że zainstalowany przez nich rząd zostanie rozszerzony i przeprowadzi wolne wybory, po czym dopiero zostanie uznany przez Zachód, ale zachodni przywódcy zgodzili się, by żadne wiążące zobowiązania dotyczące wyborów nie figurowały we wspólnym komunikacie końcowym Konferencji Jałtańskiej. W rezultacie sposób przeprowadzenia wyborów stał się wyłącznie sowiecką prerogatywą, co przesądziło o ich wyniku. (I rzeczywiście, zachodnie mocarstwa uznały rząd warszawski w połowie roku 1945, mimo że — wbrew postanowieniom jałtańskim — do wyborów jeszcze nie doszło).

III

Przesądając sprawę polską na korzyść Rosji, Jałta dała początek walce o przyszłość Niemiec. Polska Wschodnia została włączona do Związku Sowieckiego, ale Zachód nadal opierał się znaczniejszej ekspansji Polski kosztem Niemiec. Rosjanie wahali się zrazu, do jakiego stopnia mają poprzeć polskie żądania, ale na konferencji w Poczdamie, w lipcu 1945 roku, po ostatecznym upadku Niemiec, Stalin doszedł widocznie do wniosku, że mając swe wojska silnie osadzone w samym środku Niemiec, może sobie pozwolić na zaspokojenie polskich potrzeb (utrwalając przez to samo zależność Polski od Rosji), nie zaprzestając przy tym walki o przeważającą rolę w Zachodniej Europie.

Walka ta była dla Stalina główną stawką jego wojennego przyciemienia z Zachodem. W końcu roku 1943, w przeddzień konferencji w Teheranie, Stalin, którego wojska walczyły jeszcze wówczas na ziemiach rosyjskich, potrafił uzyskać zgodę zachodnich aliantów na znaczny wpływ Rosji w powojennych Niemczech i Włoszech i na unicestwienie polsko-czechosłowackich planów środkowoeuropejskiej konfederacji, która mogła utrudnić sowiecką dominację nad tym rejonem.

Konferencja w Teheranie podnieciła harde nadzieje Stalina, że Brytyjczycy nie będą w stanie, zaś Amerykanie nie zechcą przeciwstawić się jego dalekosiężnym zamiarom, które ujawniał ostrożnie, raz po raz sprawdzając intencje i wolę swych brytyjskich i amerykańskich rozmówców. Przez cały czas Stalin i jego podwładni zrećnie wykorzystywali antyimperialistyczne nastroje Amerykanów dla osłabienia brytyjskiej pozycji w powojennym układzie, oraz rywalizację Wielkiej Brytanii z Francją, aby nie

dopuszczać do ukształtowania skutecznego ośrodka sił w powojennej Zachodniej Europie. W sowieckiej interpretacji skłonność Roosevelta do mówienia o „czterech żandarmach świata” miała jednoznaczne geopolityczne znaczenie: Ameryka czynna głównie na zachodniej półkuli, słabe Chiny zajęte własnymi problemami, zbankrutowana Wielka Brytania wplątana w sieci swych trosk imperialnych, zaś większa część Eurazji pozostawiona pieczy czwartego żandarma.

Sprawdzając zachodnie reakcje na swoje zamiary, Stalin stosował na przynętę dwa nieco odmienne plany, dotyczące Europy. Choć nie dowiemy się nigdy do jakiego stopnia chodziło o scenariusze wymienne czy pomysły współzawodniczące, oba plany przewidywały znaczną rolę sowiecką w całej Europie. Obie propozycje zostały omówione 31 sierpnia 1943 na spotkaniu Edena z Majskim, sowieckim ambasadorem w Londynie. Oto jak streszcza je Eden: „...Majski oświadczył, że byłyby dwa możliwe sposoby zorganizowania Europy po wojnie. Moglibyśmy się zgodzić na dwie strefy wpływów, dla Rosjan na Wschodzie, dla nas i Amerykanów na Zachodzie. On sam nie myśli, że to dobry plan, ale w razie jego przyjęcia moglibyśmy wykluczyć Rosjan ze spraw francuskich, śródziemnomorskich itd. Rosjanie zaś mieliby podobnie wolną rękę na Wschodzie. Gdybyśmy się natomiast zgodzili obaj, a również Stany Zjednoczone, że należy scalić Europę, wówczas każda ze stron musiałaby uznać prawo drugiej do zainteresowania wszystkimi jej częściami. Gdyby nam chodziło o Czechosłowację i Polskę, a Stanom Zjednoczonym o państwa bałtyckie, wówczas musielibyśmy uznać troszkę Rosjan o Francję i Morze Śródziemne...”

Ten drugi wariant był, jak się wydaje, popierany przynajmniej do czasu Jałty przez Maksyma Litwinowa, byłego komisarza spraw zagranicznych i byłego ambasadora sowieckiego w Waszyngtonie. Oparty na niedopowiedzianym założeniu, że Ameryka wycofa się militarnie z Europy i że pozorna przynajmniej zgoda między Związkiem Sowieckim i jego głównymi wojennymi aliantami przetrwa wojnę, biorący pod uwagę tradycyjnie idealistyczną niechęć Amerykanów do podziału na strefy wpływów, plan ten przewidywał nie tylko rozciągnięcie sowieckiej roli na całość okupowanych Niemiec, lecz również ledwo zakamuflowany układ dotyczący Europy pod pośrednią dominacją Związku Sowieckiego, jedynej skutecznej siły w tym rejonie. Wpływ brytyjski byłby ograniczony do kilku wąskich nadmorskich przyczółków. Francja miała grać rolę nieznaczną, zaś trwałe porozumienie sowiecko-amerykańskie byłoby oparte na cichym założeniu, że Amerykanie nie będą się mieszać do spraw europejskich. Sowiety niewątpliwie brały na serio kilkakrotnie ponawiane uwa-

gi Roosevelta w Teheranie i nawet później w Jałcie, dające do zrozumienia, że Stany Zjednoczone nie będą wojskowo obecne w powojennej Europie. Ich ideologiczna formacja sprawiła również zapewne, że poczuli się zachęcani skłonnością Roosevelta do wygadywania, w prywatnych rozmowach ze Stalinem, na Brytyjczyków i Francuzów, co stanowiło potwierdzenie ich teorii o „wewnętrznych sprzecznościach kapitalizmu”.

Alternatywa tej strategii panowania za pomocą biernej zgody Zachodu związana jest z głównym rywalem Litwinowa i jego następcą u steru polityki zagranicznej Władysławem Mołotowem. Zakłada ona, że prędzej czy później dojdzie do starcia amerykańsko-sowieckiego, zapewne po wycofaniu się Stanów Zjednoczonych z Europy i w kontekście zaostrzonych konfliktów w ramach kapitalizmu, stąd jej nacisk na bezpośrednie podporządkowanie Wschodniej Europy i jak największych połączeń Europy Środkowej przy niezmiennych żądaniach znacznego wpływu na Zachodzie i przywileju weta sprawowanego na równi ze Stanami Zjednoczonymi. Jeśli chodzi o bardziej szczegółowe dyskusje dotyczące powojennych Niemiec, Stalin ostrożnie starał się zachować swobodę ruchów. Raz wydawał się zwolennikiem centralnego rządu niemieckiego, raz wypowiadał się za rozbiorem Niemiec na poszczególne państewka. I w jednym i w drugim wypadku jednak zaznaczał, że Związek Sowiecki obchodzi Niemcy w całości, a zarazem dokładał wszelkich starań, by nie dopuścić do rekonstrukcji jakiegokolwiek mocarstwa zachodnioeuropejskiego.

W miarę jak wojska sowieckie posuwały się na zachód, terytorialne i polityczne żądania Stalina stawały się coraz wyraźniejsze. Zachowując wszystko, co Stalin zagarnął podczas swej kolaboracji z Hitlerem, Związek Sowiecki na przełomie lat 1944 i 1945 wysunął terytorialne żądania dotyczące Norwegii (Wyspa Niedźwiedzia i Spitzberg), Dalekiego Wschodu (południowy Sachalin, Wyspy Kurylskie, dominująca rola w Mandżurii i Mongolii Zewnętrznej), udziału w kontroli nad Tangerangem i częścią włoskich kolonii śródziemnomorskich, a w dodatku zaproponował wspólną akcję przeciw Hiszpanii Franco i wywierał polityczny nacisk na kraje neutralne — Szwajcarię i Szwecję. Nieco później przyszła kolej na żądanie koncesji terytorialnych od Turcji. Ponadto Sowiety konsekwentnie przedstawiały Francję jako całkowicie zdemoralizowaną i bezwartościową, podkreślając przez to swą tezę, że Europa jest polityczną próżnią.

Anglo-amerykańskie zaskoczenie i długotrwała ślepotą wobec znaczenia sowieckich ambicji są tym bardziej zadziwiające, że aspiracje Stalina w znacznej mierze odzwierciedlały tradycyjne dążenia rosyjskiej polityki. Cele, jakie stawiał sobie Stalin, pokry-

wały się do tego stopnia z celami carskiej polityki okresu pierwszej wojny światowej, że nasuwa się podejrzenie że na użytek Stalina i Mołotowa wygrzebano z archiwów stare rosyjskie dokumenty strategiczne. Trzydzieści lat wcześniej, pod koniec roku 1914, rosyjska Rada Ministrów podobnie brała pod uwagę związek między sprawą polską i powojennym układem sił w interesie Rosji. Plan wysunięty przez większość tej Rady przewidywał wskrzeszenie Królestwa Polskiego, podległego wpływom carskiej Rosji, jako główny cel powojennego układu. Plan mniejszości, zreagowany przez bardziej reakcyjnych ministrów, szedł dalej i o wiele ambitniej określał rosyjskie cele wojenne.

Ogólne dążenia rosyjskie miały obejmować „wzmocnienie samej Rosji pod względem etnicznym, gospodarczym i strategicznym” oraz związane z tym „osłabienie Niemiec jako głównego dziś wroga Słowiańszczyzny i Rosji” i „uwolnienie innych słowiańskich narodów spod władzy Niemiec i Austro-Węgier (w wypadkach w których to uwolnienie nie będzie sprzeczne z bezpośrednimi interesami Rosji)”. Aby tego dokonać, Rosja miała osiągnąć następujące poszczególne cele, wymienione według kolejności ich wagi:

1. Doprowadzenie do końca historycznej misji zjednoczenia wszystkich części składowych rosyjskiego narodu poprzez przyłączenie wschodniej Galicji, północnej Bukowiny i Rusi Podkarpackiej.
2. Urzeczywistnienie historycznego zadania Rosji na Morzu Czarnym poprzez aneksję Carogrodu (Konstantynopola) i cieśnin tureckich.
3. Rektyfikacja granic rosyjskiego państwa kosztem Prus Wschodnich, a także w azjatyckiej Turcji.
4. Osłabienie wewnętrzne Niemiec wszelkimi środkami poprzez ich terytorialną rekonstrukcję na nowych zasadach, łącznie z możliwym okrojeniem Prus na rzecz Francji, Belgii, Luksemburga, Danii, a również pomniejszych państw niemieckich, a także, być może, wskrzeszenie Królestwa Hanowerskiego, Hesji-Nassau itd.
5. Zjednoczenie i uwolnienie Polski w możliwie najszerszych granicach, lecz w każdym razie etnicznych a nie historycznych (co byłoby sprzeczne z podstawowymi interesami i całą historią Rosji).
6. Uwolnienie pozostałych Słowian spod władzy austriackiej².

Te cele wojenne, opracowane przez bardziej nacjonalistycznych i reakcyjnych członków Rady Ministrów, są identyczne z ce-

2. Gifford D. Malone, cytat z *Russko-polskije otnoszenija w pieriod mirowoj wojny* (Moskwa 1926), w jego pracy „Rosyjska dyplomacja i wschodnia Europa, 1914-1917” (*Russian Diplomacy and Eastern Europe, 1914-1917*). Nowy Jork, King's Crown, 1963, str. 20-21, 139-140.

lami sowieckimi z okresu drugiej wojny światowej, określonymi przez Stalina i Mołotowa. Każdy z tych celów stał się celem Stalina: inkorporacja części polskiej Galicji, która nigdy nie była w rosyjskim posiadaniu i czechosłowackiego Podkarpacia odpowiadającego pierwszemu z celów z roku 1914; drugiego celu Sowiety nie osiągnęły, ale wysuwały go w rozmowach z zachodnimi aliancami (pamiętając zapewne, że wiosną 1915 Francja i Wielka Brytania zgodziły się na to ustępstwo na rzecz carskiej Rosji); trzeci cel został spełniony w Prusach Wschodnich (a było to niespodzianką dla Zachodu), zaś w sprawie terytorialnych koncesji od Turcji wywierały Sowiety bezskuteczny nacisk w roku 1945; cel czwarty został osiągnięty w Niemczech w odmiennej formie; piąty przesunął Polskę dalej na zachód niż wydawało się możliwe w roku 1915, ale z tym samym rezultatem — stworzenie Polski uzależnionej od Rosji swym terytorialnym położeniem.

Sowieckie cele wojenne można zatem podzielić na trzy kategorie: po pierwsze, odzyskanie terytorialnego *status quo ante* z czerwca 1941; po drugie, zapewnienie sobie politycznie uległych reżimów w Europie środkowo-wschodniej; po trzecie, uzyskanie decydującego głosu w sprawie politycznej organizacji reszty Europy. Sowiety były całkowicie nieustępliwe i szczerze jeśli chodzi o pierwszy cel, gotowe natomiast zakamuflować drugi, gdyby to miało ułatwić im osiągnięcie trzeciego. Łatwo dziś zapomnieć, jak bardzo niepewna była wówczas jakakolwiek rola Ameryki w powojennej Europie, a niechęć Amerykanów podczas wojny do wzięcia konkretnie pod uwagę problemów powojennych wzmacniała oczekiwanie, że Stany Zjednoczone powrócą do dawnego odosobnienia. W miarę jak Armia Czerwona parła na zachód, nacisk sowiecki na osiągnięcie drugiego celu stawał się bardziej bezczelny, a przybrał brutalną wprost formę, gdy Sowiety zaczęły podejrzewać, że Amerykanie mogą się nie zgodzić na spełnienie ich trzeciego celu. Stalin i jego podwładni zdali sobie z tego w pełni sprawę po Jałcie.

IV

Jeśli zatem można powiedzieć, że powojenna walka o Europę zaczęła się w Jałcie, to Zachód powitał wówczas wynik konferencji jako niezaprzeczalny triumf dyplomatyczny, zapowiadający okres trwałego porozumienia między Wschodem i Zachodem. Czterdzieści lat później ta sama Jałta wywołuje emocjonalne odruchy równie uproszczone — ale przeciwstawne. Stała się dziś synonimem zdrady. Wówczas jednak twierdzono (jak choćby w artykule wstępnym *New York Times'a* z 13 lutego 1945), że

powzięte postanowienia „usprawiedliwiają i przekraczają nadzieje związane z tym brzemennym w znaczenie spotkaniem... wskazują one drogę do szybkiego zwycięstwa w Europie, do trwałego pokoju i ku lepszemu światu”.

Sumner Wellsa można posądzać o stronniczość, gdy oświadczył (*The Washington Post* z 28 lutego 1945), że: „... Deklaracja Jałtańska, cokolwiek nam przyszłość przyniesie, pozostanie olbrzymim krokiem naprzód w kierunku ostatecznego ustanowienia świata pokoju i porządku”. Lecz nawet tak doświadczony obserwator jak Walter Lippman idzie z nim tu w zawody. W *The New York Herald Tribune* (15 lutego 1945) Lippman stwierdza, że Churchill, Stalin i Roosevelt „wstrzymali i odwrócili normalny bieg rzeczy, który sprawia, że zwycięska koalicja rozluźnia się w miarę jak zbliża się kres wojny... wojskowe przymierze tym razem dowiodło, że nie jest przejściowym zjawiskiem w obliczu wroga, lecz doprawdy sednem i sercem nowego porządku międzynarodowego”.

Rzadkie były głosy sceptyczne. *The Wall Street Journal* ostrzegął 16 lutego 1945, że układ jałtański dotyczący środkowej Europy „musi siłą rzeczy prowadzić do coraz bardziej niezadowalających stosunków między Stanami Zjednoczonymi i Rosją”, zaś bystry Francuz, André Visson (w artykule pt. „Wielkie mocarstwa i małe narody”, *The Washington Post* z 18 lutego 1945) stwierdzał, że Stany Zjednoczone nareszcie stają się odpowiedzialne za przyszłość Europy i okazują pewne przejawy woli przeciwstawienia się sowieckiej dominacji nad Wschodnią Europą — w przeciwieństwie do Teheranu, gdzie wydawały się niezainteresowane powojennym układem sił i gotowe zgodzić się na „podział Europy na dwie strefy wpływów”.

W istocie Jałta była ostatnim wysiłkiem aliantów wojennych, by wspólnie zbudować powojenny świat. Podczas gdy w Teheranie Churchill był jeszcze oczywiście równym partnerem Roosevelta, w Jałcie kierownictwo przejęli Amerykanie, zapowiadający już kształtujący się podział świata na dwie części. Prawdziwa konfrontacja w Jałcie miała miejsce między w najlepszych intencjach ogólnikowym podejściem Roosevelta do powojennej przyszłości Europy i chytrze ogólnikowym podejściem Stalina do zamiaru Rosji, by zapanować nad tą przyszłością. Roosevelt rozpaczliwie pragnął zawierzyć powojennej współpracy, podczas gdy Stalin z całą świadomością wykorzystywał tę wiarę, by uzyskać zgodę na sowieckie żądania dotyczące Zachodu i Dalekiego Wschodu eurazjatyckiego kontynentu.

W rezultacie deklaracje jałtańskie nosiły piętno oczywistego eskapizmu. Paragrafy dotyczące wolnych wyborów w Polsce były

nie więcej jak przezroczystym listkiem figowym, mającym osłonić zwykłą przemoc sowiecką, zaś retoryczne deklaracje na temat przyszłego pokoju zacierają narzucające się i całkiem zasadnicze różnice zdań między dwoma wielkimi mocarstwami.

Retoryka ta jeszcze silniej wprowadzała w błąd zachodnią opinię publiczną co do prawdziwych intencji Rosji, co utrudniało zachodnim demokratom skuteczne podejście do nadchodzącej konfrontacji Wschód - Zachód.

Nie potrafiwszy zbudować zgodnie ustalonego świata, Jałta, choć w istocie potwierdzała tylko ustępstwa dokonane już w Teheranie, stała się później symbolem podziału Europy. Uzupełniające spotkanie w Poczdamie nie wykroczało poza konkurencję w wykrajaniu rozdzielonych już łupów. W Jałcie zachodnie mocarstwa spostrzegły się z opóźnieniem, że ustępstwa dokonane w Europie Wschodniej na rzecz sowieckiej przemocy mogą stać się początkiem walki o środkową i Zachodnią Europę; Stalin zrozumiał, że Zachód zaczyna stawiać opór dalekosiężnym celom sowieckiej polityki i że zapowiada to walkę trudniejszą, niż się zrazu wydawało. Odtąd wypędzenie Stanów Zjednoczonych z Eurazji w coraz większej mierze stawało się głównym i jawnym zamiarem sowieckiej polityki.

V

Zamiar ten przetrwał przez następnych 40 lat i po dziś dzień jest głównym motorem sowieckiej polityki zagranicznej. Stąd jej stanowcza decyzja, by nie dopuścić do utworzenia samodzielnej Europy o wspólnej woli politycznej. Z ostatnich czterech dekad wynika jednak również wielkiej wagi lekcja polityczna: że to, co się uważa dziś za spadek Jałty — a mianowicie podział Europy — można usunąć tylko bądź na korzyść Sowietów, w myśl subtelного planu Litwinowa, by osiągnąć dominację za pomocą uległości, bądź na korzyść Europy poprzez nadanie jej prawdziwie europejskiego charakteru o historycznej wadze, co by przyciągało kraje Wschodniej Europy i mogło doprowadzić do rozluźnienia nad nią sowieckiej kontroli. Ameryka bowiem nie jest dość silna i nie posiada dość silnej woli, by zasadniczo zmienić sytuację w Europie Wschodniej, zaś prymitywne i niezręczne wysiłki Sowietów, by zastraszyć Europę Zachodnią dają przeciwny wynik dalszego utwierdzenia atlantyckiego przymierza.

Spośród obu przeciwnych stron sowiecka dołożyła o wiele więcej wysiłków od amerykańskiej, by doprowadzić do geopolitycznego rozwiązania decydującego dla przyszłości Eurazji. Jałta podniecała niepokój Sowietów, że Ameryka nie wycofa się całko-

wicie z Europy; Poczdam go zaostrzył, zaś ogłoszenie Planu Marshalla potwierdziło najgorsze obawy Moskwy: wbrew nadziejom i oczekiwaniom Stalina, Ameryka zakorzeniła się na europejskim kontynencie, stawiając faktyczny opór sowieckiej ekspansji.

Dalszy rozwój historii naznaczyły coraz bardziej otwarte i bezpośrednie wysiłki sowieckie, by frontalnie zaatakować ten stan rzeczy nie zaprzestając przy tym stałych starań, by go podminować. Kampania polityczna przeciw Planowi Marshalla, oficjalna decyzja Stalina, by wykluczyć z niego Czechosłowację i Polskę, były wynikiem strategicznego wniosku, że Ameryka nie tylko pozostanie zaangażowana w sprawy europejskie, lecz że długotrwały konflikt polityczny staje się odtąd nieunikniony. Kryzys berliński, który nastąpił wkrótce potem, był ważną próbą woli, wyzwaniem rzuconym nagłej decyzji Stanów Zjednoczonych, by zachować ważną polityczną rolę w okrojonych Niemczech.

Należy tu jasno podkreślić: stawką blokady Berlina przez Stalina i dziesięć lat później berlińskiego kryzysu, wywołanego przez Chruszczowa, nie był sam Berlin. W obu wypadkach stawką było zapewnienie przez Amerykę bezpieczeństwa Zachodniej Europy. Oto dlaczego Stalin i Chruszczow podjęli ryzyko okresu wysokiego — niebezpiecznie wysokiego — napięcia stosunków z Ameryką, czego sam Berlin nie był wart. Gdyby Sowiety wzięły wówczas górę, Niemcy by uległy panice, zaś amerykańska gwarancja obrony Europy byłaby obojętna. Geopolitycznym skutkiem sowieckiego sukcesu w Berlinie byłoby ustanowienie sowieckiej przewagi w Europie Zachodniej.

Oba kryzysy berlińskie były najbardziej oczywistą wskazówką sowieckiej decyzji, by zerwać więzy bezpieczeństwa łączące Amerykę z Europą. Ale dyplomacja sowiecka przez cały okres powojenny dokładała również wszelkich starań, by nie dopuścić do utworzenia geopolitycznie sprawnej Europy jako współzawodnika czy choćby sąsiada. Sowiecka polityka zagraniczna wywierała stały, silny nacisk dyplomatyczny i wykorzystywała swe tajne i jawne narzędzia (zachodnioeuropejskie partie komunistyczne, miliony swych towarzyszy podróży), by przeciwdziałać planom takim jak Europejska Wspólnota Obronna, a nade wszystko zapobiec rozwojowi Wspólnego Rynku w kierunku wspólnoty politycznej. Jeśli Europy nie można odciąć od Stanów Zjednoczonych, niech pozostaje przynajmniej podzielona i słaba.

Postanowienie wyrzucenia Ameryki z Europy nie osłabło na Kremlu. Inspiruje ono dzisiejszych sowieckich przywódców, w istocie bardziej stalinowskich niż jacykolwiek inni od roku 1953. Ich wysiłki zmierzające do wykorzystania europejskich „ruchów pokojowych”, zażenowanej reakcji na antysowiecką retorykę admi-

nistracji Reagana, związane są z decyzją, by w kwestii INF (*intermediate nuclear forces* — nuklearnych sił średniego zasięgu) uczynić nowy „test” woli Zachodu, którego ostateczną stawką jest znów atlantycki system bezpieczeństwa. Sowiecka decyzja odmowy negocjacji ze Stanami Zjednoczonymi w sprawie kontroli zbrojeń, jeśli Stany Zjednoczone nie rozbiórą i usuną swych pocisków raketowych Pershing II i naziemnych wyrzutni pocisków Cruise była próbą narzucenia Ameryce publicznego upokorzenia o dalekosiężnych konsekwencjach strategicznych. Był to faktyczny ekwiwalent kryzysów berlińskich.

Ale sowieccy przywódcy znów się przeliczyli. Ich niezręczna taktyka przyczyniła się do porażki neutralistycznej Partii Socjaldemokratycznej w Niemczech, do skompromitowania zwolenników jednostronnego rozbrojenia w łonie brytyjskiej Partii Pracy i do silnej manifestacji solidarności Europy z Ameryką w tej sprawie (nawiasem mówiąc, kierownictwo sowieckie niemal jednocześnie doprowadziło do najsilniejszego od drugiej wojny światowej natężenia antysowieckich uczuć w Japonii). Stało się tak dlatego, że w Moskwie przeceniono siłę nastrojów neutralistycznych i wagę przywiązywaną przez Europę Zachodnią, a zwłaszcza Niemców do odprężenia między Wschodem i Zachodem. Przeceniono może również wrażenie, jakie na zachodnioeuropejskiej opinii wywarł znaczny wzrost sowieckich sił strategicznych, zwłaszcza w porównaniu z berlińskimi kryzysami z późnych lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Sowieccy przywódcy liczyli zapewne na to, że kombinacja specyficznie zachodnioeuropejskiego zainteresowania odprężeniem i rosnącego strachu przed zbrojną siłą sowiecką (zwłaszcza po masowej instalacji SS-20 wycelowanych w Zachodnią Europę) skłoni Europejczyków — jeśli nie Amerykanów — do przyjęcia w popłochu jednostronnej ugody. Zbyt polegali na zwykłym politycznym zastraszeniu.

Tym niemniej wszystko to świadczy o upartym zamiarze Sowietów podporządkowania sobie Zachodniej Europy i nie powinniśmy czuć się zabezpieczeni ostatnią sowiecką porażką, gdyż jest ona bardziej wynikiem prostactwa sowieckiej taktyki niż odporności Zachodniej Europy. Faktem jest, że Zachodnia Europa nie ukształtowała się politycznie i w tym względzie Sowiety osiągnęły przynajmniej częściowo to, co chciały uzyskać. Od tego zaś czasu podział Europy wywołuje rosnącą urazę nie tylko wobec sowieckiej przemocy nad Europą Wschodnią, ale również wobec roli jaką w Europie odgrywają Amerykanie; jest to sytuacja, którą zręczniejsza dyplomacja sowiecka mogłaby z czasem umiejętnie wyzyskać.

Rzeczywistość polityczna to fakt, że Ameryka nie może usunąć podziału Europy, zaś podział ten wzmaga amerykańsko-sowiec-

ką rywalizację, co z kolei cementuje sam podział. Choć Ameryka starała się niejednokrotnie rozluźnić więzy podporządkujące Wschodnią Europę Moskwie, w krytycznych momentach unikała bezpośredniej konfrontacji z sowiecką przemocą. Polityka amerykańska ostrożnie zachęca do pokojowej ewolucji w kierunku bardziej pluralistycznej Europy Wschodniej, ale jest to proces długotrwały, który od czasu do czasu może być odwrócony siłą, jak przez ogłoszenie stanu wojennego w Polsce w roku 1981. Tym niemniej, gdy reżim wschodnioniemiecki załamał się w roku 1953, gdy wybuchło powstanie węgierskie w roku 1956, gdy pokojowa emancypacja Czechosłowacji w roku 1968 skończyła się inwazją wojsk sowieckich, Stany Zjednoczone zachowały bierną postawę, pod maską antysowieckiej retoryki. Czy mogły zrobić więcej, to kwestia sporna, pewne jest natomiast, że zrobiły niewiele.

VI

Ostrożność amerykańska to jedna z przyczyn, dla których Europejczycy czują, że Ameryka nie może zlikwidować podziału Europy. Drugą przyczyną jest bardziej podstawowa: Ameryka nie może skończyć z podziałem Europy, nie zadając jednocześnie klęski Rosji. A temu Rosjanie muszą i będą się opierać całą swą siłą — podobnie jak wykluczenie Ameryki z Zachodniej Europy stanowiłoby dla niej klęskę, do której nie może dopuścić. W dodatku podział Niemiec w kontekście podziału Europy sprawia, że stawką są tu oba te podziały. Rezultatem jest trwała walka polityczna o przyszłość Niemiec, a przez to samo o przyszłość Europy, walka wiążąca Amerykę i Rosję w strategicznie centralnym konflikcie, którego stawki są tak wysokie, że żadna ze stron nie mogłaby znieść ostatecznej klęski. Podział Niemiec zatem stanowi stały bodziec do zmiany, co sprawia, że przyszłość Europy pozostaje sprawą otwartą, mimo czterdziestoletniego już impasu.

Sytuacja wyglądałaby zgoła inaczej, gdyby podział Europy nie spowodował jednocześnie podziału Niemiec. Gdyby miast na Elbie geopolityczna granica amerykańsko-sowiecka została ustalona na Renie lub Odrze-Nysie, podział Europy na dwie strefy wpływów byłby bardziej zrozumiały i politycznie łatwiejszy do utrzymania. Gdyby linią podziału był Ren, zachodnioeuropejska część czułaby się tak zagrożona sowiecką siłą, wspartą sowieckimi Niemcami, że troszczyłaby się jedynie o zachowanie jak najściślejszych związków z Ameryką, zapominając całkowicie o losie Środkowo-Wschodniej Europy pod dominacją sowiecką. Gdyby natomiast sowiecka przemoc sięgała tylko do Odry-Nysy, Polacy i

Czesi tak by się obawiali powrotu Niemiec wspartych Ameryką do tradycyjnej polityki *Drang nach Osten*, że podział Europy stałby się dla nich troską drugorzędną.

Tymczasem długotrwały impas budzi rosnącą urazę Europejczyków. Niemcy — wolni już od poczucia winy za przeszłość, mniej zafascynowani modelem amerykańskim, rozczarowani niepowodzeniem Europy jako alternatywy rywalizujących ze sobą nacjonalizmów — skłaniają się naturalnie do rosnącej troski o swych braci żyjących pod obcym systemem. Myśl, że los zjednoczonych Niemiec zależy od bliskiego porozumienia z Rosją, to żadna nowość w niemieckiej tradycji politycznej. Niecierpliwość spowodowana podziałem narodu sprawia, że staje się ona znów na czasie.

W dodatku — zwłaszcza dla Niemiec, lecz również dla reszty Zachodniej Europy — Wschód jest atrakcyjny gospodarczo, stanowiąc tradycyjny rynek zbytu dla europejskich wyrobów przemysłowych. W miarę jak Zachodnia Europa odkrywa, że na skutek rozczłonkowania staje się coraz mniej konkurencyjna w stosunku do wysoko rozwiniętych ekonomii Ameryki i Japonii, wizja szczególnych związków gospodarczych ze Wschodem staje się coraz bardziej pociągająca. Obawa, że Ameryka odwraca się od Atlantyku ku Pacyfikowi gra tu rolę samospełniającą: usprawiedliwia bliższe porozumienie gospodarcze, a potencjalnie nawet polityczne, między przemysłowo zacofaną Zachodnią Europą i jeszcze bardziej zacofanym sowieckim blokiem, przez to samo idealnym klientem dla tego, co Zachodnia Europa może produkować.

Spśród wszystkich Europejczyków, ci ze wschodu, wyzbyci iluzji wyzwolenia przez Amerykanów, najbardziej tęsknią do scalonej Europy, która by ich wyzwoliła spod sowieckiego jarzma. Ta tęsknota tłumaczy trwający po dziś dzień wielki prestiż de Gaulle'a po prostu za to, że pierwszy rzucił hasło „Europy do Uralu”. Tłumaczy ona również uczucia — nie tylko Polaków — do Papieża, którego wizja duchowej jedności Europy ma oczywistą polityczną wymowę. Lecz wschodni Europejczycy zgodzą się na pół kromki chleba w braku całej. Mając do wyboru wyłączną przemoc sowiecką, której od czasu do czasu opiera się tylko polityka amerykańska, lub stopniowe przynajmniej związki z Zachodnią Europą, choćby osłabioną politycznie, wschodni Europejczycy wybiorą oczywiście to drugie.

Nie wynika z tego wszystkiego, że Europa ześliznie się sama w kierunku osobnego porozumienia ze Związkiem Sowieckim, które by spełniło dawne sowieckie ambicje. Należy jednak zdać sobie sprawę, że zachodni Europejczycy mogliby łatwiej przyjąć politykę sowiecką odwołującą się bardziej do teorii Litwinowa

niż do praktyki Stalina. Polityka sowiecka subtelniej wykorzystująca coraz silniej dający się odczuwać brak zjednoczonej Europy, wzrastającą irytację Amerykanów niskim poziomem europejskiego wysiłku obronnego oraz nieuniknioną atrakcyjność idealistycznego podejścia do zamrożenia zbrojeń nuklearnych i tym podobnych wersji eskapizmu mogłaby mieć znaczny wpływ na opinię amerykańską i europejską. W pewnych okolicznościach nie można wykluczyć spontanicznej skłonności Amerykanów do wycofania się z Europy, z tym że konserwatyści nawoływaliby do tego ze złości na niedostateczny wkład europejski do wspólnej obrony, liberałowie zaś — zgodnie z ich obecną tendencją do traktowania trudnych spraw, związanych z bezpieczeństwem — udawaliby, że ich nie ma. W każdym zaś razie deficyt Stanów Zjednoczonych skłoni Kongres do bardziej krytycznego spojrzenia na koszt amerykańskiego zaangażowania w atlantyckie przymierze.

W samej Europie tego typu subtelniejsza polityka sowiecka, wzorowana na Litwinowie, nie dążyłaby do likwidacji NATO, lecz do pozbawienia tej organizacji wszelkiej politycznej i wojskowej substancji. Wykorzystując dwuznaczność nastrojów niemieckich i zbliżenie między Bonn i Wschodnim Berlinem, starałaby się uczynić z Niemiec neutralnego niemal, choć nadal nominalnego członka NATO, co zaniepokoiłoby i osłabiło Zachodnią Europę. Zamiast dążyć do zadania Ameryce oczywistej klęski w Europie, grałaby na niechęci Europy do identyfikacji z Ameryką w jej globalnej i ideologicznej rywalizacji z Rosją, aby w ten sposób osiągnąć zgodę Europy na jej własną podrzędną rangę w stosunkach z Moskwą.

Stwierdzenie, że Europa zależna wojskowo, rozczłonkowana politycznie i zacofana ekonomicznie pozostanie wrażliwa na tego rodzaju przynęty nie jest samospełniającym się pesymizmem. Jednym słowem, trwała sowiecka ofensywa pokojowa grozi oderwaniem Europy od Ameryki. Gdyby się to Moskwie udało, na skutek historycznego wyczerpania Europy, można by uważać jej „jałtyzację” za fakt dokonany.

VII

Słowa Prezydenta Mitterranda sprzed swóich lat: „*tout ce qui permettra de sortir de Yalta sera bon*”. Ale jak wyjść z Jałty? Po czterdziestu latach musi istnieć dla Europy i Ameryki alternatywa lepsza od rozczłonkowanej i zmęczonej Europy uwieczniającej konflikt amerykańsko-sowiecki, lepsza również od skłóconej Europy oderwanej od Ameryki, ulegającej stopniowo sowieckiej przemocy nad Eurazją. Otóż trzecia możliwość istnieje: pojawia-

nie się Europy żywotniejszej, mniej zależnej wojskowo od Stanów Zjednoczonych, wreszcie zdolnej, z pomocą samej Ameryki, do wizji na miarę historii i dążącej do zasadniczej zmiany stosunków z Europą Wschodnią i Rosją.

Ów wybór wymaga strategii na daleką metę, której Zachód nigdy nie potrafił wyłonić w związku z trwałym postjałtańskim dylematem europejskim. Punktem wyjściowym takiej dalekosiężnej strategii musi być wspólne wyciągnięcie wniosku z doświadczenia ostatnich dziesiątków lat: *historyczna równowaga w Europie może przechylić się stopniowo na korzyść Zachodu pod warunkiem, że Rosja natknie się na zachód od Elby na mniejszą obecność Ameryki, a większą obecność Europy.*

Rozsądni Europejczycy zdają sobie sprawę, że przyszłość Europy związana jest z przyszłością Niemiec i Polski. Bez przerzucenia mostu, w sposób gwarantujący bezpieczeństwo, poprzez granicę dzielącą Niemcy, prawdziwa Europa nie może zaistnieć. Kontrola rosyjska nad Niemcami Wschodnimi jest zaś geopolitycznie uwarunkowana trwałą dominacją Rosji nad Polską. Aby umożliwić utworzenie „większej Europy”, należy zatem pokojowymi środkami zmienić stosunki między Rosją z jednej, Niemcami i Polską z drugiej strony.

Zarówno Amerykanie jak Europejczycy muszą nareszcie przyjąć do wiadomości, że podział Europy jest nie tylko sztucznym wynikiem jej zburzenia w ciągu dwóch wojen światowych; na dalszą metę podział ten wytwarza chwiejną i potencjalnie niebezpieczną sytuację: doprowadzi prawdopodobnie do nowych wybuchów w Europie Wschodniej, a może również doprowadzić do destabilizującej reorientacji w Europie Zachodniej, gdyż dla wielu Europejczyków oba przymierza, po każdej linii podziału przecinającej Europę na dwoje, są po prostu przedłużeniem wysiłków obu światowych mocarstw w celu ustalenia *status quo*.

W tej konfiguracji ograniczenie się do ściśle wojskowego wymiaru problemu Wschód - Zachód, a również wysiłki zachęcające zachodnich Europejczyków do pójścia za każdą linią polityki amerykańskiej na Środkowym Wschodzie czy w Ameryce Środkowej nie prowadzą wcale do zachowania jedności Zachodu. Ameryka musi się utożsamić ze sprawą mającą głębokie, emocjonalne znaczenie dla większości Europejczyków. Położenie końca podziałowi Europy, tak konieczne dla jej duchowej i moralnej odnowy, jest zaiste sprawą godną zachodnich demokracji, zdolną do wykrzesania ich wspólnego poczucia historycznej misji.

Ale ten cel, tak niezbędny do wskrzeszenia Europy, nie może być osiągnięty za pomocą zwycięstwa Ameryki nad Rosją. Nie można go również urzeczywistnić poprzez uzyskanie oficjalnej

rosyjskiej zgody — drogą układów zmierzających do uwolnienia wschodniej Europy spod rosyjskiego jarzma. Moskwa dobrowolnie niczego nie odda. Szersza Europa może zatem zaistnieć tylko na skutek świadomego, choć subtelnie wprowadzanego w życie procesu przemian, za sprawą — że tak powiemy — historycznej przebiegłości, której nie można by ani szybko przejrzeć, ani łatwo przeciwdziałać.

Zachód musi nadać temu procesowi kształt i historyczny kierunek. Jako punkt wyjścia do tego wspólnego celu można by zastanowić się nad strategią zawierającą pięć przedsięwzięć natury politycznej, gospodarczej i wojskowej. Niektóre z nich dotyczą względnie prostych posunięć — można je streścić pokrótce; inne, odwołujące się do bardziej złożonych procesów przemiany, mogą wydać się sporne, wymagają zatem dłuższego wykładu.

Po pierwsze, w wymiarze symbolicznym, byłoby stosowne by głowy państw demokratycznego Zachodu wyjaśniły wspólnie w uroczystej deklaracji — 4 lutego 1985, jeśli można — stosunek Zachodu do historycznego dziedzictwa Jałty. Publicznie odcinając się od tego spadku — rozbioru Europy — Zachód winien podkreślić swe zobowiązanie w stosunku do wskrzeszonej Europy, wolnej od zewnętrznej kontroli; wyrazić przekonanie, że istnieje dziś autentyczna polityczna tożsamość europejska, będąca dziedzicem europejskiej cywilizacji i uprawniona do swobodnego wyrazu. Winien dalej potwierdzić prawo każdego europejskiego narodu do wolnego wyboru systemu socjopolitycznego zgodnie ze swą historią i tradycją, oraz wyraźnie odrzucić i potępić narzucenie przez Moskwę tyłu Europejczykom systemu tak im obcego kulturalnie i politycznie. Wreszcie, powołując się na pozytywne doświadczenie neutralnej Austrii i Finlandii, Zachód winien zobowiązać się, że utworzenie bardziej autentycznej Europy nie pociągnie za sobą rozciągnięcia amerykańskiej strefy wpływów do europejskich granic Związku Sowieckiego.

Po drugie, w bezpośrednim związku z odrzuceniem dziedzictwa Jałty, Zachód winien potwierdzić swe związanie Końcowym Aktem Konferencji Helsińskiej. Jest to konieczność zasadnicza, gdyż w przeciwnym razie odrzucenie Jałty mogłoby dać Sowietom wygodny dla nich argument, że terytorialna całość Polski i Czechosłowacji jest w ten sposób na nowo zagrożona. Układy z Helsinek zatwierdziły trwałość istniejących granic w Europie Środkowej i Wschodniej; należy usunąć obawy krajów objętych tą gwarancją. Układy te uznały również prawa człowieka za obowiązujące międzynarodowo, a przez to samo uprawniły Zachód do wglądu w wewnętrzne ich przestrzeganie przez rządy wschodnioeuropejskie. Odrzucenie historycznej spuścizny Jałty winno za-

tem zawierać potwierdzenie zobowiązania Zachodu do przestrzegania pokojowych stosunków ze Wschodem, utrzymania obecnego terytorialnego *status quo* i jednolitej w skali międzynarodowej interpretacji wiążących pojęć wolności i praw człowieka.

Co więcej, potwierdzenie zobowiązania Zachodu do przestrzegania Końcowego Aktu Konferencji Helsińskiej pomogłoby do usunięcia niebezpiecznej ambiwalencji europejskiej w stosunku do Niemiec. Faktem jest, że Europejczycy źle znoszą narzucony im rozbiór, obawiając się skądinąd zjednoczenia Niemiec. Dlatego też rozbratowi ze spadkiem Jałty — rozbiorem Europy — winno towarzyszyć zobowiązanie, znów oparte na potwierdzeniu układu z Helsinek, że celem zespojenia podziału Wschód-Zachód w Europie nie jest likwidacja jakiegokolwiek z istniejących państw, lecz przywrócenie każdemu europejskiemu narodowi udziału w szerszej, wszech europejskiej współpracy. W tym kontekście nie chodziłoby więc o położenie końca podziałowi Niemiec poprzez formalne zjednoczenie, lecz przez stopniowe wyłonienie o wiele mniej groźnej, luźnej konfederacji między dwoma istniejącymi państwami.

Po trzecie, w duchu tych symbolicznych posunięć, Zachodnia Europa winna starać się stworzyć jak najwięcej okazji do współuczestnictwa wschodnich Europejczyków w różnych wszech europejskich organizacjach. Wiele jest dziś tego rodzaju instytucji publicznych i prywatnych. Należy zachęcać wschodnich Europejczyków, spokojnie lecz systematycznie, do coraz większego udziału — choćby początkowo w charakterze obserwatorów — w takich ciałach jak Parlament Europejski, a również w licznych organizmach o węższej specjalizacji, technicznych i innych. Krzewienie europejskiego ducha wśród wschodnich Europejczyków, przekonanie ich że Europa przedstawia o wiele więcej, niż by się mogło pozornie wydawać — to zadanie bez wątpienia leżące w interesie całej Europy. Lecz trzeba w to włożyć dużo nowego wysiłku.

Innym pociągnięciem stosownym dla większych krajów Zachodniej Europy wraz z Ameryką byłoby zorganizowanie — z okazji rocznicy Jałty w roku 1985, pod patronatem publicznym czy prywatnym — serii seminariów i konferencji poświęconych przyszłości Europy „postjałtańskiej”. Należałoby na nie zaprosić jak najwięcej wschodnich Europejczyków, w najdogodniejszej dla nich formie, aby uczestniczyli w dyskusjach mających na celu wyłonienie szerokiej, wspólnej platformy dotyczącej najdogodniejszych dróg do pokojowej likwidacji spuścizny Jałty.

Wreszcie Zachodnia Europa powinna nawrócić do inicjatywy już poprzednio podjętej, lecz ostatnio zaniedbanej, nawiązywania

bliższych kontaktów i w miarę możliwości współpracy między Wspólnym Rynkiem i Wschodnią Europą. Niemcy Wschodnie i Jugosławia już dziś utrzymują — każde na swój sposób — pragmatyczne stosunki z tym ważnym zachodnioeuropejskim ciałem. Wznowiona inicjatywa w tej dziedzinie ze strony Wspólnego Rynku jest dziś tym bardziej potrzebna, że obecne władze sowieckie położyły nowy nacisk na integrację Wschodniej Europy w ramach Komekonu, chcąc jeszcze ściślej ją związać z gospodarką sowiecką. Gdyby nawet wschodni Europejczycy mieli — pod naciskiem sowieckim — odrzucić teraz zachodnie propozycje bliższych kontaktów wymiany, informacji, współpracy przy pewnych ściśle określonych projektach, zachodnia inicjatywa w tej dziedzinie miałaby wpływ pozytywny. Zaobserwowana ostatnio wschodnioniemiecka skłonność rozszerzania więzów wszechniemieckich, nawet kosztem narażenia się Sowietom, jest przejawem ogólnej w Europie Wschodniej chęci — i gospodarczej potrzeby — nawiązania bliższych stosunków z resztą Europy. Przeciagająca się stagnacja ekonomii typu sowieckiego sprawia, że wzmożenie zachodnich inicjatyw w tej dziedzinie byłoby jak najbardziej na czasie.

Po czwarte, i należy z miejsca stwierdzić, że nie byłoby to wcale sprzeczne z poprzednimi uwagami, Europa winna wzmocnić swe poparcie tych wschodnich Europejczyków, którzy czynnie walczą o polityczną emancypację wschodniej Europy. Walka ta jest nieuniknionym składnikiem i częściowo przynajmniej przyczyną ewolucyjnych przemian we wschodniej Europie. Zbyt często się zdarza, że zachodni Europejczycy — zwolennicy bardziej niezależnej Wschodniej Europy — patrzą z ukosa na swych wschodnich współbraci, którzy podejmują czynniejsze formy walki. Podczas gdy utrzymywanie towarzyskich stosunków z urzędnikami krajów Wschodniej Europy należy w pewnych kołach zachodnich do dobrego tonu, okazanie rzetelnej pomocy tym, którzy stawiają opór totalizmowi, niejednym tu niestety „pachnie zimną wojną”.

A przecież podział ról między Ameryką i Europą, w myśl którego pierwsza pomagałaby sama dysydenckiej „subwersji”, drugiej zaś przypadałaby wyłącznie oficjalne ceregiele, mija się z celem. Zachodni Europejczycy winni wziąć na siebie część tych czynności, które Ameryka, w interesie Europy jak i swoim własnym, brała na swoje barki przez trzydzieści z górą lat. Francuzi okazali wiele szczodrej pomocy polskiej Solidarności (uczestniczyli w niej również inne kraje europejskie). Radio France Internationale zyskuje coraz więcej słuchaczy we Wschodniej Europie. Ale należy robić o wiele więcej. Niemcy na przykład, gdzie kanclerz Schmidt właściwie zaaprobował stan wojenny Jaruzelskiego, ograniczyły się do humanitarnej filantropii prywatnej, ale nie zro-

biły tyle ile by mogły, żeby podtrzymać różne formy akcji politycznej we Wschodniej Europie, mające na celu skłonienie rządzących reżimów do ewolucji.

W sposób subtelny, ale wytrwale Zachodnia Europa mogłaby pomóc wschodnim Europejczykom w tych wysiłkach, gdyż w naszym wieku tranzystorów i masowych środków przekazu totalitarna kontrola nie może być szczelna, z czego nie mała korzyść polityczna. Zachodnia Europa musi przecież być pełnym uczestnikiem walki o przyszłość Europy. Szczodrze wyposażona inicjatywa francusko-brytyjsko-niemiecko-włoska (Fundacja dla spraw Europy postjałtańskiej), mająca za zadanie pomoc wschodnim Europejczykom w pokojowej emancypacji, mogłaby się do tego przyczynić walnie, byle by nie poniewczasie.

Po piąte, czas przemyśleć na nowo i od sedna stosunek między bezpieczeństwem Zachodu i polityczną przemianą w całej Europie. Zachód może się do tego przystosować, Ameryka zaś — skoro przypada jej główna rola wojskowa — winna tym pokierować. Ameryka potrzebna jest w Europie, by odstraszyć Rosję nie tylko od wojskowej agresji, lecz od politycznego nacisku. To sprawa oczywista i uprawdliwienie NATO, wraz z wojskową obecnością Ameryki na kontynencie. Lecz wojskowa obecność amerykańska zwalniana Europejczyków od wysiłku politycznego zjednoczenia, skądinąd zaś zmuszająca Sowiety do zachowania wojsk w Europie Środkowej i Wschodniej, wyzbyta jest wszelkiej subtelniejszej kalkulacji polityczno-historycznej. Należy szukać bardziej przemyślanego równania polityczno-wojskowego, by móc zarazem chronić Europę Zachodnią i działać na korzyść przemiany stosunków Wschód-Zachód.

Jeśli Europa ma zaistnieć politycznie, musi przyczynić się bezpośrednio do swej obrony. Europa prawdziwie uczestnicząca w swej obronie pozwoli na zmniejszenie (lub na nową koncepcję) amerykańskiej obecności wojskowej. Europa zdolna w większej mierze obronić się sama staje się bardziej żywotna politycznie, a zarazem mniej groźna dla Związku Sowieckiego w perspektywie wojskowej niż jest nią Europa goszcząca w samym sercu wielką amerykańską siłę wojskową. Taka Europa byłaby zatem zdolniejsza do zaspokojenia pragnienia bliższych z nią więzów, jakie żywi Europa Wschodnia, gdyż więzy te nie byłyby wówczas równoznaczne z klęską zadaną Rosji przez Amerykę.

Europie należy jednak dać bodziec w tym kierunku. Pozostawiona sama sobie, jej hedonizm i skłonność do politycznej auto-satisfakcji sprawia, że nie stanie się nic. Przecież nawet skromne podwyższenie o trzy procent w roku 1978 udziału finansowego w budżecie wojskowym NATO nie zostało dotrzymane przez

większość europejskich krajów. Ameryka winna zatem przygotować dłuższą akcję, zmierzającą do stopniowej zmiany rozmiarów i składu swej wojskowej obecności w Europie, wyjaśniając przy tym Europejczykom, że zmiana ta nie jest odruchem gniewu ani groźbą (w rodzaju rezolucji wniesionej przez senatora Mansfielda), lecz wynikiem przemyślanej strategii zmierzającej do przywrócenia jedności Europy i jej historycznego znaczenia.

W ostatniej fazie Stany Zjednoczone byłyby w ramach NATO przeciwwagą strategicznej potęgi sowieckiej, gwarancją przeciw sowieckiej agresji czy nuklearnemu szantażowi. W terenie natomiast odpowiedzialność za obronę Europy spadałaby w ciągu następnych dziesięciu lat w coraz większej mierze na barki Europejczyków. Konieczny proces stopniowego, lecz nie całkowitego (a w żadnym razie w Berlinie) zastąpienia amerykańskich sił lądowych w terenie można by może przyspieszyć, gdyby — poprzez negocjacje w dziedzinie wzajemnych i zrównoważonych ograniczeń zbrojeń — Związek Sowiecki zgodził się na równoczesne wycofanie swych własnych sił lądowych. W każdym jednak wypadku procesowi temu musiałyby towarzyszyć przejęcie przez Europejczyków większej odpowiedzialności za obronę Europy, nie tylko w ramach sił poszczególnych państw, lecz również poprzez wzmocnienie europejskiej koordynacji obrony.

Stany Zjednoczone winny szczególnie popierać wzrost współpracy wojskowej francusko-niemieckiej i na dłuższą metę integrację sił obu państw. Francja ma szczególną świadomość historyczną swej europejskiej tożsamości, Niemcy zaś cierpią na skutek podziału Europy. Francusko-niemiecka armia miałaby ludzki, materialny, bojowy potencjał potrzebny do zapełnienia luk spowodowanych stopniowym wycofaniem lądowych jednostek amerykańskich. Późniejsze zaś zjednoczenie obu sił narodowych we wspólne wojsko stanowiłoby olbrzymi krok naprzód w kierunku Europy bardziej żywotnej politycznie, a przecież zmniejszającej naprężenie ze Związkiem Sowieckim wywołane obecnością wielkiej armii amerykańskiej, a również Europy mniej dla wschodnich Europejczyków groźnej od Europy o silnej armii niemieckiej. Stopniowe wycofanie amerykańskich jednostek lądowych umożliwiłoby presję obecnych reżimów wschodnioeuropejskich o równoważne wycofanie wojsk sowieckich, co by z kolei prowadziło do odprężenia sytuacji politycznej.

Aby poruszyć Europę w tym kierunku, Stany Zjednoczone muszą wziąć na siebie, w razie potrzeby jednostronnie, inicjatywę dziesięcioletniego programu rocznych redukcji poziomu lądowych sił amerykańskich w Europie. Inicjatywa ta musi być powzięta w ramach z góry ustalonej strategii, konstruktywnej poli-

tycznie i wojskowo. Jej polityczny cel winien być jasno ogłoszony: stworzenie warunków dla wskrzeszenia Europy, a przez to samo dla uzdrowienia stosunków między Wschodem i Zachodem. Trzeba będzie z góry zapowiedzieć, że pewna ilość amerykańskich sił lądowych pozostanie w Europie, podobnie jak pozostały w Korei w celu zapewnienia natychmiastowego zaangażowania amerykańskiego w razie działań wojennych. Co więcej, amerykański parasol strategiczny nad Europą nie powinien pozostać ograniczony do ewentualnego użycia broni nuklearnych. Należy go z czasem, wraz z technologicznym rozwojem, uzupełnić bronią strategiczną. W miarę rozwoju strategicznych sił obronnych Ameryki Stany Zjednoczone winny dążyć do częściowego przekazania tej obrony Europie.

Tego rodzaju podział ról w ramach NATO przygotowałby grunt do wzięcia pod uwagę, w pięćdziesiątą rocznicę Jałty, inicjatyw które się nam dziś wydają przedwcześnie, pozbawione realizmu lub zbyt niebezpieczne dla Ameryki bądź dla Rosji. Do nich należą strefy bądź całkowicie, bądź w dziedzinie nuklearnej zdemilitaryzowane, a również rozszerzenie neutralności typu austriackiego na inne kraje, z luźną konfederacją niemiecką włącznie.

Tak wyglądałby proces ewolucyjny pozwalający na stopniowe wynurzenie jawnych i ukrytych dążeń wschodnio- i zachodnio-europejskich ku odrodzeniu Europy. Odrodzona Europa miałaby ważną rolę do spełnienia na kontynencie eurazjatyckim obok Związku Sowieckiego, Chin i Indii, zapewniając — dzięki swym więzom z Ameryką — że żadna pojedyncza potęga nie zawładnie tym geopolitycznie kluczowym kontynentem.

VIII

Od pięćdziesiątej rocznicy Jałty dzieli nas tylko dziesięć lat. Niech będzie naszym wspólnym celem, by do tego czasu doprowadzić do polityczno-wojskowych układów, które zamiast utrwaląć podział Europy, a może nawet prowadzić do rozkładu Europy Zachodniej, stworzyłyby warunki do pokojowego usunięcia skutków Jałty. Zachodnia Europa zasadniczo samowystarczalna w sprawach obrony, nadal korzystająca z ochrony amerykańskiego systemu nuklearnego odstraszania, a z czasem również z amerykańskiej obrony strategicznej, mogłaby sobie pozwolić na pozytywną politykę wschodnią nie obawiając się moskiewskiego zagrożenia. W ostatecznym rachunku jedynie Europa może odrodzić Europę; tego nie zrobi za nią nikt inny.

Moskwa przeciwstawi się oczywiście odrodzonej woli Europejczyków. Żadne imperium nie rozwiązało się dobrowolnie — przynajmniej aż do chwili uświadomienia, że stopniowe rozwiązanie jest korzystniejsze od rosnącej wciąż ceny zachowania imperialnego systemu. Stanie się to z kolei losem sowieckiego imperium. Moskwa będzie gwałtownie protestować przeciw odrzuceniu jałtańskiej spuścizny przez Zachód, oskarżając go o narażanie na szwank stosunków ze Wschodem; tego się nie uniknie. Lecz otwarte i głośne odrzucenie tej spuścizny jest niezbędnym punktem wyjścia ku przemyślanym wysiłkom wszystkich Europejczyków, by stopniowo usunąć podział ich kontynentu. Gdy raz podejmą to historyczne zobowiązanie, dalsze wysiłki, określone powyżej, nie muszą być prowadzone w sposób agresywny, ani nawet w pierwszej fazie jasno sformułowane. Z czasem, w miarę utwierdzenia organicznego wzrostu szerszej Europy, coraz trudniej będzie Moskwie oprzeć się procesowi nabierającemu cech historycznej konieczności. Nadejdzie może nawet chwila, gdy Sowiety same uznają potrzebę układów prowadzących do neutralizacji obszaru w Europie Środkowej, do redukcji i wreszcie wycofania swych sił okupacyjnych.

Nie należy nigdy zapominać w tym kontekście o zdolności przystosowywania się Moskwy, gdy uzna to za potrzebne. Nawet bezlitosnego Stalina zmusiła rzeczywistość do uznania istnienia niepodległego Kościoła w Polsce; Chruszczowa do przyjęcia polskiego chłopstwa wolnego od kolektywizacji i osobnej polityki zagranicznej Rumunii; Breżniewa do zgody na „gulaszowy komunizm” na Węgrzech i wojskową władzę w Polsce. Dlaczego więc nie miałyby następne pokolenie sowieckiego kierownictwa pogodzić się z faktem, że nawet sowieckie społeczeństwo osiągnęłoby większe korzyści z mniej beznadziejnej i zgnębionej Europy Środkowo-Wschodniej mającej dostęp do awantury wszech-europejskiej kooperacji?

Z wejściem Europy w piąte dziesięciolecie Jałty powtórzmy raz jeszcze, że odrzucenie jej dziedzictwa nie dojdzie do skutku za pomocą sztywnego schematu czy jednorazowej dramatycznej inicjatywy. Kształtu przyszłości nie można zredukować do schludnego obrysu o ścisłym kalendarzu i szczegółowym przebiegu. Wymaga on raczej wyraźnego zobowiązania i strategicznej orientacji procesu ewolucyjnego, który musi wytworzyć własną dynamikę. Dla Ameryki wyłonienie bardziej żywotnej Europy będzie w każdym razie rezultatem pozytywnym, gdyż w ostatecznym rachunku pluralistyczny świat leży w jej interesie. Ewolucja w tym kierunku zapobiegłaby grożącemu nam niebezpieczeństwu, że w braku świadomości — choć pokojowo — przeprowadzonej

likwidacji spuścizny Jałty na Wschodzie, stanie się ona z kolei udziałem Zachodu. Innymi słowy, trzeba Jałtę przekazać przeszłości Europy, jeśli nie chcemy, by się stała jej przyszością.

Zbigniew BRZEZIŃSKI

(Tłumaczenie: K. A. JELEŃSKI)

Zbigniew BRZEZIŃSKI był asystentem prezydenta Stanów Zjednoczonych do spraw bezpieczeństwa narodowego w latach 1977-1981. Obecnie jest profesorem rządu (*Government*) na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku i doradcą (*Senior Advisor*) Ośrodka Studiów Strategicznych i Międzynarodowych przy Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie. Ostatnią jego książką jest „Władza i zasady” (*Power and Principle*).

Widziane z Brukseli

PODRÓŻE KSZTAŁCĄ

Szlabany się podniosły, dreszcze obrzydzenia opadły, na Zachodzie jest coraz ciszej nad polskimi trumnami. Wystarczyły niecałe trzy lata i 91 ofiar stanu wojennego, morderstwo jednego księdza, wyduszenie wszystkich energii samorządnych oraz jednej wielkiej nadziei, aby spora część politycznego *establishment'u* na Zachodzie uznała, że ludzie w mundurach i w cywilu u władzy w Warszawie są znowu *salonfähig*.

„Bankructwo zachodniej polityki dyskryminacji wobec Polski” — oznajmił rzecznik rządu w Warszawie; powtórzyli to za nim niektórzy korespondenci prasy zachodniej. Pierwsi złamali kwarantannę przedstawiciele krajów neutralnych, Austrii i Finlandii, ale taka ich dola i rola. Za nimi ruszył orszak tuzów: Papandreu, Vogel, Rifkind (będzie o nich wszystkich i o każdym z osobna nieco dalej). W chwili pisania tych słów odpadł nagle Genscher, ale ma jeszcze zjawic się nad Wisłą włoski Andreotti, nie licząc pomniejszych szyszek no i naturalnie zalewu bankierów i kupców.

Satysfakcja władz warszawskich jest zrozumiała i uzasadniona. Reakcja zachodnich rządów na pucz z 13 grudnia sprowadziła się właściwie, poza okrzykami oburzenia, do fałszywego zaskoczenia i dwóch zbiorowych sankcji. Po pierwsze, zamrożenie kontaktów na wysokim szczeblu z Warszawą. Po drugie, zablokowanie linii kredytów gwarantowanych przez rządy (długi wyłączne prywatne, to inna sprawa).

„Po pierwsze” już leży: kontakty na wysokim szczeblu są nawiązane. Sprawa podróży do Warszawy była dyskutowana w rozmaitych szczeblach europejskiej drabiny w Brukseli. Francuzi pozostali tej idei niechętni. Amerykanie, którzy mają z Europą zachodnią konflikty na bardzo rozmaite tematy (handel, rakiety), znacznie, ich zdaniem, ważniejsze niż los Polaków, wobec pielgrzymek do Warszawy zachowali się neutralnie: nie poparli, ale nie zakazali.

„Po drugie” na razie jeszcze trwa. Niektórzy twierdzą, że odblokowanie kredytów to tylko kwestia czasu. Pytanie, jak długiego. Dla Reagana, a to on decyduje, to chyba więcej niż kwestia czasu. Dla niego (na razie) proces nobilitacji władzy wyłonionej z nocy 13 grudnia nie jest zakończony. Jest to prawdopodobnie w większym stopniu sprawa stosunków Wschód-Zachód, USA-ZSSR w ogóle i stosunków wewnętrznych w USA (Polonia) w szczególności, niż jakiegoś wyjątkowo moralnie wrażliwego stosunku do cierpień Polaków. Z punktu widzenia moralnego straszny los chłopów w Gwatemali czy śmierć dzieci z głodu w marksistowskiej Etiopii są większą tragedią i bardziej działają na wrażliwość zachodniego płatnika niż śmierć bezbronno księdza, do którego nawet prymas miał pretensje.

Podróże kształcą, to prawda, ale nie tylko gości, ale także i gospodarzy. Jeżeli założyć, że gospodarzem Papandreu, Vogla, Rifkinda itd. był nie tylko rząd z Warszawy ale także, w pewnym przynajmniej stopniu, naród polski, to pytanie brzmi, jak się podróż udała, jakie wnioski należy wysnuć z pobytu zachodnich dygnitarzy w PRL.

Dwie będą opowieści z tej ewangelii. Pierwsza, z serii byt określa świadomość, dotyczy powodów, dla których blokada Polski wojskowej została złamana. Druga, z serii świadomość określa byt, dotyczy powodów, dla których Polska cywilna powinna już wiedzieć, kto to są przyjaciele Polaków i jak ich rozróżniać.

Odpowiedź na pierwszą nie nastęrcza większych trudności. Wszyscy albo prawie wszyscy dżentelmeni z Zachodu przyjeżdżają do Warszawy nie w imię interesu Polaków, a w imię własnych interesów. Nie ma w tym nic zaskakującego, tak było zawsze. Rzadko jednak hipokryzja była tak obrzydliwa. Argument główny składa się z dwóch części: a) zbyt długa izolacja jest kontraproduktywna i pozbawia Zachód wpływu na bieg wydarzeń w Polsce; b) zbyt długi bojkot wepchnie Polskę jeszcze głębiej w ramiona Moskwy. Brednia. Polakom nie trzeba tłumaczyć dlaczego. W rzeczywistości Papandreu przyjechał, żeby zrobić na złość Amerykanom i swym kolegom z EWG, z uwagi na ich stosunek do Turcji. Andreotti prawdopodobnie stara się poprzez swe wybryki zagraniczne (niedawno zaatakował RFN za pangermanizm i wyraził radość z istnienia dwóch państw niemieckich) zatrzeć ślady swych związków z mafią sycylijską. Genscher i Vogel przynajmniej mają rzeczywiście polityczne powody. Genscher chciał pojechać do Warszawy, bo Honecker i Żiwkow nie „mogli” przyjechać do Bonn. Los 21 milionów Niemców za mu-

rem stanowi bowiem element zasadniczy wewnętrznej polityki zachodnioniemieckiej, Ost-polityka nigdy nie wyszła z mody ani dla chadeków, ani dla socjalistów.

Druga opowieść jest bardziej skomplikowana. Wymaga dłuższego wywodu i opisu trzech podróży współczesnych Sindbadów.

*Podróż pierwsza, czyli kogo Zeus chce zgubić,
temu rozum odbiera*

Pan Andreas Papandreu jeszcze jest premierem, ale już wszedł do historii. Jest to pierwszy szef rządu państwa należącego do EWG i do NATO, który odwiedził osoby sprawujące władzę w Polsce po 13 grudnia 1981 roku. Tak naprawdę, to nie jest to nawet niespodzianka. Jeszcze zanim przyjechał do Warszawy w październiku 1984 roku, pan Papandreu dał się poznać jako przyjaciel generała. Kiedy tuż po puczu w Polsce Europa Zachodnia jeszcze wrzała z oburzenia, Papandreu odmówił przyłączenia się do sankcji przeciw Polsce i Rosji, wyrzucił na bruk swego wiceministra spraw zagranicznych, który nieopatrznie złożył podpis pod rezolucją EWG, potępiającą noc polskich generałów. Mimo własnych i całego narodu doświadczeń z własnymi generałami, Papandreu zapałał natychmiastową sympatią do gen. Jaruzelskiego. Był jedynym przedstawicielem rządów zachodnich, który ostentacyjnie uściśnął dłoń generała w Warszawie w czasie pogrzebu Breżniewa w Moskwie. Papandreu odmówił także potępienia zestrzelenia przez Moskwę południowokoreańskiego Boeinga nad Sachalinem, twierdząc, zgodnie z tym co napisała *Prawda*, że samolot był w misji szpiegowskiej.

To nie wszystko. Oryginalność p. Papandreu sięga znacznie dalej. Socjalistyczny premier Grecji popiera ruchy pacyfistyczne, zwłaszcza te najbardziej kontrolowane przez Moskwę. Popiera także tzw. niezależny pomysł utworzenia strefy bezatomowej na Bałkanach, gdzie, jak na razie, jedyne rakiety jakie można by już zdemontować należą *ausgerechnet* do... Amerykanów. Kiedy delegacja parlamentu greckiego odwiedziła Berlin zachodni, Papandreu zabronił jej odwiedzić... mur, żeby nie urazić NRD.

Choć brzmiało to niewiarygodnie, nie odrzuciłem informacji, że Papandreu wyraził zgodę na propozycję Warszawy „przyjęcia” banitów politycznych z KOR-u czy Solidarności. Chodzić mogło o jedną z wysp, na których inni generałowie osadzali nieco wcześniej politycznych przyjaciół premiera Papandreu. W atmosferze tak szczerej i bezinteresownej przyjaźni nic dziwnego że p. Papandreu obiecał swemu kumpłowi z Warszawy przedstawić na europejskim szczycie w grudniu w Dublinie propozycję zniesienia wobec generała Jaruzelskiego ostatnich śladów zachodniego niezadowolenia z grudniowego puczu.

Byłem niedawno w Grecji, widziałem polityków z rządu i opozycji, starałem się zrozumieć postępowanie premiera Papandreu.

Chodzi głównie o kompleks antyturecki. Trudno to wytłuma-

czyć, jest to połączenie uczuć jakie Polacy żywią wobec Sowietów i Niemców równocześnie. Grecy nie widzą dla siebie żadnego zagrożenia ani z zewnątrz ani od wewnątrz poza zagrożeniem tureckim. Jest to paradoks polityczny, jako że Turcja jest członkiem nie Paktu Warszawskiego, a Paktu Atlantyckiego, a więc tego samego co Grecja, chodzi więc o sojuszników, no, ale Polakom znowu nie trzeba tego tłumaczyć: my też jesteśmy w tym samym pakcie co ZSSR i NRD, to też są nasi sojusznicy. Otóż Grecy uważają, że Amerykanie, kiedy należy wybierać i kiedy mogą wybierać, zawsze stają po stronie Turcji. Kissinger, który nieostroźnie kiedyś próbował wytłumaczyć, że wyboru często nie ma i to nie z winy Turków, jest najbardziej znenawidzoną postacią pod Olimpem.

Analiza kompleksu antytureckiego, jak zresztą każdego kompleksu, wymaga umiejętnej połączenia psychiatrii i dyplomacji.

Zapytany o reakcję Zachodu na wydarzenia w Polsce, Papandreu zachnął się i odpowiedział: „Chciałbym dostrzec wrażliwość na Zachodzie wobec wydarzeń w Turcji”. Spytany o atlantyckie sankcje wobec Polski, Papandreu odpowiedział: „Jak można krytykować kraj Europy wschodniej a nie Turcję, członka naszego własnego sojuszu?”. *Passons en*, litania byłaby długa, w skrócie mówiąc, Papandreu uważa, że Zachód nie powinien się gniewać na Polskę, albowiem powinien zajmować się wyłącznie Turcją.

Papandreu jest premierem, stoi na czele partii, rządu i wojska. Wyrządza wiele złego. A przecież nawet najbardziej antyturecki Grek nie powinien zapominać, że dostał w kość od własnych generałów i nie powinien doradzać Polakom, aby polubili swoich wojskowych. Jeszcze tak niedawno Papandreu, siedząc za drutami, bardzo oczekiwał zachodniej interwencji przeciwko greckim pułkownikom, a teraz należy do najbardziej zdecydowanych przeciwników zachodniej — jak mówi wraz z Jaruzelskim — „ingerencji” w sprawę polskie. Jeszcze niedawno Papandreu uważał, że Solidarność to najbardziej rewolucyjny ruch od 1917 roku, a teraz uważa, iż Solidarność poszła za szybko i za daleko i „przekształciła się wtedy — jak wszystkie ruchy progresywne — w ruch niebezpiecznie negatywny”. Grecy mają rzecz jasną prawo do wolnych wyborów (Namijczy i Chilijczy również), ale Polacy to awanturnicy. Rząd pułkowników greckich był paskudny i krwiożerczy, ale „rząd generała Jaruzelskiego zmierza do normalizacji w tym zakresie, w jakim można zastosować to określenie wobec kraju leżącego w Europie wschodniej”. Generał Papadopoulos to był faszystowski zbir, ale generał Jaruzelski to „patriota, który pragnie zmian w historycznych granicach dzisiejszej Polski” i który „w jego kontekście historycznym dojdzie powoli do tego celu, jeżeli nie będzie sabotowany przez siły z rozmaitych stron”.

Historyczna i dziejowa misja generała Jaruzelskiego ujawniona 13 grudnia 1981 jest tym bardziej godna zrozumienia, a nawet wdzięczności, że „Polska przechodziła wówczas bardzo krytyczny proces historyczny, który — gdyby nie został w porę zatrzyma-

ny — mógł sprowokować groźny wybuch, nie tylko w Europie, ale w świecie”.

Nic dziwnego, że z takim przekonaniem Papandreu nie musiał swych poglądów na sytuację w Polsce weryfikować i że został w Polsce uznany za uczonego w polityce międzynarodowej i ruchach społecznych. Udał się więc do Krakowa po dyplom doktora *honoris causa* (M'Bow z UNESCO i Perez de Cuellar z ONZ też dostali — biedna ta gwałcona ciągle Alma Mater — kolej na Kadafiego), ale nie pojechał do Gdańska, aby spotkać też doktora HC, ale z Harvardu, no i jedynego żyjącego i dostępnego na Wschodzie laureata pokojowej nagrody Nobla.

Podróż socjalistycznego premiera Grecji do Gdańska była tym bardziej niepotrzebna, że wcale mu nie chodziło ani o ruch związkowy, ani nawet o Polskę. Premier atlantyckiej Grecji odkrył mianowicie i ujawnił to w Warszawie, że stosunek USA do Polski — „najsłabszego ogniwa bloku wschodniego” — stanowi część „świadomego, precyzyjnego planu w szczególności Stanów Zjednoczonych, ale podzielanego przez niektóre inne państwa zachodnie (nie zawsze i nie w całości) zmierzającego do destabilizacji struktur politycznych Europy wschodniej”.

Chciałbym w tym miejscu uczynić trzy skromne uwagi pod adresem i na użytek premiera Papandreu.

Po pierwsze, dokładnie taką samą hipotezę źródeł wydarzeń w Polsce wylansowała propaganda sowiecka, *Prawda*, *Izwiestia* oraz KGB i ich odpowiednio przedstawicielstwa w Polsce.

Po drugie, nie rozumiem niechęci premiera Papandreu, demokracji i socjaldemokracji, do idei destabilizacji dyktatur. Czyżby uważał że Zachód powinien pomagać w ich stabilizacji? Jeżeli tak, to dlaczego domaga się destabilizacji przez Zachód dyktatury tureckiej, chilijskiej i innych?

Po trzecie, *hélas*, amerykańskiego planu destabilizacji struktur wschodnich niestety nie ma. A szkoda, na tym bowiem polega cały problem. Zachód nie chce, ale przede wszystkim nie wie jak mógłby destabilizować dyktatury na wschodzie, nie jest w stanie uczestniczyć w rozwiązywaniu kryzysów tego, co Papandreu nazywa „strukturami na wschodzie”, a co sprowadza się do narzuczonego przez Moskwę lat temu czterdzieści modelu okupacji kilku państw Europy wschodniej i środkowej.

Talent dyplomatyczny Papandreu ujawnił się nie tylko w kontekście polskim. Jest to szkodnik w skali międzynarodowej. Właśnie wpuścił w maliny prezydenta Mitterranda, którego namówił na schadzki z pułkownikiem Kadafim. Spotkanie odbyło się na Krecie, wyspie, która ma wątpliwe tradycje intelektualne. Kadafi, dement i rozbójnik, ośmieszył Mitterranda. Mniejsza o szczegóły w sprawie państwa Czad, które właściwie nie istnieje i nigdy nie istniało, groźniej rysuje się przyszłość. Papandreu, według Pytyjskich źródeł, stara się mianowicie pośredniczyć w zorganizowaniu ważniejszego *rendez-vous*: Reagana z Czernienką. Boże, chroń Prezydenta!

Po tej kropce pomyślałem sobie, że dość już o Papandreu i

pora przejść do innych, przewidzianych na dzisiaj osób. Ale przypadek sprawił, że musiałem przy nim i jego kompleksie pozostać. Mianowicie zostałem zaproszony przez przyjaciół Papandreu do udziału w dyskusji socjalistów brukselskich. Już temat wydał mi się dwuznaczny: „Zachodnia lewica a Europa wschodnia”. Zacząłem więc od tłumaczenia, że w istocie rzeczy nie istnieje Europa wschodnia, a istnieje grupa krajów bardzo się różniących pod każdym względem, i że nie istnieje także lewica zachodnia, że patrząc np. z Warszawy, zachodniemiecka SPD jest bliższa francuskiej partii komunistycznej niż socjalistom Mitterranda. Na nic, albowiem jak tylko chciałem wytłumaczyć, że zachodzą różnice między sprawą Namibii a Polski, Gwatemali i Węgier, moi dyskutanci wyciągali Turcję.

Musiałem więc w tej materii uczynić dalsze cztery skromne uwagi pod adresem i na użytek zachodniej lewicy.

Po pierwsze, w chwili puczu w Turcji ginęło dziennie 50 osób od strzałów terrorystów z lewa i z prawa. W Polsce pierwsze ofiary terroryzmu padły 13 grudnia 1981.

Po drugie, za politycznym projektem generałów tureckich nie stoi żadna megatonowa potęga. Turcja już kilka razy przechodziła z rąk generałów w ręce cywilów, bez ingerencji z zewnątrz i destabilizacji Europy. W Polsce, głównym źródłem legitymizmu władzy generalskiej jest niebezpieczeństwo inwazji sowieckiej.

Po trzecie, generałowie, którzy objęli władzę w Turcji nie uczynili tego w imię szczęścia ludzkości ani hasła mających zastosowanie uniwersalne i poparcie totalitarnego oręża. W Polsce wszystko się odbyło w imię socjalizmu, ideologii mającej przynieść rozwiązanie problemów całego świata, Polski, Turcji no i Grecji, która się ledwo, ledwo od tego szczęścia uchroniła. Następnym razem może być gorzej.

Po czwarte, rzut oka na historię współczesną wykaże iż Grecja, Hiszpania, Portugalia, Turcja (kilka razy), a nawet Argentyna, Urugwaj, częściowo Brazylia, już wyszły, czy właśnie wychodzą z nocy prawicowej dyktatury wojskowej i mniej lub bardziej miękko lądują w demokracji. Ani jeden kraj w którym zapanał sowiecki socjalizm nie powrócił albo nie doszedł do demokracji czy choćby socjaldemokracji takiej jak u p. Papandreu.

Podróż druga: „Oh, welche Wonne, ein Esel zu sein!”

Hans Jochem Vogel to prawdziwy Niemiec z Wagnera. Urodził się nie pod Olimpem, a w Monachium. Miasto to nie ma dobrej opinii w historii, ani polskiej, ani w ogóle. Wspomnienia, że tak powiem, są bogate, choć mało urozmaicone. Wystarczy przypomnieć zwłoki Czechostowacji i *le lâche soulagement* Zachodu w 1938 roku. Kiedy szukałem polskiego odpowiednika tego trafnego sformułowania francuskiego, Broński mi przypomniał (on wszystko pamięta), że najlepiej byłoby użyć znakomitego sformułowania Churchilla, tylko że już raz go użyłem. Nie

szkodzi, dobrego nigdy za dużo. Otóż Churchill powiedział wówczas pod adresem monachijczyków: „Wybraliście hańbę, aby uniknąć wojny. Będziecie mieli i hańbę, i wojnę”. I mieli.

Hans Jochem Vogel opinii Monachium nie poprawi. Był burmistrzem Monachium i Berlina Zachodniego, zanim został ministrem w rządzie Brandta, a potem Schmidta i w końcu aktualnym przewodniczącym SPD, socjalistycznej partii zachodniemieckiej, i szefem opozycji w RFN.

W tym ostatnim charakterze pojechał niedawno do Warszawy, zaproszony przez — jak to określił — „grupę parlamentarną polskiej partii komunistycznej, to znaczy jako gość rządu”. Ani jedno słowo w tym zdaniu nie odpowiada prawdzie ani logice. Nie ma grupy, nie ma parlamentu, nie ma polskiej partii komunistycznej, no i nie wiadomo dlaczego gość partii ma być gościem rządu. Analiza logiczno-semantyczna jest w tym wypadku ważna, bowiem to właśnie w oparciu o to zdanie Vogel skonstruował całą teorię swego zachowania w Warszawie. Został przyjęty i uścisnął dłoń generała Jaruzelskiego oraz kilku innych dygnitarzy. Nie uścisnął dłoni polskich robotników ani laureata Nobla, przewodniczącego najbardziej autentycznie robotniczego i masowego ruchu związkowego w Europie, ani żadnego z jego doradców. Nie udał się też na grób ks. Popiełuszki, męczennika sprawy robotniczej.

Nie jest to właściwie zaskoczeniem. Przyjazd p. Vogla poprzedzony był głosami prasy niemieckiej, która nie pozwalała na złudzenia. Według DPA np., p. Vogel pojechał do Warszawy, aby kontynuować tradycję p. Wehnera, pierwszego polityka zachodniego, który odwiedził Polskę właśnie budzącą się z koszmarnej nocy 13 grudnia 1981 roku. *Die Welt* uprzedzała, że p. Vogel zapewnił władze warszawskie, iż nie zamierza swą osobą i postępowaniem sprawić żadnych kłopotów. Nic dziwnego, dodaje DPA, p. Vogel w całej swojej karierze zawsze kierował się rozsądkiem i wymogami politycznej etykiety, a nigdy uczuciami.

P. Vogel nie zawiódł władz warszawskich i jest z tego bardzo zadowolony. Oto schemat jego rozumowania w oparciu o oryginalne cytaty:

- sytuacja wewnętrzna w Polsce rozwija się w kierunku, jakiego my, SPD, sobie życzymy,
- nie chciałem zwiększać trudności i kiedy to podkreślałem, mam na myśli nie tylko rząd polski,
- smutek (à propos Popiełuszki) wyraziłem wobec przedstawiciela episkopatu, a głębia mojego ubolewania nie zależy od miejsca gdzie je wyrażam,
- SPD utrzymuje kontakty z tymi, którzy uważają, że są w Polsce w opozycji i nie ma zamiaru tych kontaktów zrywać, ale nie wszystko jest możliwe w tym samym czasie i w tym samym miejscu.

Nic dziwnego, że Vogel odebrał, jak o tym poinformował pra-

się po powrocie, „sygnały, iż moje zachowanie się — nie spektakularne, ale za to rozsądne — zostało ocenione z wdzięcznością”. Nic też dziwnego, że w związku z tak serdeczną atmosferą p. Vogel „nie jest pozbawiony optymizmu” po wizycie w Warszawie i że w wywiadzie dla pewnego dziennika z Warszawy poważnie ocenił decyzję „powołania wspólnej grupy roboczej dla omówienia środków budowy zaufania”. Zaufanie MSW Vogel już ma, potrzebne byłoby mu jeszcze tylko zaufanie narodu polskiego. Na razie poczeka.

Aby krótko ocenić podróż p. Vogla do Warszawy, trzeba spa-
rafrazować formułę Churchilla. Wybierając polityczną etykietę, a nie uczucie, p. Vogel wybrał wstyd, aby uniknąć skandalu, a ma obecnie i wstyd, i skandal. Podobnie jak z wizyty Papandreu, tak i ze sprawy „Vogel a Polska” należy wysnuć dwa wnioski.

Po pierwsze, wizyta Vogla, szefa opozycji, była tylko pozornie mnie ważna niż wizyta Papandreu, szefa rządu państwa EWG i NATO. W istocie sprawa ma się odwrotnie. Stosunki między narodami Polski i Grecji nie zmieniają się od uścisków i szampana Papandreu i Jaruzelskiego. Vogel natomiast wymazał z pamięci Polaków obraz Brandta na kolanach w getcie. Albo inaczej: Żydzi Brandtowi nie zapomną jego wizyty w getcie, Polacy Voglowi także nie zapomną nieobecności u grobu Popiełuszki. To wielka szkoda dla klimatu stosunków nie między SPD a PZPR, a stosunków między Niemcami i Polakami. A to jest zupełnie inny, nie grecki, wymiar.

Po drugie, bawili w Polsce, w bardzo dla niej trudnym okresie, dwaj wybitni socjaliści z krajów bloku zachodniego. Jeden był szefem rządu, drugi szefem opozycji, a zachowali się tak samo, tzn. po świńsku. Odwrócili się tyłem do narodu. I tak już zostanie. Rachunek wystawi historia.

Podróż trzecia: That is the question!

Malcolm Rifkind zanim został wiceministrem spraw zagranicznych, odpowiedzialnym za sprawy europejskie w rządzie Mrs. Thatcher, był rzecznikiem partii konserwatywnej do spraw Szkocji, gdzie się urodził, wykształcił i wyrobił. I gdzie został gentlemanem. Gentlemanem do tego stopnia, że kiedy był w Polsce i odwiedził osoby sprawujące czasowo władzę w tym kraju, postanowił także spotkać się z przedstawicielami kół opozycyjnych oraz poznać prawdziwe uczucia narodu, a nie jak Vogel, tylko etykietę polityczną.

Zgodnie z takim podejściem, p. Rifkind spotkał się naturalnie ze swoim formalnym gospodarzem, wiceministrem spraw zagranicznych PRL, dwoma wicepremierami oraz innymi przedstawicielami administracji wojskowej, po czym odbył rozmowę z arcybiskupem Dąbrowskim i — oddzielnie — z doradcami Solidarności Geremkiem, Mazowieckim, Śliwińskim i Onyszkiewiczem (wszyscy, w przeciwieństwie do przedstawicieli władz, władają

językiem p. Rifkinda) oraz złożył w imieniu rządu Jej Królewskiej Mości wieniec na grobie księdza Popiełuszki, dając przy tym — w tym właśnie miejscu — wyraz swemu ubolewaniu i nadziei, że idee, którym był wierny i za które zginął ksiądz Popiełuszko kiedyś w Polsce zatriumfują zgodnie z pragnieniami narodu polskiego.

Niby nic wielkiego, ale wywołało to poważne niezadowolenie kół rządowych PRL. Rzecznik rządowy ostro zaprotestował przeciwko postępowaniu p. Rifkinda, który „zachował się tak, jakby odwiedzał kolonię brytyjską”. P. Rifkind, według pisma *Rzeczypospolita*, „po kryjomu” spotkał się z „nielegalnymi strukturami”, lub formułując to inaczej — „z reprezentantami grup antyrządowych”, ponieważ chciał te struktury „dowartościować i nadać im rangę pełnopodmiotowych partnerów do rozmów międzynarodowych, w jaskrawej niezgodzie z zasadami przyjętymi w stosunkach międzynarodowych”. Rzecznik rządowy znalazł dla tego skandalu dyplomatycznego obrazową analogię: Rifkind ze strukturami to tak jakby polski minister spotkał się z IRA, aby poznać sytuację w Irlandii. Rzecznik powiedział, że nam — to znaczy im — nikt lekcji udzielać nie będzie, a przede wszystkim uprzedził, że „nie będziemy się godzić na spotkania z nielegalnymi strukturami”, co jest „nieprzewidziane zwyczajami międzynarodowymi”.

Już tylko nawiasem należy wspomnieć, iż dzięki pryncypialnej postawie rzecznika min. Genscher anulował w ostatniej chwili swoją wizytę w Warszawie. Trudno o bardziej krótkowzroczną dyplomację: rząd polski, jak mówią Anglicy, strzelił we własną nogę, albo po polsku, przeziębził się mamie na złość. Pożytek wynikający dla reżimu w Warszawie z przyjazdu Genschera był oczywisty. Wizyty Papandreu, Vogla czy Rifkinda nawet razem wzięte nie miały takiego znaczenia dla proklamowania końca izolacji (nie mówiąc już o interesach) rządu generała Jaruzelskiego, jak jedna wizyta Genschera. Ale aspekty wewnętrzne przeżyły, Genschera ostrzeżono, że do grobu Popiełuszki go nie dopuszczą, zbesztano za zamiar złożenia wienca na grobach żołnierzy niemieckich, uprzedzono, że o „nielegalnych strukturach” nie ma mowy, a na dobitkę odmówiono wizy dziennikarzowi z *Die Welt*, którego prozy rzecznik nie ceni. Reżim triumfuje: nie będzie Niemiec kładł nam wienców w twarz.

Rifkind się bardzo zdziwił tej gwałtownej reakcji rzecznika. Dowiedział się o niej i przeczytał odpowiednie teksty niestety już po wyjeździe z Polski. W czasie warszawskich spotkań z ministrami i przedstawicielami władz nikt ani słowem nie dał mu do zrozumienia, że popełnia nietakt. Rifkind wyjechał przekonany, że głównym tematem wszystkich jego rozmów były nie „nielegalne struktury”, a wyłącznie propozycje rządu gen. Jaruzelskiego dotyczące maksymalnego zwiększenia dostaw polskiego węgla, aby zaprzyjaźniony rząd pani Thatcehr mógł łatwiej złać strajk angielskich górników.

Co do reszty, sprawa jest nieśtychaniem prosta. P. Rifkind nie miał wrażeń, że odwiedzał byłą kolonię brytyjską, natomiast teraz — po wypowiedziach rzecznika — ma pewność, że odwiedził kolonię sowiecką. Kilka uwag oburzonej Warszawy wartych jest komentarza.

a) W Anglii nikt się nie dziwi, kiedy oficjalni goście z krajów komunistycznych spotykają się również z przedstawicielami opozycji, wszystko jedno jakiej, na zmianę, labourzystowskiej czy konserwatywnej, a nawet z Komunistyczną Partią Anglii, której mimo tego nie udało się jeszcze ani razu nadać „rangi pełnopodmiotowych partnerów do rozmów międzynarodowych”.

b) Rifkind nie spotkał się z żadną „nielegalną strukturą”, a z czterema obywatelami najzupełniej legalnie i otwarcie reprezentującymi określone poglądy sporej części polskiego społeczeństwa. To, że ta „część” — faktycznie ogromna większość społeczeństwa — uznana jest przez rzecznika za „nielegalną”, nie zmienia celowości poznania przez brytyjskiego polityka poglądów także nie rządowych rzeczników.

c) Porównanie z IRA jest w ustach rzecznika ryzykowną przesadą. IRA jest organizacją terrorystyczną mordującą niewinnych ludzi, w tym kobiety i dzieci, głównie dlatego, że mają inne poglądy religijne i polityczne. Żaden z jego rozmówców w Warszawie, jak zauważył sam Rifkind, nie zwrócił mu uwagi na terrorystyczny charakter Solidarności ani na zbrodnie na niewinnych ludziach, jakich dopuścił się Mazowiecki lub Gieremek. Natomiast — ale tego już Rifkind oficjalnie nie powiedział — odwiedził grób ofiary terroryzmu w Polsce, poległej właśnie z rąk policji państwowej za wyznawanie innych poglądów religijnych i politycznych niż mordercy.

d) Co do spotkania „po kryjomu” ze strukturami, to p. Rifkind bardzo się temu określeniu sprzeciwia. Struktury były oficjalnie zaproszone do rezydencji ambasadora brytyjskiego na *cup of tee*. Zaproszenie zostało z wdzięcznością przyjęte, a przybyciu struktur na potajemną herbatkę przyglądało się kilkunastu funkcjonariuszy organów, którzy ani na herbatkę (ani na drinka podanego nieco później) istotnie nie zostali zaproszeni. Może to więc być zwyczajna zazdrość...

Wniosek po Rifkindzie już tylko jeden, bez związku z rzecznikami.

Było w Polsce jesienią 1984 dwóch socjalistycznych dygnitarzy i mężów (pożal się Boże) stanu. Obaj z najzupełniej obrzydliwych politykierskich powodów postanowili przypodobać się władzy, a zlekceważyć naród. Tylko brytyjski urzędnik konserwatywny znalazł się jak należało i udzielił lekcji dyplomacji i moralności. Jak powiedział Malraux, „polityki nie robi się moralnością, ale bez moralności nie jest wcale łatwiej robić politykę”. Węgiel i tak Polska sprzedaje, a korona królowej i tak nie spada. „Misja spełniona”, napisał *Times* na temat wizyty Rifkinda. Słusznie.

Podróż czwarta: po rozum do głowy

Niezdolność czy niechęć zachodniej lewicy do zrozumienia zjawisk politycznych zachodzących na wschodzie nie jest niczym nowym. Przeczytajcie „L'aveuglement”, książkę Christiana Jele-
na, dziennikarza z francuskiego *Express*, na temat obłąkania so-
cjalistów, odrzucających prawdę o rewolucji bolszewickiej i
pierwszych latach terroru w ZSSR. W innej skali powtórzyło się
to przy okazji Solidarności i to we wszystkich jej fazach. Za-
chodnia lewica nie była w stanie rozumieć ani zjawiska, jakim
była pierwsza bezkrwawa rewolucja robotnicza prawdziwie i prze-
de wszystkim antymarksistowska, ani charakteru pierwszego w
dziejach komunizmu masowego, niezależnego związku zawodowe-
go, ani charakteru zamachu stanu z 13 grudnia, ani istoty obec-
nego reżimu.

Nieufność do Solidarności rozmaite nosiła nazwy. Kleryka-
lizm, antysowiecki nacjonalizm, antykomunizm, hurra-rewolucjo-
nizm, anarchizm... Zarzucano jej wszystko, aby tylko ukryć swe
„lewicowe” przekładanie maleńkich wyborczych i partyjnych in-
teresów ponad szacunek dla haseł własnej ideologii.

Lewica, prawica, śmieszne, małe, anachroniczne, XIX-wieczne
gierki. Dawid Warszawski, publicysta prasy podziemnej, trafnie
to ujął, tłumacząc zachodniej lewicy, że te pojęcia nie mają zasto-
sowania w Polsce, gdzie walka się toczy nie między lewicą a
prawicą, a o to aby prawica i lewica mogły po prostu istnieć.
Prawdziwy podział przebiega między tymi, którzy są za i tymi,
którzy są przeciw totalitaryzmowi we wszelkich jego postaciach,
cywilnych i wojskowych, czerwonych i czarnych.

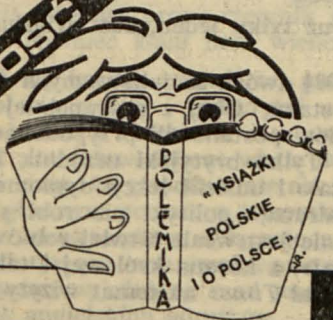
Jak powiedział Bukowski, kiedy go wymieniono na komunis-
tę chilijskiego Corvalana i wywieziono na Zachód, gdzie lewica
zaczęła go krytykować za jego prawicowe (w socjalistycznym
słowniku) poglądy: „Ja nie jestem ani z obozu lewicy, ani z obozu
prawicy, a z obozu koncentracyjnego”. Czy trzeba koniecznie być
w śródku, aby to zrozumieć?

Leopold UNGER

Pisane w Brukseli 9 grudnia 1984

P

NOWOŚĆ



**KSIEGARNIA
POLEMIKA**

WYDAWNICTWA POLSKIE
I OBCOJĘZYCZNE NA TEMAT
POLSKI I EUROPY
WSCHODNIEJ
ANTYKWARIAT
49, RUE GAY LUSAC
75005 PARIS
TÉLÉPHONE : 354.25.48

MÉTRO : LUXEMBOURG
AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Jako szef wydziału informacji zagranicznej KC KPZS, Leonid
Zamiatin kieruje ogromną maszyną propagandową, która rozpow-
szehnia na całym świecie dezinformację na temat Związku So-
wieckiego, jego działań i planów. 28 listopada ub.r. tenże Zamiatin
opublikował w *Literaturnoj gazecie* ogromny artykuł na całą
stronę, zatytułowany „Ślepy tor konfrontacji i horyzonty współ-
pracy”. Ten dyrektywny artykuł da się streścić w dwu zdaniach:
u nas, w ZSSR, wszystko rozwija się doskonale, a u nich, w
USA, bardzo źle i dlatego potrzebują wojny.

W nadziei, że znajdę jednak coś interesującego, zacząłem uważ-
nie czytać dzieło L. Zamiatina i natknąłem się na spis „podsta-
wowych zdobyczy socjalizmu”. Jest ich niemało: „uwolnienie od
eksploatacji i ucisku społecznego, prawdziwe równouprawnienie,
prawo do pracy i opieki zdrowotnej, prawo do mieszkania, wiara
w jutro”. Czytając ten opis rajy na ziemi przypominałem sobie,
że w tej samej *Literaturnoj gazecie* kilka tygodni wcześniej zwró-
cił moją uwagę tekst Borysa Możajewa pt. „Obrażenia”. Artykuł
dotyczył „prawa do opieki zdrowotnej”, jednej z podstawowych
zobyczy socjalizmu. Borys Możajew, który dwadzieścia lat temu
wskławił się doskonałą powieścią satyryczną „Życie Fiodora Kuz-
kina” („Żywy”) — opisem nieszczęsnego żywota kołchoźnika, prze-
stał się zajmować satyrą, zaczął natomiast często publikować w
prasie i wydawać liczne książki. Podaję te informacje, żeby pod-
kreślić, że autor nie jest byle jakim obywatelem, a znanym pisa-
rzem. W obliczu sowieckiego „prawdziwego równouprawnienia”
warto to wiedzieć. Borys Możajew opatrzył swój tekst podtytu-
łem „Uwagi pisarza o chorych, szpitalach, metodach leczenia i
niełatwej drodze do wyzdrowienia”.

Wszystko zaczęło się od tego, że pisarz złamał na łyżwach rękę,
a ściślej mówiąc kość barkową. Zawieziono go do miejskiego
szpitala w Serpuchowie — rejon moskiewski, nie jakaś prowincja.
„Najbardziej wryły mi się w pamięć nie gabinety, a kory-

tarze — pisze Możajew. — Lekarze udzielają konsultacji nie tylko w salach, ale i tu, przytrzymywani za poły fartuchów; tu się pije i je, jak w stołówce; śpi i stoi w kolejce do ubikacji; korytarz bywa i biurem przyjęć, i głównym pomieszczeniem dla 'obłożnie chorych' — tego dziwnego skrzyżowania żywego stwórczenia z przedmiotem".

Borys Możajew zwiedził cztery kliniki. Wszędzie było tak samo. Złamanie ręki leczył przez trzy miesiące i prawie wszędzie stosunek do chorego i jego „obrażenia” był taki sam. Ale Możajew mógł się leczyć przez trzy miesiące tylko dlatego, że jest znanym pisarzem (choć nie dość znanym na to, by mieć dostęp do kliniki specjalnej). W toku peregrynacji od lecznicy do lecznicy i od lekarza do lekarza zrozumiał, że „główną zdobyczą” sowieckiej medycyny jest oszczędność czasu i środków. Złamanej ręki Możajewa nie włożono w specjalne szyny, „bo to nieekonomiczne; przy takiej konstrukcji trzyma się chorego przez trzy tygodnie, a ze zwykłym temblakiem pięć-sześć dni i do domu”. Ale i temblak to cenna rzecz. Kiedy autor wraca do szpitala z oblużowanym temblakiem i spuchniętą ręką, lekarz mówi mu: „Dla zachcianki pacjenta nie mamy obowiązku zmieniać temblaka co tydzień. Trzeba oszczędzać bandaży”. Ręka zrosła się krzywo. Pisarz pojechał do Moskwy. Naczelny lekarz moskiewskiej kliniki z rozbawieniem spytał go: „Do baletu się Pan wybiera? Pisać artykuły można i krzywą ręką”. Pisarzowi przypominają się sąsiedzi, znajomi i spotkania w szpitalach pacjenci z krzywymi rękami, krzywymi nogami. Możajewowi udaje się jednak w końcu dostać do kliniki w Tallinie, gdzie złamania leczą specjalną metodą profesora Seppo. Rękę mu poprawili. Nigdzie indziej w Związku Sowieckim metody Seppo „nie opanowano”.

Niedoświadczeni czytelnicy prasy sowieckiej, natrafiający na teksty typu „Obrażenia”, a można je niekiedy znaleźć w gazetach albo czasopismach, albo wpadają w zdumienie — „że też coś takiego wydrukowali!” — albo się zachwycają — „czyż nie mamy wolności słowa?!”. Doświadczeni czytelnicy wiedzą natomiast, że artykuł Możajewa świadczy tylko o kolejnym spadku poziomu medycyny sowieckiej. Ma on wykazać, że źle jest wszędzie — nawet pisarzem nie wiedzie się lepiej, więc nie ma sensu się skarżyć. Możajew kończy jednak optymistycznie: dzięki sowieckiemu specjalistom posiadamy skuteczną metodę leczenia złamanych kości, która tylko z winy biurokratów nie jest jeszcze stosowana w całym Związku Sowieckim; niestety „opinia publiczna” nie dość kontroluje lekarzy. Złe leczenie jest winą tyleż lekarzy co pacjentów.

A mnie przypomniało się opowiadanie Michaiła Zoszczenki z 1938 roku pt. „Historia choroby”. Później tytuł zmieniono na „Historia mojej choroby”, żeby podkreślić, że mowa o poszczególnym przypadku, nie o powszechnym zjawisku. Zoszczenko opisuje uczucia pacjenta, który przychodzi do szpitala i widzi na ścianie ogłoszenie: „Trupy wydaje się między 3-cią i 4-tą”. Felczer, któremu pacjent zwraca uwagę na „koszmarny napis”,

odpowiada z żołnierską prostotą: „Jeśli się Pan wygrzebie, w co wątpię, to może Pan sobie krytykować, ale jeśli nie, to rzeźwiście wydamy Pana między 3-cią a 4-tą, tak jak napisano...”. Zoszczenko kończy opowiadanie sprzed niemal pół wieku westchnieniem: „I teraz choruję w domu”.

Towarzysz Zdanow i jego pomagierzy dopadli Zoszczenkę i w domu i aż do samej śmierci go dręczyli. Borys Możajew dostał order. Niezbyt wysoki — „Medal zasługi” — i nie sam, tylko wspólnie z całą grupą pisarzy. Mimo wszystko został udekorowany.

Ktoś (pewnie niezadowolony) powiedział o sowieckich wódcach: kochać potrafią tylko martwych. Jest w tym część prawdy: pokochali (selektywnie co prawda, ale jednak) Bułhakowa, Płatonowa, Zoszczenkę. Trzeba jednak przyznać, że władza sowiecka potrafi kochać i żywych. Pod warunkiem, że i oni ją kochają.

Najpierw były nagrody państwowe za rok 1984 z okazji rocznicy rewolucji październikowej. W gęstych szeregach jubilatów zwraca uwagę Jewgienij Jewtuszenko, który wreszcie dośłużył się nagrody państwowej. Wyróżniono go za poemat „Mama i bomba neutronowa”, wezwanie do walki o pokój, któremu zagrażają amerykańscy imperialiści. 17 listopada ub. roku gazety opublikowały uchwały Prezydium Najwyższego Sowietu ZSSR w sprawie nagród, orderów i odznaczeń. Te niezwykle dokumenty zasługują na chwilę uwagi. Przede wszystkim uchwały są trzy. Od razu wkraczamy w krainę „prawdziwego równouprawnienia” (nie mylić z formalną równością znaną w kapitalizmie ani z ulubionym „glajchszaltowaniem” anarchistów i goszystów).

Sowieccy pisarze są z zasady nierówni. Pierwsza uchwała dotyczy jednego tylko Pisarza, którego należy pisać z dużej litery. Georgij Mokiejewicz Markow, znany przede wszystkim z tego, że zajmuje stanowisko I sekretarza Zarządu Związku Pisarzy Sowieckich, jest dwukrotnym Bohaterem Pracy Socjalistycznej. Przed nim tylko jeden jedyny mistrz pióra doścignął tych wyżyn — Szołochow. Dwukrotny Bohater Pracy Socjalistycznej to, mówiąc językiem sowieckiej krytyki literackiej, dwukrotny Geniusz Związku Sowieckiego. Druga uchwała dotyczy siedmiu pisarzy, którym nadano miano Bohaterów Pracy Socjalistycznej, czyli geniuszy zwyczajnych. Trzecia uchwała wylicza 288 nazwisk wielkich talentów. Błędem byłoby jednak sądzić, że wielkie talenty są sobie równe. Dwustu osiemdziesięciu ośmiu wybrańców, faworytów władzy sowieckiej, podzielono na podgrupy: order Lenina, order rewolucji październikowej, sztandar pracy czerwonej gwiazdy, order przyjaźni między narodami, medal zasługi.

Lektura długiej listy mistrzów sowieckiego pióra to zajęcie pociągające i niezwykle pouczające. Każda nagroda stanowi znak w zawiłym systemie semiologicznym, każdy znak coś znaczy. Oto władza sowiecka z niezadowolaniem zmarszczyła brew i zamiast dostać order przyjaźni narodów, literat spadł do grupy „medali zasługi”; oto władza sowiecka z zadowoleniem obnażyła zęby w

uśmiechu i już masz order Lenina, a w najgorszym razie rewolucji październikowej. Orderów jest dużo i wszystkie są dobre, ale niektóre lepsze. Nie mówiąc już o Złoty Gwiazdach Bohaterów. Przy lekturze listy nagrodzonych trzeba pamiętać o licznych subtelnosciach: jeśli dany laureat już raz został nagrodzony za wybitne dzieło, to ponowna nagroda świadczy o szczególnej miłości, a brak nagrody — że go pamiętają, ale musi jeszcze popracować.

Nie ma po co zatrzymywać się przy nazwiskach koryfeusza literatury sowieckiej. Tylko kilku z nich jest autorami znaczących książek. Fakt, że są na liście świadczy albo o tym, że zaczęli pisać jak trzeba (na przykład Wasilij Biełow), albo że przestali pisać i „niepokoić” (jak Walentin Rasputin). Kilka nazwisk budzi jednak mieszane uczucia. Dawno temu Aleksander Galicz napisał wiersz „Odchodzą przyjaciele”, który zaczynał się od słów: „Odchodzą, odchodzą, odchodzą przyjaciele — jedni do nikąd, a drudzy w książęta”. Poeta opłakiwał tych, którzy odchodzą „na ostatniej stronie” gazety, i tych, którzy odchodzą na pierwszej. Na ostatniej stronie sowieckie gazety zamieszczają nekrologi, na pierwszej — listy nagrodzonych. Ze smutkiem dostrzegłem wśród nagrodzonych nazwiska Bułata Okudźawy i Belli Achmaduliny. Nie dostąpili jeszcze najwyższych zaszczytów — Lenina i Czerwonej Gwiazdy — ale zasłużyli już na najniższe nagrody — „przyjaźni między narodami”.

Lista nagrodzonych dowodzi, że „odwilż” została strawiona: autorzy książek napisanych w pierwszym dziesięcioleciu po śmierci Stalina albo zostali wygnani z sowieckiego raju, albo ujarzmieni. Nowe pokolenie nie niepokoi już władzy sowieckiej: autorzy, których utwory zwróciły na siebie uwagę i świadczą o talencie, dostali już ordery. Władimir Makanin — medal za służbę, Władimir Krupin — o szczebel wyżej, order przyjaźni między narodami. Tę drobną różnicę należy sobie chyba tłumaczyć tym, że Krupin wyznał w swych wierszach, że na ramieniu zawsze czuje pagony, a w kieszeni marynarki legitymację partyjną.

Szczodrość partii i rządu, zasypujących sowiecką literaturę nagrodami, wynika nie tylko z upodobań literackich kierownictwa, ale i z nowych zadań, jakie stoją przed literaturą sowiecką. Wrą przygotowania do obchodów 40-lecia zwycięstwa. Pisarze (ale też filmowcy, ludzie teatru i innych gatunków sztuki) produkują coraz więcej jubileuszowego towaru. Bezustannie ukazują się powieści i filmy wojenne (recenzja w *Prawdzie* z 5 grudnia 1984 wymienia 15 takich filmów). Telewizja pokazuje stare i nowe programy o wojnie, w tym i filmy, w których pojawia się ojciec narodów, generalissimus Stalin. Stalin, prawdziwy bohater naszych czasów, wysuwa się na pierwszy plan w szykujących się obchodach zwycięstwa. Jego rola nie sprowadza się do zwycięstwa nad starym przyjacielem Hitlerem. Wraca też motyw Stalina — najbliższego towarzysza Lenina. Siergiej Bondarczuk nakręcił dwuczęściowy film pt. „Czerwony dzwon” według książki Johna Reeda. Rzecz jest o meksykańskiej i o rosyjskiej

rewolucji. Pierwsza część nazywa się — „Meksyk w ogniu”, druga — „Widziałem narodziny nowego świata”. Bondarczuk dostał za ten film nagrodę państwową. Słusznie. Za podstawę drugiego odcinka wziął reportaż Reeda „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem”, ale poprawił wszystkie błędy amerykańskiego dziennikarza. Reed na przykład ani razu nie wspomniał „niezwykłego Gruzina”. Bondarczuk inaczej widzi „narodziny nowego świata”: towarzyszył Stalin, odsuwając ramieniem Lenina, oświadcza: wczoraj było za wcześnie, pojutrze będzie za późno, zaczniemy — jutro.

Wojenno-jubileuszowa literatura nie zapomina i o Polsce. Nieznany, i jak na razie nienagrodzony autor Piotr Szybta opublikował w piśmie *Znamia* nr 11/1984 opowiadanie pod niezwykłym tytułem „Nad Rosją i Polską to samo niebo”. Szybta opisuje bojowe wyczyny grupy lotników podczas wojny. Wśród lotników jest i Polak, Stanisław Wojciechowski, który w 1939 roku przeszedł przez most na Bugu i przyjął obywatelstwo sowieckie, ale nie przestał kochać rodzinnej polskiej ziemi. Został lotnikiem. Sowieccy towarzysze kochają go, choć wydaje im się nieco dziwny: chce, żeby kartofle na obiad były porządnie obrane i nosi na szyi Matkę Boską. Ale jego zasługi są większe od drobnych niedoskonałości: Wojciechowski kocha Rosjan i nawet nie chce wstąpić do armii Berlinga; zgadza się zawsze latać w tyle, zostawiając Rosjaninowi rolę przywódcy, i kocha Polskę ale tylko w przyjaźni ze Związkiem Sowieckim. Jakże mogłoby być inaczej, skoro — jak zauważył autor — „biedni Polacy liczyli tylko na Rosjan”. W końcu powieści biedni Polacy doczekali się: Rosjanie wkraczą...

Relacja o przygotowaniach do jubileuszu byłaby niepełna, gdybym nie odnotował wielkiego filmu pod poryjającym tytułem „Strażnica młodości”. Bohaterem filmu jest Konstanty Czernienko, a tematem — wyczyny przyszłego generalnego sekretarza sprzed 54 lat.

Konstanty Czernienko nie zadowala się jednak wspomnianiem minionej młodości. Ku zaskoczeniu wszystkich ekspertów przejawia aktywność we wszystkich dziedzinach życia sowieckiego — czyli międzynarodowego.

W listopadzie 1984 roku minęło dziewięć miesięcy, odkąd Czernienko objął władzę. Nikt na ten jubileusz nie zwrócił uwagi. Andropowowi liczono każdy dzień, każdemu jego krokowi towarzyszyły dziesiątki pochwalnych artykułów i bałwochwalczych komentarzy. Konstanty Ustinowicz w ostatnim miesiącu mówi, pisze, tłumaczy, przekonuje i przyjmuje gości, a wszyscy tylko czekają, aż wreszcie ustąpi miejsca młodemu, urodziwemu i liberalnemu generalnemu sekretarzowi.

Tymczasem Czernienko nie zamierza odchodzić. Píše nawet książki. Kolejne jego dzieło ukazało się w amerykańskim wydawnictwie „Praeger”: autor napisał specjalną przedmowę dla „amerykańskich czytelników” (*Prawda* z 12 listopada 1984). Trzeba przyznać, że amerykańskie społeczeństwo natychmiast żywo za-

reagowało na książkę, zatytułowaną skromnie i wyraziście „Stosunki sowiecko-amerykańskie: artykuły i przemówienia K. U. Czernienki”. Błyskawicznie ukazała się pochwalna recenzja: „Witam wydanie w Stanach Zjednoczonych książki przywódcy sowieckiego” — oświadczył *executive director* Towarzystwa Przyjaźni Amerykańsko-Sowieckiej. Zawtórował mu *executive secretary* „dużej międzynarodowej organizacji ‘Lekarze świata przeciw wojnie nuklearnej’”; chwali też bardzo książkę „murzyński działacz amerykański” (jeden z przewodniczących Towarzystwa przyjaźni im. Paula Robesona) itp. Książka Czernienki ukazała się równocześnie w Austrii. Autor napisał też przedmowę do austriackich czytelników. Niewiele się ona różni od przedmowy do Amerykanów, z tą jedną istotną różnicą, że autor przypomina: „Została mi w pamięci gościnną Austria z czerwca 1979 roku”. Czernienko był tam razem ze swym szefem L. I. Breżniewem, o którym naturalnie dziś nikt już nie wspomina. Jest to jednak aluzja pod adresem Amerykanów: w czerwcu 1979 roku podpisano „układ o ograniczeniu broni strategicznych”, który przeszedł do historii pod nazwą Salt-2. Konstanty Ustinowicz przypomina w ten sposób prezydentowi Reaganowi, że jeśli chce przejść do historii, także powinien podpisać coś podobnego.

Konstanty Czernienko nigdy by oczywiście nie doszedł do stanowiska, jakie zajmuje w oparciu o same talenty literackie. Opiera się też mocno na swoich związkach z możnymi tego świata. Ponieważ nie łądzi się, że jego „artykuły i przemówienia” zdołają przekonać Reagana, wezwał do siebie „wybitnego przedstawiciela amerykańskich kół przemysłowych” Armanda Hammera, który od ponad sześćdziesięciu lat pełni funkcję *executive director* przekonującego amerykańskich biznesmenów, że handel ze Związkiem Sowieckim może przynosić „spore dochody”.

Przy uważniejszym wglądzie okazuje się, że „spore dochody” czerpią zeń tylko godni zaufania *executive directors*, ale to nie mniejsza zapała pozostałych biznesmenów. Lenin miał rację, nazywając ich ślepyimi i głuchoniemyimi.

Adam KRUCZEK

13 grudnia 1984

Przybyliśmy, zobaczyliśmy...

(WRAŻENIA Z POBYTU W ZSSR)

Postanowiliśmy podzielić się z rodakami garścią wrażeń i ocen, które — jako własne — absolutnie nie pretendują do „jedynie słusznych”. Wrażenie — podstawowe, to izolacja informacyjna obywateli ZSSR. W radzieckich środkach masowego przekazu brak praktycznie informacji o wydarzeniach światowych. W cen-

trum uwagi znajdują się wydarzenia wewnętrzne, tłem dla nich są informacje o tym, jak na jakieś posunięcie radzieckie zareagowały narody bratnich krajów — najczęściej Bułgaria, Czechosłowacja, NRD, Mongolia, Wietnam, Węgry (o Polsce wspomina się rzadko). O państwach zachodnich mówi się przede wszystkim w kontekście lewicowym — co powiedział przedstawiciel komunistycznej partii USA, kolejne demonstracje przeciwników zbrojeń, bezrobocie, narkomania, pornografia, przestępczość i na tym tle „walka klasowa”. O krajach zachodnich informacji praktycznie nie podaje się — natomiast są komentarze pełne inwektyw o „imperializmie”, „agresji”, „brutalności”, „cynizmie”. Obraz świata, jaki wyłania się z radzieckich mass mediów jest mniej więcej taki: istnieje ZSSR — kraj miłujący pokój i pracę, centrum światowego życia umysłowego, kulturalnego i politycznego, gdzie wydarzenia toczą się zgodnie z zasadami zdrowego rozsądku. Cały świat — tj. Sofia, Ułan Bator itp. — popiera słuszne i szlachetne ideały radzieckie. Istnieją też kraje trzeciego świata, prowadzące słuszną walkę o wolność i sprawiedliwość przy poparciu ZSSR (np. bohaterski naród nikaraguański). I wreszcie, gdzieś na końcu świata są państwa imperialistyczne, gdzie królują pieniądze, przemoc, gwałt i pornografia. Tamtejsze narody ciemiężone są przez tamtejsze rządy — szczególnie kowboj i kiepski hollywoodzki aktor Reagan — stanowiące zagrożenie dla prawdziwych wartości ogólnoludzkich.

Z proporcji informacji wydawać by się mogło, że ZSSR zajmuje nie 1/6, ale co najmniej 9/10 ziemskiego globu. Podkreślenie centralnego znaczenia ZSSR ma miejsce nawet w takich neutralnych dziedzinach jak sport. Tutaj również mówi się przede wszystkim o swoich (sukcesach oczywiście), podając dla przykładu najpierw informacje o tym, że Rosjanin został mistrzem jakiejś spartakiady w ZSSR, a dopiero potem mówi się o wynikach równoległe rozgrywanych mistrzostw świata, w których Rosjanie nie odnieśli sukcesów. Bardzo często informacja kończy się na podaniu miejsc zajętych przez Rosjan — w ten sposób można dowiedzieć się, że przedstawiciel ZSSR zajął np. 3 miejsce w jakiejś dyscyplinie, ale nie wiadomo, kto został mistrzem i wicemistrzem. Wrażenie izolacji dotyczy przede wszystkim strony informacyjnej, nie widać natomiast (przynajmniej w Moskwie i na Kaukazie) wyraźnych oznak odżegnywania się od tzw. dóbr konsumpcyjnych ze znacznikiem „made in”. Młodzież ubrana jest prawie zachodnio, tzn. prawie jak w Polsce, zaś liczba posiadaczy magnetowidów na Kaukazie przewyższa chyba wskaźniki polskie. Jak twierdzą Rosjanie — istnieje nawet „mafia” zajmująca się sprowadzaniem, kopiowaniem i dystrybucją videokaset (głównie pornograficznych po ok. 600-800 rubli za sztukę). Średni oficjalny zarobek 180-200 rubli. Te bariery są, jak widać, łatwiejsze do pokonania, aczkolwiek władza czuwa i reaguje — na przykład półtora roku temu zamknięto w Moskwie wszystkie dyskoteki z powodu „zagrożenia wartości narodowych”. Odrębność materialna zaznacza się silniej u przedstawicieli starszego pokolenia,

które dąży do zachowania pryncypiów „rewolucyjnej skromności” (kobiety uczesane w węzełek *à la* Nadieżda Krupska, mężczyźni w uszankach, ale wszyscy z „bondówkami” w rękę). Stąd ludzie na ulicy — szczególnie zimą — mają wygląd mocno zunifikowany.

Stosunek do Polaków i Polski nieco dziwny i niejednorodny: jest swoistą mieszkanką szacunku, kompleksu kulturowej niższości (!) pogardy i irytacji. Oficjalny stereotyp (tak podobno uczą w szkołach) mówi, że Polska to kraj „dumnych mężczyzn i pięknych kobiet”. Imponujemy i jednocześnie drażnimy silnym poczuciem narodowej odrębności, świadomością narodowej historii oraz tzw. dobrymi manierami. Po prostu widać po nas, że nie akceptujemy takich zachowań, jak siorbanie przy stole i smarkanie do umywalki. Brak poczucia kulturowych, czy też historycznych korzeni zaczyna ostatnio odczuwać radziecka inteligencja. Stąd wszyscy, którzy mogą się takim rodowodem wykazać imponują, co wytwarza kompleks wobec Ormian i między innymi — Polaków. Co ciekawe, Rosjanie, którzy byli zarówno w Polsce jak i w Armenii, dostrzegają tu duże podobieństwo, zawierające się przede wszystkim w powszechności świadomości narodowej i historycznej. I w Armenii i w Polsce każdy spotkany na ulicy człowiek mógłby być przewodnikiem wycieczki. W ZSSR — jak podkreślali nam Rosjanie — jest to zjawisko bardzo rzadkie. Polacy i Ormianie uporczywie trzymają się swojej odrębności. To dziwi i drażni. Dziwi, bo skąd w takim małym narodzie tak silne poczucie „odmienności”, drażni bo „takie to małe a zadziorne”. W mentalności Rosjan uderza waga, jaką przykładają do tego, co małe — ściślej, do podziału na małe i duże. Wszystko co małe traktowane jest nie całkiem serio — małe powinno o tym wiedzieć i znać swoje miejsce. Czegoś takiego jak szacunek ma prawo domagać się tylko „duże” — stąd zdziwienie, że małe narody domagają się czegokolwiek (oczywiście od Rosjan). Już to wystarczy, by patrząc przez pryzmat „dużego” Rosjanin miał prawo irytować się, a w przypadku Polaków irytację pogłębia fakt, że jesteśmy narodem słowiańskim. Polacy to Słowianie, a tacy dziwni — nie używają słowiańskiego alfabetu tylko łacińskiego, nie są prawosławni tylko katolicy, a cała ich kultura bliższa zachodniej niż słowiańskiej. Takie mają o nas zdanie. Dla słowianofila, który drzemie prawie w każdym rosyjskim inteligencie (a chyba po prostu w każdym Rosjaninie) nasza odmienność jest rzeczywiście irytująca, tym bardziej, że „ta Polska taka mała”. Prawdopodobnie gdybyśmy byli „więksi”, łatwiej by nam tę nieczystą słowiańskość wybaczo. Innym ważnym czynnikiem wyznaczającym stosunek do Polski jest kwestia „Solidarności”. Zainteresowanie tą sprawą jest duże, ale podszyte niedowierzaniem i podejrzliwością. Nie dowierza się, bo „co to mogło dać, a podejrzewa że nie mógł być to ruch robotniczy — ani nawet autentycznie polski — raczej „jakaś robota amerykańskiego wywiadu”. Jednym z koronnych argumentów na poparcie tej tezy jest fakt, że przewodniczącym „Solidarności” był Wałęsa — „robotnik bez żadnego wykształce-

nia”. Dla Rosjan stanowi to prawie dowód wrogiej manipulacji — „no bo jak robotnik na czele związku zawodowego?”. Oczywiście znajomość aktualnej sytuacji w Polsce jest bliska zeru. Wiadomości o tym, że „Solidarność” nadal działa wywołują spore wrażenie, podobnie jak informacje o obozach internowania, czołgach na ulicy, sposobach działania ZOMO, demonstracjach i ofiarach. Prawdopodobnie część tych informacji jest dla nich zupełnie niewiarygodna. Nie chcą na przykład wierzyć, że ZOMO jest brutalniejsze od policji w RFN czy w Anglii, rozpędzającej demonstracje przeciwników zbrojeń. Sposób w jaki policja angielska rozpędziła niedawno namiotowe miasteczko przeciwników zbrojeń (według radzieckiej kroniki filmowej policjanci po prostu wynieśli na rękach opierające się panie) wydawał się Rosjanom szczytem brutalności. Z drugiej strony, wiadomości o tym, że internowani otrzymywali oficjalną zapłatę w miejscu pracy i paczki żywnościowe wywołują uśmiechy — „to pieszczoty a nie represje, u nas nie byłoby tak słodko”.

W kręgach radzieckiej inteligencji „modne” jest krytyczne nastawienie wobec reżimu — głównie wobec jego fasadowości i zbiurokratyzowania. Dość często krytycyzm ten przybiera nawet formy deklarowanej antysowieckości. Ale wszystko to w ramach wielkomocarstwowych sentymentów i z perspektywy nacjonalistycznej: sowietyzm nie — mocarstwowość tak. W związku z tym trudno liczyć na zrozumienie dla aspiracji wolnościowych (czy nawet autonomicznych) narodów znajdujących się w orbicie zainteresowania imperium. Rusyfikacja interpretowana jest tu jako rosyjska misja kulturowa wobec ludów mniej cywilizowanych, a aspiracje Polaków czy narodów „Pribałtyki” rozważa się w terminach: braku postawy internacjonalistycznej bądź nacjonalistycznego szowinizmu. Rosjanie są więc bardzo internacjonalistyczni w swoim nacjonalizmie, dotyczy to zarówno członków *establishment*’u jak kontestatorów i dysydentów. Wspomniany krytycyzm i antysowieckość są najczęściej ograniczone do postawy „socjalizm tak, wypaczenia nie”. Przytaczająca większość społeczeństwa ZSSR akceptuje podstawowe rozwiązania ustroju ustosunkowując się krytycznie do tzw. „błędów” oraz do niedostatków gospodarczych. Odrzuca natomiast myśl, że to usprawnienie gospodarki byłoby konieczne, czy korzystne zrewidowanie założeń doktryny. Powszechny jest pogląd, że „za wolno idziemy” (niektórzy dodają: do komunizmu), ale równie powszechne, iż „osiągnęliśmy wiele i obrona droga jest słuszną”. „Jeżeli porównać dzień dzisiejszy z latami dwudziestymi i trzydziestymi, to widać postęp”. Taki jest typowy sposób dowodzenia słuszności drogi. Pojęcie „wypaczeń” rozumiane jest trochę inaczej niż u nas. Ostatnim okresem wypaczeń był schyłek rządów Breżniewa — fasadowość, hasłowość, korupcja — a przewyciężenie tychże to rządy Andropowa, który zaczął „silną ręką” robić porządek w kraju”. Te działania silnej ręki (czystka w aparacie, represje polityczne wprowadzone dla uzdrowienia gospodarki — łapanie w sklepach podczas godzin pracy, czy rozstrzelanie 3

dyrektorów domów towarowych za nadużycia) zyskały autentyczną aprobatę szarych obywateli, którzy wydają się tęsknić za silną ręką władzy. Szeregowy obywatel władzę silnej ręki spostrzega jako zagrożenie dla warstwy wyższej (kierowniczej) — a nie bezpośrednio dla siebie — w związku z czym skłonny jest taką władzę popierać. Stąd niejednoznaczna ocena okresu stalinowskiego zaprawiona często sentymentem do generalissimusa (np. kierowcy ciężarówek wożący na przedniej szybie zdjęcie Stalina). Od Iwana Groźnego do dziś przewija się ten sam motyw: władza silnej ręki zagraża bojarom, ale przez to właśnie jest dobra dla ludu. Więc lud tęskni do niej i popiera ją, nie zaprzatając sobie głowy humanitarnymi hasłami różnych pięknoduchów wzdragających się na karę śmierci za przestępstwa gospodarcze. („Oni byli wrogami, a jak nie zniszczyć wroga?”). Dlatego hasła liberalne nikłe mają szanse zakiełkowania na radzieckim gruncie. Obywatel ZSSR jest mocno zswietyzowany, bierny i przekonany o wszechmocy władzy oraz własnej bezradności, praktycznie niezdolny do organizowania się poza nurtem oficjalno-państwowym. Koncentruje się przede wszystkim na życiu prywatnym i na krzątaniu wokół spraw codziennej konsumpcji. Ewentualna świadomość nieprawidłowości niczego nie zmienia, bo powszechne jest przekonanie o bezcelowości wszelkich działań, idące w parze z biernością i bezwolnością. Sporo ludzi, może nawet większość zdaje sobie sprawę z fasadowości takich przedsięwzięć jak wybory, czy różnego rodzaju masówki i zebrania, ale uczestniczy w nich dla „świętego spokoju”, bo „inaczej nie można”. Dla Rosjan model demokracji parlamentarnej, czy inna możliwość demokratycznego kontrolowania władzy są tyleż nieatrakcyjne co niewiarygodne. „Co z tego — mówią — że demokracja amerykańskiego systemu wymusiła na Nixonie ustąpienie z urzędu po aferze Watergate? Przyjdzie następna ekipa i też będzie łamać prawo wtedy, gdy będzie jej to na rękę”. Po prostu na władzę nie ma sposobu, ponieważ dysponuje siłą, a kiedy nie dysponuje — nie jest dobrą władzą (*sic!*). Władza zawsze demoralizowała, demoralizuje i demoralizować będzie, a przeciwstawianie się temu zjawisku do niczego nie prowadzi — tak mniej więcej wygląda zaczarowane kółko sowieckiej mentalności. Z władzą lepiej indywidualnie ułożyć się lub przystąpić do niej w oczekiwaniu na jakieś profity. Dlatego Rosjan wcale nie dziwi fakt, że niektórzy członkowie społeczeństwa są w ten czy inny sposób uprzywilejowani. Uderza natomiast powszechność tzw. zakupów „po zakazam” artykułów niedostępnych w normalnej sieci handlowej. Tą drogą nabyć można takie luksusy, jak fińskie salami, indyjską herbatę, łososia w puszcze itp. Takie zakupy wydają się normalne w „egalitarnym” społeczeństwie Kraju Rad, no bo przecież korzystają z nich ci, którzy są bliżej władzy — zatem wszystko w porządku!

Jak mówią Rosjanie — „Moskwa eto nie sojuz” — odnosi się to również do Leningradu, Kijowa i republik kaukaskich, co może pomóc w zrozumieniu diametralnej różnicy poziomu życia

wyróżnionych części sojuza od pozostałej. O ile na Kaukazie przyczyną są nieco inne, o tyle w Moskwie i pozostałych miastach powodem „niezrozumiałej” różnicy jest specjalne traktowanie tych miast. W Moskwie nie ma reglamentacji artykułów spożywczych, mleko zawiera ok. 3% do 6% tłuszczu, kilogram mięsa kosztuje średnio 2 ruble. Ale już w takim Swierdłowsku mięso i wędliny są na kartki (ok. 3 kg miesięcznie), w Nowosybirsku nie ma ani karków, ani mięsa w sklepach i trzeba je kupować na rynku (z tzw. działek przyzagrodowych) gdzie kosztuje 5-7 rubli za kg. Ceny w moskiewskich restauracjach są również niższe od cen w innych miastach. Wszystkie te różnice sprawiają, że naród radziecki jest narodem turystów. Wszyscy ci „turyści” przyjeżdżają do Moskwy na jednodniowe wycieczki organizowane przez związki zawodowe i kupują dosłownie wszystko (od odzieży poprzez mięso na szczypiorku i ogórkach kończąc). Nic dziwnego, że kolejki w moskiewskich sklepach nie różnią się zbyt od kolejek w Polsce, a sceny na dworcach kolejowych (Kazański, Jarosławski, Kurski) i krajowych lotniskach przypominają nieco fragmenty z Dantego.

W indywidualnych kontaktach Rosjanie są uroczymi ludźmi (aczkolwiek trzeba przywyknąć do ich nieco szokujących manier przy stole). Oczywiście mówimy tu o jakiejś przeciętnej, a nie o wszystkich bez wyjątku. Unikają jednak zapraszania do domu i starają się rozmawiać na tematy „neutralne”. W rozmowie preferują raczej słuchanie, a mówienie pozostawiają partnerowi. Powszechnie i autentycznie boją się wojny i pragną pokoju — nawet podczas przygodnego picia wódki w kolejce podmiejskiej (obyczaj powszechny) wnoszą toast „za mir”. Są też przekonani, że nie ma narodu bardziej miłującego pokój niż naród radziecki. Wyprowadzają z tego i dalsze wnioski — takie mianowicie, że każda wojna, w której brał lub weźmie udział naród radziecki była czy będzie wojną, do której go zmuszono, wojną obronną i sprawiedliwą — ale „widocznie tak trzeba dla naszego bezpieczeństwa” (mawiają). Oni są chyba o tym szczerze przekonani — po prostu taki aksjomat. W tym świetle spostrzegają również wojnę w Afganistanie, trochę im głupio — to widać, ale „widocznie trzeba”. A jeśli ktoś nie odczuwa potrzeby walki w obronnej wojnie afgańskiej, to... może wykupić się od tego obowiązku za ok. 5.000 rubli. Nie wiadomo oczywiście, na ile wierzyć takim wypowiedziom o „potrzebie bezpieczeństwa” — być może chodzi w nich bardziej o zachowanie twarzy i dobrego samopoczucia. Wskazywałoby na to zdanie sformułowane o dysydentach rosyjskich (Sołżenicyn, Sacharow): „w tym co oni mówią jest sporo prawdy, ale po co wywlekać na oczy całego świata, przeciwieństwo kompromitujecie wszystkich?” Znamy takie argumenty i z własnego podwórka: „brudy prac w czterech ścianach” i „nie kłać własnego gniazda”. Ale z naszego punktu widzenia również niebezpieczne jest i jedno i drugie rozwiązanie — jaka w końcu różnica, czy udzielają nam „braterskiej pomocy” przekonani o swojej pokojowej misji, czy też ze spuszczonej oczami, ale

z zaciśniętymi zębami, bo „może i nie mamy racji, ale nie możemy się skompromitować przyznając to otwarcie”.

Te nasze wrażenia, zdajemy sobie z tego sprawę, odbiegają znacznie od nacechowanych większym optymizmem ostatnich poglądów na sytuację w ZSSR, w których koncentrowano się głównie na wzrastającej sile opozycji i nawrocie życia religijnego. Być może obie te rzeczy są prawdziwe, ale na razie niewielkim pocieszeniem dla nas wydaje się fakt okrzepnięcia opozycji, jeżeli praktycznie jest tak, że 10 lat temu było przykładowo 40 opozycjonistów, a dziś jest 100. Pomimo pięknego wzrostu procentowego stanowi to kroplę w oceanie. Na mszy w cerkwiach widzi się od kilkudziesięciu do stu osób, może to i więcej niż kiedyś, ale nie zmienia to faktu, że *gros* społeczeństwa jest już całkowicie zateizowane, a raczej nawrócone na coś w rodzaju komunistycznej religijności wraz z elementem nowego obrządku. To nie żart, w obyczajowości sowieckiej widać sporo reliktyw obrzędowych — zastępników tego, co kiedyś dawała obrzędowość cerkiewna, bardziej rozbudowana i bardziej „ludowa” niż obrzędowość kościoła katolickiego. W mieście pierwszej komunii mamy wstąpienie do pionierów z przysięgą przy sztandarze w jednej z sal muzeum Lenina — w czerwonych czapeczkach i chustach na szyi, po czym następuje pielgrzymka do mauzoleum wodza rewolucji. Ceremonię ślubną wzbogaca wycieczka z kwiatami do tegoż mauzoleum (lub pod pomnik Lenina), następnie na grób nieznanego żołnierza i wreszcie wypicie szampana na Lenińskich Gorach — coś w rodzaju „stuknięcia się kieliszkiem” z całą Moskwą. Tak więc nowa obrzędowość już jest, nowe treści też są — aczkolwiek w mniejszym stopniu utrwalone niż mogliby tego sobie życzyć władcy imperium. Jest też, niestety, nowy człowiek radziecki — z głową nafaszerowaną propagandowym bełkotem i mocnym pragnieniem przeżycia za wszelką cenę. Być może w głowie tej tkwią gdzieś zwykłe ludzkie uczucia — tak być powinno — ale...

Wrażenia i oceny tu przedstawione mogą być zbyt pesymistyczne i chcielibyśmy, aby w końcowym rozrachunku takimi się okazały. Na razie jednak powodów do optymizmu jest niewiele — lepiej zdać sobie z tego sprawę niż żyć iluzjami.

BLIŹNIACY

(Przedruk z 26 numeru *Repliki*, Dolny Śląsk).

Kronika niemiecka

PRL-owskie zakupy w RFN zmalały z 70 mld zł w 1981 roku do 60,9 mld zł w 1982 roku i wzrosły do 65,5 mld zł w 1983 roku; tendencja zwykła utrzymywała się przez cały ubiegły rok. Polski eksport do

Republiki Federalnej zmalał z 83,3 mld zł w 1981 roku do 77 mld zł w 1982 roku i wzrósł do 88,3 mld zł w 1983 roku; w 1984 roku prawdopodobnie przekroczy 100 mld zł. ■ Perełki z krajowego *Głosu Robotniczego*: „Niegdyś topił Smętek polskich chłopów w jeziorach i bagnach, następnie usiłował ich znieczyścić, a gdy się to nie udawało, bił jako nauczyciel do krwi mazurskie dzieci. (...) Smętek lat osiemdziesiątych prowadzi z Polską i Polakami wojnę psychologiczną. Otrzymał osobiste błogosławieństwo zarówno od federalnego ministra Zimmermanna, jak i od kanclerza Helmuta Kohla. Działa więc Smętek na zjazdach ziomkostw. (...) Czyż więc nie dosyć dowodów, że Smętek znów powrócił na Warmię i Mazury, że znów działa? Dalsze dowody działalności Smętka znajdziecie w następujących odcinkach”. Autentyczne! ■ W zachodniobermberskiej *Deutsche Oper* występowali polscy soliści — Stefania Toczyska i Wiesław Ochman. Polska śpiewaczka wykonała popisowe arie w operze Verdiego *Aida* i *Carmen* Bizeta, natomiast Ochman wystąpił w operze Leoša Janáčka *Jenufa*. ■ „W Polsce pracuje 350 tys. inżynierów, a w RFN tylko 180 tys.” — z dumą stwierdzają paxowskie *Kierunki*. Czy ilość przechodzi w jakość? ■ Od stycznia do końca października 1984 przesiedliło się do RFN 36.440 Niemców (3.657 osób zbiegło nielegalnie do RFN przez kraje trzecie; 168 Niemcom udało się pokonać umocnienia graniczne dzielące obie części Niemiec). ■ Wychodzący we Wrocławiu podziemny tygodnik *Solidarność Walcząca* poinformował czytelników, iż przedstawicielem organizacji i jej organu na terenie RFN jest Andrzej Wirga (Moguncja). ■ Prof. Alojzy Melich, zastępca członka KC PZPR, poseł na Sejm, b. rektor *Akademii Ekonomicznej* w Katowicach, najbliższy doradca i entuzjasta polityki gospodarczej Edwarda Gierka przebywał w Kolonii na zaproszenie tamtejszego *Uniwersytetu*. EkspONENT ekonomicznego *betonu* w łonie partii starał się przekonać zachodniemieckich ekspertów gospodarczych i przemysłowców, że Polskę z obecnego kryzysu ekonomicznego mogą wyprowadzić jedynie... Stefan Olszowski i Tadeusz Grabski (obecnie w *Misji Handlowej PRL* w Berlinie Wschodnim). Ponadto Niemcy powinni być zainteresowani w ratowaniu zainwestowanego kapitału w Polsce, tymczasem koncentrują się na różnych zabiegach zmierzających do poparcia polskich „ekonomistów” w mundurach generałów (celują w tym politycy *SPD*), którzy według Melicha doprowadzili Polskę do katastrofy; tylko modele *szkoły śląskiej* mają szansę powodzenia... ■ W listopadzie ub. roku 1.477 Niemców opuściło oficjalnie PRL i osiedliło się na stałe w Republice Federalnej Niemiec. ■ Argumentacja Rowmunda Piłsudskiego (*NiD*) na łamach londyńskiej *Trybuny*: „Zarówno więc z punktu widzenia dobrze pojętego interesu narodu niemieckiego, którego dwie próby podboju Europy zakończyły się dla niego druzgocącą klęską jak i pozytywnego wkładu, który może on wnieść do ogólnego dorobku ludzkości, a także z punktu widzenia bezpieczeństwa jego najbliższych i dalszych sąsiadów — jest lepiej, gdy nie posiada on nadmiaru siły, to znaczy, gdy zamiast jednego państwa niemieckiego istnieje ich dwa lub trzy, jak np. teraz: NRF, NRD i Austria”. Na szczęście dla autora Austriacy nie czytują *Trybuny*. ■ W Warszawie i Berlinie Wschodnim trwają intensywne przygotowania do wakacyjnej wymiany dzieci i młodzieży między PRL i NRD. Wymiana ta obejmie w 1985 roku około 300 tys. osób. ■ Kanclerz RFN Helmut Kohl ponownie zaprzeczył istnieniu jakiegokolwiek tendencji rewizjonistycznych i odwetowych w RFN; wszystko co się mówi i pisze na temat rewizjonizmu jest jedynie kampanią propagandową („bezczelną i oszczerczą, głupią gadaniną, skierowaną przeciwko Republice Federalnej”). ■ W Stuttgarcie odbyło się prawykonanie *Polskiego requiemu* Krzysztofa Pendereckiego. Jest to czwarta część *Requiem* (poprzednie: *Lacrimosa*, *Agnus Dei* i *Recordare*) poświęcona heroicznej walce powstańców w warszawskim getcie. Koncertem dyrygował Mściśław Rostropowicz. ■ Jedna z

uchwał zjazdu *Junge Union*, młodzieżowej organizacji rządzącej partii CDU/CSU: „*Junge Union* postuluje, aby w ramach układu pokojowego nie kwestionowano w przyszłości prawa milionów Polaków do ojczyzny. *Junge Union* opowiada się za taką polityką niemiecką w stosunku do Polski i Związku Sowieckiego, która w ramach ogólnoeuropejskich rozwiązań sprawy, że zagadnienia granic i suwerenności będą miały mniejsze znaczenie”. Prezydium zjazdu usiłowało sformułowanie to uzupełnić słowami: „i dlatego Republika Federalna nie kwestionuje już zachodniej granicy Polski”, ale ten wniosek upadł. ■ W zachodniobermberskiej oficynie *Siedler Verlag* ukazały się fragmenty pamiętników Atanazego Raczynskiego, historyka sztuki i dyplomaty w saskiej służbie, dotyczące okresu 1788-1818. Książka nosi tytuł — *Noch ist Polen nicht verloren. (Jeszcze Polska nie zginęła)*. ■ Od 1958 roku działa w RFN organizacja pn. *Akcja Pokuty (Sühnezeichen)*. Grupy *Akcji Pokuty* jeżdżą do Polski od 1967 roku; co roku przebywa w naszym kraju ok. 50 grup (blisko 1.000 młodych Niemców), które pracują społecznie przy zachowaniu, pielęgnacji i konserwacji b. obozów koncentracyjnych. Cel tej akcji określany jest słowami: „aby ślady zbrodni hitlerowskich nie porosły trawą”. Po powrocie do RFN członkowie owych grup organizują wystawy, pokazy filmów i przezroczy, wygłaszają w szkołach referaty dotyczące zbrodni hitlerowskich w Polsce. ■ Zawieszenie gwarancji kredytowych monachijskiego *Towarzystwa Ubezpieczeniowego HERMES* gwałtownie skomplikowało i ograniczyło możliwości handlowe PRL na rynku niemieckim. Przedstawiciele *HERMESA* podkreślają w rozmowach z reżymowymi ekspertami, że wznowienie gwarancji kredytowych będzie możliwe dopiero po podpisaniu umów z *Klubem Paryskim* o restrukturyzacji długów. ■ W hamburskiej *Galerie Rose* czynna była wystawa prac Haliny Dąbrowskiej z Krakowa. Tematykę 40 wystawionych obrazów olejnych stanowią typy wieśniaczek, starych mieszkańców Kazimierza n/Wisłą, jak również dawna dzielnica żydowska Krakowa, w której Dąbrowska obecnie mieszka i maluje. ■ Dzięki pomocy humanitarnej dortmundzkich organizacji katolickich i ewangelickich od dwóch lat każde dziecko urodzone we Wrocławiu otrzymuje niezbędną dawkę *Vigantolu*, leku chroniącego dzieci przed krzywicą. Z Dortmundu wyruszył przed świętami kolejny 80-tonowy transport odzieży, żywności, sprzętu medycznego (m.in. wózki inwalidzkie) i leków dla mieszkańców Wrocławia znajdujących się w trudnych warunkach materialnych. ■ Zachodniobermberski *Oberbaum Verlag* wydał poezje Adama Zagajewskiego z ostatnich dziesięciu lat pt. *Stündlich Nachrichten (Co godzinę wiadomości)*. Wiersze przełożył i postłowiem opatrzył Karl Dececius. Sześć pięknych grafik Heleny Bohle-Szackiej stanowi dodatkową ozdobę tego starannie wydanego tomiku. ■ Natomiast zbiór dwudziestu dziewięciu wierszy polskich poetów należących głównie do młodszej generacji (m.in. Stanisława Barańczaka, Jacka Biereżyna, Tomasza Jastruna, Juliana Kornhausera, Ryszarda Krynickiego, Ewy Lipskiej, Jana Polkowskiego, Leszka Szarugi i Adama Zagajewskiego) ukazał się we frankfurckiej oficynie *Suhrkamp Verlag* pt. *Ein Jahrhundert geht zu Ende. Polnische Gedichte der letzten Jahre (Schyłek wieku. Polskie wiersze lat ostatnich)*. I tym razem wiersze tłumaczył Karl Dececius. Poślowie Adama Zagajewskiego informuje czytelników o stanie poezji i jej znaczeniu w krajach wschodnioeuropejskich. ■ Pod kierownictwem Zbigniewa Jaźwińskiego w Düsseldorfie wznawia działalność *Klub Inteligencji Polskiej*, sterowany przez kolońską ambasadę PRL. ■ W Warszawie odbyło się posiedzenie prezydium wspólnej komisji UNESCO PRL-RFN d/s rewizji podręczników szkolnych w zakresie historii i geografii. Komisji ze strony polskiej przewodniczy obecnie prof. Antoni Czubiński — dyrektor *Instytutu Zachodniego* w Poznaniu. XVIII konferencja komisji UNESCO PRL-RFN odbędzie się w maju 1985 roku w Nowogardzie i będzie się zajmowała okresem od prze-

jęcia władzy przez narodowy socjalizm w Niemczech do zakończenia drugiej wojny światowej. ■ Polska eksportuje do NRD co roku 130 tys. ton siarki do produkcji kwasu siarkowego w fabrykach, wybudowanych przez polskie przedsiębiorstwa. Zmniejszył się natomiast poważnie eksport polskiego węgla do tego kraju, w związku z przechodzeniem energetyki NRD na własny węgiel brunatny. ■ Od chwili ogłoszenia stanu wojennego w PRL obywatele Republiki Federalnej zebrał i przekazali do Polski dary o wartości ok. 300 mln marek — oświadczył kanclerz Helmut Kohl. ■ Na zaproszenie KC PZPR przebywała z wizytą w Polsce oficjalna delegacja frakcji SPD do *Bundestagu* z przewodniczącym frakcji Hansem-Jochenem Voglem. Podczas wizyty w *Sejmie* Vogel stwierdził, iż „dialog w Polsce doprowadzi do narodowego *consensusu*”. Przy okazji Vogel podkreślił, że obecnie SPD jest przeciwna instalacji rakiet amerykańskich na terenie RFN (przed dojściem chadecji do władzy SPD głosowała za stacjonowaniem owych rakiet w Republice Federalnej — A.J.Ch.). Na konferencji prasowej dziennikarka z brytyjskiego dziennika *The Guardian*, Hella Pick, zapytała Vogla, czy w czasie swojej wizyty w PRL spotkał się z przedstawicielami demokratycznej opozycji; Vogel odpowiedział, że nie („zostałem zaproszony do Polski przez *Klub Poselski PZPR*; wyjeżdżam z Polski nastrojony bardziej optymistycznie, niż gdy do niej przyjeżdżałem”). W wywiadzie udzielonym warszawskiej *Polityce* raz jeszcze podkreślił: „Wyjeżdżam z wrażeniem, że ludzie, którzy ponoszą odpowiedzialność za ten kraj starają się oszczędzić narodowi polskiemu nowej katastrofy i zapewnić mu tyle swobody ruchu, samo- i współodpowiedzialności, na ile pozwalają okoliczności”. Bońska *Die Welt* i cały szereg innych pism potraktowały wypowiedzi Vogla ogłoszone w *Polityce* jako skandal polityczny. ■ Pod patronatem *Senatu* Berlina Zachodniego otwarto w tym mieście *Ośrodek Polski*, który ma służyć mieszkającym w tym mieście Polakom. Do uruchomienia usytuowanych w centrum miasta pomieszczeń (Charlottenburg) doszło dzięki wspólnej inicjatywie i energicznym zabiegom *Polskiej Rady Socjalnej, Polskiej Grupy Samopomocy i Stowarzyszenia Emigracyjnej Młodzieży Polskiej* oraz *Niemieckiego Towarzystwa d/s Polskich*. Podobno z *Ośrodkiem* (informacja i porady dla najnowszych emigrantów, biblioteka, wystawy artystyczne itd.) współpracuje zachodniobermberski oddział *Zjednoczenia Polskich Uchodźców*, którego centrala w Velbert (Nadrenia-Westfalia) od kilku lat przestała praktycznie istnieć. ■ *Verein zur Förderung polnischer Kunst und Kultur (Związek Popierania Polskiej Sztuki i Kultury)* urządził w Oldenburgu (Dolna Saksonia) okazałą wystawę grafiki i rysunku Heleny Bohle-Szackiej (Berlin Zachodni) i Jana Abstawskiego (Łódź). ■ *Tydzień polski* w Essen zainaugurowany został baletem *Śpiąca królewna* C.ajkowskiego w wykonaniu zespołu *Teatru Wielkiego* z Warszawy. Występowała *Opera Kameralna* z *Manekinami* Rudzińskiego i warszawski *Teatr Studio* z *Repliką* Szajny. Koncertowała *Orkiestra Symfoniczna Teatru Wielkiego* pod dyrekcją R. Satanowskiego, odbyły się recitale E. Gawrońskiej i I. Cembrzyńskiej. Zwracała uwagę reprezentatywna ekspozycja malarstwa polskiego XIX i XX wieku urządzona w esseńskim *Ratuszu*. Przeciwagą dla oficjalnych *Dni polskich* była wystawa malarstwa i rzeźby ceramicznej znanej pary plastyków — Barbary Ūr i Andrzeja Piwarskiego w renomowanej galerii *Westdeutsche Allgemeine Zeitung*. Zwracały uwagę obrazy olejne Piwarskiego (reprodukowane w miejscowej prasie) poświęcone prawom człowieka i walce *Solidarności*; dominował duży rozmiarów obraz pn. *Krzyk*, namalowany pod wrażeniem tragicznej śmierci księdza Jerzego Popiełuszki ■ *Prowokacja KGB. Verein zur Förderung Internationaler Solidarität (Związek Wspierania Solidarności Międzynarodowej)* zaplanował na dzień 10 grudnia — Międzynarodowy Dzień Praw Człowieka — demonstrację przed hamburskim biurem *Aeroflotu*. O zamierzonej demonstracji na długo przed

jej terminem powiadomione zostały partie polityczne, policja i środki masowego przekazu. W przeddzień demonstracji, w niedzielne popołudnie, w domu przewodniczącej Związku Helli Jürgens zjawił się urzędnik hamburskiej policji kryminalnej. Nieco zażenowany swą rolą policjant wyjaśnił, że *Bundes-kriminalamt (Federalny Urząd Kryminalny)* w Wiesbaden otrzymał od ambasady sowieckiej w Bonn oficjalne doniesienie, jakoby pani Jürgens zamierzała wysadzić w powietrze lub uprowadzić rejsowy samolot *Aeroflotu Tu-134* linii Hamburg-Leningrad, odlatujący w niedzielę 9 grudnia o godz. 13.55 z lotniska Fühlshüttel. Poderwany tym doniesieniem na nogi oddział bezpieczeństwa państwowego hamburskiej policji zarządził na lotnisku alarm bombowy. Samolot został przeszukany, skontrolowano dokładnie bagaże 22 odlatujących maszyną pasażerów. Nie znaleziono bomby, broni strzeleckiej ani Helli Jürgens na liście pasażerów, odlatujących tego dnia do Leningradu. Punktualnie o planowanej godzinie odlotu *Tu-134* opuścił hamburskie lotnisko. Urzędnik policji kryminalnej składający wizytę przewodniczącej Związku *Wspierania Międzynarodowej Solidarności* pragnął jedynie poinformować ją o zainteresowaniu, jakim jej osoba i polsko-niemiecka organizacja działająca od dwóch lat w Hamburgu cieszy się wśród personelu specjalnego ambasady sowieckiej w Bonn. Planowana demonstracja pod hasłem: *Żądamy uwolnienia wszystkich więźniów politycznych od Władystwojstoku po Łabę* odbyła się następnego dnia pod biurem *Aeroflotu*. Prasa zachodniemiecka szeroko rozpisywała się o nowych praktykach KGB-owców z paszportami dyplomatycznymi. ■ *Podstuchane w Bonn*. Pod koniec listopada 1984 roku spotkały się w Bonn delegacje: partyjna — *Zielonych* i partyjno-rządowa ze Związku Sowieckiego. Podczas spotkania zainicjowanego przez *Zielonych* poruszono wśród wielu tematów m.in. kwestię „polskiego nacjonalizmu” i wynikających zeń rzekomych niebezpieczeństw. Strona sowiecka stwierdziła, iż z historycznego punktu widzenia polski nacjonalizm stanowi duże niebezpieczeństwo. W przeszłości Polska zajmowała spore obszary rosyjskiego państwa, a dziś, gdy „polskie społeczeństwo jeszcze nie jest w pełni ustabilizowane, pojawiła się *Solidarność*. Rząd PRL uregulował jednak te sprawy samodzielnie”. *Zieloni* — którzy określili się w trakcie rozmów jako organizacja, której bliższa jest *Solidarność* niż rząd PRL — uznali również polski nacjonalizm za niebezpieczny, zbyt łatwo bowiem „przekształca się w uciskanie mniejszości narodowych, czy inaczej myślących, a z reguły prowadzi do pogardzania innymi ludźmi i kulturami. To nacjonalistyczne zrozumiastwo jest najniekorzystniejszą bazą dla prowadzenia jakiegokolwiek polityki”. Stąd cenią oni bardzo wypowiedź Jana Józefa Lipskiego, opublikowaną m.in. w bońskim kwartalniku *Kontinent*, w której autor odcina się od polskiego nacjonalizmu. W sumie zastanawiające jest, że widmo polskiego nacjonalizmu wciąż jeszcze straszy i Niemców i Rosjan.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika czeska i słowacka

Na początku roku 1984 przedstawiciele „Solidarności” i Karty 77 wystosowali wspólny apel do władz Czechosłowacji i PRL, domagający się uwolnienia więźniów politycznych w obu krajach. Apel podpisało 22 Czechów

i 24 Polaków. Dziennikarze zachodni odnotowując ten fakt zwrócili uwagę na znaczne ograniczenie kontaktów pomiędzy kołami opozycyjnymi obu krajów: od ostatniego spotkania działaczy Karty 77 i KOR-u minęło już bardzo dużo czasu. Ilość więźniów politycznych w Czechosłowacji szacuje się na ok. 50 osób. ■ W kwietniu 1984, w przeddzień egzaminów maturalnych, policja bratysławska aresztowała i poddała przesłuchaniom kilkudziesięciu uczniów spacerujących po naddunajskiej promenadzie: 17 z nich nie mogło już uczestniczyć w egzaminach. Powodem akcji było rozwieszenie w publicznych sklepach ogłoszeń z „niezależnymi” tematami maturalnymi: „Lenin żyje: złapać go!”, „Opisać sposób w jaki brzegi morskie Szwecji znalazły się tuż koło bazy radzieckich łodzi podwodnych”, „Wpływ marksizmu-leninizmu na rozmnażanie się dżdżownic”. ■ W maju 1984 został ponownie aresztowany w Bratysławie 40-letni geolog Miklos Duray, od lat walczący o prawa 600-tysięcznej mniejszości węgierskiej na Słowacji. Czterech dysydentów słowackich — Čarnogursky, Jablonický, Kusy i Šimečka — wystosowali w jego obronie listy do władz, mimo że nie zgadzają się całkowicie z jego oceną sytuacji kulturalnej mniejszości węgierskiej. ■ Pomimo wizyty w Czechosłowacji abp Poggi oraz rozmów delegacji rządowej w Watykanie, kontakty te nie dały żadnych wyników. Reżim domaga się odwołania przez Watykan zakazu (z marca 1982) uczestniczenia w działalności organizacji „księży patriotów” „Pacem in terris”. Podobno Vasil Bilak wystąpił na spotkaniu „paxterriów” z twierdzeniem, że Kościół katolicki w Czechosłowacji powinien zostać podporządkowany prawosławnemu patriarchatowi w Moskwie, a nie Watykanowi, w odpowiedzi na co prymas kardynał Tomašek oświadczył w tygodniku *Katolické noviny*, że nie jest to sprawa lokalna, ale olbrzymie zagadnienie ewentualnego zjednoczenia prawosławia z katolicyzmem. W kwietniu 1984 kard. Tomašek zaprosił Papieża na uroczystości 1100-lecia śmierci św. Metodego, mające odbyć się w 1985 roku, ale zamiast Papieża przyjedzie właśnie patriarcha moskiewski Pimen. Pomimo nagonek i szykan, 3.397 osób podpisało petycję domagającą się umożliwienia przyjazdu Papieżowi. ■ Ladislav Lis, znany działacz na rzecz praw człowieka i b. rzecznik Karty 77 został skazany w maju 1984 na 3 miesiące więzienia o zaostrzonym rygorze za opuszczenie w dniach 5-9 maja ub.r. swojego domu bez zezwolenia policji. Lis ma znajdować się pod nadzorem policyjnym do czerwca 1987. ■ Wiceminister spraw zagranicznych Stanislav Svoboda oskarżył w liście do agencji prasowej ČTK Jiří Pelikana, że domagał się jakoby od partyzantów angolańskiej UNITA rozstrzelania 64-ech czeskich zakładników, z których jeden powiedział w czeskim radiu, że Pelikan chciał w ten sposób uzyskać „większe poparcie swoich chlebobawców”. ■ 1 sierpnia 1984 weszły w życie nowe przepisy utrudniające w bardzo znacznym stopniu indywidualne kontakty turystyczne między PRL a Czechosłowacją. Są one rezultatem wielomiesięcznej pracy czechosłowacko-polskiej komisji turystycznej. W myśl nowych zarządzeń indywidualne wyjazdy mogą następować na zaproszenie najbliższej rodziny, ze względów humanitarnych (ślub, pogrzeb) lub w celach leczniczych. We wszystkich tych wypadkach konieczne jest oficjalne zaproszenie. Turystyka indywidualna ulegała stopniowym ograniczeniom od swojego szczytu w 1978 roku, kiedy to 5 milionów Polaków odwiedziło Czechosłowację, a 2 miliony Czechów i Słowaków Polskę. Po sierpniu 1980 nastąpiło drastyczne ograniczenie, tak że w roku 1981 Polskę odwiedziło tylko 74 tysiące turystów indywidualnych, a Czechosłowację 1,3 miliona Polaków. W roku 1983 już tylko 3 tysiące obywateli Czechosłowacji pojechało do Polski. ■ Trzej młodzi Słowacy przywożący z Polski *Tygodnik Powszechny* oraz *Znak* zostali zwolnieni po 8-miu miesiącach przesłuchań. Doszukiwano się szerszego „spisku” i zmuszano ich do składania przysięg na krzyż, że mówią prawdę. ■ Cały 7-miosobowy zespół redakcyjny miesięcznika Kościoła Braci Czeskich został wyrzucony z

pracy za lipcowy numer (ub.r.) pisma, w którym cenzor doszukał się ukrytej propagandy Karty 77 oraz zgłosił zastrzeżenia wobec wiersza religijnego pastora Miloša Rejcherta, objętego zakazem pracy duszpasterskiej byłego rzecznika Karty 77. ■ Adwokat Pavel Wonka został skazany na 12 miesięcy więzienia za udzielanie bezpłatnej pomocy ludziom mającym kłopoty z „praworządnością socjalistyczną”. ■ Na kilka dni przed rocznicą najeżdzu wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację dokonano licznych aresztowań prewencyjnych w kręgach działaczy Karty 77, których po rewizjach (zabrano wiele pism i książek emigracyjnych) zatrzymano na 48 godzin. Wśród zatrzymanych był Vaclav Havel, który otrzymał niedawno doktorat *honoris causa* Uniwersytetu w Tuluzie. Jeden z teatrów na nowojorskim Broadwayu już trzeci rok z rządu gra jego jednoaktówki, a Rowohlt Verlag wydał ostatnio „Briefe an Olga”, jego listy pisane do żony podczas 4-letniego pobytu w więzieniu. ■ We wrześniu ub.r. 20 studentów demonstrowało w Trnawie przeciwko instalacji sowieckich i amerykańskich rakiet nuklearnych. Policja zatrzymała i przesłuchiwała demonstrantów, po czym czterech z nich wyrzucono ze studiów. ■ 25 września ub.r. został aresztowany po przypadkowej rewizji samochodu inżynier Petr Kozanek, u którego znaleziono samizdatowe wydanie poezji morawskiej pisarki katolickiej Ireny Kotrlé. Kozanek przyznał, że chciał wywieźć je do Austrii i wysłać do londyńskiego wydawnictwa „Rozmluvy” w związku z czym oskarżono go o „próbę zniesławienia państwa za granicą”. Natychmiast przeprowadzono też rewizję u autorki, która od tego czasu poddawana jest ciągłym przesłuchaniom. ■ „Inżynier ludzkich dusz”, ósma przetłumaczona na angielski książka Josefa Škvorecký'ego, zdobyła wielkie powodzenie w USA, gdzie znajduje się na listach *bestseller*ów. Londyńskie wydawnictwo „Pod prąd” wydało opowiadanie Škvorecký'ego „Emöke”. ■ Nakładem wydawnictwa „Aneks” ukazała się (wcześniej niż po czesku) najnowsza powieść Milana Kundery „Nieznośna lekkość bytu”. Powieść została już wydana po angielsku, francusku, niemiecku i włosku. ■ Robert Maxwell (z pochodzenia Czech — Jan Ludvik Hoch) stał się właścicielem wielkiego brytyjskiego concernu prasowego „Mirror Newspapers”. ■ Pogarszająca się sytuacja ekonomiczna i polityczna w Czechosłowacji popychała w 1983 roku coraz większą ilość ludzi do ucieczki za granicę. M.in. w czerwcu nie wróciło z autobusowej wycieczki do Wenecji 21 studentów politechniki. W czerwcu przedostał się do Austrii strażnik graniczny, już czwarta osoba, której udało się przejść tę tak pilnie strzeżoną granicę. Niestety, sukcesy spowodowały wzmożenie czujności, której ofiarą padł robotnik z Budziejowic, František Faktor, zastrzelony przez ścigających go strażników czeskich już na terytorium Austrii. Tragicznie zakończyła się też próba przepłynięcia do Austrii przez rzekę Mur (z Jugosławii) podjęta przez rodzinę Vladimira Penki: ojciec, matka i 3-letnia córka utonęli, uratowały się tylko 2 starsze córki. ■ 2 listopada 1984 Karta 77 wystosowała list otwarty „Do polskich przyjaźni”, wyrażając współczucie z narodem polskim i potępiając „akt ślepej nienawiści i terroru”, jakim było zamordowanie ks. Popiełuszki. W liście czytamy m.in.: „Z naszych własnych doświadczeń rozumiemy doskonale, że nie istnieją grupy terrorystyczne, które nie byłyby inspirowane ogólnym łamaniem prawa i które nie miałyby poparcia najwyższych władz”.

Aleksander TOMSKY

Kronika kulturalna

Intelektualiści i inteligenci w PRL

Konstanty Ildefons Gałczyński ogromnie lubił śmiać się z inteligentów. Kochał „prostego człowieka” — tyle, że w sposób szczególny, to znaczy wówczas, gdy „prosty człowiek” maszerował manifestacyjnie w faszystowskim stylu ONR („przez most słoneczny księcia Pepi, w czwórkach, w oktawach, coraz lepiej, słonecznie, ONR”) albo gdy ujęty był w żelazne ryzy systemu komunistycznego. Czy był po stronie ONR-owskich pałkarzy, czy też na usługach PZPR, zawsze pozostawał mu po drugiej stronie barykady „inteligent w opadłych portkach”, człek słaby, bo nie trzymany w cuglach ideologii, godny politowania, tym bardziej żalony, że kiedy Gałczyński pisał wykpiwające go wiersze, było dopiero co po hekatombie hitlerowskiej, kiedy to inteligencja poniosła straty najcięższe, i toczyła się „bezkrwawa rewolucja”, kiedy UB dziesiątkowało niedobitki ocalałe po okupacji.

Gałczyński był, jest i będzie poetą świetnym, łatwym w odbiorze, trafiającym pod strzechy. To fakt: wyposażony był w talent niezwykły, tyle że jego blaski i gromy wisiły w intelektualnej próżni — Gałczyński nie był człowiekiem inteligentnym ani wykształconym, tylko niebywale zdolnym. Pamięć narodu odsieje z jego spuścizny całe obrzydliwe śmiecie i pozostaną tylko przysłowiowe perły. Pamięć narodu jest łaskawa dla tych, którzy jej dają cenną pożywkę poezji. Należy jednak pamiętać i o ciemnych jej stronach. Ku pożytkowi przyszłych pokoleń. Zresztą analiza (czy wiwisekcja) przeprowadzona przez Miłosza w „Zniewolonym umyśle” pozostanie również na zawsze w tej zbiorowej pamięci.

Kiedy Gałczyński rozpoczynał swe kpiny, a więc w drugiej połowie międzywojennego dwudziestolecia, inteligencja była wciąż

dość spoiwą warstwą, a intelektualisci stanowili jej część integralną. Historia polskiej inteligencji jest jeszcze do napisania, bowiem to co napisano dotychczas, to dopiero prolegomena syntezy. Pomimo integralności można w tamtej inteligencji rozróżnić dwie podstawowe formacje: miejską i wiejską, ale zasadniczym spoiwem obu była tradycja szlachecka, bowiem warstwę tę tworzyli przede wszystkim wyzuci z wiosek ziemianie i oni mieli ogromny kapitał tradycji, gdy prawdziwe mieszczaństwo było takiej tradycji w gruncie rzeczy pozbawione.

Byłoby rzeczą pasjonującą wydestylować z tego niejasnego krajobrazu społecznego jego słabości i piękności, a także implikacje dla współczesności. Jest bowiem oczywistą łatwizną atakowanie inteligencji za jej „wiejskość”, a w konsekwencji „konserwatyzm”, tak jak łatwizną jest atakowanie współczesnego polskiego katolicyzmu wedle tych samych kryteriów, urobionych z obserwacji powierzchownej, rzec można obyczajowej, a nie naprawdę socjologicznej. „Wiejskość” części (z pewnością), czy całości (co jest uproszczeniem) inteligencji przedwojennej miała ogromne zalety, które między innymi pozwoliły na właściwie łatwe scementowanie Polski odrodzonej z trzech tak odmiennych zaborów. Miała też zaletę stabilności świadomości narodowej, której nie trzeba było odbudowywać — jak w Czechach pozbawionych przez stulecia niepodległości, czy jak we Włoszech, rozparcelowanych na odrębne kraiki. Wiejskość to była przede wszystkim ciągłość, gdzie odbudowa znaczyła działalność mechaniczną a nie intelektualną, ta bowiem istniała zawsze i nikt jej nie musiał odbudowywać, bo była częścią struktury społecznej tej warstwy, wyrastającej z bujnie rozmnożonej i coraz słabiej osadzonej w ziemiach szlachty, co przechodziło z kolei na inne grupy, nieszlacheckie, które jednak własnej tradycji narodowo-społecznej nie posiadały pod dostatkiem.

Zdaje się, że to Rosjanie wymyślili określenie „intelektualisci”, wynosząc do rangi „czerwonej arystokracji” niektóre — te „równiejsze” — egzemplarze gatunku. Nie ma potrzeby oponować przeciwko temu wynalazkowi: byłoby z jednej strony małostkowością odrzucanie czegokolwiek tylko z racji bolszewickiej proweniencji, a co więcej — byłoby świadectwem ślepoty. Obserwacja bowiem wskazuje, że w toku kolejnych przeobrażeń społecznych istotnie wytworzyła się odrębna warstwa intelektualistów spośród wzbierającego morza inteligencji.

Proces ten musiał nastąpić, bowiem nieprzewidziany przez ojczulków rewolucji rozwój warstwy, przeobrażającej się jakby w klasę zastępczą, zagroził nowemu ustrojowi. Należało się z tym procesem pogodzić, bowiem o zatrzymaniu go mowy już być nie

mogło, a raczej na tyle go przeobrazić, by utracił „klasową” ostrość. Nie była to rzecz trudna. Wystarczyło tak ustawić szkolnictwo, aby zaczęło sposobić „inteligencję pracującą”, czyli „inteligencję techniczną”. Oba określenia są nieadekwatne, bowiem stwarzają pozór, że socjalistyczny wychów nadal produkował inteligencję *tout court*. Tymczasem wcale tak nie było: zaczęła się era inteligencji pozornej, niepełnej, ograniczonej zawodowo a wyjąłowanej intelektualnie. Każda dyktatura boi się ludzi wykształconych, ogranicza ich liczbę. Komunizm sowiecki miał znakomitą okazję: dwa pokolenia oddaliły Rosję i jej „republiki” od własnej tradycji inteligencji, można było w tym czasie wyprodukować nową pseudointeligencję „pracującą” i zneutralizować szok przeobrażenia. Powstała kulfoniasta, amorficzna, zawieszona w społecznej poniekąd próżni warstwa, skąd drogą doboru negatywnego ekstrahuje się kandydatów do nomenklatury. A także do grona „intelektualistów”.

Byłoby oczywistym absurdem twierdzić, że inteligencja w krajach socjalistycznych (a w jakiejś mierze dotyczy to i państw demokratycznych) składa się wyłącznie z elementu niedouczonego, otepiałego i zniewolonego psychicznie. Tak nie jest, bowiem owa inteligencja jest stałą dostarczycielką nowych sił warstwie intelektualistów, zarówno w procesie w jakimś tam stopniu kontrolowanym przez państwo, jak i w samoczynnym awansie zdolniejszych jednostek. Zaplanowanemu i odgórnie kierowanemu procesowi negatywnego doboru „intelektualistów” dyspozycyjnych przeciwstawia się inny — pozytywny, bo naturalny proces awansu jednostek najwybitniejszych. Zresztą i całej coraz to poszerzającej się niwy-klasy inteligencjonalnej nie można pomawiać o jakieś cechy negatywne, a jedynie o niedokształcenie ogólne, o technicyzację, z której wszelako dość szybko potrafi ona wychodzić w okresach społecznych stresów. W ciągu wspaniałych szesnastu miesięcy oficjalnej działalności „Solidarności” można było obserwować zarówno masowy proces społecznego samokształcenia inteligentów (na równi z robotnikami czy chłopami), jak i indywidualne awanse ludzi nieprzeciętnych, jak chociażby Bujaka i wielu innych przedstawicieli czołówki tego ruchu.

Oczywiście jest to zjawisko w najwyższym stopniu niebezpieczne dla reżimu, toteż przeciwdziała on mu na wszelkie sposoby. Można wymienić jako podstawowe: 1. ogłuszanie społeczeństwa ubóstwem, martwością i beznadziejnością egzystencji, tak że wielu ludziom najmniejsza nawet stabilizacja wydawać się zaczyna wymarzoną celem i najwyższym osiągnięciem, odkładają więc niejako na bok proces myślenia; 2. otepianie społeczeństwa głupią lecz nachalną i wszędzie się wciskającą propagandą, przy równoczesnym dalszym równaniu w dół szkolnictwa podstawowo-

wego i średniego oraz oczyszczaniu wyższych uczelni z jednostek podejrzanych o „wrogie” poglądy; 3. kierowanie uwagi społecznej ku innym problemom niż właśnie społeczne — ku sportowi, rozrywce (ale możliwie sprymitywizowanej, jak to, co obserwujemy w działalności Domów Kultury, zwłaszcza na prowincji). *Panem* czarzątką socjalistyczne nie dysponują w nadmiarze, tym więc bardziej wzmożone zapotrzebowanie na *circensens*.

A *propos* sportu: nikt o zdrowych zmysłach nie będzie negował znaczenia sportu w życiu społecznym, zarówno jako społecznej działalności zdrowotnej, jak i jako rozrywki — pasji kibicowania. Ale proszę zwrócić uwagę, jak bardzo w PRL wzrasta dysproporcja pomiędzy zawodowym sportem wyczynowym i rozrywkowym, gdzie szafuje się miliardami, a anemią sportu szkolnego i tzw. masowego, gdzie oszczędza się na każdej piłce, siatce i koszulce.

W konkretnym polskim przypadku można zaobserwować pewne ciekawe zjawisko, które dałoby się nazwać eskalacją głupstwa. To zresztą jeden z elementów składowych szerszego zjawiska — taktyki eskalacji, którą komuniści zawsze stosują w momentach przesileni, w momentach jakichkolwiek przejawów niezadowolenia społecznego. Otóż od ogłoszenia stanu wojennego trwa nieustanne pogłębianie prymitywizmu propagandowego, spłaszczenia intelektualnego, działań zmierzających do zatamowania wszelkiej śmielszej działalności twórczej czy naukowej. Oczywiście — powie ktoś, że propaganda PRL-owska, znacznie zresztą subtelniejsza od propagandy ZSSR czy innych „demoludów”, nie była mądra za Gomułki czy Gierka (nie mówiąc o haniebnej epoce bierutowskiej), ale proszę jednak porównać głupotę tamtą z głupotą obecną. Toż tamta wydaje się dziś wprost wyrafinowaniem intelektualnym w porównaniu z tym, co nam prezentuje wymieniony na esbecki zespół spikerów, prezentatorów itd. w szklanym okienku i w radiowym głośniku, w prasie codziennej i tygodniowej.

Co więcej, ekipie Jaruzelskiego jakby wcale nie zależało ani na tym, by się poprzez własną propagandę uwiarygodnić społecznie, ani o to, by pozyskać sympatię. Ta drewniana działalność, oparta bardziej na skuteczności pałki niż na argumentach, może oddziaływać tylko na zupełnie bezmyślnych ludzi. Także dobranie sobie za rzecznika prasowego człowieka tak niepopularnego, tak zresztą obiektywnie odrażającego nie tylko aparycją, ale i głębokim chamstwem swej argumentacji świadczy, jak mało tej czwartej, skompromitowanej ekipie zależy na skaptowaniu społeczeństwa. Wydaje się, że propaganda adresowana jest wyłącznie na zewnątrz i że ma być w oczach Wielkiego Brata i jego czesko-

niemieckich pikietarów rękojmą „dobrej woli” i rozwijania „frontu ideologicznego”. Za wydumany żart uznać bowiem należy sugestię, jakoby utrzymywanie na widoku publicznym takich okazowych kolaborantów jak Urban i Sandauer miało służyć podsycaniu w społeczeństwie antysemityzmu.

Tezie o „taktyce eskalacji” przeczyć może fakt, że od uchwalenia amnestii ekipa Jaruzelskiego stara się jakby wychodzić na przeciw społeczeństwu, a w każdym razie pozoruje takie wyjście, łagodząc chwilami propagandowy jazgot. Ale nie czyni tego bynajmniej z dobrej woli. Okazuje się, że sankcje gospodarcze, pomimo niesolidarnego stanowiska Zachodu, są argumentem najpewniejszym i jeżeli PRL ma wyjść z kryzysu, a z pomocą ZSSR i jego gospodarczo chybotliwych państw wasalnych tego nie dokona, to musi uzyskać zwolnienie z tej presji, której obecnie podlega. Może nawet samym władzom takie wyjście nie byłoby miłe (łatwiej trzymać za pysk głodnych), zwłaszcza — przecież to argument właśnie Urbana, jakże psychologicznie trafny — że „rząd się i tak wyżywi”, ale z drugiej strony stały niedostatek, regres, dziadowanie wytwarzają nowe wstrząsy społeczne, a tych należy się bać jako ognia, nie tylko dlatego, że mogą zagrozić „socjalistycznemu” państwu (SB i MO są dostatecznie mocne, by je zdławić), ale przede wszystkim dlatego, że kompromitują rządzących w oczach „najwierniejszych sojuszników”.

Jak bardzo amnestia była na eksport, a nie w celu wewnętrznego uspokojenia, świadczy jazgot, jaki powstał w związku z redakcyjnym komentarzem na ten temat krakowskiego *Tygodnika Powszechnego* (lapidarna odpowiedź dana atakującym była zresztą wyśmienita). Któż wówczas nie rzucił się z pięściami? W pierwszym rządzie zwarli szeregi Jan Rem, czyli właśnie Jerzy Urban, *Tu i Teraz* Koźniewskiego i esbecki *Sztandar Młodych*. Furia — jakże głupio eskalowana — ukazała całą pozorność wyjścia ku społeczeństwu. Amnestia była tylko demonstracją na rzecz Zachodu, a jak długo zwolnieni pozostaną na wolności, przekonamy się, oby nie już jutro!

Argumenty, że ekipa Jaruzelskiego nie ma się już kim posłużyć, więc mobilizuje okrucy „intelektualistów”, którzy zgadzają się z nią kolaborować, nie wydają się zasadne. Istnieje niestety dość liczna grupa ludzi zorientowanych na karierę (i niebaczących na jej krótkotrwałość, o której nakazywałyby pomyśleć upadki kolejnych ekip). Wybór jest świadomy, podyktowany absolutną pogardą dla społeczeństwa i należy do owej taktyki eskalacji, która pozorując łagodzenie kursu, w rzeczywistości stwarza permanentny, ale stopniowany stan napięcia, który — nie powodując wystąpień masowych — równocześnie popycha bardziej po-

budliwych (a takich u nas nie brak) do wystąpienia i narażania się, które pilnie bywają wykorzystywane w systemie represji.

Powróćmy do intelektualistów. Wobec nich taktyka eskalacji jest szczególnie dobrze widzialna. Cały ciąg likwidacji stowarzyszeń i związków, likwidacji co nieco tylko niezależnych czasopism (jak krakowskie *Pismo*), a przede wszystkim listy proskrypcyjne mówią same za siebie. Listy takie istniały zawsze — i za wroga inteligencji Gomułki i za snoba Gierka — ale starano się trzymać je w ukryciu, czasem tylko wybierając ofiarę, w którą się następnie waliło bez opamiętania, w sensie przenośnym (Paweł Jasienica za Gomułki) lub dosłownym (Stefan Kisielewski — też za Gomułki, który nie wytrzymał i odezwał się przez swych pałkarzy, gdy Kisiel wypowiedział się o rządzących nami „ciemniakach”).

Obecnie listy pisarzy, których nie należy wznawiać lub osób przeznaczonych do publicznego łajania są coraz jawniejsze i coraz bardziej prowokacyjne. W gruncie rzeczy nie bardzo nieraz wiadomo, wedle jakiego klucza się je zestawia. Są na nich osoby szczególnie eksponowane czy aktywne i te nazwiska są „oczywiste”, ale obok nich znajdujemy nieraz ludzi nie bardzo wiadomo za co skazywanych na milczenie, albo na pokazowe pomiatanie. Dawni ZMP-owcy, obecnie występujący obok tych, którzy zawsze byli przeciw, intelektualisci, którzy afiszowali się, przemawiali czy działali w tamtych szczęśliwych szesnastu miesiącach obok takich, którzy — zdawałoby się — niczym się nie narazili, ale widocznie czemuś się nie podobają. Zamęt jaruzelskiego systemu proskrypcyjnego świadczy chyba o ogromnym niedoinformowaniu SB, tymi to bowiem kiszczackimi kanałami płyną dyrektywy; przecież nie koncypuje ich jakiś urzędnik od wydawnictw, jakaś mało znacząca nomenklaturowa figura.

Można by też wysunąć przypuszczenie, że wszyscy, którzy się narazili są proskrybowani, tylko nie wszystkich się wymienia, albo że jest to dodatkowa metoda zastraszania: wybrani przykładowo „do rozważki” mają być odstręczającym przykładem dla ewentualnych przyszłych zakładników. Nie są to jednak sugestie zbyt przekonujące — „brzydkich” kompletuje się wedle posiadanych o nich informacji, a te są dziurawe. Że tak jest, świadczą wypowiedzi wielu przesłuchiwanym, którzy bardzo często powtarzają, że za fasadą „my wszystko wiemy” kryje się nadspodziewanie rozległa ignorancja.

System proskrypcyjny to oręż wymierzony zdecydowanie wobec intelektualistów, którzy są elementem szczególnie niewygodnym, m.in. przez to, że są to osoby znane, elita, że represjonowanie kogokolwiek staje się natychmiast powszechnie wiadome i wzbudza powszechne potępienie, często nawet za granicami na-

szego kraju. Można by wyliczyć całą długą listę uczonych i twórców, którzy są niemal nietykalni, choć wszyscy dobrze wiedzą, co oni sobie myślą o „czerwonym”.

Ale obserwuje się w ciągu ostatnich lat zjawisko jeszcze inne, ogromnie niebezpieczne, a po części związane z taktyką proskrypcyjną. Istniało ono w załączku już wcześniej, ale właśnie we wstrząsach epoki „Solidarności” i epoki stanu wojennego zarysowało się wyraźniej niż dotychczas: zjawisko świadomego niszczenia kultury polskiej.

Niszczy się ją poprzez eliminowanie najzdolniejszych, niszczy się ją poprzez stałe obniżanie pułapu szkolnictwa podstawowego, poprzez żałośnie dryfujący ku żołniersko-esbeckim „pisarzom” ruch wydawniczy, przez katastrofalny stan zabytków, przez zaniżanie standardów cywilizacyjnych, przez kompromitujące już standardy lecnictwa, przez kastrowanie produkcji teatralnej i filmowej, przez nagonki na naukowców, przez wyprzedaż mózgow i talentów w prowadzonym przez państwo „handlu niewolnikami” wysyłanymi „na kontrakt” itd. Proszę zauważyć, że każda rokująca nadzieję działalność, każdy pozytywny objaw rozwoju jest możliwie szybko i cicho tłamszony. Nie, tu nie chodzi o zwyczajną indolencję ustroju, tak wyraźnie dostrzegalną w niedorozwoju gospodarczym wszystkich państw socjalistycznych (w sowiecko-marksistowskim wydaniu), ale o działalność świadomą. Żaden z komunistycznych liderów nie zdobył się na szczere wyznanie Goebbelsa, że gdy słyszy o kulturze, to sięga po rewolwer, ale wielu z nich robi to nie afiszując się. Można zestawić długie listy takich świadomych niszczycieli. Dyrektorzy wydawnictw sąsiedują tu z dysponentami sportu, ministrowie kultury czy szkolnictwa z prowincjonalnymi kacykami burzącymi zabytkowe dwory.

Oczywiście niszczenie to odbywa się w scenerii pierwszomajowej akademii, przy fanfarach i scenografii stylizowanej na ludowo. Odbywa się w hałasie sloganów wypowiedzianych przez mówców o aparycjach natchnionych profesorów lub łaskawych dobrodziejów. Kulturę polską przeobraża się w cepelię historyczną, w cepelię współczesną i w cepelię futurologię. Intelektualisci są tego procesu świadomi. Tym większa nienawiść do intelektualistów. Oczywiście tych, którzy nie chcą dać się kupić lub ogłupić.

Julien Benda napisał przed wojną książkę, która wzbudziła niejaki poruszenie — „Zdradę klerków”. Odtąd nawróceni klerkowie zabrali się gwałtownie do politykowania, co w sumie nie przyniosło zachwycających rezultatów. Przez świat zachodni przewałała się potężna fala „postępowości” uprawianej przez tych,

którzy uwierzyli, że *ex Oriente lux*. W następstwie tego ideowego jajogłowa pojawił się w Anglii, Stanach Zjednoczonych i Francji niesławny szereg szpiegów i zdrajców. Kruczkowski napisał sztukę (kiepską), a cały aparat propagandowy państw „socjalistycznych” wylewał potoki łez przy okazji stracenia zdrajców — małżeństwa Rosenbergoów, gdy równocześnie, bez łyzy, bez słowa protestu wykańczano w północnych łagrach już nie tysiące, ale miliony nieszczęśliwych. Proces komunistycznego ludobójstwa odbywał się wśród grobowego milczenia intelektualistów zachodnich, tak wzruszających się losem pary małżeńskiej, która przehandlowała Sowietai tajemnicę atomową. Prawdziwa zdrada klerków przypadła dopiero na lata powojenne i można sądzić że nastąpiło to w związku z masowym opuszczeniem przez intelektualistów ich „wież z kości słoniowej”, przez co zatarcili perspektywę, przestali widzieć szeroko i daleko, zaczęli oglądać z bliska to, co im do oglądania i wysłuchiwanie podsuwano.

Można zrozumieć fascynację i fobie intelektualistów, zwłaszcza amerykańskich, gdzie narastająca gwałtownie warstwa inteligencji technicznej, reprezentującej ogromnie pewny siebie a głęboko prymitywny konserwatyzm, właściwie zaś nie konserwatyzm, który jest interesującą i ważną propozycją ideową, ale — zapożyczmy się w wokabularzu sowieckich propagandystów — wsteczność. Ci, którzy dostrzegali to zjawisko, chcieli szukać prawdy po przeciwnej stronie, w postępowości lewicy, nie dostrzegając jednak, jak grubym cudzysłowem naznaczona była ta postępowość, jak zamaskowanym — innym nieco przykładem wsteczności.

Na tym tle zrozumieć można poczucie pustki i głęboki zawód ogarniający tych, którzy przejrawszy i odszedłszy od *New Left* nie dostrzegli żadnej innej propozycji do przyjęcia. Swoistym reliktem tej prawdziwej „zdrady klerków” są oceny polskiego sierpnia i polskiego katolicyzmu dokonywane przez niektórych publicystów zachodnich, zarzucających im „wiejskość”, „konserwatyzm” itd. Fala wielkiego zaćmienia intelektualistów Zachodu wyraźnie opada; po wschodniej stronie kontynentu sprawy od początku były dość jasne: polska (a także czeska, węgierska i inne) zdrada klerków po 1945 roku dokonała się w dymnym ataku sowieckiej ideologii, w fascynacji władzą mocną i bezwzględną, w perspektywie, że niczego jak tylko zwycięstwa sowieckiego komunizmu nie można się spodziewać. Otrzeźwienie jednak przyszło niezwykle szybko i kolejne wstrząsy: niemiecki w NRD, węgierski, polski i czeski pozbawiły wszystkich złudzeń. Dziś na liście intelektualistów-kolaborantów wpisali się albo ludzie bez skrupułów ze średniego pokolenia, albo galeria młodych, nie

gniewnych ale miłych ludzi, marzących tylko o osobistej karierze, a koroną stała się zdrada klerków-staruchów, snujących sklerotyczne sny o potęgde. Że smutny to widok, nie warto nikogo przekonywać. Ale też nie ma żadnego powodu, by się tym marginalnym zjawiskiem ostatecznego uwiadu zajmować.

Konflikt między gwałtownie narastającymi masami niepełnej inteligencji technicznej, a warstwą elity — intelektualistami, występuje chyba ostrzej na Zachodzie niż na Wschodzie, tu bowiem każdy wstrząs przybliżał sztucznie dzielone grupy społeczne. Przykład KOR-u, typowo inteligentkiej inicjatywy, ukazuje jeden z naturalnych sposobów wychodzenia z impasu pomieszenia języków. Należy jednak wytykać i zwalczać najgorsze objawy towarzyszące gwałtownemu zwiększaniu się mas niepełnej inteligencji, którą w poważnej mierze obciąża chamstwo pewności siebie, pragnienie współczesnictwa we władzy (i to tej narzuconej, a nie wybranej), chęć wywyższania się za wszelką cenę, często odcinanie się od własnych korzeni. Niedouczenie to jeden z najgroźniejszych symptomów tego procesu. Jednocześnie świadome pauperyzowanie tych szerokich warstw przez państwa socjalistyczne wzmacnia ich rozszczenia i zaostrza dobór negatywny. „Inteligenci”, czując się dyskryminowani ekonomicznie w porównaniu z robotnikami czy chłopami, tym usilniej pragną awansu i ten jest im umożliwiany, oczywiście za cenę absolutnego posłuszeństwa partii. Można by powiedzieć, że rozdźwięk między intelektualistami a inteligencją powstaje na Zachodzie w naturalnym procesie przeobrażenia się społeczeństwa, a na Wschodzie jest zjawiskiem przede wszystkim sterowanym. I raz jeszcze warto podkreślić, że jest on ostrzejszy — bowiem ugruntowany w nowych realiach — niż rozdźwięk między intelektualistami a innymi warstwami społeczeństwa, gdzie o wiele większą rolę odgrywają podziały czy nawet bariery społeczne.

W sytuacji ostrej konfrontacji pomiędzy czwartym PRL-owskim reżimem a intelektualistami zachodzi pytanie, jaka jest odporność tej nielicznej przeciw grupy na presję i restrykcje? Odpowiedź jest trudna, wymagałaby bowiem krzyżówki proroka z komputerem: nie da się przewidzieć przyszłości w jej tylu możliwych wariantach. W świetle dzisiejszej sytuacji, należałoby obawiać się przede wszystkim rozbitcia form organizacyjnych, które dotychczas, pomimo iż łączyły we wspólnoty przedstawicieli komunistycznego *establishment*'u z dysydentami czy obojętnymi, ułatwiały współpracę i samopomoc. Oczywiście najświetlejsze i moralnie silne jednostki pozostaną odporne na politykę kija i marchewki, ale — jeśli stabilizacja tej kolejnej ekipy będzie miała szansę dłuższego działania — może zaistnieć zjawisko rzeczywis-

tego czy pozorowanego (wychodzi to na to samo) pogodzenia się z postulowanym odgórnie *status quo*.

Z drugiej strony rodzi się pytanie, czy właśnie owa likwidacja prawowitych form organizacyjnych i utworzenie na ich miejsce dyrektywnych nie zawiera w sobie również pewnych pozytywnych elementów? Ostatecznie dotychczasowe związki i stowarzyszenia grupowały w pozorną jedność intelektualistów prawdziwych i mniemanych, ludzi o poważnym autorytecie i tych, którzy funkcjonowali w odblasku tych autorytetów. Działalność ekipy Jaruzelskiego wykopała trudny do zasypania rów pomiędzy tymi, którzy opowiedzieli się przeciw i tymi, którzy poszli na kolaborację. Czy mogą w przyszłości zasiąść przy wspólnym stole i odtwarzać jakąś zawodową wspólnotę ludzie pokroju Koźniewskiego i Auderskiej, Dobraczyńskiego i KTT oraz takie szczególne osobniki jak Wasilewski i Rakowski wspólnie z ludźmi, którzy zakosztowali „internatów”, proskrypcji czy innych szykan?

Zburzenie dotychczasowych form organizacyjnych, w których działała większość intelektualistów naszego kraju, jest poważnym uderzeniem w tę grupę, ale równocześnie swoistym oczyszczeniem. Warto sobie zdawać z tego sprawę w momentach darcia narodowych szat. Jednocześnie jednak nie można pozostawiać ludzi, bardzo wybitnych nieraz, ale też najczęściej słabych (w sensie ekonomicznym, a nie moralnym) ich własnemu losowi. Oni poświęcają samych siebie dla społeczeństwa i mają prawo spodziewać się, że w trudnym czasie społeczeństwo się od nich nie odwróci, nie zapomni o nich. Druga sprawa dotyczy wyłącznie twórców, zwłaszcza pisarzy, postawionych w szczególnie trudnym położeniu. Artysta potrzebuje kontaktu, potrzebuje odbioru. Tylko grafoman pisze dla siebie samego. Trudność polega na tym, że ruch wydawniczy drugiego obiegu ma niewielką pojemność i nie może się zajmować publikacjami artystycznymi, mając konkretne szkoleniowe, polemiczne, programowe i informacyjne cele, z drugiej zaś strony nie każdy pisarz może publikować pod własnym nazwiskiem, nie narażając się na przesładowania (w świetle ustawodawstwa jaruzelskiej „normalizacji” publikowanie swych prac w określonych politycznie wydawnictwach zagranicznych czy drugiego obiegu jest karalne).

W tej dziedzinie wiele pomóc może Kościół, udostępniając podległe mu lokale na spotkania autorskie, prelekcje i dyskusje. Taka współpraca istnieje m.in. z KIK-ami, ale jest to wciąż trochę za mało, jak na potrzeby środowisk twórczych. Inicjatywa należy też do samych twórców, którzy muszą się jednoczyć poprzez wzajemne wspomaganie słabszych, młodych i debiutantów. Nie chodzi o kaperowanie, ale po prostu jest to wielka bitwa

o dusze. Nie są to zbyt donośne słowa, ale skutek nauki, że jeden poślizg może sprowadzić cenną, uzdolnioną jednostkę na manowce, z których trudno powrócić. Z czystością moralną intelektualistów jest bowiem trochę tak jak z dziewictwem: utrata jego jest czasem drogą do największego postępowania kobiety — macierzyństwa (a u twórcy — twórczości), czasem natomiast prowadzi bezpośrednio do skurwienia.

Rola intelektualistów w społeczeństwie jest ogromnie ważna, są oni papierkami lakmusowymi i barometrami, spełniają rolę moralistów i instygatorów. Ale ich rola musi być też dość dokładnie określona przynależnym im zakresem działania. Znamy z historii — dawnej i niedawnej — przykłady, gdy intelektualiści, którzy wprost sięgnęli po władzę, stawali się albo nieudolnymi karykaturami polityków, albo wyjątkowo bezwzględnymi despotami. Już Platon, ojciec filozofii idealistycznej, stworzył wizję państwa biurokratyczno-policyjnego i postulował wypędzenie z niego poetów jako niepotrzebnych społeczeństwu. W rzeczywistości niepotrzebni byli filozofowie, który po prostu obawiał się społecznej kontroli ze strony najświatlejszych. Koszmarne rządy Duvaliera i Pol Pota, wychowanków wyższych uczelni, są makabrycznymi przykładami dyktatury fanatyków ideologii, którzy swe wydumane koncepcje wcielają w życie poprzez sfanatyzowanych morderców. Nie, intelektualiści nie powinni rządzić, bowiem byłyby to rządy najgorsze: krzyżówka dyletantyzmu politycznego ze spekulatywnością abstrakcyjnych koncepcji społeczno-państwowych. Powinni pozostawać tam, gdzie jest ich miejsce: w swoich wieżach z kości słoniowej, gdzie pewna izolacja wyostrza zmysł twórczy (w najszerszym tego słowa znaczeniu, każda bowiem działalność intelektualna jest w jakimś stopniu twórczością), a z drugiej strony otwiera szersze perspektywy, pozwalające dostrzegać każde niebezpieczeństwo. Wychodzenie intelektualistów na ulicę czy okupowanie przez nich stanowisk władzy jest niebezpieczeństwem dla nich samych, ale przede wszystkim dla społeczeństw.

Równocześnie jednak niezbędne jest utrzymanie wspólnego języka pomiędzy tą elitą a najszerszymi kręgami społeczeństwa. W Polsce uświadomiono sobie to dopiero w ostatnich latach i wciąż nie jest to zjawiskiem powszechnym, nadal bowiem wielu intelektualistów uprawia mowę ezoteryczną, makaronizującą czy to pseudonaukowo, czy pseudoliteracko. Stała kontrola własnego języka i zachowanie jego związku z ubogim, amorficznym ale powszechnym językiem społeczeństwa stanowi ważny element przeciwdziałania „pomieszaniu języków”. Ten ubogi język powszechny Polaków trzeba wzbogacać, uprecyzyniać, a zarazem

strzec pilnie przed infiltracją nowomowy, która jest wygodnym narzędziem w programowo dokonywanym „pomieszeniu języków” społeczeństwa.

Dochodzimy do sprawy najważniejszej: do roli i sposobu funkcjonowania intelektualistów w społeczeństwie. Oczywiście narzucić niczego się nie da i z pewnością zawsze będzie istnieć grupa zaabsorbowana zadaniami, które sama wybrała i przed sobą postawiła oraz programowo ślepa i głucha na wszystko, co w orbitę tej problematyki nie wchodzi. Nazwijmy ich intelektualistami nieświadomymi lub półświadomymi. W przeciwieństwie do nich intelektualista świadomy będzie dobrze rozumiał zakres swoich powinności wobec społeczeństwa. Powinności te będą zaś wynikać zarówno z wybranej przezeń problematyki, jak też i z tego zakresu spraw, które całemu społeczeństwu, szczególnie zaś jego czułkom-intelektualistom, narzuca przeobrażająca się rzeczywistość polityczna, społeczna, ideowa, ekonomiczna itd. Niestety sfera intelektualnych powinności jest rozległa i zobowiązująca.

Funkcjonowanie intelektualistów świadomych i poddających się zobowiązaniom narzucanym im przez ich własny status społeczny przypomina w jakiejś mierze funkcjonowanie Kościoła. Jest ono tak długo właściwe i prawidłowe, jak długo dokonuje się w obrębie społeczeństwa. Używane tu metaforycznie określenie „wieża z kości słoniowej” nie stanowi sprzeczności z powyższym postulatem. „Wieża” należy bowiem określić charakter pracy intelektualisty, który wprawdzie może pełnić rozmaite funkcje służbowe, ale którego głównym zadaniem jest wykorzystywanie jako narzędzia własnego umysłu. „Wieża z kości słoniowej” to margines izolacji, który jest niezbędny dla osiągnięcia twórczego skupienia.

Ale nawet taka forma izolacji może postawić intelektualistę nagle „obok” społeczeństwa. Tak jak z drugiej strony pełne zaangażowanie się w problematykę ważną dla społeczeństwa może wywołać dążność do osiągnięcia statusu „ponad” społeczeństwem. Tymczasem ani funkcjonowanie „obok” ani „ponad” nie spełnia warunków służebności, tego najbardziej podstawowego obowiązku intelektualisty wobec swojego społeczeństwa, swojego narodu i w perspektywie całej ludzkości.

Nie ma właściwie żadnej dziedziny działania intelektualnego, która byłaby przestrzenią zamkniętą, egzystującą autonomicznie, bowiem wszystko wychodzi i powraca do ludzi. Najbardziej hermetyczne kierunki filozofii, najbardziej teoretyczne odmiany nauk ścisłych są w rzeczywistości dyscyplinami antropocentrycznymi i to w jak najbardziej zbiorowym, a nie jednostkowym wymiarze.

Komuniści przywłaszczyli sobie termin: zaangażowanie. Trzeba go niezbędnie społecznie reprivatyzować. Zaangażowanie jest podstawowym przywilejem a zarazem obowiązkiem człowieka, ale w szczególności dotyczy to intelektualistów, którzy dzięki właściwościom swych umysłów mają szczególnie ważną rolę do odegrania. Należy do nich najwyższa kontrola społeczna.

Raz jeszcze trzeba z naciskiem powtórzyć: intelektualiści nie powinni sięgać po władzę ani jej przyjmować, bowiem typ ich intelektu — najczęściej teoretyczno-spekulacyjny — zagraża każdorazowo popadnięciem w fałszywe dogmaty, bazowaniem na teorii, a nie na praktyce. Zwłaszcza filozofowie są niebezpieczni i z idealnej Rzeczypospolitej neoplatońskiej ich raczej należałoby wypędzić niż poetów, którzy — jak Gałczyński — mogą robić złą robotę i równocześnie pisać bardzo piękne wiersze. Uprawianie równocześnie złej roboty i tworzenie wzniosłej teorii nie da się pogodzić.

Otrzymując szczególne uprawnienie do zamieszkiwania „w wieżach z kości słoniowej”, intelektualiści nie mogą tworzyć z nich azyli alienacji czy bastionów wyniesionych ponad społeczeństwo. Napisał to kiedyś, przed laty Erwin Panofsky: te „wieże” powinny być zawsze także punktami obserwacji, skąd widać szerzej i lepiej. Nie zwalniają więc od uczestnictwa w egzystencji zbiorowości, ale ułatwiają pracę własną, która — w efekcie — też przecież przeznaczona jest dla ludzi.

Intelektualiści winni być barometrami i kontrolerami zarówno wówczas, gdy szkodliwe nurty ideowe będą społeczeństwa kierowały ku niszczycielstwu, ku burzeniu a nie budowaniu, jak i wówczas, gdy wytworzy się niemniej niebezpieczna, bowiem obeszła stabilizacja. Ich wyczulenie, ich zdolność kojarzenia zjawisk, ich umiejętność wyprowadzania wniosków winny być wykorzystywane przez inne warstwy społeczne nie antagonistycznie, ale harmonijnie, spolegliwie.

Buduje takie doświadczenie tylokrotna dotychczas „zdrada klerków”, bowiem tylko z błędów płynąć może słuszna nauka społeczna. *Capacitas* intelektualna to nie jest *capacitas* ściśle naukowa, gdyż wiara w naukowość analizy przeobrażeń społecznych to pierwszy krok do teoretycznych wynaturzeń ideowych, które — jak się niestety okazuje z rozmaitych przykładów — tak przecie łatwo „wcielić w życie”. *Capacitas* intelektualna to przede wszystkim zmysł analizowania tego co jest, a nie tego co być powinno. Rola naczelnej kontroli życia społecznego na tym się zasadza, bowiem wszelkie naukowe proacta natychmiast po wdrożeniu ujawniają swą nienaukową i szkodliwą istotę. Ale uwaga! Intelektualiści dysponują jeszcze jedną *capacitas*: suges-

tywnego argumentu. To przecież nie kto inny, ale właśnie intelektualści sprzed półtora wieku zbudowali „jedyną naukową” metodę, na której wyrósł bujnie wrzód najpotężniejszego w dotychczasowych dziejach ludzkości despotyzmu. Czyż nie powinno być rolą ich „późnych wnuków” wyleczenie ludzkości z choroby, w którą wpędzili ją przodkowie teoretyzujący ponad społeczeństwami!?

Józef SZRETT

NAGRODA ZA PRACĘ HISTORYCZNĄ

Institut Józefa Piłsudskiego w Ameryce uznał pracę dr. Cezarego Chlebowskiego „Wachlarz” (monografia wydzielonej organizacji dywersyjnej Armii Krajowej, wrzesień 1941 - marzec 1943), Warszawa 1983, za najlepszą książkę w języku polskim, żyjącego autora, z najnowszej historii Polski, wydaną w latach 1981-1984. Nagrodę w wysokości \$ 800 ufundowała p. Irena Wandyczowa dla uczczenia dziesiątej rocznicy śmierci swego męża Damiana Wandycza.

Ponadto „jury” wyróżniło dwie prace historyczne: Iwo Werschler „Tadeusz Hołówko” (Warszawa 1984) i Tomasz Szarota „Stefan Rowecki-Grot” (Warszawa 1983).

Zwrócono również uwagę na wysokie walory książek, będących odbiciem doby bieżącej: Jan Józef Lipski „Komitet Obrony Robotników” (Londyn 1983) i Andrzej Micewski „Kardynał Wyszyński. Prymas i mąż stanu” (Paryż 1982).

W skład „jury” nagrody wchodził: prof. Lucjan Dobroszycki, prof. Wacław Jędrzejewicz, prezes Stanisław Jordanowski i prof. Piotr Wandycz. Przyniesienie nagrody nastąpiło w dniu 8 grudnia 1984 roku. Jest to dziewiąta z kolei nagroda Instytutu Piłsudskiego nadana historykom.

KONTAKT

Miesięcznik redagowany przez członków
i współpracowników NSZZ „Solidarność”

Adres Redakcji: 152, rue St-Maur, 75011 Paris.

Zamówienia i czeki prosimy kierować bezpośrednio na adres Redakcji. Należności wysyłane pocztą przekazywać na konto pocztowe CCP Paris 351140 E.

Cena egzemplarza F. 28; Roczna prenumerata F. 300;
półroczna F. 155.

Książki

Strażnik nieistniejących cmentarzy

W końcu lat trzydziestych naszego stulecia pewien mieszkaniec mazowieckiej miejsciny opuścił kraj. W czasie morskiej podróży statek zatonął, lecz emigrant z Polski szczęśliwie się uratował i lata drugiej wojny światowej przeżył samotnie, niczym Robinson Crusoe, na bezludnej wyspie. W 1946 roku powrócił do rodzinnego miasteczka. Oglądał ślady wojny: ruiny, zgliszcza, pogorzelska, cmentarze i świeże, nieporosłe jeszcze groby. Odczuwał wciąż jakąś istotną, trudną do nazwania lukę. Nie było i ludzi, i zapachów, i smrodów, i głosów, i wrzasków, i kolorów, i szarżyny, i przestrzeni, i ciasnoty... Dopiero po jakimś czasie skonstatował, że nie było już polskich Żydów. Część tego miasteczka i całej ojczyzny przestała istnieć nieodwracalnie. Nie pozostały nawet groby.

Określając swoją rolę w literaturze, albo raczej swe powołanie, Henryk Grynberg napisał:

„(...) Zostałem pisarzem zmarłych, bo żywi mieli dosyć własnych pisarzy. Zostałem strażnikiem wielkiego cmentarza. Grobów, których nie ma poza naszą pamięcią. Czuwam, aby ich nie bezczeszczono i nie mogę narzekać na brak roboty. Zdaje mi się, że po to żyję, a czasem nawet, że dlatego (...)”.

Cytat pochodzi z książki Henryka Grynberga „Prawda nieartystyczna”, wydanej w 1984 roku w Berlinie Zachodnim przez Bibliotekę „Archipelagu” — nową emigracyjną oficynę.

Autor snuje rozważania wokół zagłady Żydów europejskich w czasie drugiej wojny światowej.

Pierwszy rozdział, „Życie jako dezintegracja”, to luźne okruchy wspomnień. Z czasów okupacji niemieckiej, gdy jako kilkuletnie dziecko żydowskie musiał za cenę życia nauczyć się być chrześcijaninem, odmawiać bez zająknięcia „Zdrowaś Mario” i „Ojcie Nasz”. Potem, zaraz po wojnie, w specjalnej szkole pod-

stawowej dla nielicznych uratowanych dzieci żydowskich z trudem wymawiał pojedyncze wyrazy w zapomnianym języku przodków. Został zetempowcem ze „szkoły imienia Pereca”, gdy komuniści zabraniali używania słowa „żyd” w języku polskim. W żniwnej brygadzie ZMP zastrajkował wraz z kolegami w Święto Matki Boskiej.

Tutaj Grynberg jest autentycznym świadkiem historii, i jego opisy i spostrzeżenia mają wagę swoistego dokumentu.

W wielce kontrowersyjnym szkicu „Altera pars” przeciwstawia kategorycznie judaizm chrześcijaństwu, Boga chrześcijan — Bogu Żydów. Pisze tak, jakby to nie ten sam Pan Bóg przemawiał w Starym i Nowym Testamencie. Z pasją stara się wyśledzić religijne i historyczne korzenie współczesnego antysemityzmu.

Czytając rozdział zatytułowany „Terra incognita”, przypomniatę sobie, że „Meir Ezofowicz” nie był obowiązkową lekturą szkolną w moich czasach licealnych. Powieść tę przeczytałem w któreś ze Świąt Wielkiej Nocy, znudzony przykazaną przez nauczyciela lekturą „Nad Niemnem”. Rad jestem, że Grynberg wysoko ocenił pisarstwo Elizy Orzeszkowej.

Piękny a prosty i krótki jest szkic o Januszu Korczaku.

W eseju „Holocaust w literaturze polskiej” autor dokonuje interesującego przeglądu świadectw zagłady Żydów. Przypomina wstrząsający i zapomniany pamiętnik Dawidka Rubinowicza. Pisze o natychmiastowych reakcjach artystycznych na tragedię warszawskiego getta: o Czesława Miłosza wierszu „Campo di Fiori”, Jerzego Zagórskiego „Psalmie” i Jerzego Andrzejewskiego opowiadaniu „Wielki Tydzień”. Podkreśla celność środków wyrazu użytych przez Zofię Nałkowską w „Medalionach”, które prostotą swej surowej i beznamietnej relacji trafiają w sedno. Zaprzecza wszelako prawdzie motta widniejącego na jej „Medalionach”. Twierdzi, że zamiast „Ludzie ludziom zgotowali ten los” powinno ono brzmieć: „Ludzie Żydom zgotowali ten los”.

Henryk Grynberg występuje w tej książce nie tylko w roli świadka i interpretatora wydarzeń historycznych. Jest także, a może nawet przede wszystkim — oskarżycielem. Stawia kategorycznie wiele poważnych zarzutów. Rzetelne ich przemyślenie to okazja do głębszej refleksji i dobra lekcja chrześcijańskiej pokory.

O głównej przyczynie zagłady Żydów napisał:

„(...) Nienawiść, która doprowadziła do tej zbrodni, wyrosła z chrześcijańskiego antysemityzmu (...)”.

Czyż nie należy tego rozumieć jako oskarżenia samego chrześcijaństwa? Wszak gdyby nie było chrześcijaństwa, nie istniałby i ów „chrześcijański antysemityzm” i nie doszłoby do tej największej w dziejach ludzkości zbrodni. Autor niedwuznacznie to zresztą w swych wywodach sugeruje.

W jakimś też sensie prawdą jest, iż u samych narodzin chry-

tianizmu legło „bogobójstwo”. Historia dokonała się tak, że Żydzi krzyżując Jezusa, stali się zabójcami Boga chrześcijan. I niewiele to przez całe dwa tysiąclecia znaczyło, że przeciw Żydom nie mieli żadnego wyboru, bo zostali „bogobójcami” z woli Boga. Nic też nie znaczyło, że sam Jezus Chrystus w swej ludzkiej postaci był Żydem i rasowo, i religijnie, i obyczajowo, a Matka Boska bogobojną i ortodoksyjną Żydówką.

Cała dramatyczna, wielce osobiwa, obfitująca w krwawe ofiary historia „narodu wybranego” trwała nadal po czasie Chrystusowym. Chryścianizm rychło przestał być sektą judaizmu. Stał się ekspansywną religią uniwersalną. Tym bardziej chrześcijanie skłonni byli obciążać Żydów zarzutem zabójstwa Syna Bożego. Stąd — przynajmniej — łatwość antysemickich tumultów w nowożytnej Europie. Także na naszych ziemiach.

To prawda, albo raczej — to część prawdy.

Antysemityzm nie narodził się bowiem bynajmniej wraz z chrześcijaństwem. Istniał dużo wcześniej, a jego starożytne formy i przejawy nie były wcale mniej antyhumanitarne i mniej obraźliwe niż w średniowiecznej Europie.

Wydarzenia brzemiennie w nowożytnych dziejach narodu żydowskiego z chrześcijaństwem jako religią niewiele miały wspólnego. Po krwawo stłumionych powstaniach Żydów przeciwko Rzymowi (w latach 60-70 i 132-135) Jerozolima została doszczętnie zniszczona. Na jej gruzach cesarz Hadrian założył rzymskie miasto o nazwie Aelia Capitolina. To pogański Rzym chciał odebrać narodowi izraelskiemu tożsamość, ten sam, który w tym czasie posyłał na śmierć pierwszych chrześcijan. Żydzi się rozproszyli, rozpoczyna się Wielka Diaspora. Tylko religia zapewniła przetrwanie tego narodu wśród różnych ras, nacji i wyznań.

W 1492 roku następuje wygnanie Żydów z Hiszpanii. Znaczna ich część (tzw. Żydzi sefardyjscy) udaje się do Palestyny i Turcji. Żydzi zwani aszkenazyjskimi, licznie zamieszkali w Europie środkowej, szczególnie w krajach niemieckich, wypierani są coraz bardziej na wschód i osiedlają się w końcu na ziemiach polskich. Chrześcijańska Rzeczpospolita staje się tedy krajem azylu dla Żydów wygnanych z chrześcijańskich krajów Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Ziemię naszą stają się tym samym największym podówczas na świecie skupiskiem Żydów.

Główny akt tragedii holocaustu dokonał się tylko dlatego na polskiej ziemi, że tutaj żyła przygniatająca większość Żydów europejskich. Dlatego tylko mordercy wybrali te ziemie na tereny egzekucji.

Oto prosta, ważna prawda. Mniemać wolno, że do jej głoszenia uprawniony i zobowiązany jest także Henryk Grynberg, tym bardziej jako „strażnik nieistniejących grobów”. Próżno szukać będziemy jednak tej prawdy nawet między wierszami jego esejów.

Zaprzecza wprowadzić absurdalnym twierdzeniom, rozpowszechnianym tu i ówdzie, jakoby powodem wyboru ziem polskich na

teren zagłady był szczególnie silny antysemityzm polski, ale pisze też i tak:

„(...) Korzeni antysemityzmu jest w kulturze europejskiej dosyć — od chrześcijańskich początków do hitlerowskiego i marksistowsko-leninowskiego końca. Obfita jest historia tego antysemityzmu. Wygnanie z Anglii, wygnanie z Francji, wygnanie z Hiszpanii, wygnanie z Portugalii, a także na drobniejszą polską skalę wygnanie w 1493 roku z Krakowa (...).”

Takie sformułowanie nie tylko nie wyjaśnia istoty owej „polskiej skali”, ale przez kontekst w którym jest użyte służy fałszowaniu historii. Wspomniane wygnanie z Krakowa było wysiedleniem ludności żydowskiej do dzielnicy miasta — Kazimierz. Można i należy je traktować jako niehumanitarną szykanę, ale nie pozostaje w żadnej proporcji do wypędzenia Żydów z innych krajów europejskich w owym czasie.

Antysemityzm nie jest Polakom obcy. Powoływać można istotnie wiele przykładów rażących jego przejawów. Od programowych zawołań endecji poprzez ekscesy falangistów Piaseckiego i flirty z nimi części obozu rządowego w latach 1936-1939, aż do poczynań moczarowców i innych pogrobowców antysemityzmu w PRL.

Często też Polacy ze starszych pokoleń w rozmowach na temat holocaustu po wyrażeniu szczerego oburzenia i potępienia sprawców, zaraz potem przywołują wielką liczbę Żydów w Polsce przedwojennej. W domysle — nazbyt wielką. Przedstawiają też różnorakie perturbacje, komplikacje i problemy społeczne, polityczne i gospodarcze z tego wynikające. Takie odruchy myślowe trudno nazwać antysemityzmem, ale nie powinny już mieć miejsca po dokonaniu się na naszej ziemi zbrodni o rozmiarach, wobec których człowiek staje bezradny, a wszelkie próby jej opisu pozostaną bodaj na zawsze tylko mniej czy bardziej udanymi próbami.

Potępiać i piętnować należy wszelki antysemityzm jako jawny antyhumanitaryzm. Zobowiązani jesteśmy jednak dokonywać rozróżnień także w rodzajach i stopniach antysemityzmu, w przeciwnym razie łatwo o fałszywe uogólnienia.

Spojrźmy oto na kilka postaci.

Ksiądz prałat Godlewski, pomawiany nieraz o antysemityzm, jako proboszcz parafii Wszystkich Świętych na Placu Grzybowym w Warszawie ukrywał i uratował wielu uciekinierów z getta.

Rudolf Hoess, komendant obozu Oświęcim-Brzezinka, wysyłał transporty do komór gazowych nie zaniebując osobistego nadzoru. W pamiętnikach deklaruje się jako rozdarty moralnie chrześcijanin. Pisze, że nie odczuwał żadnej nienawiści do prowadzonych na śmierć. Przeciwnie, szczerze im współczuł. Nie pojmował sensu i celu mordowania Żydów. Ogromnie przeżywał śmierć swoich ofiar i żałował ich jako człowiek. Po każdym kolejnym transporcie modlił się żarliwie. Nie możemy określić jego poglądów jako fanatycznie antysemickich. Uważał jednak,

że rozkaz Führera, jakkolwiek niepojęty i nieludzki, musi być bezwzględnie wykonany. Troskał się także, że ruszty pieców krematoryjnych zbyt szybko się zużywają i że nie będzie w stanie wykonać „planu przerobu”, narzuconego przez berlińską centralę.

Etykiетkę antysemity przypięto świętemu Maksymilianowi Kolbe.

Antysemitą okrzyknięto Józefa Mackiewicza za użycie w jednym z felietonów zwrotu „Żydki”. Jest on autorem bezprecedensowej, wstrząsającej relacji z Ponar, miejsca zagłady Żydów wileńskich. Warto by uwzględnić ten tekst Józefa Mackiewicza w przeglądzie świadectw holocaustu w literaturze polskiej.

Gdyby zaakceptować sposób oglądu i kwalifikacji zjawiska antysemityzmu stosowany przez Grynberga, to nie byłoby żadnych podstaw do jakiegokolwiek zróżnicowania postaw moralnych i oceny tych ludzi.

Autor obciąża odpowiedzialnością tak zwany „nowoczesny antysemityzm”, przez co rozumie antysemityzm chrześcijański, będący wytworem rzekomo nieprzewidywalnej kontrowersji religijno-etycznej między chrystianizmem a judaizmem. Pisze wprost, że to chrześcijaństwo stworzyło:

„(...) podstawy nowoczesnego antysemityzmu, tego samego, który jest odpowiedzialny za pogardę, czasy pogardy oraz ukrzyżowanie sześciu milionów (...)”.

Zarzut to niesłuchanie ciężki wobec chrześcijan i trudno do prawdy rzetelnie z nim polemizować. Grynberg stawia go bowiem bez żadnych dowodów. Równie dobrze można by twierdzić, że winę ponoszą konstruktorzy maszyny parowej i wynalazcy kolei żelaznej, wszak bez tych wynalazków wymordowanie sześciu milionów nie doszłoby do skutku z powodu braku środków przewozowych.

Nie mając zatem możliwości polemiki z argumentacją autora, bo takowej w jego książce nie znajduję, przedstawię własną propozycję odpowiedzi na owo pytanie w kwestii zasadniczej, acz przyznam, nie jest ona bynajmniej oryginalna.

Odpowiedzialnością można obarczyć Niemców. Niemców jako naród w tamtych czasach, Niemcy jako faszystowskie państwo narodowe, Niemców jako nazistów i innych Niemców, także i niemieckich chrześcijan, lecz i tych licznych uprzednio niemieckich komunistów czy socjalistów, którzy zastraszeni albo odurzeni wsparli później Hitlera.

„Mein Kampf”, traktat nienawiści do człowieka, nienawiści do Żydów, wymyślony i napisany został po niemiecku i dla Niemców, a jego argumentacja trafiła do znakomitej większości narodu niemieckiego, który dopuścił partię faszystowską do władzy w legalnych wyborach. Niemcy napaścią na Rzeczpospolitą rozpoczęli drugą wojnę światową, podbili Europę, spędzili Żydów do gett i wymordowali. To znani przecież z nazwiska Niemcy, w Berlinie, 20 stycznia 1942 roku zdecydowali o „ostatecznym

rozwiązaniu kwestii żydowskiej" (*Endlösung der Judenfrage*). To Niemcy zaplanowali i zorganizowali obozy zagłady, wynaleźli i produkowali cyklon „A” i „B”, krematoria, komory gazowe i ruszty do masowego palenia zwłok.

Po co przywołuję te notoria?

W książce Grynberga Niemcy jako sprawcy holocaustu znajdują się zupełnie w tle, już nie na drugim, lecz na trzecim planie. Można by mniemać, że tak naprawdę to najwinniejsi byli: polscy antysemita, szmalcownicy, granatowi policjanci, chłopci-de-nuncjatorzy i w ogóle... chrześcijanie.

Czy zagłada Żydów byłaby możliwa, gdyby nie było tamtych Niemców i tamtych Niemiec? Czy antysemityzm polski doprowadziłby i tak ludzkość do tej zbrodni?

Ale supozycja obciążająca Niemców jako naród odpowiedzialnością za holocaust — też nie daje się utrzymać. Byłoby to wszak swoistym, odwróconym niejako, potwierdzeniem fałszywych i niemoralnych teorii rasowych i nacjonalistycznych. Wiemy też, że żyli wtedy wcale liczni inni Niemcy, którzy sprzeciwiali się złu lub go nie akceptowali, a każdy pojedynczy nawet wyjątek musi przekreślić zasadność oskarżenia całego narodu.

Czy możliwe jest zatem wskazanie winnych?

Leszek Kołakowski w eseju „Ludobójstwo i ideologia” napisał tak:

„(...) Żadna bodaj ideologia, a już na pewno żadna ideologia z pretensjami uniwersalnymi, nie jest obwarowana przeciw możliwości, iż będzie wykorzystana jako narzędzie ucisku i niewoli. Dotyczy to wszystkich systemów religijnych, ideałów socjalistycznych i anarchistycznych, doktryn narodowych i wszelkiego rodzaju szlacheckich utopii. Z pewnością niektóre ideologie lepiej nadają się do tego celu, a inne gorzej: hitlerizm był pod tym względem najwyraźniej wyjątkowy; ale jeżeli sądzić rozmaite poglądy na świat jedynie wedle ich formalnej zawartości, to wydać się może, że mało które tak źle jak chrześcijaństwo nadaje się na uzasadnienie ucisku, niemniej wykorzystywano je do tego, gdy zaszła potrzeba (...)”.

Polski filozof nie przedstawił prostej, jednoznacznej formuły.

Można odpowiedzieć tak, że winę ponosi faszystowska ideologia nienawiści jako wytwór umysłu ludzkiego. Jako produkt umysłu człowieka, który obdarowany został wolną wolą czynienia także najpotworniejszego zła. W tym wypadku jakże trafna jest wymowa motta Zofii Nałkowskiej z „Medalionów”: „Ludzie ludziom zgotowali ten los”.

Polacy, jako naród chrześcijański i bynajmniej nie antysemita w przewadze, powinni rozważać swoje postawy z czasów, gdy dokonywała się na ich oczach i na ich ziemi totalna zagłada współbraci-Żydów. Winniśmy też rozważać obecny nasz stosunek do tamtych wydarzeń. Ma bowiem rację Grynberg, gdy pisze, że:

„(...) nie było na ziemiach polskich wydarzenia donioślejszego dla ludzkości, ważniejszego doświadczenia (...) równie ważnego wydarzenia nie było w dziejach całej Europy (...)”.

Wciąż ponawiane narodowe rachunki sumienia są i płodne intelektualnie, i odnawiające moralnie. Lektura tej książki jest dobrą okazją do takich przemyśleń.

Prawda, że autor bywa nieobiektywny, że nie zawsze zdobywa się na stosowny dystans do opisywanych zjawisk. Wszystko to prawda. Nie zapominajmy wszelako, że jako sześćcioletnie dziecko żydowskie uratowany z transportu do Treblinki, ma do tego prawo. Nie dziwny się zatem, że holocaust jest jego obsesyjnym tematem.

Rolę strażnika nieistniejących cmentarzy wypełnia sumiennie, a zadanie to ważne, smutne i niewdzięczne. Pisze gorzko:

„(...) Czuję się tu zbłąkany, pomiędzy światami. Pomiędzy żywymi a zmarłymi. Żydami a Polakami, nie moimi pokoleniami. Nie należę ani tu, ani tam. Albo jednocześnie i tu, i tam (...)”.

Po uważnym przeczytaniu tej trudnej książki musimy dojść do przekonania, że jej autor jest naszym rodakiem, polskim pisarzem. Jest z „Ojczyzny mojej”. Także z tej bliższej, którą pojmujemy jednak, bo znam drogę do letniskowych Urli nad płytkim, meandrami płynącym Liwcem, a wiedzie ona przez Stanisławów, nawet nie miasteczko lecz osadę, gdzie zachowało się jeszcze kilka wciśniętych w ziemię starych drewnianych domków, pamiętających zapewne swych mieszkańców sprzed zagłady. Te chałupiny i może jakieś bardzo stare drzewa mazowieckie zastępują w pamięci pomniki nieistniejących cmentarzy.

Andrzej SZULCZYŃSKI

Czytam (2)

Dokoła Herberta (i Barańczaka)

Zbigniew Herbert ukończył w roku 1984 sześćdziesiątkę, co określa się na emigracji szczytową datą wieku średniego. Ale nawet „pan w pewnym wieku” nie pasuje do „barbarzyńcy w ogrodzie” i wędrownika uwiecznionego na greckich filmach Czajkowskich, które przed laty oglądałam w Londynie. *Many happy returns*, drogi panie Zbigniewie!

Tygodnik *Powszechny* potwierdza wrażenie, że „ten wielki poeta polski jest w pełni sił twórczych i wciąż nas obdarza nową wspańiałą liryką”. Pan Cogito ma jeszcze niejedno do powiedzenia i daj mu Boże, by nie skąpił nam swych refleksji i by następne krajowe wydania „Wierszy zebranych” obejmowały całość dorobku poetyckiego wolną od ingerencji cenzury.

Całą stronę nr 44-go *Tygodnika Powszechnego* wypełniły poświęcone Herbertowi wiersze Julii Hartwig, Anny Kamińskiej, Wiktora Woroszyńskiego, Artura Międzyrzeckiego, ks. Jana Twardowskiego (do „Pana Cogito zdziwionego meandrami świata”), Ryszarda Krynickiego, Jacka Łukasiewicza, Marka Skwarnickiego (z przejmującą skargą na „Bezsilną wściekłość historii”) i Jana Polkowskiego. Jest w tym zbiorowym hołdzie coś szczególnie wzruszającego, nadającego mu wyraz powszechnego aplauzu i przyjaźni. W nocy redakcyjnej, towarzyszącej wierszom nazwano Herberta „towarzyszem naszej doli i niedoli”, a jego *alter ego* — Pana Cogito „zwykłym, strapionym i przytłoczonym współczesną egzystencją, myślącym przechodniem polskich i nie tylko polskich ulic i dróg”.

Niemal równocześnie ukazały się w Kraju w drugim uzupełnionym wydaniu „Wiersze zebrane” (1982, Czytelnik) w groteskowo niskim nakładzie 10.280 egzemplarzy — a w Bibliotece „Kultury” (tom 380, Paryż 1983) tom wierszy pt. „Raport z obłożonego miasta i inne wiersze”, będący przedłużeniem wydania krajowego, ale już „poza cenzurą”. W teorii oznacza to możliwość ogarnięcia całokształtu twórczości Herberta w tekstach opublikowanych do roku 1982. W praktyce wygląda to tak, że krajowy posiadacz wydania warszawskiego zdobywać musi z trudem wydanie paryskie i *vice versa*, my, poza Krajem, mamy duże trudności z uzyskaniem wydania krajowego, gdyż przeszliźnięto się tylko przez księgarnie i od dawna jest wyczerpane.

Podobnie rysuje się sytuacja na odcinku książek o Herbercie a właśnie ukazały się dwie: Stanisława Barańczaka „Uciekinier z utopii. O poezji Zbigniewa Herberta” (Londyn 1984, Polonia) i Andrzeja Kaliszewskiego „Gry Pana Cogito” (Kraków 1982, Wyd. Literackie). Zestaw ten należy uzupełnić „Rozmową ze Zbigniewem Herbertem” Adama Michnika, opublikowaną pod wymownym tytułem „Płynie się zawsze do źródeł pod prąd, z prądem płyną śmiecie” w numerze 8-ym krajowej *Krytyki*, przedrukowanym w Londynie nakładem „Aneksu”; jest to odpowiednik rozmów z Gombrowiczem D. de Roux albo „Podróżnego świata”, rozmów Ewy Czarneckiej z Miłoszem.

Stoimy wobec godnego najwyższej uwagi zjawiska: pomnażający się nadal dorobek poetycki Herberta rośnie w siłę i zasięgiem swym ogarnia coraz szersze koła czytelników. „Powrót prokonsula”, „Tren Fortynbrasa”, „Ze szczytu schodów” czy „Raport z obłożonego miasta” są już własnością tych nawet, którzy nie wiążą ich autorstwa z Herbertem. Wiersze jego nie starzeją się, nie przedawniają. Czytelników uderza czytelność skrótów myślowych Herberta i umiejętność manipulowania Panem Cogito, będącym *alter ego* poety, to znów stoickim prześmiwczą, operującym przeffancowaną na grunt polski techniką angielskiego *understatement*.

W „Uciekinierze z utopii” Barańczak koncentruje uwagę na mistrzowskim operowaniu ironią. Dostrzega u Herberta kilka jej odmian, aż po ironiczną stosunek do samej ironii. Bez włas-

ciwego jej rozumienia niepodobna właściwie oceniać twórczości Herberta. Toteż jako cel swej książki wysuwa zadanie usunięcia „krytyczno-literackiego werniksu”, „stereotypów” i „uproszczeń granicznych nieraz z pełnym nieporozumieniem czy interpretacyjnym nadużyciem”. Akceptuje nieliczne tylko oceny swych poprzedników, najwyżej stawiając Błońskiego, Przybylskiego i Sławińskiego, a najostrzej potępiając Sandauera.

Studium Barańczaka dzieli się na pięć rozdziałów o tytułach: „Nieporozumienie”, „Antynomie”, „Demaskacje”, „Ironie” i „Imponderabilia”. Ten błyskotliwy pokaz profesorskich umiejętności dowodzi, że autor należy do światowej czołówki teoretyków literatury. Służyć może i powinien młodym polonistom jako wzór metodyczny i pomoc w doborze lektury — zestawy bibliografii, odnoszącej się do problemów takich jak *the implied author* („autor wewnętrzny”), mit, dziedzictwo, wydziedziczenie, *biography and poetry*, a zwłaszcza różne definicje ironii, są znakomite i świadczą o fantastycznym odczytaniu Barańczaka.

Niezmiernie trafna jest diagnoza końcowa, głosząca że „stan zawieszenia między biegunami Zachodu i Wschodu, Europy i Polski, Śródziemnomorza i Północy, jednoczesnej przynależności do obu tych światów, jest właściwym sposobem istnienia poezji Herberta i motorem jej wewnętrznych napięć” (str. 10). Z koncepcją tą godzi się opozycja Barańczaka przeciw obdarzaniu Herberta mianem „poety przeszłości”, „ponawiającego archetypiczne obrazy czasu minionego”, „klasyka” odsuwającego się od teraźniejszości. Wystarczy przypomnieć, że Herbert-„zachodniofil” jest nie tylko „barbarzyńcą w ogrodzie” ale i autorem „Prześłania Pana Cogito”, wiersza z wyraźnym adresatem. Nie są też bez kozery „nieporozumienia cenzuralne” Herberta.

Ta świetnie napisana książka jest nie tylko biletem wizytowym profesora Barańczaka, godnego następcy profesora Weintrauba na katedrze harwardzkiej, ale stanie się w bliskiej przyszłości (w przekładzie angielskim) prezentacją współczesnej poezji polskiej na arenie światowej. Demonstruje ona zarówno przynależność Polski do Zachodu, jak i swobodę, z jaką Herbert sięga do korzeni cywilizacji śródziemnomorskiej, czerpiąc z jej mitów punkty wyjścia wierszy w ingardenowskim sensie wielowarstwowych („Do Marka Aurelega”, „Apollo i Marsjasz” czy „Kalligula” (o kilku możliwościach interpretacji).

Autor drugiej książki o poezji Herberta — „Gry Pana Cogito” — Andrzej Kaliszewski, kontynuując rozważania Błońskiego o swoistej interpretacji mitu i tradycji (w *Poezji*, 1970), koncentruje się na tym właśnie temacie. Wynika z niego nieudana próba podziału herbertowskiego materiału poetyckiego na demitologizację, mitologizację i „mitopoezy”, — i konfrontacji mitów z nasuwającymi się przy bliższym na nie spojrzeniu podejrzeniami. *Novum* w stosunku do książki Barańczaka jest obszerne omówienie włączonych nieco sztucznie do „mitopoezy” krótkich tekstów prozą „bez przydziału”, określonych przez Kaliszewskiego mianem etiud, pisanych z myślą o stworzeniu z nich cyklu „Baje-

czek". W stosunku do Barańczaka więcej tu mowy o poetyckim rodowodzie Herberta, w którym na poczesnych miejscach figurują Różewicz, Miłosz, poeci *Współczesności*, a z obcych Eliot i Ponge. W sumie poważna próba interpretacji dzieła Herberta — na miarę możliwości Kaliszewskiego, skrępowanego brakiem pomocniczych lektur i wyraźnie wyczuwalnymi ingerencjami cenzury.

Pytanie: jak odczytuje te studia sam delikwent, Herbert? Pisząca te słowa z bliska obserwowała reakcje Berenta i Wierzyńskiego na omawiające ich twórczość książki. Berent twierdził, że ich nie czyta, a że był bardzo dobrze wychowanym panem, składał autorom wykwintne gratulacje. Z Wierzyńskim było inaczej. Pamiętam, jak po zapoznaniu się z uczciwymi, wzorowymi, inteligentnymi analizami jego wierszy huczał: „Czy to o moich wierszach? Przecież po takim rozczłonkowaniu zatraca się moja indywidualność, kadencja wiersza (*nota bene* bardzo lubił „kadencje”), to już nie ja ze Stryja, Drohobycza, a ktoś zupełnie mi obcy, drewniany... 'Tkanę ziemi' pisałem nie wiedząc o istnieniu Bachelarda...” itd.

A jak reaguje Pan Cogito?

„Literatura źle obecna”

Po opublikowaniu „Tak nas widzą” (K nr 11/446) ze wzmianką o czterech sesjach naukowych na temat „Polska literatura emigracyjna” ukazały się teksty referatów, wygłoszonych na sympozjum naukowym zorganizowanym w dn. 27-30. X, 1981 przez Instytut Historii PAN. Opublikowała je w Londynie „bez wiedzy autorów” placówka wydawnicza Polonia Book Fund pt. „Literatura źle obecna (Rekonstrans)”. Wydanie staranne — tym tylko osobliwe, że nie podano daty sesji! Z przemówienia Janusza Sławińskiego na otwarciu obrad wynika, iż konferencję przygotowali w Instytucie Badań Literackich, ze Sławińskim na czele, Alina Brodzka i Roman Zimand.

„Literatura źle obecna” — to nie tylko twórczość pisarzy emigracyjnych, publikujących poza Krajem, ale i publikacje „poza cenzurą” — a nawet, cofając się do roku 1955-56, „zapomniana literatura polskiego października”, o której mówił na Sesji Tomasz Burek, oraz „poezja polityczna lat siedemdziesiątych”, przypomniana w referacie Jacka Łukasiewicza.

Znając tylko spis rzeczy, wyraziłam w „Tak nas widzą” przypuszczenie, że sesja była „ imprezą najważniejszą”. Jest tak istotnie. *Ex aequo* z emigracyjnym numerem *Więzi* z lipca 1983.

Książkę otwierają cztery referaty o periodykach, w których koncentruje się (lub koncentrowała) literatura niezależna. Krzysztof Dybciak omawia „Literacką działalność Instytutu Literackiego”, Janusz Stradecki — *Wiadomości* londyńskie, Lidia Rola i Hanna Filipkowska — *Zapis*, *Puls* i *Spotkania*; trzy ostatnio wymienione tytuły odnoszą się do przedruków pism krajowych. Po-

zostałe referaty mają charakter monograficzny, omawiają przy tym raczej najnowsze lub reprezentacyjne książki niż całokształty twórczości. Z pisarzy krajowych zaliczonych do „literatury źle obecnej” pokazani byli: Konwicki, jako autor „Małej Apokalipsy” (referat Andrzeja Wernera), Andrzejewski, jako autor nierównej, poronionej „Miazgi” (referat Teresy Walas) i Stefan Kisielewski, obecny i tu i tam, „pisarz którego nie ma” z referatu Leszka Szarugi i autor „powieści dla dorosłych” widziany oczyma Małgorzaty Szpakowskiej. Tyrmanda gruntownie i błyskotliwie opłotkował Roman Zimand, a Marek Zaleski surowo i arcypoważnie potraktował tom I „Miesiący” Kazimierza Brandysa, nie dostrzegając kapryśnego wdzięku kart, które okazały się pożegnaniem z ojczyzną.

Z zestawienia tego wynika, że literatura emigracyjna zredukowana jest do kilku referatów. Skąpstwo to wynagradza ich jakość. Klemens Szaniawski nakreślił na przykładzie „Mojego wieku” Aleksandra Wata portret człowieka, który w warunkach nieludzkich „zachował istotę człowieczeństwa, mianowicie nie zrezygnował nigdy z prób porozumienia”. Jasny i przekonujący wywód filozoficzny podany jest w kształcie eseju o niewątpliwiej wartości artystycznej. Maria Janion przeniosła Włodzimierza Odojewskiego do epoki romantycznej, otwierając oczy na pokrewieństwa z wizjami Ukrainy Malczewskiego, Goszczyńskiego i oczywiście Słowackiego. Po przeczytaniu jej wywodów stają się jasne założenia artystyczne autora „Zasypie wszystko, zawieje...” — czyta się go inaczej, właściwie, choć po głowie błąkać się podejrzenia, że Proust i Faulkner tu zawinili. Zofia Stefanowska widzi w Gustawie Herlingu-Grudzińskim Europejczyka, który „całą swą europejskość czerpie z polskiego doświadczenia historii i własnego doświadczenia łagrowego”; pisarza, który „nigdy nie uchyla się od własnego sądu i nie ukrywa się za znakami zapytania”.

Dalsze referaty dotyczą: Jerzego Stempowskiego (referat Marty Wyki „Esej jako autobiografia”), Henryka Grynberga (związy ale trafiający w sedno rzeczy referat Jana Józefa Lipskiego pt. „Ojczyzna Antygony”) — wreszcie „Rekontra” Jana Zielińskiego, referat o twórczości „jednego z najlepszych polskich prozaików” — Józefa Mackiewicza. „Negatywny stosunek do autorytetów” uzasadnia Zieliński „skrajnym indywidualizmem” autora „Drogi donikąd”. „Relatywizm moralny daje Mackiewiczowi swobodę względem faktów”, wyrażającą się m.in. „mieszaniami postaci powieściowych z autentycznymi ludźmi i zdarzeniami”. Nie jest to jednak bezładna mieszanina. Ratuje Mackiewicza to, co Zieliński określa jako *realizm syntetyczny*, tj. „umiejętność przechodzenia od ogółu do szczegółu i od szczegółu do ogółu”. Uważa, że „Mackiewicz w wysokim stopniu opanował sztukę budzenia emocji” i że ma to dwojakie działanie: zyskuje mu oddanych czytelników i mobilizuje oponentów.

Za najstarsze uważam referaty, omawiające „Literacką działalność Instytutu Literackiego” (Krzysztof Dybciak) i londyńskich

Wiadomości (Janusz Stradecki). Obaj usiłovali zamknąć w ramach krótkich wypowiedzi długie ciągi wydawnictw i zmienne formy działalności. Nad *Wiadomościami* ciąży autorytet Grydzewskiego, arcyredaktora obdarzonego szczególną umiejętnością jednania współpracowników i odbudowywania międzywojennej wspólnoty prenumeratorów *Wiadomości Literackich*. Gdy zbiednieli i zaczęli masowo wymierać, a organizm Grydzewskiego nie mógł podołać redagowaniu pisma właściwie w pojedynkę, *Wiadomości* weszły w okres schyłkowy i zakończyły żywot w przededniu sierpnia 1980, mimo bohaterskich starań Chmielowca, a po jego śmierci Stefani Kossowskiej.

Rozważania Dybciaka o Instytucie Literackim oscylują między krytyką a pochwałami podstaw jego działalności, a więc stanowiska niepodległościowego, demokratyzmu i liberalizmu. W zakończeniu referatu, jako „pomyłki lub tylko niesprawdzające się prognozy” widzi jednak Dybciak „liczenie na decentralizację i reformę ustroju radzieckiego albo skuteczną w skali historycznej współpracę demokratów Wschodniej Europy”. Za „pomyłkę” uważa także rzekomy elitaryzm *Kultury*, wyrażający się „starointeligentką” genealogią Redakcji. Najostrzej ocenia stosunek do Kościoła, dopatrując się nawet „dyskretnie tonowanej niechęci”. *Kultura* — dowodzi — nie posłuchała rad o. I. M. Bocheńskiego ze stycznia 1951, który „postulował stworzenie czegoś w rodzaju 'Księgi Polaka', utworzonej na wzór *Brewiarza*, tzn. w układzie kalendarzowym” — poszczególne numery zawierać by miały „stronicę z dziejów Polski, biografię wielkiego rodaka, fragment z klasyki literackiej, czasem informacje o geografii i kulturze polskiej”. Rzecz nie do wiary, ale Dybciak widzi w „comiesięcznych zeszytach *Kultury* — w kręgu przytoczonej metafory — części polskiego kalendarza” (str. 23)... Coś tu wyraźnie nie klapuje.

W przytoczonym przez Lichniaka w książce „Zanim powstanie panorama” programie sesji figurują ponadto dwa nie przedrukowane w Londynie referaty: Aleksandra Gieysztoro o „*Kurierze z Warszawy*” Jana Nowaka („*Pamiętnikarz i historyk*”) i Jana Walca o Tadeuszu Nowakowskiego „*Obozie Wszystkich Świętych*”. Przyczyny tych opuszczeń nie podano.

Wreszcie: na konferencji zorganizowanej przez Instytut Badań Polonijnych Uniwersytetu Jagiellońskiego i Instytut Literatury i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego (Katowice-Ligota, listopad 1983) Janusz Kryszak w referacie pt. „*Zdyszana mowa codzienności*” mówił o „konkrete zwykłego dnia w poezji emigracyjnej”, opierając się na twórczości Waława Iwaniuka i Mariana Czuchnowskiego oraz wypowiedziach Tadeusza Nowakowskiego, Tymona Terleckiego, Jerzego Stempowskiego i Jana Dąrowskiego (*Znak*, nr 354-355, maj-czerwiec 1984).

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

„Nominalny czas dziejów” i inne czasy

Książkę Krzysztofa Pomiana „*Porządek czasu*”^{*} przeczytałem jednym tchem i zachwytem. Wiem od dawna, że Pomian należy do tych wyjątkowych uczonych, którzy piszą o sprawach trudnych i złożonych w sposób dający czytelnikowi złudne może poczucie, że je wreszcie rozumie. Tymczasem nie była to tylko euforia dyletanta, którą porównałbym do wspinaczki śladami doświadczanego alpinisty czy tenisowych meczów (z przedwojennych dodatków filmowych) niezującego dziś króla Gustawa szwedzkiego z mistrzem światowej klasy, podającym mu piłki niezbyt ułatwione, a osiągalne. Odczułem pewność, że czytam książkę wielkiej wagi, chyba przełomowej. Nie chodzi w niej o wykład teorii, o której zewsząd słyszę, a wreszcie rozumiem, na czym polega. To nie Pomian udostępniający mi — powiedzmy — teorię katastrof René Thoma, lecz jego własna odkrywczą wizja, dotycząca czego? Mnie samego, każdego z nas. Wydawca pisze, słusznie zresztą, w tradycyjnej notce na odwrocie okładki: „To co każdy historyk winien wiedzieć o swym tworzywie, czasie, nad którym rzadko się zastanawia i o swych konceptualnych do niego podejściach, które zbyt często — i mylnie — uważa za oczywiste: tak można by określić zakres i funkcję tej książki”. Ale czas, to przecież kategoria powszechna, niby — rzeka, w której jesteśmy zanurzeni. Książka o czasie — a przynajmniej ta książka — dotyczy także wszechświata i życia, pracy i wczasów, naszego samopoczucia, związków z naszymi zmarłymi i potomkami!

Postanowiłem więc bezzwłocznie napisać o niej dla *Kultury*, do podwójnego numeru, który redakcja zamyka pojutrze; żal mi było odłożyć ten artykuł o dwa miesiące, choć książka zasługuje na tekst bardziej przemyślany od tego, z musu skleconego naprędce. W zasadzie uważam, że w wypadku książek przekraczających moje kompetencje należy je streścić, zanim przejdę do osobistych dywagacji na ich temat. Czynię to tym chętniej, że poza biegłą znajomością kilku języków, praktyka streszczania jest moją jedyną zawodową (ściślej mówiąc zarobkową) kompetencją. Od trzydziestu lat z górą streszczam dyskusje zebrań dyrekcyj i komitetów organizacji, które mnie zatrudniają, raporty, projekty, przeglądy prasy. Tym razem wydało mi się, że mam zadanie ułatwione, bo Pomian sam dwa razy streszcza swą książkę,

* Krzysztof Pomian, *L'ordre du temps*, Gallimard, Bibliothèque des Histories, 1984, 364 stron (z indeksem), cena 120 Fr.

we wstępie od strony materiału, z którym się w niej mierzy, w zakończeniu od strony wniosków, które wyciąga. Streszczenie poszło mi zatem gładko, ale porównałbym je do zastąpienia mostku na ruczaju kamieniami, po których trzeba skakać z jednego na drugi. Myślę, że Pomian rozpoznałby się w tym streszczeniu, coś z tego, gdy odczytawszy je nie znalazł śladu płynności i elegancji jego rozumowania. Zaintrygowany, zajrzałem do mego Lindego: „Streszczać”: skrócić treściwie, podać treść czegoś, ująć w treść rzecz obszerniejszą. Zrozumiałem mój błąd: nie streszcza się tego, co jest samą treścią, gdzie ani dodać, ani tym bardziej ująć. Należało raczej wprost przetłumaczyć 14 stron wstępu i 7 zakończenia, ale jak w tym wypadku przekazać czytelnikowi moje przekonanie, że go właściwie zniechęcam, że ten ścisły, olśniewający, logiczny wykład esencji książki nie daje pojęcia o bogactwie, dygresjach, mądrości 347 stron między jednym i drugim? To co następuje nie jest zatem streszczeniem, raczej czymś w rodzaju wskazówek, „sposobem użycia” tej niezwyklej książki.

Niemal od zarania cywilizacji człowiek dysponuje trzema systemami miary i zapisu czasu. Chronografia i chronometria dotyczą teraźniejszości, chronologia zwrócona jest ku przeszłości, żadna z nich nie zajmuje się przyszłością, stanowiącą co najwyżej perspektywę ich dalszego zastosowania. Badanie przyszłości, celem przedstawienia jej rozwoju, nazywa Pomian „chronozofią”. Termin ten pokrywa praktyki i dzieła różnorodne co do zakresu, celu i środków: dotyczą one raz to jednostki, raz to ludów a nawet ludzkości, raz to wprost wszechświata. Wspólną ich cechą jest objęcie całego przebiegu danego toru, a nie jego części, zajęcie się całością zanim nawet zostanie osiągnięta, zastąpienie danych, z konieczności cząstkowych, wiedzą skończoną, uwidoczniającą ostateczne znaczenie wszystkiego, co się kiedykolwiek zdarzyło. Chronozofią jest jasnowiedzenie, wróżbiarstwo, astrologia, ale może ona również uzasadniać swe przewidywania rzekomą znajomością związków przeszłości z ostatecznymi celami historii, osiągniętą z właściwej lektury świętych ksiąg, a nawet czystym rozumowaniem. Chronozofia przybiera ostatnio postać teorii ekonomicznych czy socjologicznych, mających na celu opanowanie przyszłości, a przynajmniej dokładny jej opis.

Historyk z kolei używa kategorii narzucających czasowi pewien porządek („porządek czasu”), takich jak wydarzenie, cykl, struktura, które same mają własną historię.

Pierwsze cztery rozdziały książki (Wydarzenia — Nawroty — Epoki — Struktury) poświęcone są „czasowi jakościowemu”, który sam jest wieloraki: zawiera niektóre (nie wszystkie!) czasy historii, a również inne czasy, nieraz z czasami historii związane: psychologiczny, słoneczny, liturgiczny, polityczny. Piąty rozdział, zatytułowany „Czas”, zajmuje połowę książki i podzielony jest na sześć części: Architektura czasowa współczesnej cywilizacji; Czas, widzialny i niewidzialny; Nadejście czasu ilościowego; Nastawienie na przyszłość i rozdzęcie czasu; Czas między metafizyką

i fizyką; Stratyfikacja czasu: koegzystencja sporna. Jest zatem poświęcony „czasowi ilościowemu”.

„Przedmiotem tej książki — pisze Pomian we wstępie — nie jest idea czasu, a sam czas. Czas wypełniony faktami przez historyków, przyrodników i fizyków, czas którego topologia i kierunek zawsze wywoływały spory nie tylko wśród intelektualistów. Czas bywał stępany lub wręcz usuwany w imię wymogów przejrzystości w pewnych naukach przyrodniczych, społecznych, humanistycznych. Bywał teoryzowany przez filozofów, teologów, uczonych. Mierzony, ujednociany, standardyzowany i narzucany przez władze religijne, polityczne i ekonomiczne jednostkom, których życie psychiczne i somatyczne stawało się na skutek tego dosłownie zbulwersowane. Przedmiotem tej książki jest zatem czas ujęty w perspektywie encyklopedycznej. Będzie w niej często mowa, o „Krytyce czystego rozumu”. Ale również o dziełach historyków, produkcji zegarków, rozkładzie jazdy pociągów”.

Prace Krzysztofa Pomiana są różnorodne, a w każdej dziedzinie wykazuje on wszechstronną jej znajomość. Niewielu jego czytelników wie zapewne, że „zawodową” jego specjalnością jest historia zbiorów dzieł sztuki i że w tym zakresie jest jednym z czołowych autorytetów. Przedmiot jego specjalności odpowiada jego encyklopedycznym zamiłowaniom: sam jest zbieraczem faktów, teorii, zachowań, interpretacji i w tym sensie ta książka jest niezawodnie celnym zbiorem wszystkiego co dotyczy czasu, zaczerpniętym z wszystkich odpowiednich dziedzin: historii, filozofii, polityki, ekonomii, biologii, medycyny, psychologii, fizyki, kosmologii. Każdy rozdział jest zwięzłym wykładem, dostępnym dla laika, obfitującym w przykłady często mało znane, zawsze pasjonujące. „Porządek czasu” byłby zatem wyjątkowo udanym dziełem, nawet w ścisłym zakresie erudycji, misternie kojarzącej Chomsky’ego, Hjelmslewa, Lévi-Straussa ze świętym Augustynem, Tomaszem z Akwinu, Kantem, Heideggerem aż do współczesnych fizyków, matematyków i kosmologów. Ale Pomian nie jest oczywiście zwykłym zbieraczem i erudytą. Wiedza jest dla niego zawsze materiałem do analizy i syntezy — w których celuje — do wyciągnięcia wszystkich dostępnych mu wniosków z każdego problemu.

We wnioski tego rodzaju obfitują poszczególne rozdziały. W pierwszym na przykład wykazuje, że „historia prawdziwa”, nie „wydarzeniowa”, nie jest, jak się na ogół sądzi, wynalazkiem francuskiej École des Annales z początku naszego stulecia, że opozycja między opowiadaniem wydarzeń i historią „naukową” obecna jest w historiografii od XVI wieku. Kończy zaś swój rozdział dzisiaj nawrotem przez okno wydarzenia niedawno wyrzuconego przez drzwi, choć chodzi dziś raczej o studia monograficzne nad poszczególnymi wydarzeniami, które pozwalają zrozumieć nieosiągalną inaczej dawną rzeczywistość. W roku 1744, Wolter wymiewał się już z historyków, którzy opisują „pompe koronacji, ceremonię wręczania kardynalskiego kapelusza, wkraczania ambasadora, nie pomijając ani przybocznego

szwajcara, ani lokaja", żądał wiadomości, z których byłby większy i trwalszy pożytek — dotyczących ludności, gospodarki, sztuki, obyczajów, prawodawstwa. Dziś natomiast — kończy Pomian — historycy znów mogą i powinni nawrócić do „pompy koronacji, wkraczania ambasadora z jego szwajcarem i lokajem", gdyż „wydarzenia te stały się im obce, czym nie były dla Woltera, wobec czego należy je odtworzyć i odszyfrować na ich podstawie informacje o przeszłości inaczej nam niedostępne".

Paradoksem tej książki, o stopniowej, logicznej konstrukcji, na każdym stopniu zawierającej wnioski dotyczące poszczególnych czasów poddanych przejrzystej analizie, jest jej wniosek końcowy, najbardziej odkrywczy: że czas sam, zawierający wszystkie te czasy musi pozostać niezrozumiały. Nie mogą się powstrzymać od zacytowania w oryginale końcowego jej zdania, którego piękna i mądra gra słów jest nieprzetłumaczalna: *Nous ne pouvons éviter de tendre à reconcilier l'intelligibilité et le temps, tout en sachant qu'avant que nous parvenions à en donner raison, il aura raison de nous*".

Oryginalnym wkładem Pomiana jest wprowadzenie pojęcia „chronozofii" w odniesieniu do wszystkich wizji czasu jednoczących przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, i zwłaszcza związane z tym ściśle uzasadnienie „wielorakości czasu". Wielorakość ta była dotychczas niedopowiedzianym założeniem, wynikającym z uznanego ogólnie podziału na czas jakościowy i czas ilościowy. Pomian oświadcza wręcz, że uznanie rzeczywistości tych dwu rodzin czasu, choćby pomijając wewnętrzne podziały każdego z nich, dowodzi już, że założenie wielorakości czasu jest uzasadnione: „nie tylko wielorakości pozornej, poza którą ukrywałby się czas rzekomo jedynie prawdziwy, ale wielorakości rzeczywistej, ostatecznej, którą należy przyjąć jako taką".

Nie będę się tu starał odtwarzać rozumowania Pomiana, oparłego między innymi na braku symetrycznych odniesień między poszczególnymi rodzinami czasu. Ograniczę się do wniosku, jaki wyciąga w wymiarze chronozoficznym.

„Cóż z tego wynika dla czasu historii? Czy istnieje instancja koordynująca jego przeszłość, teraźniejszość i przyszłość zgodnie z programem z góry założonym, który byłby dla historii tym, czym jest dyrygent orkiestry ze swą partyturą dla dzieła odtwarzanego pod jego batutą? Poprzez wieki odpowiadano na to pytanie twierdząco. Teologia historii, utożsamiając koordynującą instancję z Bogiem i jego opatrnościowym planem lub Naturą i jej determinizmem. Psychologia jednostek będących podmiotem historii dodała, w odniesieniu do historii świeckiej, bohaterów zdolnych do przekształcenia swych zamiarów w rzeczywistość. Filozofia historii przypisywała tę rolę Duchowi Ludzkiemu, zaprogramowanemu na wzniesienie się coraz wyżej i pójście coraz dalej, lub siłom wytwórczym ożywionym nieodpartym dążeniem do pokonania wszelkich ograniczeń (...). Wyniesienie nauk społecznych do roli chronozofii szło w parze ze stopniową rezygnacją

z wiary w jakąkolwiek instancją koordynującą historię, a zatem z idei jej globalnego czasu. Odtąd historyk nie tylko sam koordynuje zmiany stanowiące historię, ale najczęściej jest tego świadomy. Wie również, że nie jest w stanie odtworzyć programu dzieła, którego wykonanie opisuje. Nie z powodu własnych ograniczeń, ale dlatego, że w stosunku do wykonywanego dzieła żaden program nie został nigdy napisany".

Zakończę dwoma cytatami z polskiej poezji, aby wyjaśnić tytuł jaki wybrałem dla tego tekstu, a także dlatego, że stanowią one intuicyjne potwierdzenie wielorakości czasu. Zaproponowałbym je nawet Krzysztofowi Pomianowi jako kolejne motto obu części „Porządku czasu" w polskim tłumaczeniu, które należałoby zrobić, choć nie widzę niestety, kto mógłby się z tego zadania wywiązać zadowalająco, poza nim samym.

W odniesieniu do „czasu jakościowego" (choć wbrew jego „nie-wydarzeniowej" wersji):

NOMINALNY czas dziejów nie trzyma w dłoni
Zamaszystej swej kosy ani jej ostrzem
Podchwytuje ludzkość i polny kwiat —
On tylko społeczność nominalną
Podsnuwa pod profile postaci różnych.
Tak jakby kto etruskie czarne rysunki
Na czarne tło przeniósł, znikłyby w tle.

C. K. Norwid: *A Dorio ad Phrygium*

W odniesieniu do „czasu ilościowego":

*Jakoż nie płakać, jak się nie frasować,
Jako nie mam dni i godzin rachować,
Kiedy je pędzi czas niedościgniony.
Kują kowale, robią rzemieślnicy,
Ludzie biegają tu, tam po ulicy
I jako muchy kręcą się po rynku,
Nie ma cło, nie ma ratusz odpoczynku,
Zegar wybija na wysokiej wieży,
A czas niezwrótny jak bieży, tak bieży*

Zbigniew Morsztyn: *Emblema*

Trudno chyba zwięźlej, w wiązanej mowie — niż to czyni nasz barokowy poeta — połączyć czas biologiczny („jakoż nie rachować"), czas psychologiczny („jak się nie frasować"), czas chronometryczny („zegar wybija"), czas gospodarczy („nie ma cło"), polityczny („nie ma ratusz odpoczynku").

Konstanty A. JELEŃSKI

Nowy tom "Pamiętnika Literackiego"

Prawie dokładnie połowę tego tomu wypełniają odpowiedzi na ankietę w sprawie zagrożeń, wobec których staje literatura w kraju po rozwiązaniu Związku Literatów Polskich i Zarządu Polskiego PEN-Clubu. Redakcja zapytywała w szczególności o wpływ cenzury na piśmiennictwo w ciągu ostatnich dwóch lat, jaką rolę gra nacisk wydarzeń politycznych na kształt literatury i jakie są ewentualnie szczególne zadania pisarzy na obczyźnie. Odpowiedzieli w sumie 34 pisarze, w tym Jan Józef Lipski, Władysław Bartoszewski i Leszek Kołakowski, Maria Danilewicz Zielińska z Portugalii, *nie dawno przybyli z kraju*, jak Mirosław Chojecki (Paryż), Jakub Karpiński (Nowy Jork) czy Zofia Woźnicka (Londyn). Ta ankietka, jakby mimochodem, dała jednoznaczna odpowiedź na pytanie wcześniejszej ankiety „Pamiętnika” z roku 1976: „Jedna czy dwie polskie literatury?” Wówczas Stanisław Baliński odpowiedział, że w zasadzie oczywiście istnieje tylko jedna (i tak oceniła sprawę większość 27 respondentów), ale „w praktyce — ufam że tylko prowizorycznie — istnieją dwie literatury”. Tym razem Bartoszewski, w innym kontekście zresztą, wskazał na rok 1977 jako na moment, w którym „pisarstwo (w kraju) zaczęło w bardziej widocznym stopniu spełniać tradycyjną rolę” czyli wyzwalając się z pęt cenzury i kończyć owo prowizorium dwóch polskich literatur, o którym mówił Baliński. Również Lipski mówi, że teraz już okres kiedy autor, który nie chciał poddać się cenzurze, musiał pisać do szuflady, należy do przeszłości. Dziś ambitny pisarz nie jest pozbawiony druku i czytelników, nie tylko z powodu meandrów cenzury, która nawet w okresie stanu wojennego usiłowała wytworzyć pozory kulturalnego liberalizmu, ale głównie dlatego, że istnieją podziemne pisma i wydawnictwa, które są od cenzury całkiem niezależne i docierają do szerokich rzesz czytelników. Docierają również na Zachód i na odwrót, zarówno dzieła krajowe drukowane na Zachodzie jak i książki autorów na emigracji, zwłaszcza dzieła historyczne docierają do kraju i są tam również drukowane. Na ten temat szczególnie dużo ma do powiedzenia najbardziej chyba doświadczony w tych sprawach wydawca podziemia, Mirosław Chojecki. Nie wszystkie odpowiedzi są tak optymistyczne.

Z tematem ankiety wiąże się ściśle artykuł Reginy Wasiak „Na marginesie krajowych opracowań literatury polskiej na obczyźnie”. Dziś literatura na obczyźnie jest przedmiotem licznych opracowań, bardzo dobrych jak praca prof. Artura Hutnikiewicza, jak i nie tak dobrych, jak Mariana Stępnia czy Zygmunta Lichniaka. Zadaniem „Pamiętnika Literackiego”, wychodzącego w Londynie, jest oczywiście przede wszystkim dokumentacja polskiej literatury na obczyźnie.

Bieżący tom zawiera wykaz książek wydanych poza cenzurą w roku 1983 i nadesłanych do Biblioteki Polskiej w Londynie. Wykaz jest niepełny. (Nawiasem mówiąc, ten wykaz zawiera 114 pozycji, podczas gdy w ogłoszonym przez *Kulturę* wykazie wydawnictw niezależnych w kraju ilość książek (nie czasopism) wydanych w tymże roku 1983 liczy 224 pozycje). Po raz

* *Pamiętnik Literacki*, tom VIII, Wydawca: Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Londyn 1984. Str. 152. Skład główny: Polska Fundacja Kulturalna, 9 Charleville Road, London W14 9JL.

pierwszy również „Pamiętnik” zawiera dział recenzji i omówień dotyczących kilku wydawnictw, przeważnie o szeroko informacyjnym charakterze. Kontynuowany jest „Słownik pisarzy polskich na obczyźnie”, lista przekładów na języki obce dzieł pisarzy stale przebywających poza krajem oraz kronika Związku.

AP.

Nadesłane nowości wydawnicze

- POPIEŁUSZKO (Jerzy, ks.). *Kazania patriotyczne*. Str. 198 i 2 nlb. (Wyd. Libella, Paryż 1984).
- WOROSZYLSKI (Wiktor). *Na kurczącym się skrawku i inne zapiski z kwartalnym opóźnieniem*. Str. 261 i 9 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1984).
- Studium Polski Podziemnej w Londynie — Informator 1947-1984*. Str. 23 i 1 nlb. (Wyd. Studium Polski Podziemnej, Londyn 1984).
- MAREK (Edmund). *O pierwszej stacji badań nad Polonią we Francji*. (Nadbitka z „II Kongres uczonych polskiego pochodzenia (1979). Zbiór materiałów”, wyd. PAN, Ossolineum 1984, str. 144-160).
- ZANIEWICKI (Zbigniew). *Wspomnienie o wielkim odkrywcy*. (W: *Poezja* nr 6-7/1984, str. 3-49), oraz *Nie napisany wstęp Miriami do tomu VII „Wszystkich pism” Norwida* (w: *Poezja* nr 6-7/1984, str. 132-143).
- KARPINOWICZ (A.). *Dziesięć opowieści wileńskich*. Str. 158 i 4 nlb. (Tel-Aviv, 1984).
- KWIATKOWSKA VIATTEAU (Aleksandra). *Varsovie insurgée*. Str. 215 i 9 nlb. (Wyd. Editions Complexe, Bruksela 1984).
- MAREK (Edmond, opr.). *1683-1983. La „Polonia de France” en hommage à Sobieski et à Waleśa*. Str. 144. (Wyd. Congres „Polonia en France”, Lille 1984).
- HAMMOND (Thomas T.). *Red flag over Afghanistan. The Communist Coup, the Soviet Invasion, and the Consequences*. Str. 261 i 5 nlb. (Wyd. Westview Press, Boulder, Colorado 1984).
- Seven Polish-Canadian Poets. An Anthology*. Str. 223 i 1 nlb. (Wyd. Polish-Canadian Publishing Fund, Toronto 1984).
- Chopin's Piano and other European Romantic poems*. (Nadbitka z „Comparative criticism” vol. 6, ed. by E. S. Schaffer, wyd. Cambridge University Press, 1984).
- RÓŻEWICZ (Tadeusz). *The Trap*. Przełożył A. Czerniawski. Str. 80 i 1 nlb. (Wyd. Institute for Contemporary Eastern European Drama and Theatre, CASTA Publications, City University of New York, Nowy Jork).
- No mention on Solidarity: U.N. Report on human rights in Poland (A report from Helsinki Watch)*. (Str. 8+12+34+9+7 nlb. (Wyd. Helsinki Watch, Nowy Jork 1984).
- Harvard Ukrainian Studies* vol. VI, nr 4, grudzień 1982. Str. 429-565. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge Mass., USA).
- Ostdeutsche Gedenktage 1985. Persönlichkeiten und historische Ereignisse*. Str. 301 i 11 nlb. (Wyd. Kulturstiftung der deutschen Vertriebenen, Bonn 1984).

- KONWICKI (Tadeusz). *Den lille Apokalypse*. Przel. Janina Katz i Willy Dähnhardt. Str. 256 i 3 nlb. (Wyd. Brondum, Kopenhaga 1984).
- HAVEL (Vaclav). *O lidskou identitu. Uvahy, fejtony, protesty, polemiky, prohlášení a rozhovory z let 1969-1979*. Wybr. i opr. V. Precan i A. Tomsky. Str. 394 i 6 nlb. (Wyd. Edice Rozmluvy, Londyn 1984).
- TRINKEWITZ (Karel). *Haiku o Praze*. Str. nlb. (Wyd. Edice Rozmluvy, Londyn 1984).
- Rozmluvy. *Filozoficko-literarní revue nr 3*. Str. 187 i 5 nlb. (Wyd. Edice Rozmluvy, Londyn 1984).
- ŠKVORECKÝ (Josef). *Emöke*. Z českého přeložil Andrzej Piotrowski. Str. 81 i 3 nlb. (Wyd. „Pod prąd”, Londyn 1984).
- HAVEL (Vaclav). *Vyzva k transcenci*. SIDONIUS. *Consolatio philosophiae hodierna*. Str. 95 i 1 nlb. (Wyd. Edice Rozmluvy, Londyn 1984).
- WERNISCH (Ivan). *Zašute zahrady (1971-1982)*. Str. 109 i 13 nlb. (Wyd. Edice Kra, Londyn 1984).
- PISTORA (Jiři). *Mezery v pameti (1966-1970)*. Str. 85 i 5 nlb. (Wyd. Edice Kra, Londyn 1984).
- HUYN (Hans, hr.). *Utok*. Str. 257 i 7 nlb. (Wyd. Spolecnost pro podporu a prateľstvi s narody Československa, Monachium 1984).
- MORAWSKI (Dominik). *Come superare la spartizione dell'Europa: l'impatto dell'informazione*. (Nadbitka z *Affari Esteri* nr 63/1984, Rzym, str. 1-11).
- GORBANIEWSKAJA (Natalia, opr.). *Niesłomnaja Polska na stranicach „Russkoj mysli”. I (dekabr' 1981 - dekabr' 1982)*. Str. 277 i 1 nlb. (Wyd. *Russkaja mysl*, Paryż 1984).
- Forum — *obszczestwienno-politiceskij žurnal*, nr 8. (Wyd. „Sučasnist”, Monachium 1984).
- LEONHARD (Wolfgang). *Rewolucja otwierajet swoich dietiej*. Str. 591 i 3 nlb. (Wyd. Overseas Publications, Londyn 1984).
- WOLENSKIJ (Michaił). *Nomenklatura — gospodstwujuščij klass Sowietskowo Sojuza*. Przedmowa M. Dziłasa. Str. 556. (Wyd. Overseas Publications, Londyn 1984).
- MIELGUNOW (Siergiej). *Kak bolszewiki zachvatili włast'. Oktjabriskij pierieworot 1917 goda*. Przedmowa M. Heller. Wyd. II. Str. 390 i 4 nlb. (Wyd. Overseas Publications, Londyn 1984).
- U potumji družnoho słowa. *Zbirnyk wybranych stattej Jurija Pudnyka*. Redakcja i opracowanie Wasyl Mychalczuk. Str. 439 i 9 nlb. (Wyd. Wydannia „Ukrajinskoho Słowa” w Paryżu, Paryż 1983).

**POLSKA KSIĘGARNIA NA MANHATTANIE
POLISH BOOKS & ARTS, INC.**

97 EAST 7th STREET, NEW YORK, NY 10009
Tel.: (212) 254-8457

Książki polskie. — Książki w języku angielskim dotyczące spraw polskich. — Słowniki. — Podręczniki. — Płyty i kasety. — Bogaty wybór polskich plakatów.

Przyjmujemy książki w komis.
Realizujemy zamówienia pocztowe.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 390 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ

TOM III

1980-1983

Str. 345.

Cena F. 95,00.



TOM 392 — JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

ROZMOWY POLSKIE LATEM 1983

(fragmenty powieści)

Tom prozy wybitnego poety i eseisty z Kraju. Autor opowiada o wakacjach spędzonych latem 1983 nad jeziorami w okolicy Suwałk. Bliskość Litwy, jej stare legendy i mity, przeszłość historyczna Rzeczypospolitej i polska teraźniejszość, problemy moralne i wyznania Autora przeplatają się w tej prozie z wakacyjnymi dialogami i scenami, nie raz pełnymi gorzkiego humoru.

Opowieść bardzo polska i bardzo współczesna.

Str. 160.

Cena F. 60,00.



TOM 397 — MAREK NOWAKOWSKI

DWA DNI Z ANIOŁEM

Czwarta — wydana u nas — książka jednego z najciekawszych i najbardziej utalentowanych prozaików polskich młodego pokolenia, łączy żywy opis środowiska o ogromnym wyczuciu realiów z szerszą refleksją o Polsce pod rządami komunistów.

Str. 152.

Cena F. 55,00.



TOM 398 — WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

ZABEZPIECZANIE ŚLADÓW

Nowa książka autora „Zasypie wszystko, zawieje...”.

Zawiera opowiadania: *List, Bóg z tobą synu, „I Duch się skupił na jedno ziarno”, Pod murem, Ku Dunyńańskiemu Wzgórzcu idzie las, W stepie, w ostach i w burzanie.*

Str. 128.

Cena: F. 45,00.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

8-11-84

Na skutek kryzysu w polskiej flocie handlowej i rybackiej w ub. roku tysiąc oficerów marynary zostało zatrudnionych na statkach armatorów zagranicznych. Poszukiwaniem dla nich pracy zajmuje się Agencja Morska w Szczecinie i w Gdyni, oraz Polservis w Warszawie. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 59 lat Stanisław Mikołaj Rostworowski (Nik), działacz Stowarzyszenia PAX, b. redaktor tygodnika *Kierunki*. ■ Po raz 37-my przyznano nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka. M.in. nagrodę otrzymali: dr Jan M. Ciechanowski za książkę „Powstanie Warszawskie”, Kazimierz Truchanowski za całokształt twórczości, oraz Janina Hertz za twórczość „przenikniętą wartościami religijnymi”.

11-11-84

W Warszawie została utworzona liberalno-demokratyczna partia „Niepodległość”. Jej organem jest wydawane od stycznia 1982 roku pismo *Niepodległość* (miesięcznik).

13-11-84

Korespondent PAP w Moskwie, Koliwicz, informuje, że sowieccy eksporterzy wykonali swoje roczne zobowiązania dostaw: samochodów osobowych w ilości 4.072 sztuk, 50 tys. sztuk telewizorów czarnobiałych, 600 tys. ton pszenicy konsumpcyjnej, w 100 % zostały zrealizowane dostawy koniaku i szampana. PRL ma otrzymać 5 tys. ton herbaty oraz w ramach dodatkowych umów zakupiono 50 tys. ton ryżu. Ponadto dostarczono 8.524 ciągników dla rolnictwa.

1-12-84

Witold Nawrocki, kierownik Wydziału Kultury KC PZPR, został mianowany dyrektorem Instytutu Badań Literackich PAN. Ze względu na znaną działalność p. Nawrockiego, można się spodziewać dalszego znacznego ograniczenia działalności IBL lub nawet jego likwidacji. Jak dotąd budżet IBL został poważnie okrojony, zredukowano plany wydawnicze, zlikwidowano *Teksty*, najlepsze pismo krytyk literackich, oraz zwolniono z pracy Jana Józefa Lipskiego.

2-12-84

W *Tygodniku Powszechnym* Stefan Kisielewski zamieszcza — bez komentarza — swoistą „czarną listę” publicystów i dziennikarzy pt. „Moje typy”. Lista ta powinna być rozpowszechniana, więc ją poniżej zamieszczamy: „Barzd Tadeusz, Berezowski Maksymilian, Bilik Andrzej, Boniecka Ewa, Broniarek Zygmunt, Dobrosielski Marian, Drecki Ryszard, Dziedzińska Grażyna, Głabiński Stanisław, Guz Eugeniusz, Hoffman Rudolf, Jaworski Marek, Jackowski Tadeusz, Kamiński Zdzisław, Kedaj Aleksandra, Kedaj Waldemar, Kot Zbigniew, Krasicki Ignacy, Leśnikowski Zbigniew, Lobman Jerzy, Lulińska Anna, Luliński Daniel, Łoziński Włodzimierz, Nietz Franciszek, Olszewski Witold, Piasecka Arna, Podkowiński Marian, Ramotowski Zbigniew, Safjan Zbigniew, Słomkowski Zygmunt, Stefanowicz Janusz, Szelestowska Maria, Woźniak Grzegorz, Wojna Ryszard, Zdanowski Henryk, Żrałek Włodzimierz”. ■ Zjazd delegatów Stowarzyszenia Autorów ZAiKS wybrał nowe władze stowarzyszenia: prezesem został Edmund Osmańczyk.

5-12-84

Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej przyznał nagrody im. Wandy Wasilewskiej 27 osobom. Nagrody zostały wręczone przez córkę Wandy Wasilewskiej, Ewę. M.in. nagrody otrzymali: dziennikarz radiowy Zdzisław Stankiewicz oraz zespół dziennikarzy radiowych, autorów audycji pt. „Mówi Warszawa”, przeznaczonej dla słuchaczy w Związku Sowieckim.

ZACHÓD — EMIGRACJA

8-11-84

W bazylice Notre Dame w Genewie odbyła się msza żałobna za duszę ks. Jerzego Popiełuszki, zorganizowana przez Stowarzyszenie Pro Polonia. Mszę św. odprawił ks. prałat Frania w asyście dziesięciu księży. ■

1-12-84

Nagroda *Pulsu* (Londyn) została przyznana dziennikarzowi i historykowi angielskiemu Timothy Garton Ash. M.in. jest on autorem książki „Solidarity — the Polish Revolution”.

6-12-84

Staraniem Międzynarodówki Oporu kierowanej przez Władimira Maksimowa, redaktora *Kontinentu*, odbyła się w Hotelu Scribe w Paryżu 5 i 6 grudnia ub. roku bardzo udana konferencja o dezinformacji sowieckiej. Impreza wzbudziła wielkie zainteresowanie, sala konferencyjna hotelu paryskiego była przepełniona. Pierwszego dnia przewodniczył Roger Wybot, założyciel i b. szef kontrwywiadu francuskiego; drugiego dnia — Lord Chalfont, b. angielski minister spraw zagranicznych. Krótkie referaty wygłosili m.in. tacy znawcy przedmiotu jak John Barron, Vladimir Volkoff, Zdzisław Rurarz, Arnaud de Borchgrave, Claire Sterling, Robert Conquest, Michał Heller, Michał Woźniak. Słuchacze żywo uczestniczyli w dyskusji (nie brakło wśród nich osób szeroko znanych, jak np. aktor francuski Yves Montand i pisarz hiszpański Jorge Semprun). Materiały konferencji zostaną ogłoszone w trzech językach — po francusku, po angielsku i po niemiecku. Warto przy okazji dodać, że materiały poprzedniej konferencji zorganizowanej przez Międzynarodówkę Oporu (o Jałcie) ukażą się po francusku w wydaniu książkowym.

24-12-84

Wizyta włoskiego ministra Andreottiego w Polsce jest dużym sukcesem przede wszystkim dla gen. Jaruzelskiego. Wyciągnął on wnioski z popełnionych przez siebie głupstw, które uniemożliwiły wizytę Genschera i kłopoty stosunki z Wielką Brytanią w związku z wizytą w Warszawie min. Malcolm Rifkinda. Andreotti był więc oficjalnie zawieszony na mszę do kościoła św. Stanisława, zatrzymał się przy grobie ks. Jerzego Popiełuszki (ale kwiatów nie złożył), rozmawiał z prymasem Glempem i konferował z byłymi doradcami „Solidarności”: Gieremkiem i Mazowieckim. To ostatnie spotkanie to także atut dla gen. Jaruzelskiego, dający Zachodowi wspaniały dowód liberalizmu reżymu. Wszystko to odbywało się w tym samym czasie kiedy skazano Gwiadę, kiedy 11-tu działaczy „Solidarności” rozpoczęło głodówkę w kościele w Gdańsku w obronie skazanych i uwięzionych kolegów i w przededniu procesu oficerów SB, którzy zamordowali „prymasa podziemia” — jak Go nazwały niektóre pisma podziemne.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Komitety wyłoniony przez Konferencję Biskupów Amerykańskich wydał wstępną wersję listu pasterskiego, w którym obarcza Stany Zjednoczone moralną odpowiedzialnością za pogłębiające się nierówności ekonomiczne w Stanach, stwierdzając, że zjawiska te są nie do pogodzenia z moralnością chrześcijańską. Wydaje się, że list pasterski nie postuluje jeszcze wprowadzenia systemu socjalistycznego w miejsce kapitalistycznego, natomiast proponuje znacznie większe zsoціальdemokratyzowanie ustroju poprzez redystrybucję dochodu narodowego. Bezrobocie ma być zmniejszone poprzez stworzenie dodatkowych miejsc pracy przez administrację. W sumie naturalne mechanizmy gospodarcze mają być wzmocnione interwencją państwa, odgórnie likwidującego biedę i nadmierne bogactwo. Wydaje się, że propozycje wyrażone w liście nie są wyrazem poparcia dla żadnej doktryny gospodarczej, lecz impulsywną negacją istniejącego ustroju bez proponowania alternatywy. W sumie są objawem jeśli nie ignorancji, to dużej naiwności. Oficjalny tytuł listu brzmi „List Pasterski na temat katolickiej nauki społecznej i gospodarki Stanów Zjednoczonych”. Zaprezentowany został na konferencji prasowej przez arcybiskupa Romberga Weakland'a w Milwaukee w stanie Wisconsin. List liczy 120 stron druku. Dysproporcja pomiędzy mało rewelacyjną treścią listu a jego pretensjonalnym tytułem jest tym bardziej uderzająca, że przygotowanie wstępnej wersji listu trwało 4 lata. ■ Grupa świeckich katolików w Stanach pod kierunkiem Michaela Novaka i Williama Simona opublikowała dokument, który przedstawia opcję rozwiązań ekonomicznych najbardziej odpowiadających duchowi katolicyzmu. Proponowane rozwiązania opierają się na maksymalnej aktywizacji mechanizmów wolnorynkowych. Dotychczasowe doświadczenia wskazują, że mechanizmy te — tworząc rażące nieraz różnice w poziomie dochodów ludności — dają w efekcie możliwe najlepsze rozwiązania ekonomiczne i eliminują skrajną nędzę. Propozycje Novaka i Simona nie mają ambicji odkrywczych i w istocie nimi nie są. Mają natomiast stanowić replikę na list pasterski biskupów. Michael Novak jest założycielem Slavic National Association, autorem wielu prac z zakresu najnowszych dziejów Ameryki. William Simon — byłym Sekretarzem Skarbu. ■ 17 biskupów Kościoła Rzymsko-Katolickiego w Stanach Zjednoczonych zaatakowało politykę rządu Reagana wobec Republiki Południowo-Afrykańskiej, zarzucając mu, że wspomaga system segregacji rasowej. Ci sami biskupi stwierdzają, że klęska głodu, która dotknęła ostatnio szereg krajów afrykańskich, w tym głównie Abisynię, jest następstwem międzynarodowej polityki handlowej. Polityka ta, zdaniem biskupów, zmusza kraje rozwijające się do eksportu zboża, co wywołuje głód wśród ich własnej ludności. Sprawa stosunku rządów amerykańskich do Republiki Południowo-Afrykańskiej stanowi oczywiście osobny temat, nie mający nie wspólnego z głodem w krajach Afryki. W Afryce Południowej jest dyskryminacja kolorowej ludności, ale nie ma głodu. Ani rząd Reagana ani poprzednie nie wspierały segregacji w tym państwie, natomiast trzeba przyznać, że ani nie mogły, ani nie miały wielkiej ochoty zbytnio jej się przeciwstawić. Jeśli chodzi o drugie oświadczenie owych 17-tu biskupów, to dowodzi ono albo niezwykłej ignorancji duchowych, albo złej woli. Kraje afrykańskie dotknięte obecnie i w przeszłości klęską głodu prawie wcale nie produkowały zboża ani żadnych ziemiopłodów na eksport. Ich zagłodzenie wynika z wielowiekowego zacofania gospodarki rolnej (Etiopia) i systemu feudalnego, który za ten stan rzeczy ponosił przez wieki odpowiedzialność, i często bardzo skąpej ilości gruntów uprawnych przy gwałtownym przyroście naturalnym, za co już na pewno nie ponosi winy międzynarodowy handel.

Biskupi katolicy też nie, bo gdyby nawet zgodzili się wbrew doktrynie Kościoła na stosowanie środków antykoncepcyjnych, to i tak nie by to nie pomogło. Jeśli zaś chodzi o mało sprawną pomoc żywnościową dla setek tysięcy ludzi umierających z głodu, to sprawa ta ma kilka ważnych przyczyn. Po pierwsze we wszystkich tych krajach jest bardzo słabo rozwinięta infrastruktura. Nie wystarcza dostarczyć żywność na terytorium dotkniętego plagą kraju. Trzeba ją jeszcze rozdzielić pośród głodujących. W Etiopii sieć dróg jest bardzo wąta. Amerykańskie i kanadyjskie zboże transportowane jest przy użyciu amerykańskiej benzyny na sowieckich samolotach, które dostarczają pomoc tam, gdzie są lotniska. Głodni są rozsiadani na ogromnych terytoriach, trzeba więc skupić ich w obozach, do których mogą dotrzeć przynajmniej helikoptery. Prowincja Ogaden objęta jest wojną domową, ponieważ zamieszkała jest przez większość somalijską. Komunistyczny rząd Abisynii nie bardzo sobie życzy, by pomoc dotarła do tej części ludności, która podatna jest na wpływy somalijskich rebeliantów. Ale nie względy polityczne są najważniejszą przeszkodą. Komunistyczne rządy zawsze gotowe są przyjąć wszelką pomoc od kapitalistów, a w wypadku klęski głodowej nie odważą się czynić trudności. Problem polega na tym, że tempo pomocy, a przede wszystkim dystrybucja żywności nie nadąza za nowymi tysiącami konających z głodu. O to wszystko niektórzy amerykańscy politycy mają pretensję do Stanów Zjednoczonych, że dały za późno i za mało. Natomiast oskarżenia owych 17 biskupów mają charakter unikalny, bo w polu ich widzenia powinien się znaleźć przynajmniej jeden kraj, któremu wprawdzie jeszcze daleko do sytuacji niektórych krajów Afryki Środkowej i Wschodniej, ale który jest zdecydowanie niedożywiony i cierpi poważnie braki własnie dlatego, że jego rząd stara się zdobyć dewizy i kosztem zaopatrzenia własnej ludności eksportuje artykuły hodowlane. W tym jednak wypadku winien jest nie „handel międzynarodowy”, ale handel komunistyczny, dokładnie — peerelowski. Niestety niektórzy biskupi amerykańscy cierpią na lewicową zaćmę i kraju tego nie dostrzegają. ■ Amerykańskie firmy General Dynamics, General Electric oraz kilka innych otrzymały kilka lat temu zamówienia od Departamentu Marynarki na budowę łodzi podwodnych klasy Trident II. Na czele komisji prowadzącej rozmowy z kontrahentami stał admirał Hyman Rickover, twórca pierwszej łodzi podwodnej o napędzie nuklearnym. Admirał miał wówczas już 80 lat. Nie przesunięto go jeszcze na emeryturę z uwagi na jego zasługi i wysoki autorytet w kołach marynarki wojennej. Zamówienie które otrzymały wówczas wymienione firmy było multimiliardowe. Łódź podwodna klasy Trident II jest wyposażona w wyrzutnie pocisków nuklearnych o niespotykanej dotychczas celności. Przewidziana była do tzw. drugiego uderzenia. Oznacza to, że Stany Zjednoczone użyją wyrzutni Trident II tylko w wypadku, gdyby zostały zaatakowane bronią nuklearną dalekiego zasięgu. Rakiety wystrzelwane z Tridenta II nie miały niszczyć miast sowieckich i dziesiątkować cywilnej ludności, ale dzięki swej precyzyjności niszczyć sowiecki arsenał nuklearny. Była to więc broń niezmiernie ważna, bodajże najważniejsza w programie unowocześnienia amerykańskiego uzbrojenia. W toku prowadzonych ostatnio przesłuchań przedstawicieli firmy General Dynamics wyszło na jaw, że admirał Rickover przyjął od firmy podarunek w postaci naszyjnika z diamentem dla swej żony. Admirał nie zaprzeczył temu i sprawa nabrała cech skandalu. W pierwszej fazie pod presją niektórych demokratycznych kongresmanów Departamentu Marynarki zamierzał wycofać zamówienie z firmy General Dynamics i szukać innego kontrahenta. Krok taki na pewno niezmiernie by ucieszył Sowiety, ponieważ oznaczałby opóźnienie modernizacji amerykańskiej marynarki. Na szczęście decyzja została zmieniona. Zamówienie na produkcję statków podwodnych Trident II realizowane jest bez zmian przez tych samych kontrahentów. ■ Do Sądu Federalnego w Manhattanie (Nowy Jork)

wpłynęły dwie skargi o oszczerstwo. Pierwsza — gen. Williama Westmorelanda, dowódcy amerykańskich sił zbrojnych w czasie wojny w Wietnamie, skierowana przeciwko CBS (Columbia Broadcasting System). Druga — skarga gen. Ariela Sharona, dowódcy wojsk izraelskich (i ministra obrony) w czasie inwazji w Libanie. Skarga skierowana jest przeciwko „Time” Inc. Gen. Westmoreland skarży CBS o 150 milionów dolarów odszkodowania za oszczerzy w jego przekonaniu zarzut, iż ukrywał przed Departamentem Obrony rozmiary sił partyzantów wietnamskich. Generał twierdzi, że gdyby zarzut ten był prawdziwy, już dawno musiałby odpowiadać przed sądem wojskowym i że cyfry, które podawał swoim zwierzchnikom w Pentagonie odpowiadały rzeczywistości. Gen. Ariel Sharon skarży *Time* o sformułowanie, w którym zarzuca mu się, że w czasie masakry dokonanej w obozie Sabra podlegał do tego czynu milicjantów chrześcijańskich. Sprawa gen. Westmorelanda wymaga zebrania kolosalnej ilości materiału faktycznego. Czy ukrywał liczebność sił partyzanckich walczących po stronie Hanoi — nie wiemy. Ponieważ do operacji partyzancko-terrorystycznych w rozmaitych częściach świata używa się ostatnio 14-to-, a nawet 12-toletnich chłopców, odpowiedź na pytanie, kto jest „partyzantem”, a kto nie pozostaje prawdopodobnie sporna. Równie skomplikowana, tylko w inny sposób, jest sprawa gen. Ariela Sharona. Sharon musiał ustąpić ze stanowiska w wyniku orzeczenia Najwyższego Sądu Izraela. Sąd uznał zarówno jego jak i kilku podległych mu oficerów winnymi temu, że mogąc przewidzieć skutki wypuszczenia na teren obozu palestyńskiego milicji chrześcijańskiej i mając sygnały o gotującej się masakrze, nie uczynili niczego, by jej zapobiec. Czy oznacza to, że do masakry podlegał Sharon? Moim zdaniem — nie. Ale też i nie musiał podlegać, bo ją przewidział. Czy wobec tego ponosi za nią odpowiedzialność? Chyba dzieli ją z bezpośrednimi wykonawcami. Milicjanci libańscy, którzy wymordowali znaczną część mieszkańców obozu palestyńskiego, nie byli ani automatami, ani lwami, którym rzucił się ludzi na pożarcie. Byli żywymi ludźmi świadomymi swych uczynków. Obarczenie całkowitą winą Sharona byłoby ekspiacją morderców, którzy brali odwet za krzywdy i mordy dokonane nie przez ofiary, ale przez zupełnie innych ludzi należących do ich plebienia. Ale w całej sprawie nie chodzi o winę lub niewinność Sharona, bo tę rozstrzygnął już dawno Trybunał Izraelski, ale o słowo „podleganie”. Sprawy gen. Westmorelanda i gen. Sharona nie mają ze sobą nic wspólnego prócz jednej ważnej okoliczności. Otóż w roku 1960, rozpatrując sprawę Sullivan *versus* *New York Times*, Sąd Najwyższy Stanów wydał decyzję, mocą której osoba publiczna nie może występować przeciwko masowym środkom przekazu ze skargą o oszczerstwo, ponieważ uwzględnienie takiej skargi zagrażałoby wolności gwarantowanej pierwszą poprawką do Konstytucji (chyba że mają miejsce szczególne okoliczności i skarżący potrafi udowodnić, że domniemany oszczerca działał w złej wierze i świadomie kłamał). Oczywiście w praktyce spełnienie tego ostatniego warunku jest niemożliwe. Zarówno gen. Westmoreland jak gen. Sharon są wedle niekwestionowanej przez nikogo definicji „osobami publicznymi”. Dlaczego więc wnoszą skarbę? Według mnie po to, żeby sprawa przeszła przez wszystkie instancje i trafiła do Sądu Najwyższego, który może zrewidować orzeczenie z roku 1960. Orzeczenie to daje amerykańskim *mass mediom* pirackie prawo rzucania oszczerstw bez żadnej odpowiedzialności za słowo. ■ Według doniesień amerykańskiego publicysty Jacka Andersona, specjalizującego się w zdobywaniu i publikowaniu wiadomości zakulisowych, Rada Bezpieczeństwa przygotowała dokument, w którym uznaje PRL za państwo represyjne. Nadanie temu dokumentowi mocy prawnej uprościłoby znacznie przyznawanie Polakom azylu w Stanach Zjednoczonych. Dokument wymaga podpisu prezydenta Reagana. O nadanie mu mocy prawnej zabiega Zbigniew Brzeziński. Przeciwnikami są kierownicy osobistości z Ministerstwa

Sprawiedliwości. Mord dokonany na ks. Jerzym Popiełuszcze wzmocnił znacznie pozycję tych przyjaciół Polski, którzy domagają się uznania PRL za państwo represyjne.

Z. B.

KRONIKA FRANCUSKA

W związku z wypowiedzią ministra spraw zagranicznych Francji, Claude Cheyssona z 7 listopada ub. roku (w której stwierdził, że w aktualnej sytuacji — po śmierci księdza Popiełuski — Francja nie przewiduje oficjalnych wizyt w PRL) wypowiedział się rzecznik rządu PRL, Jerzy Urban, grożąc państwu francuskiemu represjami takimi jak ograniczenie nauczania języka francuskiego w polskich liceach. Słowa rzecznika: „piękny język francuski przestał być jednym z głównych języków świata”. Również *Trybuna Ludu* zaatakowała francuskiego ministra. ■ W dniach od 20 do 23 listopada ub. r. odbył się w Paryżu XV Krajowy Kongres Konfederalny związku zawodowego *Force Ouvrière*. W obradach uczestniczyli przedstawiciele Biura Zagranicznego NSZZ „Solidarność” — Mirosław Chojecki, Jerzy Milewski i Danuta Nowakowska. Lech Wałęsa nadesłał telegram z pozdrowieniami. W części zagranicznej oświadczenia zamykającego Kongres wiele miejsca poświęcono sprawom polskim. ■ W końcu listopada ub. r. odbyło się w Bibliotece Polskiej w Paryżu doroczne zebranie członków Towarzystwa Opieki nad Polskimi Zabytkami i Grobami Historycznymi we Francji. ■ Cały dochód ze sprzedaży słynnego francuskiego szampana „Kriter” został przeznaczony dla kościoła polskiego w Paryżu. W tej ekskluzywnej imprezie w zamku de Meursault uczestniczyło wiele znanych osobistości; przewodniczył sprzedaży Mściśław Rostropowicz. Sprzedano dużo butelek. ■ Julia Hartwig i Artur Międzyrzeczki, znani poeci i tłumacze literatury francuskiej, byli gośćmi paryskiego Centre du Dialogue. W tym samym miejscu odbył się 6 grudnia ub. r. wieczór autorski Kazimierza Brandysa. ■ Tradycyjne zebranie z okazji rocznicy Powstania Listopadowego miało miejsce w dniu 1 grudnia ub. r. w gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu. Spotkanie zorganizowała, jak co roku, Rada Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Przemawiali: prezes Towarzystwa prof. E. Zaleski, Tomasz Łubiński, historyk z Polski, autor książki pt. „Bić się czy nie bić” i prof. Edmond Marek. Zakończeniem uroczystego wieczoru był pokaz okolicznościowych filmów, przygotowany i komentowany przez Krzysztofa Barbarskiego z Instytutu i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. ■ 2 grudnia ub. r. w państwowym programie radiowym „France Culture” została nadana niecodzienna audycja poświęcona sytuacji w Polsce. W warszawskim studio polskiego radia (rzeczą była transmitowana na żywo) rozmawiali: reprezentująca „France Culture” komunistyczna dziennikarka Francis Crémieux i jej goście: Waław Aulaytner, Jerzy Lisowski, Zdzisław Morawski i Ryszard Wojna, a w studio paryskim redaktorzy Jean de Beer i Michel Barthelemy. Jak stwierdził na początku jeden z dziennikarzy francuskich, wobec faktu iż większość publikowanych we Francji wiadomości o Polsce pochodzi ze strony opozycji, postanowiono umożliwić wypowiedzenie się także stronie sprawującej władzę (!). Padło kilka ciekawych myśli — np. Zdzisław Morawski (red. naczelny *Życia Warszawy*) wyjaśnił francuskim słuchaczom, że w Polsce wprowadzono reformę gospodarczą i dyrektorzy przedsiębiorstw nie zależą już w swoich decyzjach ekonomicznych od ministra i Podstawowej Organizacji Partyjnej, lecz od banku, a ponadto są kontrolowani przez samorządy, w których 90% uczestników, to byli członkowie „Solidarności”. Morawski na temat PRON-u: to rodzaj opozycji i rząd jest bardzo zadowolony, że taka organizacja na skalę krajową istnieje... ■ W pierwszych dniach grudnia odbył się w Marsylii czterodniowy Krajowy Zjazd Delega-

tów CFTC (chrześcijański związek zawodowy). W Zjeździe uczestniczyła grupa przedstawicieli Biura Zagranicznego NSZZ „Solidarność” — Piotr Chruszczyński, Robert Kaczmarek, Jerzy Milewski i Danuta Nowakowska. W czasie obrad odczytano telegramy Lecha Wałęsy i RKS Regionu Małopolska z pozdrowieniami dla uczestników Zjazdu i z podziękowaniami za pomoc, jakiej francuscy związkowcy udzielili podziemnej „Solidarności” (kilka miesięcy wcześniej CFTC podpisała umowę o współpracy z RKS Małopolska. ■ 13 grudnia ub.r., w dniu trzeciej rocznicy wprowadzenia stanu wojennego w Polsce przed ambasadą PRL w Paryżu odbyła się protestacyjna manifestacja. Uczestniczyło w niej kilkaset osób. ■ W tym samym „rocznicowym” dniu w paryskiej galerii „A la Tanière — André Bazin” odbył się wernisaż wystawy pt. „Podziemna poczta Solidarności”. Organizatorami tej pokazowej i interesującej wystawy byli Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarność” we Francji i paryski komitet „Solidarité avec Solidarność”. ■ W sali Biblioteki Polskiej w Paryżu koncertował Grzegorz Jastrzębski, młody pianista z Polski. Jastrzębski wykonał utwory Chopina. Dochód z koncertu został przeznaczony na fundusz renowacji zbiorów Biblioteki. ■ Księgarnia Polska w Paryżu zorganizowała w dniach od 19 do 31 grudnia ub.r. tradycyjny kiermasz gwiazdkowy. W dniu otwarcia gośćmi Księgarni byli: Bohdan Cywiński, Jean Offredo i Lucienne Rey, którzy podpisywali swoje ostatnie książki. Dzień ten był również pierwszym dniem sprzedaży książki Macieja Łopińskiego i Mariusza Wilka pt. „Konspira — rzecz o podziemnej Solidarności”, wydanej w paryskim wydawnictwie „Spotkania”. ■ W trzecią rocznicę stanu wojennego odsłonięto w centrum Grenoble pomnik-rzeźbę „Solidarność vivante” — „Solidarność żyje”. Ma to być znak trwania tej idei w pamięci zbiorowej nie tylko polskiej, ale i innych narodów. Rzeźba Manfrediego Quartana zrobiona jest ze spawanych ze sobą stalowych prętów i sugeruje obraz czterech postaci ciągniętych do przodu przez małą dziewczynkę i zwieczonych sylwetką ptaka przypominającego „V” zwycięstwa. Kompozycja utrzymuje równowagę elementów poziomych i pionowych i poprzez linie i przegięcia prętów robi wrażenie dużej dynamiki, ruchu. Na cokole znajduje się motto z poematu Charlesa Péguy o nadziei, małej dziewczynce bez znaczenia, która sama jedna — niosąc innych — przemierzy stare światy. Inicjatywa wyszła od francuskiego Komitetu „Solidarité avec Solidarność” z Grenoble, została zrealizowana wyłącznie z darów (w tym również Kultury), ale za zgodą i przy poparciu politycznym zarówno lewicy jak i prawicy. Taki *consensus* jest niezwykle rzadki we francuskim życiu politycznym; tym bardziej należy podkreślić obecność na uroczystości odsłonięcia zarówno Raymonda Espagnaca, byłego senatora socjalistycznego i wiceprzewodniczącego Conseil Général, jak Alaina Carignon, prawnicowego (RPR) posła europejskiego i znanego mera Grenoble. Był również obecny poseł Izery Bernard Montergnole, socjalista, a przewodniczący komisji politycznej parlamentu europejskiego Roberto Formigoni przesłał długi telegram. Uroczystość odsłonięcia była bardzo poruszająca. Mimo chłodu zebrano się około dwustu osób. Jean Vanoye, prezes Komitetu, podkreślił uniwersalność idei „Solidarności” i konieczność dalszego jej istnienia zarówno jeśli chodzi o opozycję w Polsce, jak w ruchu popierającym ją na Zachodzie. Uroczystego odsłonięcia dokonała Danuta Nowakowska, reprezentująca Międzynarodowe Biuro „Solidarności” w Brukseli, podczas gdy chór Stowarzyszenia Polaków odśpiewał hymn Solidarności „Zczy Polska była Polską”. Zabłygnęły świeczki, szereg osób prywatnie złożyło u stóp pomnika kwiaty. — PS. Dary na pomnik — na spłacenie kredytów — można nadal nadsyłać na adres: Comité Solidarité avec Solidarność, 2, rue Berthe de Boissieux, 38000 Grenoble; CCP Grenoble 151460 N.

Wojciech SIKORA

KRONIKA KANADYJSKA

Komitet Pomocy Dziennikarzom Polskim, pozbawionym możliwości pracy zawodowej, utworzonym w Toronto po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce przez zespół dziennikarzy kanadyjskich, zebrał w ciągu dwóch lat działalności około 20 tys. dolarów kanadyjskich. Na zebraniu w Toronto, 16 listopada 1984 roku, Zygmunt Przetakiewicz podał do wiadomości, iż wysłano do Polski 240 paczek o przeciętnej wartości \$ c. 30,00. Dochód z zebrania, który wyniósł około tysiąc dolarów umożliwił wysłanie dalszych paczek na święta. Rzecznikiem Komitetu i jednym z organizatorów jest Marek Łukasiewicz, poprzednio członek redakcji dziennika *Globe & Mail*, a obecnie redakcji sieci telewizyjnej CBC. ■ Polski program telewizyjny „Panorama” nadawany raz w tygodniu przez pół godziny z prywatnej, wielojęzycznej stacji w Toronto, został zlikwidowany. Uruchomiony przed 5 laty, przy poparciu Kongresu oraz organizacji społecznych, nadawany raz w tygodniu przez godzinę, natrafił z miejsca na trudności — przede wszystkim finansowe, a nadto personalne i programowe. Pomoc organizacyjna i nikłe dotacje nie wystarczyły na pokrycie nawet najskromniejszych bieżących wydatków. Program nie chwycił — był ubogi, nieatrakcyjny. ■ Zarząd Towarzystwa przyjaciół KUL-u, z inż. Władysławem Zawodzińskim na czele, został jednogłośnie wybrany na następną kadencję. Skarbnik poinformował delegatów (na walnym zjeździe w Ottawie), że Towarzystwo ma na swoim koncie \$ 116.022,00. Oddziały prowadzą w poszczególnych miastach ożywioną działalność, jak świadczą o tym m.in. wpływy: Edmonton — \$ 28.770,00, Montreal — \$ 6.403,00, London — \$ 5.136,00, Sudbury — \$ 3.447,00. ■ Polski zбір Ewangelicko-Augsburski w Toronto obchodził 11 listopada 1984 roku 30-lecie założenia. Uroczystości odbyły się w kościele św. Pawła, kazanie wygłosił ks. Jan Malina, a po nabożeństwie odbyło się uroczyste przyjęcie dla uczestników. ■ 11 listopada 1984 roku, o godz. 14-tej odbyła się w kościele św. Kazimierza prapremiera utworu „Treny narodu polskiego” Johna Reevesa, kanadyjskiego kompozytora. ■ Polsko-Kanadyjskie Towarzystwo Wzajemnej Pomocy, największa organizacja polonijna w prowincji Québec, obchodziła 50-lecie. Założona jako organizacja samopomocowa w Montrealu w 1934 roku, w latach powojennych rozwinęła się i rozszerzyła zakres działalności. ■ W Kanadzie czynnych jest 69 polskich szkół podstawowych, w których programem nauczania objętych jest 3.590 dzieci i młodzieży, przy 214 osobach personelu. W 7 szkołach średnich w prowincji Ontario i w jednej w Manotobie znajduje się w programie nauka języka polskiego, a kursy języka polskiego dla dorosłych prowadzone są w Toronto, Hamiltonie i Winnipegu. Ponadto język polski jest w programach uniwersyteckich w Toronto, Waterloo, Windsor i Manitoba. Szkolnictwo polonijne korzysta z różnorodnej pomocy: samorządowej, prowincjonalnej i federalnej, ale główny ciężar jego utrzymania spoczywa na organizacjach społecznych. ■ Na zebraniu torontońskiego oddziału Canadian Peace Congress w dniu 24 listopada 1984 roku według zapowiedzi mieli przemawiać m.in. Józef Cyrankiewicz i Wiesław Górnicki. Ponieważ podano, że zebranie w Convocation Hall (budynku University of Toronto) ma charakter publiczny, przybyła na nie grupa Polaków z członkami Polish-Canadian Action Group na czele. Jedni rozdawali przed budynkiem ulotki uświadamiające kim są pp. Cyrankiewicz i Górnicki, inni zaś weszli na salę. Organizatorzy zaniepokojeni obecnością na sali Polaków, wezwali straż porządkową w celu usunięcia ich z sali, co nie obyło się bez użycia siły. Jak się okazało Cyrankiewicz nie było i zjawił się tylko Górnicki. ■ Okręg

Alberta Kongresu Polonii Kanadyjskiej przystąpił do wydawania kwartalnika *Dialogi*. Na czele zespołu redakcyjnego jest Edward Mozejko, profesor literatury porównawczej University of Alberta w Edmonton. Na treść pierwszego numeru składają się artykuły na tematy aktualne („Trójgłós o emigracji”), wywiad z prezesem Okręgu, wspomnienia, informacje organizacyjne oraz nowość — wiersze polskich poetów z Alberta.

B. H.

KRONIKA SZWEDZKA

Zamordowanie ks. Popiełuszki wywarło w Szwecji wielkie wrażenie. Prasa poświęciła tej tragedii wiele miejsca. Przeważała opinia, że odpowiedzialność za zbrodnię ponosi Jaruzelski i jego rząd poprzez wprowadzenie stanu wojennego, jego konsekwencje oraz tolerowanie zbrodniczych aktów Bezpieczeństwa i jego rozmaitych formacji. Zabójstwo Popiełuszki „oznacza nową, bardzo dramatyczną fazę w konfliktach politycznych w Polsce. Nikt w Polsce nie wierzy, że porwanie było przypadkiem, błędem albo zwykłym aktem przestępczym”, pisze Richard Swartz w *Svenska Dagbladet*. Nie należy także wykluczać, że porwanie miało błogosławieństwo Moskwy, ciągnie dalej Swartz. Lasse Persson, warszawski korespondent poczytnego *Expressen*, cytując pytanie, jakie przedstawił francuski *Figaro* zadał Urbanowi: „Czy policja polska może prowadzić dochodzenia w bazach obcego mocarstwa stacjonujących na polskich ziemiach?”. Pytanie podobno mocno rozkołysało Urbana, który nie odpowiedział. „W pobliżu Torunia znajdują się podobno bazy sowieckie” — komentuje Persson. ■ Z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Kultury paryskiej odbyły się w pierwszej dekadzie grudnia w Sztokholmie i Lundzie prelekcje Dominika Morawskiego, który był także zaproszony przez Kongres Polonii do Uppsali, Norrköping, Oxelösund i Göteborga. Morawski interesująco naświetlił złożoną sytuację w Watykanie i zależność Papieża od Kurii i jej tradycji w polityce zagranicznej. Wyjaśnił również, że Papież nie jest „monarchą absolutnym” i nie może narzucać — zwłaszcza po Soborze II — prymasom Kościołów narodowych swej polityki czy nawet poglądów. Oznacza to, że kard. Glemp ma nie tylko pewną swobodę w interpretowaniu poglądów Ojca Świętego, ale także w wykonywaniu Jego dezyderatów. Wypowiedzi D. Morawskiego na temat polityki wschodniej Watykanu oraz sytuacji w Polsce po zamordowaniu ks. Popiełuszki wzbudziły zdziwienie i wiele głosów krytycznych. Powszechny sprzeciw wywołały te zdania, których ogólny ton przypominał opinie skrajnie ugodowych kół Kościoła. W tym kontekście należy wspomnieć, że korespondenci szwedzcy coraz częściej podkreślają spadek popularności prymasa Glempla. Znamienna była pod tym względem relacja z Suchowoli Jana Behre, doskonałego znawcy stosunków polskich i specjalnego wysłannika *Göteborgs-Posten*, bardzo poczytnego szwedzkiego dziennika. Jan Behre pisze: „Zauważa się wśród ludzi rosnącą nieufność wobec prymasa Glempla. Uważa się, że jest on zanadto skłonny do kompromisów i układów z reżymem, kompromisów, które zaszkodzą wierzącym. Coraz częściej słyszy się epitety jak: 'czerwony kardynał' albo 'towarzysz Glemp'. Przyszłość Kościoła i Polski znajduje się obecnie w rękach zwykłych księży — mówi mi jeden z miejscowych obywateli”. Jan Behre odwiedził Suchowolę w związku z nabożeństwem żałobnym za spokój duszy Jerzego Popiełuszki w jego wsi rodzinnej. Obecna była nie tylko rodzina księdza Jerzego, ale z Bydgoszczy przybyła także rodzina Piotra Bartoszcze, zamordowanego na początku ub. roku. Korespondencja ukazała się na widocznym miejscu i pod wielkim tytułem: „Rośnie nieufność wobec kardynała Glempla”. ■ W początkach października ub. roku odwiedził Polskę znany dzia-

łacz szwedzkiej socjaldemokracji, profesor Sten Johansson, który był do niedawna doradcą premiera Palmego, a obecnie jest naczelnym dyrektorem Państwowego Głównego Urzędu Statystycznego. Sten Johansson spotkał się z przedstawicielami polskiej opozycji demokratycznej. Towarzyszyła mu Maria Borowska, prezes koła PPS w Sztokholmie, która była inicjatorką tej podróży. Szereg wizyt w Polsce różnych szwedzkich działaczy socjaldemokratycznych oraz dziennikarzy i publicystów tego rząducego w Szwecji obozu było wynikiem inicjatywy Marii Borowskiej. ■ Szwedzkie związki zawodowe nadal popierają „Solidarność” i demokratyczną opozycję w Polsce. Na przykład organizacja Młodzieży Socjaldemokratycznej oficjalnie zaprosiła latem ub.r. na swój kongres Adama Michnika, znajdującego się w więzieniu, który oczywiście przybyć nie mógł. Socjaldemokratyczna organizacja kobiet zaprosiła na swój kongres Ludmiłę Wujec, żonę Henryka Wujca, która przybyć nie mogła. Lokalne organizacje tej partii objęły patronat nad rodzinami działaczy „Solidarności”. Szwedzka Chrześcijańska Socjaldemokracja zaprosiła na swój kongres w sierpniu ub.r. Tadeusza Mazowieckiego, któremu też nie zezwolono na wyjazd. ■ 16 listopada ub.r. odbyła się rozmowa przedstawiciela „Solidarności” poza krajem Jerzego Milewskiego i Mirosława Chojeckiego ze szwedzkim stronnictwem socjaldemokratycznym. Delegacja polska została przyjęta przez przewodniczącego szwedzkiego stronnictwa socjaldemokratycznego Olofa Palme, premiera Szwecji. ■ W listopadzie ub.r. miała miejsce zmiana na stanowisku ambasadora Szwecji w Warszawie. Został nim Örjan Berner. ■ 15 listopada ub.r. podano do wiadomości publicznej jeszcze jedną ucieczkę komunistycznego działacza z Estonii do Szwecji. Sekretarz Komsomołu w Saku koło Tallina, 28-letni Hillar Raig, który bawił z grupą estońskiej młodzieży w Finlandii, opuścił 5 listopada ub.r. swoją grupę i uciekł do Szwecji. Raig pochodzi z „lojalnej rodziny marksistowskiej”, jego ojciec jest agronomem i kierownikiem kółchozu. Był on na Uniwersytecie w Dorpacie (Tartu) kolegą Valdo Randpere, innego działacza estońskiego Komsomołu, który wcześniej odeszkował do Szwecji razem ze swoją małżonką, śpiewaczką Leilą Miller. ■ Profesor teologii Krister Stendahl otrzymał insygnia biskupie w czasie uroczystości w protestanckiej katedrze sztokholmskiej. Piętnastu biskupów — nie tylko szwedzkich — tworzyło żywy ołtarz dookoła nowego biskupa. W kole zastawili jedno symboliczne puste miejsce dla polskiego biskupa Janusza Narzyńskiego, któremu władze PRL nie zezwoliły na wyjazd. ■ Przebywający tu od wielu lat uchodźca z Polski Czesław Słania, światowej sławy grafik rysujący znaczki pocztowe szwedzkie, jedyny człowiek, któremu nadano w Szwecji tytuł „królewskiego graveura”, został we wrześniu ub.r. laureatem nagrody filatelistycznej Roberta Stoltza, przyznanej przez Philatelic Music Circle. Nagrodę otrzymał Słania za blok znaczków poświęcony muzyce. ■ Adam Heymowski, kierownik Biblioteki Bernadottów na Zamku Królewskim, b. szef biblioteki Uniwersytetu w Sztokholmie, przewodniczył we wrześniu ub.r. międzynarodowemu kongresowi bibliofilów, który miał miejsce na Zamku z udziałem 150 bibliofilów. Heymowski miał lat 19, gdy przybył do Szwecji jako uchodźca z Polski. Doktorat uzyskał na Uniwersytecie w Uppsali. ■ W związku z ukazaniem się nowego zbioru poezji Agney Pleijel, znanej literatki i dziennikarki szwedzkiej, *Dagens Nyheter* stwierdza w pochlebnej recenzji, że ostatni tom jej poezji „jest wynikiem zdruzgotanej wiary w ideologię”. „Słowa socjalizm nie można już używać”, pisze ona sama w jednym z wierszy. Według *Dagens Nyheter* rozwój wydarzeń w Polsce, powstanie „Solidarności” i jej rozbięcie skłoniło poetkę do zrewidowania swego kodeksu i „wtrąciło ją w ideologiczną próżnię”. ■ 27 października ub.r. odbyło się drugie walne zebranie powstałego kilka lat temu Kongresu Polaków w Szwecji. Po dość burzliwych obradach wybrano nowy zarząd: prezes Roman Koba, wieloletni działacz SPK; wiceprezisi — Jan Zuchowski i Jan

Plewako. ■ W instytucie slawistyki przy Uniwersytecie w Uppsali odbyło się 6 grudnia ub.r. sympozjum poświęcone twórczości poetyckiej Wisławy Szymborskiej. Referaty wygłosili po szwedzku: profesor Sven Gustavsson, docent Lars Kleberg, dr Andrzej Ugla, dr Leonard Neugier, A. Bodin i Róża Lekach. ■ Tegoroczny laureat nagrody Nobla, Jarosław Seifert, wzbudził powszechne zainteresowanie Szwedów ze względu na jego stosunek do reżymu i powstające w związku z tym komplikacje. Do ostatniej niemal chwili nie było wiadomo, czy jego dzieci, córka Jana Seifertova i syn Jarosław Seifert uzyskają zezwolenie na wyjazd w celu przyjęcia nagrody w zastępstwie chorego ojca. Mąż Jany, Dalibor Plichta nie dostał paszportu. W przededniu wręczenia nagrody, 9 grudnia ub.r., wciąż nie było wiadomo, czy czeska telewizja poda fragmenty uroczystości w Sztokholmie.

Norbert ŻABA

SEMAINE POUR L'AFGHANISTAN AVEC LA POLOGNE

Pomiędzy 3 i 9 grudnia miał miejsce w Chambéry „Tydzień dla Afganistanu i Polski” zorganizowany przez Amitié Franco-Afghan (AFRAN) i Amitié Pologne-Afghanistan. W programie znalazły się 2 konferencje. Pierwsza o islamie w Afganistanie i o roli Kościoła w Polsce. Druga o aktualnej sytuacji ruchu oporu w obu krajach, referowana przez przedstawiciela „Solidarności” i dziennikarza francuskiego. Ponadto miały miejsce wystawy zdjęć walczącego Afganistanu i Polski, wystawa książek i plakatów. Kolacja afgańska (około 200 osób).

Sprzedaż dywanów afgańskich eksponowanych w teatrze miejskim dała przeszło 10.000 F dochodu. Pieniądze te zostaną przekazane do rąk rodzin dotkniętych zniszczeniami wojennymi przez wysłanników AFRAN, którzy udadzą się do Afganistanu.

Afgańczycy zaangażowani politycznie na rzecz swojej ojczyzny są nieliczni i rozporządzają małymi środkami. Znajomość sprawy afgańskiej w społeczeństwach zachodnich, w tym i wśród diaspory polskiej, jest bardzo mała.

Ostatnio ukazały się w języku francuskim trzy interesujące pozycje na temat Afganistanu: — Patrice Franceschi: „Guerre en Afghanistan”, Edition Table Ronde; — praca zbiorowa: „Afghanistan — la colonisation impossible”, Edition Cerf; — Michael Barry: „Le Royaume de l'insolence”, Flammarion.

Ponadto AFRAN wydaje bardzo dobry periodyk *Les Nouvelles d'Afghanistan*.

O bliższe informacje można zwracać się do: Jacka Winklera, 29, rue Henri Requault, 95120 Suresnes. Tel.: 506 04 55 (wieczorem).

KOMUNIKAT

KOMITETU POMOCY POLAKOM WE FRANCJI

OTWARCIE W PARYŻU POLSKIEGO DOMU ŚW. ANTONIEGO

Komitet Pomocy Polakom we Francji, założony w grudniu 1981 roku, związany z „Fondation de France” oraz z innymi instytucjami francuskimi i polskimi, w obliczu dramatycznej sytuacji wielu nowych emigrantów, postanowił uruchomić od 1.09.1984 r. ośrodek pomocy, rady i kształcenia w nowo otwartym Polskim Domu Św. Antoniego w dzielnicy łacińskiej. Ten siedmiopiętrowy dom został wynajęty Komitetowi przez miejscową Parafię za zgodą Arcybiskupstwa w Paryżu. Mieszczą się tu pokoje i rozmaite lokale które w listopadzie 1984 skupiają 76 osób; zorganizowana stołówka pozwala im i innym Polakom uzyskać tani posiłek na miejscu. Działacze Komitetu udzielają pomocy i rady w przebijaniu się przez gąszcz przepisów administracyjnych, ułatwiają naukę języka francuskiego a także zdobycie pracy (tylko legalnej tzw. praca „na czarno” nie wchodzi w rachubę). Poza tym bardzo ważny punkt działalności Komitetu to pomoc w studiach, przydzielanie stypendiów, poszukiwanie profesorów którzy by mogli troskliwie kierować pierwszymi krokami młodych.

Pobyt w Domu Św. Antoniego ma charakter przejściowy — kończy się zasadniczo po 6-ciu miesiącach — okres umożliwiający lokatorom ustabilizowanie się. Stypendia przydziela się głównie osobom kończącym już studia, bliskim pełnych kwalifikacji potrzebnych dla uzyskania pracy.

Ten ogromny wysiłek Komitetu przerasta jednakowoż nasze możliwości. Mimo pomocy Ojca Świętego, poparcia Prymasa Polski a także francuskich instytucji rządowych, miejskich i społecznych, nasza placówka, aby móc dalej skutecznie działać poszukuje wsparcia polskiego społeczeństwa we Francji i konkretnej pomocy wspólnoty polsko-francuskiej lub innych skupisk polskich w Europie. Solidarność i współdziałanie Polaków zamieszkałych we Francji z wyżej wspomnianą akcją społeczną Komitetu wzmacnia niewątpliwie pozycję Polski w tutejszym społeczeństwie.

Osoby starsze, bez rodzin, gorąco prosimy: pamiętajcie o nas gdy przyjdzie Wam dysponować swoim dobytkiem. Oby praca całego Waszego życia znalazła swoją ciągłość dzięki młodzieży mogącej Wam bardzo wiele zawdzięczać.

Czytając nasze sprawozdanie zrozumiecie Rodacy, ogrom zadań i trudności w ich realizowaniu. Ale chcemy jednak kontynuować to dzieło, tak jak poprzednie pokolenia emigrantów pomagały naszym poprzednikom, licząc i prosząc o Waszą pomoc. Nasze konto czekowe jest: CCP N° 1 583 99 D Paris a dla czeków bankowych: „Fondation de France, compte N° 403”.

Prezes Komitetu
Prof. Jerzy KALINOWSKI

Sekretarz Generalny
Michał W. KOWALSKI

Wiceprezes Komitetu
Ks. Eugeniusz PLATER

Listy do Redakcji

Londyn, 1 grudnia 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

W korespondencji z tegorocznych targów książki we Frankfurcie (*Kultura* listopadowa z bież. roku) p. Marek Zieliński odnotowuje nieobecność „Szans polskiej demokracji” Adama Michnika. Ponieważ z ramienia wyd. ANEKS podjąłem się dostarczyć na stoisko „Uncensored Poland” tę pozycję, a rzecz wyszła z Londynu zbyt późno, aby sprostac natłokowi poczty wokół targów, pragnę w tym miejscu przeprosić autora, wydawcę oraz naszych gości na stoisku za nieobecność tego tytułu.

Jan CHODAKOWSKI,
dyrektor POLONIA BOOK FUND

Warszawa, 6 listopada 1984.

Szanowny Panie Redaktorze!

Ze zdumieniem, zalem i niesmakiem przeczytałam w *Kulturze* Nr 3/438 z marca 1984 roku na stronie 50-ej w „Miesiącach” p. Kazimierza Brandysa o okolicznościach śmierci mojego Ojca — Jana Marii GISGESA. Ponieważ przypuszczam, że p. K. Brandys został mylnie poinformowany pragnę sprostować jego wiadomości. Tato mój nie „pośliznął się na oblodzonych schodkach przed Domem Literatów” w Warszawie i padając nie „złamał podstawy czaszki” lecz zasłabł w pobliżu własnego mieszkania na ulicy Nowotki w tutejszym Oddziale PKO. Stąd został zabrany do szpitala przy ulicy Lindley'a, gdzie odzyskał przytomność, a zmarł nagle następnego dnia rano (17 grudnia 1983 roku) w szpitalu na skutek bardzo rozległego pęknięcia aorty.

Z poważaniem

Ewa GISGES ZWIERZCHOWSKA
03-580 Warszawa, ul. Zamiejska 3 m. 103

P.S. Proszę o opublikowanie sprostowania i o przekazanie drugiego egzemplarza tego listu p. Kazimierzowi Brandysowi.

Bossey, Hte Savoie, 16 grudnia 1984.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jan Lechoń twierdził, że poeci mają dar widzenia ważnych spraw ludzkich w stopniu często lepszym niż mężowie stanu. Najwyraźniej ten dar posiada Czesław Miłosz, czego dowodzi jego formuła „bezlitosnej energii (zbiorowej) właściwej ludzkiemu społeczeństwu”. Mowa o artykule pt. „Szlachetność, niestety”, *Kultura*, wrzesień 1984, str. 10 i 11. Miłosz pisze, że socjalizm prowadzi do powszechnego zubożenia, co nie znaczy, że „bezlitosna energia właściwa ludzkiemu społeczeństwu nagle się ulotniła. Wręcz przeciwnie, przesunęła się tylko do aparatu represji...”. Potem przypomina,

że już nazizm dowiódł, iż „energia zbiorowa zwrócona w jednym kierunku... nie ma żadnych powściągnięć ani granic w zbrodni”.

Cieszę się, że Miłosz rozpowszechnia tę formułę w swoich wykładach i mam nadzieję, że przekaże ją także zainteresowanym na najwyższych szczeblach, korzystając ze swojej pozycji laureata nagrody Nobla. W takim wypadku sądziłbym, że formułę znanego poety wzmocni fakt, że do podobnego wniosku doszedł ktoś inny o znanym nazwisku, a mianowicie John Maynard Keynes. W Stanach Zjednoczonych Keynes jest czasem uważany za proroka socjalizmu, ponieważ zalecał pewną ingerencję rządu w sprawy gospodarcze, celem zapewnienia stałych inwestycji i uniknięcia kryzysów. Natomiast mniej znany jest fakt, że Keynes bardzo wyraźnie odciał się od koncepcji socjalistycznej, między innymi dlatego, że podobnie jak Miłosz, dostrzegł wrodzone, niebezpieczne tendencje ludzkie, które doszłyby do głosu w systemie socjalistycznym.

Te uwagi mieszczą się w zakończeniu książki Keynes'a (*Concluding Notes, the General Theory of Employment, Interest and Money*) gdzie pisze m.in.:

„Moreover (w systemie gospodarki rynkowej) dangerous human proclivities can be canalised into comparatively harmless channels by the existence of opportunities for money-making and private wealth, which, if they cannot be satisfied in this way, may find their outlet in cruelty, the reckless pursuit of personal power and authority, and other form of self-aggrandisement”. [Poza tym, (w gospodarce rynkowej) niebezpieczne tendencje właściwe ludzkiemu społeczeństwu kierują się na stosunkowo nieszkodliwe drogi wzbogacania się. Pozbawione takich możliwości, te niebezpieczne tendencje znajdują ujście w okrucieństwie, w kulcie osobistego prestiżu i władzy czy w innych sposobach panoszenia się].

Janusz KAZIMIRSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

K.O. w Kraju; T.B.-W., RFN; T.W., RFN; „Czyżyk” w Kraju; K.G., RFN; M.B. w Kraju; J.W., Szwajcaria; S.K., RFN; J.B., USA; J.J.; A.L., RFN; R.D., RFN; Z.S., Szwecja; D.W., RFN; M.Z., Anglia; K.D., RFN; H.L., Francja. — Z wierszy nie skorzystamy.

M.M.-S., Francja. — Powieść-bajka jest niestety tak „rozbiegana”, z motywami które pojawiają się, znikają i na nowo pojawiają tak niezbornie, że trudno uchwycić jej wyraz i sens.

J.R., RFN. — Pewnie że i to jest odpryskiem życia w „internacie”, ale błahym, niewartym uwagi i opisu.

S.K., RFN. — Szkic jest tylko wiązaną cytatów z tekstów Zagajewskiego, Michnika, Wojciecha Karpińskiego, Berlina i Nadei Mandelsztam; własnego wkładu autora nie widać.

J.M., Szwecja. — Naszym zdaniem nowela jest po prostu zła; dotyczy to zarówno pomysłu, jak wykonania.

K.H., USA. — Zgadzamy się naturalnie z Pana wywodami o prawdzie i kłamstwie, ale sęk w tym, że nie powiedział Pan w swoim artykule niczego nowego. Niezbyt udana jest też Pana krótka nowela.

- K.W. w Kraju.* — List Pana został uważnie przeczytany i zrozumiany.
- W.K., RFN.* — Trzeba być wytrawnym szachistą, żeby ocenić kanwę Pana opowiadania. Rozważania ogólne snute na tej kanwie są banalne.
- Anna Kaplar (poetka), Francja.* — Podziela obawy p. W. Żeleńskiego, że *Kultura* ogranicza się wyłącznie do potępienia komunizmu sowieckiego, bagatelizując komunizm na Zachodzie. Nie należy jednak przesadzać pisząc, że w manifestacjach komunistycznych w Paryżu niesiono plakaty z portretami Stalina.
- Jan Czarkowski (Belgia), P. Cecylia Wołkowińska (Anglia) i p. Henryk Zajączkowski (USA)* — dołączają się do protestów potępiających wiersz Adama Bąkowskiego pt. „Litania”. Protesty te — na szczęście nieliczne — nie biorą pod uwagę tragizmu tego wiersza i jego intencji, nie mówiąc już o jego wartości poetyckiej, traktując go powierzchownie jako bluźnierczy.
- Jan Libront.* — Pana artykułu „Rzeczpospolita Polska na arenie międzynarodowej” nie zamieścimy. Doceniamy intencje, ale są one sformułowane dosyć naiwnie.

OŚWIADCZENIA REDAKTORA

W numerze 21/70 wychodzącego w Berlinie miesięcznika *Pogląd* (z dn. 25 listopada 1984 roku) ukazał się wywiad z Janem Stefanem Stepkiem pracownikiem paryskiego wydawnictwa *Spotkania*. P. Stepek mówiąc m.in. o „akcji bałtyckiej” *Spotkań* (polegającej na tym, że rzucono w morze pojemniki z książkami, które „przestudiowane prądy morskie” miały wyrzucić na plaże w Polsce w okresie wakacji letnich) wymienia, że wśród książek znajdujących się w pojemnikach były również numery *Kultury*. Muszę stwierdzić, że proponuję p. Piotra Jeglińskiego wzięcia udziału w tej imprezie odrzuciłem nie będąc zwolennikiem podobnych metod. Jeśli zatem w pojemnikach były *Kultury*, to znalazły się tam bez mojej zgody i wiedzy.

W związku z ukazaniem się w wydawnictwie Libella „Kazań patriotycznych” ks. Jerzego Popiełuszki rozpuszczane są plotki, że Instytut Literacki odmówił ich wydania. Pragnę stwierdzić, że homilia ks. Popiełuszki otrzymałem w kwietniu 1984 roku z prośbą o ich wydanie. Będąc pod dużym ich wrażeniem uważałem, że nie mogę ich wydać w ramach Biblioteki „Kultury”, gdyż nabrałoby to z miejsca niepotrzebnego wydźwięku politycznego co mogło zaszkodzić księdzu Popiełuszce. Zwróciłem się zatem do trzech polskich wydawnictw katolickich na Zachodzie z propozycją wydania homiliów, zapewniając — w razie potrzeby — pokrycie kosztów druku. Spotkałem się z odmową. Motywacji wole nie podawać. Natomiast księgarnia Libella chętnie podjęła się ich wydania — własnym kosztem, bez jakichkolwiek zastrzeżeń i warunków. To wszystko miało miejsce na długo przed zamordowaniem ks. Popiełuszki.

Jerzy GIEDROYC

TADEUSZ WYRWA

„PRASA KONSPIRACYJNA W IMIENIU POLSKI WALCZĄCEJ 1940-1945”

Jak ocenił jeden z recenzentów: „Książka jest napisana świetnie i jest bardzo aktualna — można ją śmiało polecić wszystkim, a szczególnie tym, którzy interesują się historią nam współczesną i tym, którzy słusznie widzą znaczną analogię działalności 'Solidarności' wzorowanej na AK z czasów wojny”.

Do nabycia w Księgarniach polskich w Paryżu lub u wydawcy:

Poets' and Painters' Press,
146 Bridge Arch, Concert Hall Approach,
London SE1 8XU

Cena: F. 50,00 lub £ 4.50.

KWARTALNIK POLITYCZNY

AN E K S 36

Zbigniew Brzeziński: *Polska wczoraj i dziś*; INTELIGENCJA, „SOLIDARNOŚĆ”, WŁADZA (II) — Jakub Karpiński: *Wiktymologia polityczna*; Stefan Kisielewski: *O fałszywych słowach i fałszywych nadziejach*; Marcin Król: *W poszukiwaniu racjonalnej nadziei*; Bogusław Gałęski: *Uwagi o fundacji rolniczej*; ZACHÓD WOBEC WSCHODU — Jańczak Borygo: *Borygo kontra Besançon*; Alain Besançon: *Odpowiedź*; Georges Nivat: *Spór o rosyjski nacjonalizm*; PAMIĘCI ORWELLA — Leszek Kołakowski: *Totalitaryzm i zalety kłamstwa*; Ihor Sevcenko: *Eschatologia Orwella*; Józef Podlaski: *Przed i po 1984*; Leszek Nowak: *Spółczesność orwellowska*.

Rocznie 4 numery — £ 10.00; \$ US 20.00

Zamówienia wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:

AN E K S
61, Dorset Road, London W5 4HX, England



NOWE KSIĄŻKI

EDITIONS SPOTKANIA

MACIEJ ŁOPIŃSKI, MARCIN MOSKIT, MARIUSZ WILK
KONSPIRA

— RZECZ O PODZIEMNEJ SOLIDARNOŚCI

Opracowane i opatrzone komentarzem przez autorów, autoryzowane relacje przywódców podziemnej SOLIDARNOŚCI: Bogdana Borusewicz, Zbigniewa Bujaka, Władysława Frasyniuka, Aleksandra Halla, Tadeusza Jedyńaka, Bogdana Lisa i Eugeniusza Szumiejki, tworzą historię pierwszych trzech lat funkcjonowania polskiego podziemia (1981-1984).

Cena 80 FF, US\$ 10.

BOHDAN CYWIŃSKI

DOŚWIADCZENIE POLSKIE

Opis historycznych, społecznych, kulturowych i gospodarczych uwarunkowań mających wpływ na powstanie i funkcjonowanie Solidarności. Autor, publicysta i historyk był aktywnym uczestnikiem opisywanych wydarzeń. W aneksie szeroki wybór dokumentów.

Cena: 30 FF, US\$ 6

Pierwszy numer
kwartalnika społeczno-politycznego
LIBERTAS

W numerze m.in.:

- Zbigniew Brzeziński, Od utraty ducha do utraty kontroli
- O pacyfizmie rozmowa z André Gluksmanem
- Wiktor Suwarow, Wyzwoliciele
- Ignacy Nekanda, Naród niezbędny.

Francuskojęzyczna wersja ukazywać się będzie raz na pół roku.

Cena: 25 FF, US\$ 4

Do nabycia u wydawcy:
Editions Spotkania
64, av. Jean Moulin
75014 PARIS

i w polskich księgarniach na Zachodzie



| | |
|---------------------------------------------------------------------|------------|
| Wacław Winnicki, Cincinnati, OH (USA), po raz 7-my — \$ 61,00 | F. 475,00 |
| Dr Stefan Wowczak, Wedemark (RFN), po raz 6-ty | F. 370,00 |
| Łucja Zalewska, Chicago, IL (USA), po raz 20-ty — \$ 148,00 | F.1.406,00 |
| Bezimiennie z Los Angeles, po raz 14-ty — \$ 38,00 | F. 361,00 |

WPŁATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

| | |
|-----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|------------|
| Bezimiennie z Heidelbergu (RFN) — DM 200,00 | F. 610,00 |
| Bezimiennie ze Stamford, CT (USA) — na „Solidarność” — dla uczczenia ks. Popiełuszko — \$ 50,00 | F. 475,00 |
| Wiesława Lindenthal, Kolonia (RFN) — dla uczczenia pamięci mego Męża dr med. Romana Lindenthal-Gajdaczka, zmarłego 1 listopada 1984 r. — zamiast kwiatów — na NSZZ „Solidarność” w Polsce — DM 1.000,00 | F.3.050,00 |
| Polish Canadian Action Group, Toronto, Ont. (Kanada) — sumę uzyskaną ze zbiórki w kościele św. Teresy w Toronto, w czasie mszy odprawianej w intencji ks. Popiełuszki — na pomoc „Solidarności” w Polsce — \$ c. 416,00 | F.2.995,00 |
| Polish Canadian Action Group, Toronto, Ont. (Kanada) — sumę uzyskaną ze zbiórki w kościele rzymsko-katolickim w Kitchener, w czasie mszy odprawianej w intencji ks. Popiełuszki — na pomoc „Solidarności” w Polsce — \$ c. 525,00 | F.3.780,00 |
| Eugenia Szabelska, Paryż — zamiast kwiatów na grób śp. Janiny Mrozowskiej — na więzionych członków „Solidarności” | F. 150,00 |

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

| | |
|------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|------------|
| E.M., Paryż — na prześladowanych w PRL | F. 200,00 |
| C. Kulikowski, Nicea (Francja) | F. 100,00 |
| „Pomost”, New York — na fundusz niezależnej prasy w Polsce — TZR Wielkopolska — sumę uzyskaną ze sprzedaży „biuletów stuzłotowych”, wydanych przez Region Wielkopolska — \$ 300,00 | F.2.850,00 |
| Czesława i Jan Seremak, Honolulu, Hawaje (USA) — \$ 100,00 | F. 950,00 |
| K. Styś, Nepean, Ont. (Kanada) — prześladowanym w Polsce oraz ich rodzinom | F. 95,00 |
| Wojciech Szczygielski, Zurych — na poparcie inicjatywy obrony praworządności w Polsce — Frs 30,00 | F. 112,00 |

WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

| | |
|-------------------------------------------------------|----------|
| Mirosław Czolnowski, Ennepetal (RFN) — DM 30,00 | F. 91,50 |
|-------------------------------------------------------|----------|

Bezimiennie z USA:

| | |
|--------------------------------------------------------------------------------|-----------|
| — na NSZZ „Solidarność” — \$ 30,00 | F. 285,00 |
| — na Pomoc dla walczących w Kraju — „Żeby Polska była Polską” — \$ 30,00 | F. 285,00 |

Rosłońcowie, Uppsala (Szwecja) — zamiast kwiatów na grób śp. ks. Jerzego Popiełuszki zamordowanego bestialsko przez władze PRL:

| | |
|------------------------------------------|-----------|
| — dla rodzin więźniów politycznych | F. 100,00 |
| — na Fundusz drukarski | F. 100,00 |

Dr Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm:

| | |
|----------------------------------------------------------------------------------|-----------|
| — na Pomoc dla walczących w Kraju — „Żeby Polska była Polską” — Krs 100,00 | F. 110,00 |
| — na Fundusz drukarski — Krs 150,00 | F. 165,00 |

SPROSTOWANIA

W numerze 9/44 *Kultury* figuruje wpłata na Fundusz *Kultury* Doli i Jana Błaszczyna, przekazana dla uczczenia pamięci śp. inż. Jana Kalisza, a powinno być *Adama Kalisza*.

W numerze 12/447 *Kultury* figuruje wpłata na Fundusz *Kultury* Jacqueline Dyjas, przekazana zamiast kwiatów na grób przyjaciela Józefa Haubentocka. Wpłata ta, nadesłana przez p. J. Dyjas, pochodzi *de facto* od D.H.S.

Za te pomyłki bardzo serdecznie przepraszamy (Redakcja).

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1985.

Imprimé en France
N° d'imprimeur 6854.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

| | Egz. poj. | Prenumerata | |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|--------------------------------------|----------------------------------------|-----------------------------------------|
| | | 1/2-roczna | roczna |
| Ceny na rok 1985 | | | |
| AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 | F. 38,00 | F. 220,00 | F. 400,00 |
| ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires | F. 38,00 | F. 220,00 | F. 400,00 |
| AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248 | \$ A. 5,50 | \$ A. 30,00 | \$ A. 56,00 |
| AUSTRIA: Henryk Odianicki-Pocobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-60-175 | F. 38,00 | F. 220,00 | F. 400,00 |
| BELGIA: Maria Rondomanska, 132, Avenue Coghén, 1180 Bruxelles. Tel. (2) 345 08 25. Konto 310.0334324.51 w Banque de Bruxelles | F.B. 300,00 | F.B. 1500,00 | F.B. 2750,00 |
| BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury » | \$ US 5,00 | \$ US 28,00 | \$ US 52,00 |
| DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd .. | F. 38,00 | F. 220,00 | F. 400,00 |
| FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu | F. 38,00 | F. 220,00 | F. 400,00 |
| HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176. | Fl h 15,00 | Fl h 85,00 | Fl h 155,00 |
| IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311 | F. 38,00 | F. 220,00 | F. 400,00 |
| KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St. W Toronto 145 Ont. Polish Alliance Press, Ltd. (« Związkowiec »), 1638 Bloor St., W., Toronto, Ont. M6P 1A7 | \$ Can. 6,00 DM 13,00 F. 38,00 | \$ Can. 35,00 DM 75,00 F. 220,00 | \$ Can. 60,00 DM 140,00 F. 400,00 |
| NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1 | | | |
| NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss. . . | | | |
| SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431 | F.S. 11,00 | F.S. 65,00 | F.S. 115,00 |
| SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6 | K.S. 36,00 | K.S. 200,00 | K.S. 380,00 |
| U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104. Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; H. Kosciuch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. (212) 354-0492; Polish Books & Arts, Inc., 97 East 7th St., New York, N.Y. 10009, tel. (212) 254-8457 | \$ US 5,00 | \$ US 28,00 | \$ US 52,00 |
| WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel. (01) 370 2210 | F. 38,00 | F. 220,00 | F. 400,00 |
| WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75-67-241 | F. 38,00 | F. 220,00 | F. 400,00 |

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 400; półroczna — F. 220.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 5,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 399 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY

Zawiera m.in. opracowania: M. Malii — *Wiecznie powracająca Polska*; J. Strzeleckiej — *Działalność Sejmu PRL po 13 grudnia 1981*; Zb. Jasińskiego — *Pieśń o Powstaniu*; Wł. Bartoszewskiego — *T. Żenyczkowskiego — Rozmowa o Wydziale „R” w BIP KG AK*; J. Garlińskiego — *Pomoc lotnicza dla Warszawy*; J. Łukocza — *Powstańcze wytwórnie granatów*; *Sprawa Grzegorza Przemyska*; J. R. Krzyżanowskiego — *Ostatni etap: Stalinogorsk*; K. Kraczkiewicza — *Jesień 1938 - jesień 1939 (wspomnienia)*; J. Czapskiego — *Kartka z dziennika* oraz bogate dzieła: POLEMIKI, RECENZJE, OKRUCHY HISTORII.

Str. 240.

Cena F. 60,00.



TOM 400 — CZESŁAW MIŁOSZ

NIEOBJĘTA ZIEMIA

Zbiór nowych wierszy i epigramów

Str. 148.

Cena F. 55,00.



TOM 401 — JÓZEF ŁOBODOWSKI

DWIE KSIĄŻKI

Na tom składają się dwa tomiki poezji: „Dytramby nieprzejednane” o charakterze zdecydowanie politycznym i „Południe fauna” o charakterze całkowicie odmiennym: są to pejzaże, niekiedy mitologiczne i erotyki pisane w różnych epokach.

Str. 108.

Cena F. 45,00.



TOM 402 — ZOFIA ROMANOWICZOWA

NA WYSPIE

Nowa powieść znanej autorki to dzieje młodej Polki, ocalałej z niemieckiego obozu śmierci, którą dziwne koleje losu wyrzuciły na wyspę świętego Ludwika w Paryżu.

Str. 168.

Cena F. 65,00.

KSIAŻKA UKAŻE SIĘ W POŁOWIE STYCZNIA